

*Phoebe jest najbardziej zdesperowaną kobietą na świecie. I najbardziej czarującą...
Lecz Stephen, książę Badrick, wie, że nie zazna szczęścia u jej boku. Winna jest temu
cygańska klątwa, która skazuje na klęskę każdy jego związek.
I nie zmieni tego ani upór Phoebe, ani próby zdjęcia zaklęcia.*

*A Phoebe potrzebuje męża i to już - odziedziczy majątek, jeżeli szybko zmieni stan.
Starających się ma wielu, ale jej serce skradł Stephen. Cóż jednak zdoła odwrócić zły czar
ciążący od stu lat nad jego rodem? Chyba tylko potęga innego uroku...*

PEGGY WAIDE

POTEŃGA UROKU

Przekład

Anna Cichowicz

*Kevinowi, Dakocie,
Jordanowi i Aleksowi.
Kocham Was wszystkich.*

PROLOG

Penrith, Anglia, rok 1723

Błyskawica przecięła niebo i grzmot wstrząsnął ziemią. Wiatr wył, a drzewa i cienie kołysały się w niesamowitym tańcu w takt muzyki matki natury. Bicze deszczu zaczęły chłostać ziemię. Tej nocy lepiej było nie wychodzić z domu. Lord Badrick przyglądał się spod płachty namiotu pomarszczonej staruszce, która przystanęła poza kręgiem światła rzucanego przez ognisko.

- Książę! - zawołała. - Ośmielisz się spojrzeć mi w oczy?

Wyłoniła się z mgły jak nocna zjawą z lasu. Dwaj towarzysze lorda Badricka zerwali się na nogi, chwytając za szpady. Książę powstrzymał ich gestem.

- Cóż to ma znaczyć?

- Widzę, że mnie nie poznajesz - powiedziała starucha. Uczyniła trzy małe kroki w jego stronę. Jej kolczyki ze złotych monet zabłyśły w blasku ognia. Wielobarwna spódnica falowała wokół kostek, gdy starucha się poruszała.

- Jesteś Cyganką.

- Jestem kimś więcej. Nazywam się Juliana Romov, jestem matką Rosali. Podmuch wichru szarpnął grubą wełnianą peleryną lorda Badricka, który przestępując z nogi na nogę, zmrużył oczy, by lepiej przyjrzeć się kobiecie.

- To imię niewiele mi mówi.

- Obiecując bogactwo i małżeństwo, uwiodłeś moją Rosalę. Potem bez skrpułów porzuciłeś ją by poślubić swoją panią. Rosala ze wstydu odebrała sobie życie. Leży teraz w grobie. Zapłacisz mi za to.

- Zaraz, do diabła, chwileczkę...

- *Ay Romale, ay Chavale, sa lumiake Roma.* - Głos Cyganki recytującej pradawne zaklęcie nabierał mocy. - *Ake vryama. Vi...*

- Na litość boską, mówże zrozumiałym językiem.

- Bóg nic ci teraz nie pomoże. Już zlatują się kruki, czekające na śmierć, która nadejdzie.

- Skończ te sztuczki. Nie dam ci ani grosza.

- Myślisz, że za pieniądze kupisz moje przebaczenie? - Cyganka splunęła na ziemię. - Głupcze. Twój tytuł, władza i groźby są dla mnie niczym. Odtąd nieszczęście stale będzie towarzyszyć twojemu bogactwu. - Wyciągnęła w stronę księcia poskręcany korzeń, chwytając

lewą dłonią złoty amulet wiszący jej na szyi. - Przez pokolenia synowie twego rodu będą płodzić synów. Każdy z synów poślubi szlachetnie urodzoną damę, a każde małżeństwo zakończy się samotnością, żalostí i śmiercią, póki Romowie będą przemierzać ścieżki tej ziemi.

Niesamowity rechot wydobył się z ust Cyganki, gdy Badrick, jak zahipnotyzowany, ruszył w jej stronę. Uniosła ku niebu sękatę palce.

- Przyzywam klątwę z niebios. Niech ściga cię na twojej drodze do piekła.

Piorun rozszczepił drzewo za plecami kobiety. Kiedy dym opadł, pozostał tylko strzęp czerwonego płótna z warkoczem czarnych jak noc włosów splecionych barwnymi wstążkami z nanizanymi na nie złotymi monetami.

Londyn, rok 1817

W długiej, wąskiej sali balowej pary wirowały na białej marmurowej posadzce, od której odcinała się tęcza barwnych sukien. Mimo radosnej atmosfery Phoebe Rafferty czuła się pośród trzystu osób bardziej samotna niż kiedykolwiek. Tydzień wystarczył, by znienawidziła Anglię i brytyjską sztywność. Zadanie znalezienia męża stawało się coraz wstrętniejsze.

Niewielka orkiestra zagrała taniec ludowy. Phoebe zaczęła przytupywać w rytm muzyki, ukazując atlasowe pantofelki. Miała ochotę zaklaskać i na pewno zrobiłaby to, gdyby nadal była w Georgii. Ale tu... ukryła tylko dłoń zaciśniętą w pięść w miękkich fałdach sukni, przeklinając swój los. Przenikliwy szept ciotki przerwał tok jej ponurych myśli.

- Tak, cioteczko? - spytała.

Lady Hildegard Goodliffe wzruszyła patykowatymi ramionami i pokręciła głową.

- Przestań się wiercić, Phoebe. Inaczej wszyscy pomyślą, że pchły cię oblaży albo że nie umiesz usiedzieć spokojnie.

Kuzynka Charity zachichotała z za swego wachlarza. Pierzaste ptaszki zdobiące jej włosy w kolorze błota zakołysały się niebezpiecznie z boku na bok, a jeden nawet spadł na podłogę. Dlaczego kobiety w Anglii nosiły we włosach wypchane ptactwo, tego Phoebe nie mogła pojąć. Zaciśnęła zęby. W akcie buntu wyprostowała plecy i wypięła piersi do przodu, bardziej niż ciotka Hildegard mogłaby sobie życzyć. Zerknąwszy na swoją nową opiekunkę, spostrzegła to, co widziała codziennie. Wyraz wyższości i potępienia.

- Pamiętaj, w jakim celu tu przyjechałaś, dziewczyno. Robisz wszystko, by utrudnić sobie to zadanie.

Phoebe z całkowitą obojętnością przyglądała się migocącym płomieniom świec w jednym z trzech ogromnych żyrandoli zwisających spod kopuły sali. Wielkie nieba, miała bardzo mało czasu. Gdyby nie znalazła męża, majątek matki - zgodnie z jej wolą - przepadnie.

- Fakt, że wnosisz w posagu tytuł i posiadłość, przekona wielu dżentelmenów, bez względu na twoje niedostatki. Jednakże ja nie zgodzę się, by miało to przynieść wstyd mnie lub mojej córce. Dość się już wycierpiałam, gdy moja siostra zbiegła do kolonii z twoim ojcem. Był tylko biednym irlandzkim szlachcicem. Nie miał przyszłości i za grosz zdrowego rozsądku. Masz wielkie szczęście, że mój ojciec zostawił ci Marsden Manor. Słuchasz mnie,

młoda damo? - Ze zwykłym sobie gniewnym wyrazem twarzy Hildegard boleśnie celnie uderzyła Phoebe w rękę. - Skup się. Mamy gości.

Phoebe zerknęła we wskazanym kierunku, skąd zbliżało się trzech panów. Zdusiła w sobie przemożne pragnienie, by czmychnąć i gdzieś się ukryć. Na czele nadciągał sir Lemmer, dość przystojny mężczyzna, który jednak miał zwyczaj wydawania dziwnych dźwięków przez zęby. Sir Milton, napuszony nudziarz przypominający strączek zielonej fasolki z kępką blond włosów, podążał tuż za Lemmerem. Wielce szanowny pan Ellwood kroczył jako trzeci. Był ubrany w nazbyt obcisłe spodnie barwy oliwkowej, białą koszulę z dziwacznie zawiązanym krawatem i zielony frak w indyjskie wzory. Mając skłonność do ulegania wypadkom, omal nie zderzył się ze służącym.

Litości, tylko nie to. Zeszłego wieczoru większość czasu spędziła na grze w wista z owymi trzema panami. Karty miały ożywić konwersację.

- Pamiętajcie, dziewczęta, nie zwracajcie na nich uwagi, dopóki nie dam wam znać. Okażcie stosowne zainteresowanie, kiedy ja to uczynię - powiedziała z uśmiechem.

Phoebe z trudem stłumiła jęk. Według ciotki Hildegard wszyscy trzej panowie mieli cechy, jakich wymagała od zalotników Phoebe. Wszyscy byli młodszymi synami, bez tytułu, mieli więcej niż dwadzieścia, ale mniej niż sześćdziesiąt lat i roztaczali prawdziwie arystokratyczny wdzięk. Phoebe wzdrygnęła się na samą myśl o tym, że niewiele brakuje, by jeden z tych mężczyzn został jej mężem. A ona chciała wyjść za mąż z miłości. Tymczasem miała większe szanse, by wyrwać włos z głowy łysego niż zrealizować swoje marzenie. Na tę myśl jęknęła. Głośno.

- Phoebe - warknęła Hildegard. - Przestań wydawać takie okropne dźwięki. Ludzie gotowi pomyśleć, że cierpisz na żołądek. Charity, postaraj się podtrzymywać rozmowę bez żadnych potknięć.

Dziewczyna skwapliwie przytaknęła. Wyglądała tak, jakby miała zemdleć, nie mogąc znieść oczekiwania. Kuzynka chętnie przyjmowałaby wszystkich zalotników razem i każdego z osobna, pomyślała Phoebe zazdrośnie. Ponieważ był to pierwszy sezon Charity, gdyby nie udało jej się znaleźć partii, mogłaby spokojnie poczekać jeszcze rok.

Phoebe miała ochotę tupać i krzyżeć. W wieku osiemnastu lat powinna mieć taką samą możliwość. Niestety, jej zostało zaledwie sześć tygodni, by uporać się z tym zadaniem.

Hildegard nadal półgębkiem udzielała pouczeń.

- Możecie zatańczyć z każdym po dwa tańce ludowe. Zabraniam tańczyć walca. Phoebe, trzymaj język za zębami. Mężczyźni nie tolerują kobiet, które wygłaszają śmiało

uwagi, a jeszcze mniej tolerancji mają dla tych, które przejawiają skłonność do mówienia tego, co myślą. Zapomnij o przeszłości. Pamiętaj, że teraz jesteś w Anglii.

Jak niby miałyby zapomnieć? Hildegard przypominała jej o tym dzień w dzień. Phoebe otworzyła oczy i ujrzała u swego boku sir Lemmera. Jego ubrania roztaczały nieznosną woń cedru. Sir Ellwood z uśmiechem, od którego robiły mu się dołeczki w policzkach, zakręcił się raz i drugi, po czym znalazł sobie miejsce koło Charity, która zrobiła, podobnie jak on, głupawą minę. Lord Milton zadowolił się pustym miejscem u drugiego boku Phoebe.

Phoebe westchnęła.



Ciemność pasowała do nastroju Stephena Lamberta, księcia Badricka. Robiąc grzeczność przyjaciółom, zgodził się wziąć udział w tym cholernym dorocznym balu urządzanym przez wuja Elizabeth. I żałował tego. Kiedy tylko wszedł do sali balowej, spostrzegł umykające spojrzenia i dosłyszał szepty. Klątwa ciężąca nad jego rodem wciąż stanowiła pożywkę dla plotek rozsiewanych w towarzystwie.

Obliczył, że musi minąć jeszcze godzina tej męki, zanim będzie mógł życzyć dobrej nocy lordowi Wymanowi, Winstonowi i Elizabeth. Postanowił przeczekać ten czas w tym pustym pokoju, raczą się brandy i cygarem.

Siedząc na pokrytym czerwonym aksamitem szezlongu, z roztargnieniem błędził wzrokiem po prywatnym gabinecie lorda Wymana. Cztery kryształowe kinkiety przy drzwiach i wieloramienny świecznik na stole dawały dość światła, by wydobyć z mroku znajdujące się tu przedmioty. Półki z książkami pokrywały ścianę na lewo od przesłoniętej drewnianym parawanem wnęki. Na pozostałych ścianach wisiały obrazy o tematyce erotycznej, a rzeźby z białego marmuru przedstawiające bardziej lub mniej rozebrane kobiety stały na postumentach ukrytych w cieniu, obok zasłoniętych okien. Przyglądając się najnowszemu nabytkowi lorda Wymana, hebanowemu aktowi na smoku, Stephen zastanawiał się nad reakcjami londyńskich matron, gdyby te dowiedziały się o kolekcji Wymana i odbywających się w tym pokoju przyjęciach w ścisłym gronie.

Ktoś przekręcił mosiężną gałkę w drzwiach gabinetu. Zirytowany tym, co uznał za naruszenie swojej prywatności, Stephen wstał i wślizgnął się do ciemnej wnęki. Nie miał ochoty na pogawędkę. Przy odrobinie szczęścia intruz zorientuje się, że nie jest to pokój przeznaczony dla balowych gości, i wycofa się szybko. Ten ktoś może jednak zechcieć zrobić użytek z szezlonga, który on właśnie opuścił. Psiakość, co za niedogodność.

Wyrżał zza parawanu przez otwór w kształcie serduszka, kiedy otworzyły się mahoniowe drzwi.

Do środka wtargnęła zdesperowana istota i zatrzasnąwszy za sobą drzwi, oparła się o nie z westchnieniem, jakby ten ciemny pokój oznaczał ratunek. Ta mała piękność wydawała się być studium kontrastów. Miała burzę miedzianych loków otaczających twarz o gładkiej jak porcelana cerze barwy kości słoniowej i delikatnym rysunku brwi. Loki zebrane były na czubku głowy prostą wstążką odsłaniając smukłą szyję. Brzoskwiniowy odcień barwił jej wargi i policzki. Wydawała się krucha i delikatna, ale wysunięta do przodu broda świadczyła o zdecydowaniu. Piersi w dekolcie sukni były rozkosznie pełne. Ich falowanie w rytm oddechu miało w sobie coś hipnotyzującego.

Wtem się uśmiechnęła. Stephen doskonale wiedział, co to jest żądza, ale reakcja własnego ciała, przemożny odruch, by jej dotknąć, zaskoczyły go. Niech to szlag, ta kobieta miała ponętne ciało, które aż się prosiło o to, by dotykał go mężczyzna.

Podczas gdy on patrzył na drzwi, spodziewając się nadejścia jej towarzysza, na którego z pewnością czekała, ona zwiedzała pokój. Stała na palcach przed jednym z obrazów i przeraziła się, rozpoznając jego ryzykowny charakter. Przeszła do następnego, potem do kolejnego. Na czwarty obraz już tylko zerknęła.

- Och, nigdy w życiu.

Stephen nagle rozpaczliwie zapragnął przekonać się, jaki kolor oczu ma nieznajoma. Zauroczony jej oburzeniem, nie mogąc już ani chwili dłużej pozostać w ukryciu, postanowił skorzystać z okazji.

- Z pewnością nie, mam nadzieję. Jeśli oczywiście nie nęcą cię nieco perwersyjne erotyczne doświadczenia.

Dziewczyna okręciła się wokół siebie. Jej suknia z brzoskwiniowego jedwabiu wydęła się jak dzwon okrętowy. Gorączkowo rozejrzała się po kątach pokoju, po czym na jej twarzy odmalował się wyraz nieskrywanej irytacji.

- Jak śmiesz ukrywać się po kątach, kimkolwiek jesteś.

- A twoim zdaniem, wciąż to robię?

Rumieniec o barwie odpowiadającej płomiennym lokom wykwitł na jej policzkach. Naprawdę była prześliczna.

- Jesteś złodziejem? - spytała, zmierzając do drzwi.

- Raczej nie.

- Wiem na pewno, że nie jesteś lordem Wymanem. Dlaczego ukrywasz się w tym domu?

Niezwykła kobieta, pomyślał Stephen. Cholernie figlarna, to fakt. Teraz mógł dostrzec, że jej oczy są niebieskie, a może zielone.

- A kto mówi, że się ukrywam? Zakłóciłaś moją prywatność.

- Potknięcie, które łatwo naprawić. - Odwróciła się na pięcie, żeby wyjść.

- Poczekaj. Nie ma potrzeby się spieszyć. - W jego głosie brzmiało rozdrażnienie, ale nie chciał, żeby dziewczyna umknęła. Przynajmniej dopóki nie pozna jej imienia i zamiarów. Jej towarzysz mógł już nie nadejść i Stephen zastanawiał się, że może ten nieznośny wieczór nie jest całkiem stracony.

- Wybierałaś się w jakieś konkretne miejsce?

Obejrzała się przez ramię, jej zmrużone oczy patrzyły z namysłem.

- Szukałam biblioteki. Musiałam pomylić drzwi. - Obrzuciwszy pokój szybkim spojrzeniem, dodała: - Przynajmniej mam nadzieję, że pomyliłam drzwi.

- Chciałaś się z kimś spotkać?

- Cóż cię skłania do takiego przypuszczenia?

- Nie krępuj się, rozejrzyj się swobodnie. To nie jest miejsce, w jakim dama mogłaby składać wizytę. Zwłaszcza sama i bez wyraźnego powodu.

To z pewnością wymagało reakcji. Odwróciła się i skrzyżowała ramiona, co uwydatniło jej pełne piersi. Wydęła wargi, rozkoszne wargi, pomyślał Stephen, kuszące, pełne. Idealne do pocałunków.

Dziewczyna, w widoczny sposób obrażona, zrobiła kilka kroków i zniecierpliwiona zaczęła przytupywać lewą stopą. Jej oczy płonęły gniewem. Były piękne, szmaragdowozielone jak łąki Lincolnshire wiosną. Stephen, z odrobiną rozbawienia, choć bardziej zaintrygowany, zastanawiał się, czy dziewczyna z równym temperamentem zachowuje się w łóżku.

- Na litość boską, jak już powiedziałam przed chwilą, zablądziłam. Każde słowo wypowiadała dobitnie, irytacja podkreślała intonację jedwabistego głosu, po której można było w niej rozpoznać cudzoziemkę.

Sam jej głos kazał mu snuć irracjonalne domysły. Mówiła jak oburzona dziewica, ale Stephen wiedział swoje. Żadna przyzwoita młoda dama, bez względu na pochodzenie, nie snułaby się samopas po prywatnych pokojach domu należącego do mężczyzny. Nagle wieczór wydał mu się całkiem obiecujący. Rozstał się ze swoją kochanką wieki temu i nie miał nowej. Być może nadszedł czas.

- Nie wierzysz mi? - spytała Phoebe, spoglądając z ukosa w kierunku tajemniczego nieznajomego, kryjącego się we wnęce. - Twoje insynuacje są dla mnie obraźliwe. Mam również dość tłumaczenia się przed kimś, kto czai się w ciemnym kącie.

- Ja się nie czaję.

- Doprawdy? Można jeszcze powiedzieć, że masz fatalne maniery, bo jak nazwiesz to, gdy ktoś odmawia przedstawienia się?

- Pragnieniem prywatności?

- Mnie przychodzi do głowy coś zupełnie innego, mianowicie grubiaństwo. To podejrzane, niegrzeczne i niejasne. W końcu zacznym myśleć, że masz coś do ukrycia.

- Ależ z ciebie impertynentka. Jedynym, co ukrywam, jestem ja sam.

- Skąd mam mieć pewność?

- Ja nigdy nie kłamię.

- A kto miałby to potwierdzić? Muszę usłyszeć nazwisko lub ujrzeć twarz. Wyjdź z kąta, żebym mogła ci uwierzyć. - Phoebe czekała z niecierpliwością, czy nieznajomy posłucha. Powinna wyjść stąd. Natychmiast. Gdyby została nakryta sama z mężczyzną, z jakimkolwiek mężczyzną, w pokoju takim jak ten, byłby to z pewnością wielki skandal towarzyski. Z drugiej jednak strony, dawno już nauczyła się, że ucieczką niczego nie osiągnie. Prawdę mówiąc, chciała zostać i zobaczyć twarz człowieka, który miał tak głęboki tembr głosu. Z jakiegoś powodu ten mężczyzna, ten głos intrygował ją. - Czekam.

Wyszedł zza parawanu i skłonił się lekko.

- Stephen Roland Lambert, książę Badrick do usług. Pani?

Phoebe wzięła głęboki wdech i bezbłędnie wykonała dworski ukłon. No nieźle, nazwała księcia złodziejem. Jeśli był księciem. Wątpiła jednak, by skłamał w czymś, co łatwo sprawdzić. Wyprostowała ramiona i powiedziała grzecznie:

- Panna Phoebe Rafferty, z Georgii.

- Miło mi, panno Phoebe Rafferty.

Podszedł do okrągłego, dębowego stołu w pobliżu czerwonego szezlonga i zapalił trzy świece, a Phoebe tymczasem miała okazję po raz pierwszy przyjrzeć się tajemniczemu mężczyźnie. Wielkie nieba, powiedzieć, że jest przystojny, to mało. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie ramiona i długie nogi. Był ubrany na czarno, aż po czubki lśniących butów, tylko porządnie zawiązany biały krawat stanowił jedyny wyjątek. Proste czarne włosy opadały mu do ramion, tę samą hebanową barwę miał wąs ocieniający górną wargę, teraz lekko uniesioną, i brwi nad najbardziej zdumiewającymi oczami w kolorze kakaowym, jakie kiedykolwiek widziała. W pokrytej bliznami dłoni trzymał szklanę.

Wszystko w tym mężczyźnie zdawało się mroczne i niebezpieczne. Jej serce zatrzepotało, kiedy podszedł bliżej.

- Widzisz - powiedział - jestem zupełnie sam. I nie przywłaszczyłem sobie bezcennych klejnotów rodzinnych.

Phoebe stłumiła chęć wygłoszenia uwagi, którą miała na końcu języka. Już raz, w zasadzie, nazwała go kłamcą. Nalewając bursztynowy płyn do swojej szklanki, spytał:

- Masz ochotę na coś do picia?

- Nie, dziękuję. - Niepewna, co ma zrobić, zaczęła krążyć po pokoju. Kiedy jej oczy znalazły się na wprost biustu marmurowej rzeźby, natychmiast wrócił jej rozsądek. - Muszę iść.

- I ograbić mnie z tej odrobiny przyjemności, jakiej mógłbym zaznać tego wieczoru? Powiedz zaraz, czy mam się obawiać zazdrośnika, który zechce wyzwać mnie na pojedynek za to, że znalazłem się z tobą sam na sam?

- Na litość boską, nie. A czy ja mam się obawiać zirytowanej kobiety?

- Ależ skądże znowu. Zatem żadne z nas nie ma potrzeby się spieszyć. Poza tym, czy szczerze pragniesz powrotu w ten szaleńczy ścisk, Phoebe?

Wiedziała, że powinna skarcić go za tak poufałe zwrócenie się do niej po imieniu, ale spodobało jej się, kiedy wypowiedział jej imię głębokim, pełnym wyrafinowanych odcieni głosem. Kiedy poczuła woń rumu i wrzosu, zorientowała się, że stanął tuż za nią. Odwróciła się do niego, westchnęła i nieco uniosła brodę.

- Trochę się zasiedziałam, to wszystko, lordzie Badrick.

Jego głęboki śmiech i szeroki uśmiech nadały ponurym rysom łobuzerski wdzięk. Nawet oczy błysnęły rozbawieniem.

- Nie odgrywaj przede mną tych panieńskich sztuczek, Phoebe. Nie jestem lubieżnym głupcem. Obiecuję zachowywać się jak idealny gospodarz.

Możemy być przyjaciółmi, dwie biedne duszyczki, dzielące ze sobą odrobinę spokoju. Przysięgam strzec naszego sekretu. Co ty na to?

Myśl o zyskaniu przyjaciela wydała jej się niezmiernie pociągająca. Wątpiła, by mężczyźnie z jego aparycją i urokiem brakowało towarzystwa jakiegokolwiek rodzaju, ale, co dziwne, choć aż do tego wieczoru nigdy go nie spotkała, czuła w nim pokrewną duszę. Z pewnością alternatywa powrotu do ciotki Hildegard nie była zbyt pociągająca.

- Dobrze więc, jeszcze kilka minut.

- Cudownie. Powiedz mi zatem, jak ci się spodobał Londyn?

- Wolisz odpowiedź powszechnie uważaną w towarzystwie za stosowną, czy szczerość?

Parsknął głębokim, ciepłym śmiechem.

- Ze wszech miar szczerość.

- W takim razie wilgotny, rozmiękły i nieznośnie szary.

- Masz na myśli naszą pogodę czy towarzyskie konwersacje? Otworzyła usta, żeby powiedzieć „Jedno i drugie”, ale ugryzła się w język.

- Pogodę, oczywiście.

- Oczywiście - wycedził. - I czemuż to tak śliczna, młoda dama jak ty umyka przed uciechami balu?

- Zabrakło mi właśnie tematów do rozmowy. Poza tym wolę mniejsze, nie tak oficjalne przedsięwzięcia. Trudno być w radosnym nastroju, kiedy bez przerwy trzeba pamiętać, co wolno, a czego nie. Nawet jeśli zachowujesz się najlepiej, jak potrafisz, i tak ryzykujesz, że nie spodobasz się matronom, które, jak się wydaje, nie mają nic lepszego do roboty tylko oceniać cudze zachowanie.

Zakręcił szklanką, a bursztynowy płyn zawirował. W jego oczach pojawił się błysk, jak u pantery, którą kiedyś widziała.

- Myślimy podobnie. Czy cieszyłaś się tego rodzaju wolnością w Ameryce?

- O tak. W domu moje życie wydawało się o wiele prostsze. Tam było niewiele rzeczy, których nie mogłabym zrobić, gdybym miała na to ochotę.

- Nie znajdziesz takiej swobody w Anglii. Towarzystwo ma zdecydowane poglądy na to, co przystoi młodym damom.

- Już to odkryłam. Nigdy w życiu nie słyszałam tylu zasad. To dość nużące, jeśli chcesz znać moje zdanie.

- Powiedz mi więc, co zostawiłaś za sobą?

Do pokoju, w którym się znaleźli, docierały odległe dźwięki małej orkiestry. Kołysząc się w takt muzyki, myślała o wszystkim, do czego przywykła. Mój Boże, życie na plantacji było takie inne. Od czego tu zacząć? Zrobiła kilka kroków i zatrzymała się przed obrazem, który uprzednio przykuł jej uwagę. Tym razem wydawała się zdumiona nie mniej niż przedtem. Niemal zupełnie nadzy, mężczyzna i kobieta, siedzieli na grzbiecie czarnego ruma-ka, zajęci, no cóż, czynnością, która wyglądała dość podejrzanie i była chyba niemożliwa do wykonania. W każdym razie jej zdawała się niemożliwa, a conajmniej nieprawdopodobna. Odwróciła się i rzuciła pierwszą myśl, jaka jej przyszła do głowy.

- Każdego ranka jeździłam na Herkulesie. - Lord Badrick uniósł jedną brew. - To mój koń - dodała czym prędzej. Poczowała falę gorąca i wiedziała, że policzki zapłonęły jej rumieńcem. Niemądra dziewczyna. W myśli skarciła się za głupawą reakcję. Mężczyzna nie miał pojęcia, co mogła mieć na myśli. Kiedy dostrzegła błysk rozbawienia w jego ciemnych oczach, szybko zmieniła temat. - Czasem odbywaliśmy gonitwy, ale rzadko komuś udawało się mnie prześcignąć. Herkules był zbyt szybki. Wieczorami niekiedy grywałam w pokera z Timothy i Teddym, naszymi sąsiadami. Nauczyli mnie nawet oszukiwać. - Czemu to powiedziała? - To nie znaczy, że zawsze to robiłam, czy chciałam, nie myśl sobie. A w upalne dni łowiłam ryby z Tobiasem i czasami całą gromadą pływaliśmy w rzece za naszym domem. - Poruszała ustami jak w transie, a słowa płynęły szybciej niż Whiskey Creek po ulewnym deszczu. Nie była w stanie powstrzymać potoku wymowy ani przestać skubać koronki przy rękawie sukni. Przerwała na moment, dając mu możliwość powiedzenia czegoś lub zadania pytania, ale kiedy milczał, uznała, że chce usłyszeć więcej. W końcu przecież to on ją o to poprosił, prawda? - Moja niania nie uznawała boksu, mówiła, że to nie jest sport dla dziewczyny, ale do tej pory nauczyłam się niewielu rzeczy, które okazałyby się równie przydatne jak boks.

Książę otworzył usta, jakby miał zamiar coś powiedzieć, ale zamknął je z powrotem. Patrząc w swoją szklankę, pokręcił głową.

- Mówisz poważnie?

Nie mogła nie dosłyszeć niedowierzania w jego głosie.

- Oczywiście, że tak. Czemu miałabym wymyślać coś takiego? Kochałam mój dom, moje życie.

- Co zatem sprowadziło cię do Anglii?

Był najwyraźniej skonsternowany. Phoebe zastanawiała się, czy nie skłamać. Jednak już w dzieciństwie nauczyła się, że czekanie tylko opóźniłoby to, co nieuniknione. Lord Badrick, obracając się w towarzystwie, sam odkryłby prawdę.

- Jestem tu, żeby znaleźć męża.

Blask w jego oczach zgasł. Na ten widok powiedziała obronnym tonem:

- Widzę, że cię zaszokowałam, choć nie wiem, dlaczego. Wszyscy wiedzą że sezon jest po to, żeby swatać młode kobiety z odpowiednimi mężczyznami.

- Czyny i słowa są tak różne jak kreda i ser. Niewiele kobiet otwarcie mówi o tych sprawach.

- Czyli co robią? Kłamią? - Wpatrywał się w nią dodała więc zmieszana: - W każdym razie to, co ja bym wołała, ma niewielkie znaczenie. Nie mam wyboru.

Przełknął resztę swojej brandy jednym haustem i celowo głośno odstawił szklankę na stół, koło niej.

- Zawsze jest jakiś wybór, panno Rafferty.

Wyprostowanie pleców, sztywne ściągnięcie szerokich ramion, sposób, w jaki poprawnie zwrócił się do niej, używając jej nazwiska, wszystko to było nieomylną oznaką że się wycofuje. Po prostu mężczyzna, pomyślała, przerażony wzmianką o małżeństwie.

- Może dla mężczyzn. Dla kobiet...

Lord Badrick nagle spojrział w kierunku drzwi i chwyciwszy ją za rękę, pociągnął w najciemniejszy kąt wnęki za drewnianym parawanem. Przyłożył jej palec do ust.

- Sza...

- Puść mnie.

Phoebe, chcąc się wyrwać z uchwytu księcia, zerknęła w bok i zobaczyła, że otwierają się drzwi do gabinetu. Mężczyzna i kobieta wślizgnęli się za próg i oparli się o ścianę, padli sobie w objęcia, zanim drzwi zdążyły się zamknąć. Phoebe nie potrzebowała dodatkowego wyjaśnienia.

Księżę wydawał się poirytowany.

- Ktoś chyba zamierza zawłaszczyć sobie nasz azyl. Rób to, co ja - szepnął. Powiedziawszy to, opadł na kolana. Phoebe złapała go za łokieć.

- Wybacz, wasza łaskawość, ale co ty właściwie wyprawiasz?

- Oszczędzam niepotrzebnego zażenowania wszystkim zainteresowanym i ratuję twoją cenną reputację.

- Nie możemy zakaszczyć czy coś w tym rodzaju? Może sobie pójdą.

- Widzę, że musisz się jeszcze wiele nauczyć o obyczajach londyńskiego towarzystwa. Raczej zażądaliby, żebyśmy się ujawnili. Nie chciałbym niweczyć twoich szans na zrobienie dobrej partii. Musimy przeczołgać się za kotarą na taras.

- Na pewno nas zobaczą. Wyjrzał ponad jej ramieniem.

- To mało prawdopodobne.

Phoebe, zaciekawiona, spojrzała w tę samą stronę. Kobieta, odwrócona plecami do wnęki, stała przed mężczyzną siedzącym teraz na szezlongu. On przywarł głową do jej łona.

- Cokolwiek on...

Lord Badrick wprost siłą ściągnął ją na kolana.

- Nie teraz.

Niespełna dwa metry parkietu dzieliło ją od purpurowych, aksamitnych kotar. Serce tłukło się w niej dzikim rytmem. Na uchu czuła ciepło jego oddechu, co, rzecz przedziwna, wprawiało jej serce w jeszcze szybsze trzepotanie.

- Wybacz, wasza łaskawość, ale wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli zostaniemy tu, gdzie jesteśmy.

Niecierpliwym ruchem głowy pokazał, że uważa tę sugestię za niedorzeczność.

- Jak sobie życzysz. Ja jednak nie zamierzam zostawać tu i być świadkiem wydarzeń zasługujących na prywatność.

Ruszył w kierunku tarasu, a kiedy dotarł do ciężkiej kotary, wślizgnął się za nią.

Phoebe, siedząc na piętach, odczekała chwilę i zdecydowała, że jednak lepiej będzie pójść w jego ślady. Kiedy wpełzła za kotarę, Badrick chwycił mosiężną gałkę w drzwiach. Nie tracąc czasu, pomógł jej wstać, po czym wypchnął ją na zewnątrz. Na szczęście na tarasie nie spotkali nikogo.

Trzymając Phoebe za przegub dłoni, pociągnął ją w dół, po kamiennych stopniach, za żywopłot z wiecznie zielonych krzewów. W pośpiechu zgubiła pantofelek, ale lord Badrick odnalazł go i pospieszył za nią do ogrodu.

Chłodne nocne powietrze przesycone było wonią róż. Plusk wody z pobliskiej fontanny towarzyszył szybkim, namiętym trelom słowiczym. Niewielkie pochodnie, w których światło cienie uciekinierów z gabinetu Wymana wydawały się zniekształcone, oświetlały labirynt kamiennych ścieżek w ogrodzie.

- Myślę, że jesteśmy już wystarczająco daleko - powiedział książę, rozejrzawszy się dokładniej.

Phoebe zachichotała.

- Och. Jestem twoją dłużniczką, lordzie Badrick. Nie ubawiłam się tak od miesiący.

Wsparłszy prawą pięść na biodrze, zakołysał pantofelkiem trzymanym w palcach drugiej dłoni. Najwyraźniej rozbawiony jej reakcją spytał:

- Nie boisz się?

- Wielkie nieba, nie - odparła. - Wybacz. A powinnam?

Zacisnął wargi i poprowadził ją jeszcze dalej w głąb ogrodu. Znów znalazła się z tym mężczyzną w mroku. Stał na tyle blisko, że czuła dłonią materiał jego fraka, słyszała, jak gwałtownie zaczerpnął powietrza. Gardło miała ściśnięte i zdumiało ją własne pragnienie, by paść mu w ramiona. Kiedy odchrząknął, aż odskoczyła.

Weiskając jej w dłoń pantofelek, odezwał się:

- Mam nadzieję, że dzisiejsza przygoda dała ci niezbędną, jak się wydaje, nauczkę.

Jego słowa brzmiały cierpko i bezosobowo.

- Cóż to była za nauczka? - spytała niespokojnie, zakładając pantofelek.

- Nie widzisz tego, że gdybyśmy zostali przyłapani, zrujnowałoby to twoją reputację?

Phoebe okrążyła posąg Pegaza z białego marmuru stojący w załomie żywopłotu, marząc, by mityczny stwór odleciał, zabierając ze sobą jej kłopoty. Nie do zniesienia była myśl o powrocie na bal, do ciotki i konieczność wypełnienia stojącego przed nią zadania. Niestety, nie miała wielkiego wyboru. Z rezygnacją poddając się losowi, westchnęła.

- Nie jestem pewna, czy w ogóle ma to jakieś znaczenie - powiedziała cicho. - A co z twoją opinią?

- Moja niewiele by ucierpiała.

- Kolejna zasada stworzona przez mężczyzn na ich korzyść.

- Nie sądzę. Raczej dla ochrony przed mężczyznami mojego pokroju, damy nie zwiedzają na własną rękę cudzych domów, a zwłaszcza dotyczy to panien na wydaniu. Nie powinny też spacerować po ogrodach z nieznajomymi. Niewiele kobiet uznałoby takie okoliczności za zabawne i mogę dodać, że te zasady są przyjęte dla ich własnego dobra.

- Albo tak się wydaje mężczyznom - mruknęła. - Cóż, tak się składa, że nie najgorzej umiem zadbać o siebie, ale doceniam twoją troskę.

Zbliżył się do niej i unieruchomił ją pomiędzy sobą a posągiem. Chłód marmuru za plecami i gorąco bijące od mężczyzny stanowiły niepokojącą kombinację. Łagodnie ujął ją pod brodę i przechylił jej głowę do tyłu, wpatrując się w nią z natężeniem tymi zdumiewającymi oczami. Teraz stwierdziła, że mają barwę kawy z Jamajki. Minęło kilka chwil bez tchu.

W końcu to on przerwał milczenie:

- Czas wracać.

Poczuła się dziwnie zawiedziona, kiedy się cofnął. Phoebe, odzyskawszy możliwość ruchu, w milczeniu podążyła za księciem, podziwiając grę mięśni jego nóg w dobrze skrojonych spodniach i wdzięk, z jakim się poruszał.

Przystanęli pod wielkim wiązem. Z okien padało jasne światło, na ogród kładły się cienie. Kamienne stopnie prowadzące do rezydencji z czerwonej cegły zdawały się ją przyzywać, nakazując jej powrót do obowiązków.

Lord Badrick wyjął z kieszeni fraka cygaro i potarł zapałkę. Niedbale oparł się o pień drzewa.

- Jeśli ktoś zapyta, powiedz, że wyszłaś zaczerpnąć świeżego powietrza. Wszystko będzie dobrze.

- A ty? - spytała.

- Niebawem przyjdę. Lepiej będzie dla ciebie, jeśli nikt nie zobaczy cię w moim towarzystwie. Zaufaj mi w tej sprawie. Idź.

Ramiona jej drżały, w umyśle kłębiły się rozmaite myśli. Lord Badrick stwierdził, że nie jest z nikim związany. Był przystojny i czarujący, i bez względu na tajemnicze uwagi na temat swojego charakteru, pociągał ją jak żaden inny mężczyzna. Jej oddech był szybki, urywany.

- Przypuszczam, że uznasz to za niezwykłą śmiałość, ale odbywam przejażdżkę w Hyde Parku codziennie o siódmej rano. To na wypadek, gdybyś znalazł się poza domem tak wcześnie.

- Będę o tym pamiętał. - Uniósł jej dłoń do ust i delikatnie ucałował wewnętrzną stronę przegubu. - Do widzenia, Phoebe Rafferty. Powodzenia w polowaniu.

Był to cudowny zwrot, który dał Phoebe nadzieję. Jest łowczynią jak mityczna Diana, kobieta wojowniczką, która z godnością i dumą panuje nad swoim przeznaczeniem. Ruszyła w kierunku domu, choć szła z wysiłkiem, jednak zdecydowanie. Inna myśl, nieco kapryśna, klarowała się w jej umyśle.

Mrzonka czy fakt, a męża znaleźć musiała. I to szybko. Na razie, w pierwszym tygodniu pobytu w Anglii, poznała wielu mężczyzn, ale żaden z nich nie pociągał jej w najmniejszym stopniu.

Pomysł chodzący jej po głowie wydawał się irracjonalny i nierozsądny. Z drugiej strony, położenie, w jakim się znalazła, również miało te wszystkie cechy. Uznawszy, że nie ma nic do stracenia, z uśmiechem podbiegła z powrotem do księcia.

- Być może, lordzie Badrick, upoluję ciebie.

Zdumiony Stephen mógłby przysiąc, że dziewczyna chichotała, uciekając. Przemknęła przez trawnik i wbiegła po schodach. U ich szczytu przystanęła, odwróciła się i złożyła wspaniały dworski ukłon.

Zaklął. Jak to się stało, że został kandydatem na męża? Chciał kochanki, a nie choleryjnej żony. Po zabiciu dwóch żon nie miał zamiaru jeszcze raz wstępować w związek małżeński. Linia Badricków - tak samo jak niesławna klątwa - zginie wraz z nim.

Rzucił cygaro na ziemię i zdeptał je obcasem. Postanowiwszy, że najlepiej będzie dowiedzieć się czegoś więcej o pannie Phoebe Rafferty, pomaszerował dziarskim krokiem w kierunku domu, na poszukiwanie Winstona. Był to dyplomata i bliski przyjaciel Stephena, który mógł coś wiedzieć na jej temat.

Znalazł przyjaciela w rogu sali, opartego o marmurową kolumnę. Mężczyzna miał bardzo szerokie ramiona i był dobrze zbudowany. Teraz wyglądał, jakby tłumiał irytację.

Zaszedłszy od tyłu, Stephen wsparł się na ramieniu przyjaciela.

- Wyglądasz upiornie - powiedział. - Ostrzegałem cię, że miłość i małżeństwo prowadzą do nieszczęścia.

Wyraz twarzy Winstona stał się jeszcze bardziej ponury.

- Hm. Poczuję się o wiele szczęśliwszy, kiedy Wyman wreszcie wzniesie toast za naszą nieustającą szczęśliwość. Wtedy będę mógł wyciągnąć Elizabeth do domu. Gdzieś ty, u diabła, się podziewał?

- Tu i ówdzie.

Stephen przyjął pozę, która była lustrzanym odbiciem pozy Winstona, i oparł się z drugiej strony kolumny, krzyżując stopy w kostkach.

- Inaczej mówiąc, znalazłeś sobie kryjówkę. Nie mogę cię za to winić. Plotki ciągnące się za tobą nie przestają mnie zadziwiać. Podśledzałem, jak lady Tisdale mówiła do lorda Pelthama, że wokół Badrick Manor zatykasz na słupach zwierzęce czaszki, żeby odstraszać Cyganów. Czy wiedziałeś, że sypiasz też z wieńcami cebuli i koperku na szyi? Chwała Bogu, nie obcinasz już głów chłopcom o ciemnej cerze, z czarnymi włosami i oczami. - Winston zmarszczył brwi, a przez twarz przemknął mu cień dezaprobaty. - Mój Boże, czy Elizabeth zamierza tańczyć z tą ropuchą?

Stephen spojrzał w ślad za wzrokiem przyjaciela, by zobaczyć, o kogo mu chodzi. Owszem, lord Hadlin zdecydowanie zaliczał się do kategorii płazów. Słuchając nieuważnie

gadaniny Winstona, Stephen wśród tłumu wypełniającego salę szukał choćby śladu panny Rafferty. Nigdzie nie było jej widać.

- Przepraszam, że namówiłem cię na ten wieczór - powiedział Winston.

- Hm. - Gdzie, u licha, znikła ta dziewczyna?

Winston poklepał Stephena po ramieniu, spoglądając to na przyjaciela, to na swoją żonę.

- Ta kolumna podtrzymuje rozmowę lepiej od ciebie. Jesteś czymś bardzo zajęty. Co się dzieje?

Ponieważ Stephen nie był jeszcze gotowy do udzielenia wyczerpujących wyjaśnień, kilkakrotnie tylko przyglądał wąsy.

- Słyszałem cię, Winstonie. Przepraszales. Nic się nie stało. Choć wolę moją prywatność, już dawno przywykłem do tego, że jestem obserwowany przez towarzystwo. Nigdy jak dotąd nie powstrzymało mnie ono przed robieniem tego, co chcę i z pewnością nie powstrzyma mnie w przyszłości.

- Jeśli zostaniesz dłużej w Londynie, spekulacje ucichną. Ludzie uwielbiają tajemnice.

- Możliwe. Znasz może przypadkiem Phoebe Rafferty? - Stephen ochoczo zmienił temat.

Brwi Winstona podjechały do góry, a jego niebieskie oczy błysnęły domyślnie.

- Dziedziczkę?

A to dopiero niespodzianka.

- Co masz na myśli, mówiąc „dziedziczka”? - spytał Stephen.

- No wiesz, bogactwo, dobra, niezwykle interesujący posag. Czemu pytasz?

- Poznałeś ją?

- Niezupełnie. Elizabeth słyszała pogłoski o damie nowo przybyłej do miasta, z dziedzictwem w ofercie. A znasz Elizabeth. Dziś wieczorem rozmawiała z Charity Goodliffe. Najwyraźniej ta dziewczyna z Ameryki przyjechała w zeszłym tygodniu. Hildegard Goodliffe jest jej ciotką.

Niestety, Stephen poznał lady Goodliffe przy okazji interesów, jakie prowadził kiedyś z jej nieżyjącym już mężem. Nie potrafił opanować skrzywienia warg na to wspomnienie.

- Bardzo ubolewam.

- Jestem dokładnie tego samego zdania. Znasz tę Amerykankę?

- Co jeszcze Elizabeth wydobyła z Charity podczas tej rozmowy? Winston odepchnął się barkiem od kolumny i wziął się pod boki.

- Odmawiam odpowiedzi na kolejne pytanie, zanim nie powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi.

Stephen nie chciał nikogo wtajemniczać w swoje plany, ale potrzebował odpowiedzi. Wydymając wargi, starannie dobierał słowa.

- Spotkałem pannę Rafferty dziś wieczorem i po prostu chcę dowiedzieć się czegoś więcej o tej dziewczynie.

- Doprawdy?

Winston pragnął, aby przyjaciel znowu się ożenił, słysząc więc jego wyjaśnienie, przybrał pełen gorliwości wyraz twarzy. Stephen skarcił go wzrokiem.

- Nie doszukuj się czegoś, czego nie ma.

- Spokojnie, przyjacielu. Nie biegnę jeszcze po pastora. - Winston poruszył brwiami. - Zaraz. Ja musiałem spotkać dziewczynę pierwszy. Nie widziałem, żebyś z kimś rozmawiał, a zniknąłeś prawie natychmiast po przyjściu. Gdzie się z nią widziałeś?

- W prywatnym gabinecie Wymana.

- Oczywiście żartujesz.

Kiedy Stephen pokręcił głową, Winston otworzył usta ze zdumienia. Reakcja przyjaciela prawie doprowadziła Stephena do śmiechu. Prawie.

- Muszę przyznać, że teraz naprawdę udało ci się mnie zaciekawić. Co, u diabła, ona robiła w bibliotece Wymana? A skoro o tym mowa, to co ty robiłeś w bibliotece Wymana? Mój Boże, podobają mi się nagie kobiety, tak samo jak każdemu mężczyźnie, ale uważam ten pokój za przesadnie...

- Obsceniczny? - podpowiedział Stephen.

- Właśnie.

- To było jedyne pomieszczenie, w którym miałem nadzieję znaleźć spokój, dopóki wy nie wypełnicie swoich obowiązków towarzyskich. Najwyraźniej ona miała ten sam zamiar, zabłądziła i znalazła się w gabinecie przez przypadek.

- Nic dziwnego, że chcesz się dowiedzieć czegoś więcej o tej dziewczynie. - Winston z zachwytem zatarł ręce. - Musimy porozmawiać z Elizabeth.

Stephen chwycił przyjaciela za ramię, nie chciał, by cała sytuacja wymknęła się spod kontroli.

- Posłuchaj mnie uważnie. Spotkałem tę dziewczynę. Po prostu rozmawialiśmy. Nic innego się nie wydarzyło. Złożyła dość dziwaczne oświadczenie i chciałem się upewnić co do jej rzeczywistej sytuacji. Nic więcej. Rozumiesz?

Winston roześmiał się głośno. Stephen znów spojrział na niego gniewnie, kiedy lordowie stojący nieopodal odwrócili się w ich stronę. Skinął im głową na przywitanie i burknął do Winstona:

- Na Boga, Winstonie, ostrzegam cię. Twoja ostatnia próba wyswatania mnie omal mnie nie zabiła. Wiem, że według ciebie powinienem mieć następną żonę i syna albo dwóch. Ja jestem innego zdania. Tytuł umrze wraz ze mną.

- Ta klątwa to stek bzdur. Wiesz o tym.

- To nieistotne, ale dwukrotnie już, z miłością i bez, próbowałem małżeństwa. Uczę się na swoich błędach i nie mam zamiaru tego powtarzać. Nigdy. - Winston energicznie masował się po brodzie, zastanawiając się, czy porzucić temat. - Winstonie, ja jestem zadowolony - powiedział Stephen. - I niech tak zostanie.

Rozglądając się po sali balowej z wyrazem zdecydowania na twarzy, Winston skinął głową.

- Dobrze. Uratujmy Elizabeth. Czuje się zobowiązana zatańczyć z każdym typem, który tylko ją o to poprosi. Ten koszmarny Lemmer czeka na swoją kolej.

Kiedy Winston wspomniał o bracie jego pierwszej żony, Stephen stłumił pogardliwy uśmiech. Nie cierpiał tego człowieka. Choć z pozoru wydawał się dżentelmenem bez skazy, był próżną kreaturą polującą na tytuł. Upodobania erotyczne Lemmera skłaniały się w kierunku, który Stephen uważał za zboczenie. Nienawidzili się nawzajem od śmierci Emily. Sądząc po szybkości, z jaką Winston ruszył w stronę żony, jego odczucia były takie same.

Przejście przez salę balową i znalezienie się u boku Elizabeth zajęło im zaledwie chwilę. Większość ludzi szybko usuwała się z drogi zwałistemu Winstonowi.

Elizabeth, drobna kobietka o sercu wielkim jak jej małżonek, rozpromieniła się na widok nadciągającego Winstona. Jego cielecy zachwyty dorównywał jej uwielbieniu. Wielkie nieba, pomyślał Stephen, miłość zmienia ludzi w idiotów. Niezależnie od swojego zdania na temat małżeństwa, Stephen pragnął dla przyjaciół jedynie szczęścia.

Winston wepchnął się między Lemmera a Elizabeth, a ta manifestacja posiadania była czytelna nawet dla najmniej bystrego umysłu. Stephen osłaniał Elizabeth z drugiej strony. W oczach Lemmera na moment błysnęła irytacja, ale tylko skinął głową na powitanie.

Winston stanął twarzą w twarz z Lemmerem.

- Wychodziłeś?

Elizabeth spiorunowała męża wzrokiem, na co on tylko wzruszył ramionami.

Wyciągając rękę do Elizabeth, Lemmer oznajmił:

- Prawdę mówiąc, twoja żona i ja mieliśmy zatańczyć.

- Wydaje mi się, że jest trochę zgrzana - zaproponował Winston. - Nie uważasz, Stephenie?

Stephen odchrząknął, powstrzymując się, żeby nie parsknąć śmiechem.

- Dla bezpieczeństwa damy lepiej będzie, jeśli odpocznie przy Winstonie i przy mnie.

Prawie słyszał, jak Lemmer zazgrzytał zębami, otrzymawszy odprawę.

- Co za niespodzianka widzieć tu ciebie, Badrick - powiedział w końcu Lemmer. - Myślałem, że Londyn jest dla ciebie zanadto publicznym miejscem. Tyle się tu mówi o Cyganach, morderstwach, martwych żonach i tym wszystkim.

- Wielu ludzi niemających nic do roboty trawi niekończące się godziny na ćwiczeniu języka kosztem innych. Niewiele mnie oni obchodzą. Kto jak kto, ale ty powinieś to wiedzieć najlepiej.

- Ach tak. Niewzruszony książę Badrick. Jesteś tu, bo poszukujesz kolejnej kobiety chętnej zaryzykować przyjęcie twojego tytułu książęcego?

- Raczej nie.

Z fałszywą szczerością Lemmer położył sobie dłoń na sercu.

- Wybacz niedyskrecję. Zapomniałem. Z twoją reputacją znalezienie żony byłoby odrobinę utrudnione. I jeszcze te dwie martwe żony.

Nie dając Lemmerowi satysfakcji, Stephen strzepnął zielony listek, który zauważył na swoim rękawie.

- Reputacja to rzecz ulotna. Może łatwo przepaść, kiedy pewne informacje, jakie dzentelmeni zachowują w tajemnicy, trafią w niepowołane ręce. Ale zapomniałem się. To nie miejsce, żeby rozmawiać o takich rzeczach. Zgadzasz się ze mną prawda?

- Żegnam - powiedział Lemmer z kwaśną miną i rumieńcem na policzkach. Zwrócił się do Elizabeth: - Dobranoc, lady Payley.

Winston wpatrywał się w Stephena.

- O co tu chodzi?

- Ten człowiek uprzykrza mi życie, odkąd poślubiłem Emily. Jej śmierć nic tu nie zmieniła. Przynajmniej pozbyliśmy się jego towarzystwa. - Chwyciwszy dłoń Elizabeth w swoje, Stephen wyszeptał: - A co do ciebie, moja droga, to nadal możemy uciec na koniec świata i wiecznie żyć tam szczęśliwie.

Z lekko przechyloną głową i iskierkami rozbawienia w orzechowych oczach spoglądała to na jednego, to na drugiego mężczyznę.

- Sprawa warta zastanowienia. Winston wyrwał Stephenowi jej dłoń.

- Lepiej powiedz nie, kochanie. Inaczej będę musiał go zabić.

- Nie to miałam na myśli. - Przyglądała się Stephenowi. - Po prostu ja będę musiała znaleźć mu żonę.

Oczy Winstona błysnęły psotnie. Pomasował się po brodzie.

- W gruncie rzeczy... Stephen chrząknął.

- Winstonie.

To jedno słowo zabrzmiało tak ostrzegawczo, że nawet idiota by zrozumiał.

- Co takiego? - spytała Elizabeth.

- Nic - powiedział Stephen.

- Znam cię, odkąd skończyłam cztery lata - przypomniała Elizabeth. - Rozpoznaję ten ton.

Stephen zastanawiał się, czy popełnił błąd, chcąc zasięgnąć informacji u Elizabeth. Winston potrzebował sprzymierzeńca w swoich dotyczących przyjaciela planach małżeńskich.

Rozprostowała ramiona.

- Pięć minut sam na sam ze mną i Winston wyjawি wszystko. Stephen poddał się, wiedząc, że nic na to nie może poradzić.

- Co wiesz o panie Rafferty?

- O tej Amerykance?

- Tak.

Winston pochylił się nad jej ramieniem i szeptał:

- Spotkał ją dziś wieczorem. Nic się nie wydarzyło. On nie chce jej za żonę, ponieważ w ogóle nie chce żony. Mamy się nie wtrącać. Dziewczyna złożyła dość dziwaczne oświadczenie i on chciałby się tylko upewnić co do jej rzeczywistej sytuacji.

Stephen dostrzegł, jak Winston przybiera nieprzenikniony wyraz twarzy, z którego zapewne niejednokrotnie robił użytek, negocjując sojusze.

- Ja tylko powtarzam to, co mi powiedziałaś. - Winston mrugnął do Elizabeth.

Rzucając pełne domysłów spojrzenie na Stephena, Elizabeth powiedziała:

- Rozumiem. Widziałam tę dziewczynę z daleka. Jest prześliczna. Stephen odwrócił się z wystudiowaną nonszalancją do wirujących par.

- Przypuszczam - powiedział. Elizabeth, pokonana, poprawiła rękawiczkę.

- Widzę, że nie masz ochoty niczego wyjawić. - Przerwała. - Przypuszczam więc, że ja muszę. Ona potrzebuje pieniędzy, choć sama też ma co rzucić na stół. Ten, za kogo wyjdzie, odziedziczy tytuł Marsdenów.

Ach, nic dziwnego, że dziewczyna nie wyglądała na uszczęśliwioną swoim losem, pomyślał Stephen. Wydawała się zdecydowana zrobić to, co konieczne. Niestety, Stephen nie miał zamiaru wstępować w związek małżeński, żeby uratować dziewczynę przed przytułkiem dla nędzarzy. Małżeństwo po prostu nie wchodziło w grę.

- Stephen - dodała Elizabeth.

- Tak? - powiedział z roztargnieniem.

- Jestem przekonana, że sir Lemmer ma zamiar ubiegać się o jej rękę. Stephen poczuł, że sztywnieje. Stłumił w sobie chęć natychmiastowego odnalezienia Lemmera, żeby siłą wyperswadować mu jego zainteresowanie.

- Po moim trupie.

- Rozumiem z tego, że chcesz znów zobaczyć się z panną Rafferty? - spytał Winston.

Obraz uśmiechniętej Phoebe, widok czarującego dołeczka w jej lewym policzku, zawładnął myślami Stephena. Kremowej barwy ciało nad stanikiem sukni i iskierki w oczach, kiedy się śmiała, dopełniały wizerunku. Doprawdy, była rzadkim skarbem. Uśmiechnął się do zaciekawionych Winstona i Elizabeth.

- Wierzę, że tak się stanie.



Stephen mrużył oczy w jasnym blasku słońca wspinającego się nad wierzchołki drzew Hyde Parku, zastanawiając się po raz kolejny, czy postradał zmysły. Świt był nieludzką porą na dokonywanie tego rodzaju ocen. Przez dwa dni ze zwykłym sobie chłodnym pragmatyzmem rozważał wszelkie aspekty swojego planu, by w końcu zdecydować, że jest sensowny. Nie miał zamiaru pozwolić, aby Phoebe wyślizgnęła mu się z rąk i wpadła w ramiona innego mężczyzny, a zwłaszcza kogoś takiego jak Lemmer.

Kawaler, czarny ogier Stephena, gnał piaszczystą Rotten Row, podczas gdy on wypatrywał karety czy powoziku, jakiegokolwiek pojazdu, którym Amerykanka mogłaby odbywać przejażdżkę. Wokół widział tylko jadących wierzchem stajennych i ich panów. Grzmot kopyt zaalarmował go na moment przedtem, zanim wielka dereszowata klacz zatrzymała się gwałtownie obok niego i wspięła na tylne nogi. Jej przednie kopyta opadły w sam środek kałuży, rozbryzgując błoto. Jeździec zaśmiał się donośnie, a dźwięk ten był tak ożywczy jak rześkie poranne powietrze. Stephen nie mógł nie rozpoznać tego głosu.

Odwrócił się w siodle, żeby upewnić się, czy się nie myli. Widok pochylonej nad końską szyją i głaszczącej ją z wielką czułością Phoebe Rafferty zbił go z tropu. Piekielna kobieta siedziała po męsku na wielkiej klaczy kasztanowato - białej maści. Bez siodła. Mało

tego, była ubrana po męsku: miała na sobie bryczesy. Wełniana czapka zsunięta na czoło kryła pyszne bogactwo rudych włosów, które widział na balu. Jej oczy, o ciemnozielonej barwie bujnej koniczyny, błyskały figlarnie. Na pierwszy rzut oka przypominała chłopca stajennego.

Stephen rozejrzał się za osobą towarzyszącą jej dla przyzwoitości. Kiedy nikogo nie ujrzał, poczuł silny impuls, by tak jak tamtej nocy na balu u Wymana, powiedzieć Phoebe, że nie ma za grosz rozsądku. Jednak pouczanie kobiety na moment przed złożeniem jej propozycji, by została jego kochanką zakrawało na niedorzeczność. Strzepnął grudkę błota ze swojej rękawiczki.

- Zazwyczaj podjeżdża się do innego jeźdźca z większą ostrożnością. Phoebe zerknęła na liczne plamy znaczące jego spodnie i buty i objęła swoją klacz za szyję.

- Wybacz Błyskawicy. To dlatego, że od wielu dni nie jeździliśmy.

- Miałem na myśli ciebie.

Phoebe odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się, wprawiając przy tym swojego wierzchowca w nerwowy taniec. Jak doświadczony jeździec, szybko opanowała konia samym ściśnięciem udami. Stephen był ciekaw, czy reagowałaby z równym zapamiętaniem, gdyby dosiadała jego. Natychmiast pożałował odruchowego skojarzenia, wiedząc, że podniecenie, jakie go ogarnęło, szybko nie ustąpi. Zmuszając swoje nieposłuszne myśli do powrotu do teraźniejszości, nakazał Kawalerowi iść stępa.

Błyskawica ruszyła za nim spokojnym krokiem. Stephen przypuszczał, że kobieta spodziewa się błażej i frywolnej pogawędki, a on niecierpliwił się, żeby złożyć jej propozycję. Zastanawiał się nad tematem stosownym dla kobiecego umysłu. Ptaki głośno ćwierkały w pobliskich wiecznie zielonych krzewach. Psy węszyły za śniadaniem, szczekając od czasu do czasu na wiewiórkę skrzeczącą w gałęziach dębu. Łagodny wiaterek unosił zapach ziemi i rosy.

- Uroczy poranek na przejażdżkę - odezwał się Stephen. - Nie pamiętam, kiedy ostatnio witałem nowy dzień w ten sposób. Błyskawica wygląda na dobrze utrzymaną.

- Och, dziękuję, wasza łaskawość - powiedziała z dumą. - Ćwiczę ją. Pamiętając, co koń pokazał wcześniej, spojrzał na nią z powątpiewaniem.

Phoebe roześmiała się beztrąsko.

- To niesprawiedliwe. Herkules, mój koń tam, w domu, dałby się zajeździć do cna, gdyby zaszła taka potrzeba. Błyskawica należała do mojego wuja i była słabo ujeżdżona. Jestem przekonana, że w swoim czasie nauczy się wszystkiego.

- Zatem moje uznanie dla twoich umiejętności. Trudno zaskarbić sobie miłość i posłuszeństwo konia. Gdzie teraz jest Herkules?

- Został uznany za część majątku mojego ojca i sprzedany.

Spuściła wzrok na koński kark, zdążył jednak dostrzec smutek w jej oczach. Westchnęła i powiedziała:

- To miła niespodzianka. Naprawdę nie oczekiwałam, że zobaczę cię tak szybko.

- Zdaje się, że oboje się pomyliliśmy. - Patrzyła na niego wyczekująco, dodał więc: - Kiedy powiedziałeś, że odbywasz przejażdżki w Hyde Parku co rano, wyobrażałem sobie coś zupełnie innego.

Idąc za jego wzrokiem, spojrzała na swój męski strój.

- Jeździłam konno co rano, kiedy jeszcze nie sięgałam wzrostem schodków naszego ganku. Wiem, że to zuchwałe pogwałcenie kolejnej z waszych angielskich zasad, ale nie umiem się przyzwyczaić do damskich siodeł. Te wszystkie ozdóbki, które kobiety wkładają na siebie do jazdy są niepraktyczne. Uważasz moje zachowanie za szokujące?

- Szokujące to niewłaściwe słowo. Może niespodziewane. Poza tym, jestem ostatnim, kto mógłby rzucić kamieniem. Ciekawi mnie tylko, dlaczego przestrzegasz zasad na tyle, żeby ubierać się jak stajenny?

- O wielkie nieba! Gdybym została nakryta, moja ciotka zemdłałaby na śmierć, albo jeszcze bardziej i ocknęłaby się tylko po to, żeby wygłosić dwugodzinny wykład na temat mojego braku przyzwoitości. Uważa mnie za łobuzicę bez klasy. Za kogoś gorszego. Dopóki się nie wyzwolę z jej domu, ukrywanie mojego zachowania wydaje się najłatwiejszym rozwiązaniem.

- Za kogoś gorszego? Jak to?

Zatrzymała konia i pokręciła głową wymachując rękami. Zrozumiał, że odgrywa swoją ciotkę. Dziewczyna wyraźnie miała smykałkę aktorską.

- Po pierwsze, pochodzenie mojego ojca, Irlandczyka, jest niewłaściwe - powiedziała, cedząc powoli wyrazy. - Stąd moje włosy są zbyt rude, moje oczy zbyt jasne. Mam się poruszać wolniej, bez takiego ożywienia, co jest prawdopodobnie niemożliwe, ponieważ moje nogi są za długie. Ale kiedy opanuję sztukę chodzenia, przyniesie mi to korzyść, gdyż wtedy mój nadmiernie wydatny biust będzie mniej zauważalny.

Zatrzymawszy się obok Phoebe, Stephen błędził wzrokiem po każdym z wymienionych fizycznych niedostatków, co nie było łatwe, ze względu na strój, jaki miała na sobie. Pamiętał ją w jedwabiach, jej rude loki błyszczące w świetle świec, i swoją przemożną

potrzebę wzięcia jej w ramiona. Byłaby idealną kochanką. Wziął ją pod brodę, zauważając delikatność alabastrowego ciała i zniżył głos niemalże z szacunkiem:

- Twoja ciotka jest albo zazdrosna, albo potrzebuje okularów.

Phoebe poczuła się tak, jakby jakaś ręka chwyciła ją za gardło, utrudniając przełknięcie śliny. Odchrząknęła i oblizała wargi.

- Czy już wspomniałam o moim wstrętnym nawyku mówienia tego, co myślę? - Jej głos zabrzmiał bardziej ochryple, akcent stał się wyraźniejszy.

- Wydaje mi się, że pamiętam coś takiego z tamtej nocy, ale w moim odczuciu takt jest sprawą, do której przykłada się nadmierną wagę. Przejdziemy się?

- Jak sobie życzysz.

W tej chwili jego największym marzeniem było poczuć każdy centymetr jej rozkosznego, drobnego ciała przy swoim, co nie było najbardziej rozważnym pomysłem, wzięwszy pod uwagę miejsce, w którym się znajdowali.

- Pomógłbym ci zsiąść, ale myślę, że wyglądałoby to osobliwie, gdybym zszedł swojego stajennego z konia.

Zboczywszy ze ścieżki, poszli w stronę grupy wiązków i klonów. Stephen przywiązał Kawalera do najbliższego konaru. Zauważył kępkę fiołków, narwał więc garść i czekał, przyglądając się ruchom Phoebe, zsuwającej się z siodła na ziemię. Naprawdę rozkosznie wyglądała od tyłu, a podziwianie tego widoku ułatwiały mu jej bryczesy. Zawsze uważał kobiece ciało za jedną z największych przyjemności i we wczesnej młodości oddawał się jej w nadmiarze. Teraz, starszy i mądrzejszy, nauczył się panować nad swoją żądzą i kontakty erotyczne ograniczał do posiadania kochanki lub rezygnował z nich. Niemniej jednak przemknął mu przez myśl niepowstrzymany obraz tych rozkosznych wypukłości na jego własnym łóżku, nagich i dostępnych jego i niczym więcej oczom. Nagle poczuł, że jego spodnie są ciaśniejsze, niżby sobie życzył.

Kiedy podeszła bliżej, podał jej kwiatki.

- „Fiołki słodsze od powiek Junony oczu czy Cytery tchnienia”. Przyjęła podarunek z uśmiechem.

- Szekspir. *Zimowa opowieść*.

- Znasz naszego szacownego dramaturga?

- Wydajesz się zaskoczony. Musisz wiedzieć, sir, że czytałam wszystkie jego dzieła.

Temperament i ciekawa rozmowa. Czas na próżną paplaninę minął. Przechadzał się w przód i w tył, energicznie klepiąc skórzanymi rękawiczkami o cholewę buta, podczas gdy Phoebe zamilkła na chwilę, głaszcząc szyję Błyskawicy. Jego propozycja zdecydowanie ma

sens. Musi wyłożyć swoje stanowisko jasno i precyzyjnie, żeby nie było nieporozumień. Czemu więc czuje się jak niegrzeczny uczeń, szykujący psotę?

- Wygląda na to, że słowa uwięzły ci w gardle - zauważyła Phoebe. - Ja zazwyczaj wyrzucam je z siebie.

Stephen przystanął pod wielkim krzewem laurowym i przyglądał się gilom walczącym o robaka. Phoebe miała rację. Czekać niczego nie osiągnie. Założył ręce do tyłu, stanął na rozstawionych nogach, jakby szykował się do wygłoszenia mowy w parlamencie, po czym przemówił spokojnie i zwięźle:

- Chcę, żebyś została moją kochanką.

Oczy Phoebe zrobiły się wielkie jak miśnieńskie talerze, a usta otworzyła tak szeroko, że mogłaby połknąć małego ptaka. Zamknęła usta, otworzyła je z powrotem i znów zamknęła.

- Chyba sprawiłem, że zaniemówiłaś.

- Wielkie nieba. Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie mów więc nic, dopóki wszystkiego nie wyjaśnię. Będziesz miała własny dom, odpowiednią służbę i godziwe miesięczne dochody. Dostaniesz powóz, jaki zechcesz, a także parę koni pod wierzch dla rozrywki. Niczego ci nie zabraknie.

Phoebe nie patrzyła na niego, całą uwagę skupiając na wodzach, które skręcała w dłoniach.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony - powiedziała zawstydzona, szeptem pozbawionym wcześniejszego entuzjazmu.

Wszystko szło nadzwyczaj dobrze. Kochana dziewczyna przytłoczona była jego hojnością. Prawdopodobnie nigdy nie otrzymała równie wspaniałej propozycji. Stephen nie mógł się doczekać jej reakcji, kiedy usłyszy do końca, co ma jej do zaoferowania.

- Jeśli uznamy, że chcemy się rozstać, zatrzymasz dom, służbę i wszystko, co dostałaś, będąc pod moją opieką. Zapewnię ci wysokie dochody, dopóki nie wyjdiesz za mąż lub nie znajdziesz innego protektora.

- A w zamian za to oczekiwałbyś ode mnie, żebym...

Obraz Phoebe w czerwonych jedwabkach, klęczącej u stóp jego ogromnego łoża i oczekującej jego przybycia, wywołał uśmiech Stephena. Chciałby całować każdy centymetr jej ciała, poczynając od małego pieprzyka pod prawym uchem. Zniżył głos do uwodzicielskiego pomruku:

- Żebyś była dla mnie, kiedy tylko zapragnę.

- Rozumiem.

Phoebe uważnie przyjrzała się Stephenowi, uważała, że jest przystojny i wystarczająco czarujący, żeby uwieść stajnię pełną kobiet. Wydawał jej się przesadnie dumny. Na litość boską, z tą uniesioną brodą i zarozumiałym uśmiechem przyklejonym do twarzy doprowadzał ją do furii, a zarazem intrygował. Jak mógł dojść do wniosku, że ona zechce zostać jego kochanką? Tupnęła lewą nogą i skręciła wodze w ciasny węzeł wokół palców.

- Prawie się nie znamy. Na jakiej podstawie uważasz, że taki związek w ogóle byłby możliwy?

- To bardzo proste. Pragnę cię.

Nie była pewna, jak ma zareagować na tę deklarację. Brzmiało to tak, jakby uważał, że ten jeden powód wystarczy, by ją przekonać. Phoebe wiedziała, na czym taki związek polega. Choć jej ojciec nigdy nie miał żadnej kochanki, wielu plantatorów brało sobie niewolnice. Niektóre szły chętnie, niektóre nie. W dzieciństwie była zaprzyjaźniona z kobietami we własnej posiadłości i słuchała ich rozmów. Niewolnice, niemądre na tyle, żeby zależało im na mężczyznach, wyczekiwały jak zagubione szczeniaki na ochłap poświęconego im czasu lub błyskotkę czy gesty potwierdzające ich wartość. Phoebe zadrżała na myśl o tym, że jej życie miałoby się sprowadzać do czekania na męski kaprys. Rozsądek nakazywał jej dosiąść konia i uciec. Ciekawość zwyciężyła. W końcu nigdy już mogła jej się nie trafić okazja zadania pytań, jakie chciała zadać.

- Czy, aby stać się czyjąś kochanką, nie trzeba mieć pewnego doświadczenia?

- Tego można z łatwością nauczyć.

Z uniesionym kącikiem warg wyglądał jak ktoś pewny swoich umiejętności. Poczula dziwne trzepotanie w żołądku. Bez wątpienia potrafiłby nauczyć kobietę wszystkiego. Szkoda, pomyślała. Potrzebowała męża, a nie opiekuna. Patrząc mu prosto w oczy, uśmiechnęła się przyjaźnie i powiedziała:

- Bardzo dziękuję za twoją hojną propozycję, ale odmawiam.

- Słucham?

- To, o co prosisz, jest zupełnie niemożliwe.

Nagle stanął koło niej, z rękoma wspartymi na biodrach.

- Jaką ty grę prowadzisz, Phoebe? Wyprostowała się, starając się wydać wyższa.

- Nie prowadzę żadnej gry.

- Czemu więc, u licha, dałaś mi odczuć, że jesteś zainteresowana moją propozycją?

- A dałam?

- Owszem - warknął.

Chcąc zaspokoić ciekawość, najwyraźniej uraziła uczucia tego mężczyzny. Przeprosiny nie wchodziły w grę, ale postanowiła się wytłumaczyć. W końcu przecież lubiła tego mężczyznę i nie chciała go martwić. Wyminęła księcia i przywiązała Błyskawicę do drzewa, obok Kawalera.

- Otrzymałam bardzo pouczającą lekcję. Jak dotąd żaden mężczyzna nie poprosił mnie, żebym została jego kochanką.

Jego zmrużone oczy przypominały teraz szparki.

- Posłuchaj, Phoebe. Przybywasz z Ameryki, gdzie jak twierdzisz, miałaś nieograniczoną swobodę i robiłaś to, na co miałaś ochotę. Bratałaś się z mężczyznami codziennie i wieczorami, bo kimże, u diabła, są Teddy i Timothy? Powiedziałaś, że twoja reputacja nie ma znaczenia. Wszystko wskazuje na to, że wcale nie pragniesz wyjść za mąż, na każdym kroku zohydzasz i wyśmiewasz zasady obowiązujące w towarzystwie, za nic masz przyzwoitość. Zaprosiłaś mnie, a potem spotkałaś się ze mną bez przyzwoitki, o tej nieludzko wczesnej porze. Na Boga nawet mi się oświadczyłaś. Co innego miałbym myśleć?

- To, że mam wolną wolę - wypaliła z irytacją, nie biorąc pod uwagę tego, iż częściowo miał rację co do jej roli w tym nieporozumieniu. Jego oczy zapłonęły jeszcze większym gniewem, westchnęła więc tylko. Utrata panowania nad sobą z pewnością nic by jej nie dała. - Jest oczywiste, że wzięłaś moją śmiałość za coś zupełnie innego. Kierowałam plantacją, na litość boską. To naturalne, że przebywałam w towarzystwie mężczyzn, włączając w to mojego ojca i naszych robotników. Przyzwyczyłam się mieć własne zdanie. Moi sąsiedzi, Teddy i Timothy, mieli zaledwie po czternaście lat. Co do dylematu, z którym obecnie powinnam się zmierzyć, to muszę wyjść za angielskiego szlachcica w ciągu niecałych sześciu tygodni. W przeciwnym razie stracę mój jedyny majątek, Marsden Manor, tak samo jak resztę dochodów. Będę biedna jak mysz kościelna.

- Tyle to wiem - mruknął, wciąż nieułagodzony.

- Wiesz? Skąd? - spytała, zdezorientowana tym stwierdzeniem bardziej niż czymkolwiek do tej pory. - Jak to się stało, że tyle o mnie wiesz, podczas gdy ja wiem o tobie tak niewiele? To się wydaje niesprawiedliwe.

- Po twoim zniknięciu od lorda Wymana tamtej nocy, zadałem parę pytań. O twoim położeniu mówi się w mieście. Ja proponuję ci alternatywę. Jako moja kochanka będziesz zabezpieczona finansowo.

Nie była pewna, co martwi ją bardziej: jego arogancja, tak typowa dla mężczyzn, którzy uważają, że zmuszeni są cackać się z kobietami, czy to, że jej problem przestał być tajemnicą.

- Finansowo zależna, oto, jaka bym była. Bardziej związana z tobą, niż gdybym wyszła za męża.

- To śmieszne. Kiedy wyjdiesz za męża, wszystko przypadnie twojemu mężowi.

- Niekoniecznie.

- W takim razie, moja droga, musiałabyś zmienić porządek rzeczy panujący od czasów, kiedy Adam był kawalerem.

Wydawał się taki pewny siebie, przemawiał tak protekcyjnie. Irytacja walczyła w niej z pragnieniem, żeby ją zrozumiał.

- Moim celem jest małżeństwo z mężczyzną, który zgodzi się na moje warunki. - Spojrzał na nią tak, jakby wyrosło jej trzecie ucho. - Gdybyś znał moją sytuację, wiedziałbyś, że wnoszę w to małżeństwo tytuł. Jeśli nie znajdę męża z miłości, to przynajmniej znajdę chętnego na tytuł i stały dochód. Podobnie jak ty, zamierzam być bardzo hojna. W zamian za to chcę tylko swobody. On może pójść swoją drogą, a ja swoją.

- Gdzie spodziewasz się znaleźć kandydatów spełniających te warunki?

- Według mojej ciotki, mężczyzn, którzy by się nadawali, jest dowolna liczba. Lord Milton i sir Lemmer wydają się zainteresowani.

Lord Badrick zeszywniał. Wstrzymał oddech. Poruszał tylko wargami.

- Trzymaj się z daleka od Lemmera.

Twardy ton mówił sam za siebie. Choć sama nie przepadała za sir Lemmerem, nie miała zamiaru przyznać się do tego Badrickowi. Wzruszyła ramionami, żałując, że nie potrafi stać równie nieruchomo jak on. Ten mężczyzna był niewiarygodnie opanowany.

- Rozumiem, że on chce zarówno tytułu, jak i pieniędzy. Ja mogę mu dać jedno i drugie.

- Małżeństwo będzie wymagało skonsumowania. Jak zamierzasz sobie z tym poradzić?

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.

- Coś ci powiem, Phoebe Rafferty. Żaden z tych mężczyzn, a zwłaszcza sir Lemmer, nie uszczęśliwi cię w tym względzie.

Ta rozmowa zaczynała psuć jej dobry nastrój. Prawdopodobnie dlatego, że Badrick mógł mieć rację, a taka możliwość wydała jej się najbardziej niepokojąca.

- Ty zaś jesteś takim wspaniałym kochankiem, że kobiety tłoczą się przed twoimi drzwiami?

Ten temat najwyraźniej sprawiał mu przyjemność, gdyż rozluźnił się po raz pierwszy od kilku minut. Chytry, lisi uśmiezek rozjaśnił jego twarz. Podeszedł do Phoebe powoli,

zmuszając ją do cofnięcia się o kilka kroków, dopóki nie oparła się plecami o pień wielkiego wiązu. Błyskawica stała po jednej stronie. Zarośla po drugiej skutecznie odgradzały parę od ścieżki.

Stephen oparł ręce po obu stronach jej ramion.

- Zapewniam cię, Phoebe, że kobiety, które przychodzą do mojego łóżka, robią to chętnie i odchodzą, nie narzekając.

- Nie kwestionowałam twoich...

- Umiejętności? Ależ Phoebe, właśnie to zrobiłaś. Teraz czuję, że muszę się zrehabilitować.

Patrzyła, jak brązowe oczy Stephena zmieniają barwę i stają się prawie czarne, kiedy powoli zbliżał usta do jej ust, dając Phoebe dość czasu na uniknięcie pocałunku. Zamknęła oczy w chwili, kiedy zetknęły się ich wargi. Kiedyś kopnęła sąsiada kolaniem w krocze i zostawiła go skamlącego na pokrytym słomą klepisku stodoły po tym, jak skradł jej całusa. Wiedziała, że w razie potrzeby mogłaby wymierzyć taką samą karę Stephenowi. Tyle że wcale nie miała ochoty tego robić. Nieśmiało położyła mu ręce na ramionach i poddała się pocałunkowi. Pachniał wrzosem i mydłem, i własną męską wonią.

Spodziewała się napaści, a to łagodne złączenie ust było czułą perswazją. Język Stephena błędził po jej wargach, drażniąc i domagając się wstępu. Kiedy lekko rozchyliła usta, pogłębił pocałunek. Jego muskularne ciało przywarło do niej, a wełniana kurtka nagle stała się niechcianą barierą wobec gorąca, jakie czuła. Objął ją w talii tuż pod piersiami, które bolały ją w bardzo osobliwy sposób.

Zakończył pocałunek równie delikatnie, jak zaczął.

- A teraz, moja słodka, powiedz mi, że mój pomysł nie ma sensu.

Wraz z jego wycofaniem się doznała poczucia straty i oblizwała wargi, jakby chciała zachować jego smak. Dość tych bzdur. Powinna wcześniej pójść za głosem rozsądku. Teraz będzie żałować tego, co musi zrobić. Oderwała się od drzewa i odsunęła się od Stephena. On wciąż przyglądał się jej, triumfujący. Stojąc obok Błyskawicy, chwyciła w garść jej grzywę i wskoczyła na koński grzbiet. Patrząc Stephenowi w oczy, powiedziała:

- Zawsze chciałam miłości. Jakimś zrzędzeniem ślepego losu okazało się, że potrzebuję męża, z tym luksusem lub bez niego.

- Nie oglądaj się na mnie, Phoebe. Miłość jest dla głupców i marzycieli. Ja nie jestem ani jednym, ani drugim.

- Jak możesz mówić coś takiego? - spytała Phoebe. Według niej miłość wyostrzała zmysły, łączyła mężczyznę i kobietę więzami oddania i bezpieczeństwa.

- Miłość to niegojąca się rana. Nie potrzebuję jej. Nie potrzebuję żony. Nie poślubię cię. Ani teraz, ani nigdy. Chcę kochanki.

Różnili się zatem nie tylko w kwestii pojmowania samej natury miłości, ale nawet w kwestii jej istnienia.

- Cóż, zdaje się, że stanęliśmy w martwym punkcie, ale dziękuję za lekcję. Jestem pewna, że okaże się przydatna w ciągu kilku najbliższych tygodni.

Jego leniwy uśmiech prawie natychmiast znikł. Znów stał się drapieżnikiem, o ciele napiętym i czujnym.

- Co masz na myśli?

- Jeśli nie mogę wyjść za mąż z miłości, zaplanuję własną przyszłość i poślubię mężczyznę, którego sama wybiorę. Do tej pory nie zdawałam sobie w pełni sprawy z implikacji w postaci małżeńskiego łoża. Teraz widzę, że powinnam sprawdzić kandydatów również pod tym względem.

- Masz zamiar pójść do łóżka z nimi wszystkimi, zanim któregoś wybierzesz?

- Na litość boską, nie. Ale pocałunek czy dwa na pewno pomogą mi podjąć decyzję.

- Phoebe.

Wyprowadziła konia spośród drzew, oddalając się od niebezpiecznego błysku w jego oczach.

- I jeszcze jedno, lordzie Badrick, na temat tego, co mi się wyrwało tamtej nocy. - Zmarszczył brwi, jakby starał się sobie przypomnieć. Zrobiło się jej go prawie żal. - O możliwości wybrania ciebie na mojego męża. Muszę wycofać się z tej sugestii. Po prostu się nie nadajesz.

- Dlaczego nie?

- A dlatego, sir, że nigdy nie byłbyś uległym małżonkiem.

Zawróciła Błyskawicę na drogę i pognała ją galopem, jakby chciała prześcignąć wiatr. Musiała uspokoić bicie serca. Bała się, że Badrick może pojechać za nią. A jej serce bało się, że tego nie zrobi.

Po raz pierwszy w życiu spotkała mężczyznę, który przyprawiał ją o odczucia, o jakich tam, w domu, rozmawiały niewolnice. Co za ironia losu! I akurat ten mężczyzna był dla niej zupełnie nieodpowiedni.

Phoebe skradała się po schodach dla służby w domu ciotki Hildegard, uważając na każdą skrzypiącą deskę drewnianych stopni. W czasie drogi powrotnej do domu przez cały czas wyszukiwała powody, żeby w przyszłości unikać lorda Badricka.

Całkowicie zaburzył jej zmysły. Dotąd żadnemu mężczyźnie nie udało się, tak jak jemu, sprawić, by czuła trzepotanie w żołądku i łomotanie serca. Nawet teraz jej puls przyspieszał na wspomnienie języka Stephena pieścącego wnętrze jej ust. I pomyśleć, że mężczyzna i kobieta całują się w ten sposób! Nie miała pojęcia, w ogóle nie przypuszczała. Wzdrygnęła się na myśl o tego rodzaju pocałunku z lordem Miltonem czy sir Lemmerem. Pocałunek z lordem Badrickiem sam w sobie uznała za kwintesencję pocałunku.

Zagryzła dolną wargę i pomyślała, że Stephen miał skłonność do wyciągania pochopnych wniosków, i na pewno było to nieprzyjemne. Już dwukrotnie błędnie ocenił jej działania. Jednak trudno go za to winić, zauważyła. Ona także nie pozostawała bez winy. Czy nie zakładała, że lord Badrick mógłby być idealnym mężem?

Z pewnością już tylko to, że wydawał się przyzwyczajony nie oglądać się na innych, wystarczyło, żeby go unikać. Nie przyjąłby niepowodzenia czy porażki bez walki. Wątpiła, czy ożeniwszy się z nią pozwoliłby jej żyć samotnie własnym życiem w Marsden Manor. No tak, to wada czy zaleta? Przysiadła na schodach z łokciami opartymi na kolanach i brodą w dłoniach. Pomyślała o jego pewności siebie i postawie wyższości. Graniczyło to z arogancją ale przyznała, że podobają jej się silni mężczyźni, którzy wiedzą czego chcą. Niestety, to, czego chciał on, i to, czego chciała ona, wzajemnie się wykluczało. Ten mężczyzna nie uznawał nawet potrzeby miłości w związku. Cóż, to właśnie jest istotą problemu. Sądząc z tonu nagany w głosie, wydawał się zdecydowany. On chciał kochanki. Jej potrzebny był mąż. Ona pragnęła miłości. On chciał cielesnej rozkoszy. Cóż, do cholery, o to właśnie chodzi. Nie wolno jej się z nim widywać.

Phoebe, zdecydowana wymazać go z pamięci, wstała, zastanawiając się, jak może tak bardzo brakować jej czegoś, czego przede wszystkim tak naprawdę nigdy nie miała.

Nasłuchując u szczytu schodów, ucieszyła się, że słyszy tylko ciszę i na palcach przeszła przez korytarz do swojej sypialni. Służąca Phoebe, niania Dee, stała przy oknie, zapatrzone na ulicę w dole. Jej hebanowa skóra lśniła w blasku słońca. Obie ręce oparła na szczupłych biodrach i kręciła głową w czerwonej chusteczce. Najwyraźniej była czymś poruszona.

Phoebe podeszła i wyjrzała nad ramieniem służącej, chcąc też zobaczyć, co się dzieje.

- Dzień dobry, nianiu Dee. Czy coś nie w porządku?

Dee odwróciła się i pogroziła palcem tuż przed nosem Phoebe.

- Ty mi tu nie mów dzień dobry, dziecko. Spóźniłaś się i ta kobieta już wstała i cię wołała.

- Ciotka Hildegard? O mój Boże.

- Ano właśnie. Już raz dziś rano przychodziła cię szukać. Najlepiej przebierz się z tych chłopięcych rzeczy w coś przyzwoitszego, zanim przyjdzie cię szukać znowu.

Phoebe czym prędzej zrzuciła czapkę, kurtkę, spodnie i koszulę, przyniosła biały, porcelanowy dzbanek i chwyciła myjkę. Podczas gdy się myła, Dee upychała jej znoszony strój do konnej jazdy na dnie kosza pod łóżkiem, cmokając i mamrocząc, do czego Phoebe dawno już przywykła.

- Czego chciała ciotka Hildegard?

- Popsuć mi dzień. Wiesz, że ona to potrafi. Nigdy w życiu nie widziałam nikogo z takim kwaśnym usposobieniem. Ta kobieta doprowadzi do tego, że rozprostują mi się włosy. A jeśli nie ona, to ty na pewno. Żeby tak wychodzić codziennie...

Phoebe, przebrana w czystą bieliznę, usiadła przed mahoniową toaletką i skrzywiła się na widok swoich włosów. Wyszarpnęła szpilki.

- Wielkie nieba, dziecko, zostaw loczek czy dwa na głowie. Daj mi tę szczotkę.

Dee wykonała zadanie szybko i umiejętnie. Phoebe uśmiechnęła się do niej. Odkąd przyszła na świat, zawsze mogła polegać na Dee. Nie poradziłyby sobie po śmierci ojca, gdyby nie Dee.

Jako kobieta wolna, Dee mogła zostać ze swoim mężem Tobiasem, ale wybrała wyjazd do Anglii. Chciała dopilnować Phoebe, zanim powierzy ją komukolwiek. Dlatego właśnie, jak oświadczyła, tu przyjechała.

Dee splotła niesforne loki Phoebe w porządny warkocz.

- Czemu dziś wróciłaś tak późno?

Wzrok Phoebe spotkał się ze wzrokiem Dee w lustrze. Przypomniała sobie podniecenie, jakie ją ogarnęło, kiedy ujrzała księcia w Hyde Parku. Uśmiechnęła się szerzej. Ale gdy uświadomiła sobie, czym skończyła się rozmowa, sposepniała.

- Widziałam dziś lorda Badricka.

- Mówisz o tym gościu, księciu, którego spotkałaś tamtej nocy?

Phoebe przytaknęła, zauważając ton przygany w głosie Dee, która nie przejawiała najmniejszego szacunku dla pozycji mężczyzny. Ciągle przypominała Phoebe, że miarą

wartości mężczyzny jest jego charakter, a nie nazwisko czy fantazyjny tytuł przyklejony do niego. Mimo to Phoebe miała poczucie, że niania Dee zaakceptowałaby Stephena Badricka, z tytułem czy bez. Przynajmniej dopóki nie dowiedziałyby się o jego propozycji.

- Aha - mruknęła Phoebe.

- O co chodzi? Wyglądasz jak tego dnia, kiedy tatuś zabrał ci twojego pierwszego kucyka.

Dee podeszła do ozdobnej, drewnianej szafy pełnej złocen. Wyjęła z niej muślinową suknię w kolorze brzoskwiowym, a z szuflady pończochy tej samej barwy.

- No co, powiesz mi, czy mam zgadywać?

Phoebe, zagryzając dolną wargę, zawahała się przez mgnienie oka. Dee zawsze udzielała rady i pomocy, a nie reprimendy. Poza tym, Phoebe musiała z kimś porozmawiać, żeby nie oszaleć.

- Poprosił mnie, żebym została jego kochanką.

Dee wypchnęła językiem policzek, zastanawiając się nad tym, co usłyszała.

- Modlę się do słodkiego Jezusa, że powiedziałaś mu nie.

- Oczywiście - odparła Phoebe, nerwowo skubiąc warkocz.

- Chodź tu, dziecko. Włóż tę suknię i opowiedz mi dokładnie, co ten cały książe powiedział, że tak cię zdenerwował.

Phoebe zrelacjonowała wszystko, pominęła tylko to, że się całowali. Przez cały czas splatała i wyginała palce. Dee słuchała, zmagając się z suknią, dopóki wszystkie paski i kokardki nie znalazły się na swoim miejscu. Dając Phoebe klapsa w pupę, Dee powiedziała:

- Usiądź i włóż pończochy. Czego mi nie mówisz?

Phoebe westchnęła. Nigdy nie potrafiła wywieść w pole tej kobiety.

- Pocałował mnie.

- A ty co zrobiłaś?

- Odwzajemniłam jego pocałunek. To było coś zupełnie innego niż wtedy, kiedy Jimmy Ray mnie pocałował. Było mi dość przyjemnie. - Jedna pończocha zawisła w powietrzu. - Czy to czyni ze mnie ladacnicę?

' - To czyni z ciebie dorosłą kobietę, która po raz pierwszy w życiu dowiedziała się, jak to jest, kiedy prawdziwy mężczyzna bierze ją w ramiona. Niektórzy mężczyźni po prostu wiedzą, jak całować kobietę. I czasami jest to takie przyjemne, ponieważ dzieje się coś szczególnego.

- To takie dziwne. Chodzi mi o to, że poznałam tego mężczyznę zaledwie dwa dni temu.

- Potrzebujesz męża. Równie dobrze mogłabyś przyjąć jego awanse. Niewesoły śmiech Phoebe wypełnił pokój.

- Postawił sprawę jasno, nianiu Dee. On chce kochanki, a nie żony. Cmoknąwszy kilka razy, Dee powiedziała w końcu:

- Większość mężczyzn nie wie, czego chce. Do nas kobiet należy, żeby im wskazać właściwy kierunek. Nie trzeba wielkiego kija, żeby ruszyć muła z miejsca. Mężczyźni nie są inni. Musisz dokonać wyboru. Jeśli ten książę wpadł ci w oko, radzę ci sprawić, żeby uznał, że chce ciebie jako żony, a nie kochanki. Czy wyrażam się jasno? Znając twój upór, sądzę, że on nie ma szans.

- To nie takie proste. On jest arogancki i lubi dominować. Gdybym za niego wyszła, nie poszedłby swoją drogą żebym ja mogła zająć się swoimi sprawami. Poza tym, on chyba nie potrzebuje pieniędzy.

- Już ci mówiłam, że ten twój plan ma dziury większe niż marzenia Tobiasa.

- Jestem zdecydowana wydobyć wszystko co najlepsze z tej sytuacji. Oczywiście, jeśli nie mogę znaleźć męża, którego pokocham, mogę znaleźć takiego, który ożeni się ze mną dla pieniędzy i pozwoli mi żyć po swojemu.

- Dziecko, najlepiej przyjrzyj się poważnie temu swojemu planowi. Rezygnujesz z marzeń o rodzinie i możesz być bardzo samotna.

Przypomniała sobie zadowolenie, jakie odczuwała w ramionach Badricka. Potem uzmysłowiła sobie, jak bezwzględnie odrzucił jej propozycję i w jakiej sytuacji się znalazła. Była bez grosza, bez prawdziwego domu, zdana na łaskę małodusznej krewnej. Musiała w pośpiechu wybrać kogoś nieznanego na męża i nigdy nie zaznać miłości, jakiej pragnęła. Nagle dzień wydał się jej szary.

- Och, czemu on nie może być choć trochę zainteresowany małżeństwem?

Miała ochotę się rozplakać, ale tylko przełknęła łzy. Łzy nie pomogły, kiedy umarł tatuś i z pewnością nie pomogłyby teraz. Phoebe poczuła, jak Dee łagodnie ściska ją za ramię. Chętnie przytuliła głowę do piersi kobiety.

- Wypłacz się, kwiatuszku. Masz do tego prawo. To czasem pomaga oczyścić duszę.

Phoebe pozwoliła sobie na ten luksus i na kilka minut poddała się emocjom, łkając z żalu nad sobą i nad niesprawiedliwością tego, co ją spotyka. Kiedy czkawka wstrząsnęła jej ramionami, wzięła się w garść.

- Dość tego.

Dee ujęła Phoebe pod brodę.

- Posłuchaj, dziecko. Życie jest dziwne. Nie ma gwarancji, ale jesteś piękną kobietą o pięknym sercu. Nie wierzę, żeby Bóg przeznaczył ci żalony los.

To do Niego niepodobne. Może być niełatwo, ale jeśli postarasz się z całych sił, znajdziesz szczęście, na jakie zasługujesz. Trzymaj się swoich marzeń obiema rękami. Kiedy tracimy je z oczu, niewiele nam zostaje. A teraz wydmuchaj nos i idź. Już prawie słyszę, jak ta kobieta skrzeczy na ciebie.

Wszystko, co mówiła Dee, zdecydowanie miało sens. Phoebe była w Londynie od tygodnia i już poznała kilku mężczyzn. Będą inne możliwości. Lord Badrick stanie się odległym wspomnieniem. Czując się o wiele lepiej, Phoebe zaczęła się przekomarzać:

- Chcesz pójść ze mną?

- Lepiej będzie dla tej kobiety, jeśli zostaną tutaj. Jedno spojrzenie na mnie i zaczęłyby rzeźić i kaszleć.

Phoebe wyprostowała się, jakby miała zamiar surowo ją skarcić.

- Sama jesteś sobie winna. Też coś, żeby opowiadać jej te wszystkie historie o Karaibach, o niewolnikach i voodoo. Udało ci się przekonać ją zgrabnie, że lepiej zostawić cię w spokoju.

Dee zachichotała, białe zęby błysnęły na tle ciemnej twarzy.

- Otóż to. A teraz idź.

W holu Phoebe stanęła za gipsową urną sięgającą jej do ramion i zajrzała do jadalni. Hildegard uwielbiała bogate dekoracje, zanadto ekstrawaganckie, jak na gust Phoebe. Na trzech ścianach pyszniły się kunsztowne malowidła przedstawiające połyskujące rydwany, mitycznych bogów i błyskawice. Czerwony sufit był obramowany złotymi stiukami, a kwiecisty dywan pokrywał niemal całą marmurową posadzkę. Żyrandol połyskiwał w promieniach słońca wpadających przez ogromne okno, które odbijały się w setkach kryształowych wisiorków. Gigantyczny mahoniowy stół, intarsjowany hebanem i mosiądzem, zdawał się wypełniać cały pokój.

Hildegard siedziała przy jednym końcu, Charity przy drugim. Nie rozmawiały ze sobą ale też żeby to robić, musiałyby prawdopodobnie krzyczeć, co według Hildegard po prostu nie uchodziło.

Phoebe, uśmiechając się najbardziej promiennie, jak potrafiła, podeszła i zajęła miejsce pośrodku.

- Dzień dobry.

Hildegard spojrzała znad porannej gazety na ścienny zegar i wyduła wargi. Charity ledwo skinęła głową i znów poświęciła całą uwagę jajku i grzance. Kucharka wniosła

półmisek z różnymi mięsami oraz serami i poczekała, aż Phoebe sobie nałoży. Wybrawszy plaster szynki i bułeczkę z czarnymi porzeczkami, Phoebe się odezwała:

- Jestem zaskoczona, widząc cię na nogach tak wcześnie rano, ciociu Hildegard.

- Ta cała niecna historia burzy mój spokój. Właśnie znalazłam notatkę dotyczącą ciebie w rubryce towarzyskiej „Timesa”. Musisz wiedzieć, że mi się to nie podoba.

Na skinienie Hildegard służąca położyła gazetę obok Phoebe, która przebiegła rubrykę wzrokiem i przeczytała na głos:

- „Kto będzie tym szczęśliwym mężczyzną, który zdobędzie nagrodę, jaką oferuje śliczna Amerykanka, panna P.R.?”

Wielkie nieba, czy ludzie nie mają nic lepszego do roboty, jak tylko zajmować się tym, co się dzieje w towarzystwie? Marszcząc brwi, powiedziała:

- Całkowicie rozumiem, ciociu Hildegard. Jasno wyraziłaś swoje odczucia. Nie jestem uszczęśliwiona tą sytuacją tak samo jak ty. Niemniej jednak, nie potrafię powstrzymać prasy przed drukowaniem tego, co im się podoba. A co do reszty, to nie mam wyboru. Zawsze mogę znaleźć sobie pracę i zamieszkać gdzie indziej.

- Hm. I dostarczyć kolejnych powodów do plotek? Nie mogę dopuścić, żeby twoja pożałowania godna sytuacja zaprzepaściła szanse mojej córki na znalezienie stosownej partii.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się Phoebe, wiedząc, że Hildegard spodziewa się także pokaznej rekompensaty z jej majątku. - Masz jakieś szczególne plany na dzisiaj, Charity? - zwróciła się do kuzynki.

Charity posłała jej wstydlivy uśmiech i powiedziała nerwowym tonem:

- Myślałam, że mogłabym pójść do muzeum.

Hildegard spojrzała na córkę zza wielkiego bukietu stokrotek stojącego na stole.

- Bardziej jest ci potrzebne doskonalenie kobiecych umiejętności niż nabijanie sobie głowy frywolnymi głupstwami. Powinnaś zostać w domu i ćwiczyć się w hafcie.

- Tak, matko - wymamrotała Charity, a cała radość zniknęła z jej twarzy.

Nic dziwnego, że chciała wyjść za mąż jak najprędzej. Hildegard bezustannie dyrygowała nią jak służącą. Phoebe pragnęła, żeby dziewczyna wstała, rzuciła serwetkę na stół i oznajmiła, że idzie do muzeum.

- Phoebe - podjęła Hildegard z nieskrywaną irytacją w głosie. - Listy i zaproszenia przychodziły przez cały ranek. Spodziewam się, że odpowiadając na nie, będziesz stosować się do etykiety, nie tak jak twoja matka, która okazała się pospolita i nieodpowiedzialną niewarta ani grosza z pieniędzy mojej rodziny.

Phoebe, zaciskając zęby, stłumiła wzburzenie.

- Wszystko wskazuje na to, że mój dziadek był innego zdania. Inaczej nie miałabym możliwości odziedziczenia Marsden Manor.

- To prawda. Nigdy nie pojmę jego decyzji. Zawsze miał słabość do twojej matki, mimo że złamała mu serce.

- Hm. - Phoebe dziobała widelcem kawałek mięsa. - Myślę, że zapowiada się śliczny dzień.

- Skąd możesz wiedzieć? Ledwo wstałaś z łóżka. Twój ojciec też wolał wylegiwać się rano i zobacz, do czego to doprowadziło. Ten człowiek nie miał żadnych perspektyw...

- Ciociu Hildegard - powiedziała Phoebe, ostrzej niż zamierzała.

- O co chodzi? - burknęła Hildegard, niezadowolona, że jej przerwano. Co prawda ciotka była na tyle miła, żeby zaoferować Phoebe dach nad głową, ale co za dużo, to niezdrowo. Od przyjazdu, dzień w dzień słyszała tylko tyrady i złorzeczenia zazdrosnej, wiecznie niezadowolonej kobiety. Dziś nie była w nastroju, żeby tego wysłuchiwać. Odsunęła od siebie talerz, bo straciła apetyt. Złożyła serwetkę raz, potem jeszcze raz, potem wygładziła dłońmi kawałek zielonego płótna.

- Ciociu Hildegard - zaczęła znowu, tym razem o wiele spokojniej. - Doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Naprawdę. Jednak myślę, że lepiej się stanie, jeśli będziemy unikać rozmów o mojej mamie i tacie.

- Ty mi mówisz, co mogę mówić, a czego nie w moim własnym domu?

- Nie to miałam na myśli. Bardzo kochałam moją mamę i tatę. Przykro mi, że ty czujesz inaczej, ale nic, co powiesz, nie zmieni tego, co myślę i co mam w sercu. Nie będę słuchać, jak depcze się ich dobre imię. Mam nadzieję, że weźmiesz pod uwagę moje uczucia w tym względzie. Jeśli nie, będę zmuszona znaleźć sobie mieszkanie gdzie indziej.

Hildegard zmrużyła oczy, a na jej twarzy wystąpiły czerwone plamy. Zmarszczone czoło przypominało patchwork. Charity siedziała całkowicie nieruchomo, tylko jej oczy zrobiły się okrągłe, w takim samym stopniu, w jakim oczy jej matki były zmrużone.

Zważywszy na to, że wiele spraw zostało niewypowiedzianych, Phoebe uśmiechnęła się, gratulując sobie opanowania.

- Czy jest jakiś jeszcze powód, dla którego chciałaś mnie widzieć, cioteczko?

Hildegard odsunęła się od stołu i nienaturalnie sztywno wstała z krzesła. Brodę zadarła do góry tak wysoko, że szyja mogła lada moment trzasnąć jak łodyga kukurydzy, pomyślała Phoebe.

- Otrzymałaś korespondencję. Zalecam ci, abyś pomyślała o zaproszeniu od sir Lemmera. Na bal do Halstenów wychodzimy o ósmej. Chodź, Charity.

Phoebe przyglądała się odejściu krewnych. Charity rzuciła jeszcze spojrzenie przez ramię, jakby chciała upewnić się, czy rzeczywiście widziała to, co właśnie miało miejsce. W drzwiach omal nie zderzyły się z kamerdynerem, Siggersem, który przed swoim zaokrąglonym brzuchem niósł ogromny bukiet kwiatów we wszystkich kolorach tęczy. W palcach lewej ręki trzymał niewielki bilecik.

- Kwiaty dla panny Rafferty - oznajmił, uśmiechając się z dumą. Jawnie lekceważąc fakt, że koperta zaadresowana była do kogo innego, Hildegard chwyciła ją i rozdarła. Oniemiała, patrzyła z dzikim gniewem na Phoebe.

Zanim Hildegard zdążyła wykrztusić słowo, Phoebe już wiedziała, kto przysłał kwiaty. Wpadła we własne sidła. Stała obok krzesła, z najbardziej niewinnym wyrazem twarzy i czekała.

- Wiedziałam! - ryknęła Hildegard. - Jesteś dokładnie taka, jak twoja matka.

- Dziękuję.

- No. - Hildegard zbliżyła się z wyciągniętą ręką a w drżącej dłoni trzymała bilecik - Wytłumacz to.

- Mogę najpierw przeczytać? - spytała Phoebe, zastanawiając się, jak się tłumaczyć, w zależności od tego, co napisał lord Badrick.

Hildegard wcisnęła bilecik w rękę Phoebe. Treść była prosta i konkretna: *Niech zwycięży najlepszy, mężczyzna lub kobieta. Do jutrzejszego ranka. Twój największy wielbiciel.* Phoebe nie chciała już bardziej podsycać gniewu Hildegard, zastanawiała się więc gorączkowo nad sensownym wyjaśnieniem. Albo przekonującym kłamstwem.

- Mój największy wielbiciel? - Uderzając bilecikiem o wnętrze dłoni, przybrała wyraz twarzy, którym niejednokrotnie omamiła ojca. - Skąd mam wiedzieć, kto przysłał kwiaty? Nawet nie raczył się podpisać.

- A co z tym porannym rendez - vous?

- Jestem równie zdezorientowana, jak ty. Może kwiaty trafiły pod niewłaściwy adres.

- Siggers - warknęła Hildegard. - Kto to dostarczył?

- Jakiś ulicznik, madame - odparł z nic niemówiącym wyrazem twarzy. Hildegard spoglądała to na Siggersa, to na Phoebe, jakby tych dwoje było w zмовie. Rzuciła nawet przelotne, pełne niesmaku spojrzenie na Charity, zanim rozkazała:

- Wyrzuć to, Siggers.

- Ciociu Hildegard - wtrąciła się Phoebe tonem spokojnym, ale stanowczym. Miała zamiar zatrzymać podarunek. - Kwiaty zostały dostarczone dla mnie. Uważam, że mam prawo zdecydować, czy chcę je wyrzucić czy nie.

- Prawdziwy dżentelmen nie przysyła kwiatów bez właściwego wprowadzenia. A prawdziwa dama nigdy by takich kwiatów nie przyjęła.

- A kto to wie, cioteczko? Ja z pewnością tak bym nie powiedziała. - Phoebe wzięła kwiaty z rąk kamerdynera, wiedząc, że dopóki Siggers je trzyma, czuje się w obowiązku wypełnić zalecenie swojej pani. - Jeśli nie masz chęci napawać się ich pięknym zapachem, z przyjemnością zabiorę je do mojego pokoju.

- Och, matko - westchnęła Charity. - Są takie śliczne.

- Idź na górę. - Hildegard odprawiła Charity gestem, jakim odprawia się pokojówkę. Po odejściu córki zwróciła się do Phoebe:

- Niech mi wolno będzie wypowiedzieć się jasno w tej kwestii. Pozwolę ci zatrzymać ten bukiet, ponieważ taka jest moja wola. Jeśli tylko dowiesz się, kto jest za to odpowiedzialny, powiesz mi natychmiast.

Jeszcze czego, pomyślała buntowniczo Phoebe.

- Oczywiście - zgodziła się po chwili.

- I - Hildegard się pochyliła - nie myśl sobie, że wywiodłaś mnie w pole.

Phoebe przyglądała się, jak Hildegard niczym burza przemknęła po marmurowej posadzce, prosta w ramionach, z wysoko uniesioną brodą. Jakie to wyczerpujące. I jakie przygnębiające. Zostało jej jeszcze pięć tygodni w tym domu.

Podeszła do Siggersa, który stał nadal w drzwiach, i wzięła go za łokieć.

- Dziękuję, że nie zdradziłeś mojego małego sekretu.

- Nie wiem, o czym panienka mówi - odparł, mrugnął i oddalił się cicho. Phoebe wiedziała swoje. W krótkim czasie, zwykłą grzecznością i uprzejmością zaskarbiła sobie lojalność służącego.

Ukryła twarz w wielobarwnym bukiecie, chłonąc jego zapach i czując delikatność płatków. Na myśl o odpowiedzialnym za to draniu zmarszczyła brwi. Wielkie nieba, ten mężczyzna ma fantazję. To musiała mu przyznać. Rozstała się z nim zaledwie godzinę temu, a już dostała kwiaty. Dziesiątki kwiatów. Zamiast uszanować jej wolę, on rzucił wyzwanie. Nie wiedziała, głupio to czy mądrze, ale poczuła, że uśmiecha się całą sobą.

Ze wszystkich kobiecych piersi w teatrze wyrwało się wspólne westchnienie, kiedy ciemnowłosa sopranistka zakończyła wysoką nutą swoją żalną skargę, która wzruszyła publiczność. Rzucając tylko przelotne spojrzenia na scenę, Stephen ledwo śledził przedstawienie. Czuł się tak, jak często ostatnio: zirytowany. W dodatku był zniecierpliwiony, co, jak stwierdził skonsternowany, irytowało go jeszcze bardziej.

Trzy dni minęły od spotkania z Phoebe w Hyde Parku, po którym, ulegając irracjonalnemu odruchowi, posłał jej kwiaty i wyzwanie. Może nie był to najszcześniejszy z jego pomysłów. Zjawiskowa kobieta zaprzestała od tego czasu swoich porannych przejażdżek. Najwyraźniej traktowała poważnie to, co mówiła o swojej potrzebie znalezienia męża, a nie opiekuna.

Cóż, on również traktował poważnie to, co jej powiedział. Rozważył ze wszystkich stron każdy szczegół sytuacji Phoebe. Wiele razy. Nadal uważał, że będąc mężczyzną, wie, co jest dla niej najlepsze. Mężczyźni mają się troszczyć o kobiety. Taki jest porządek rzeczy.

Wiercił się w fotelu z wysokim oparciem, wracając myślami do swojej pochopnie złożonej propozycji. Najwyraźniej wystraszył dziewczynę. Nadal jednak jego pomysł wydawał mu się logicznym rozwiązaniem. Westchnął. Być może oczekiwała kosztownej błyskotki czy dwóch, a przynajmniej czułych słów. Potrzebował tylko okazji. Gotów i pełen oczekiwania, jak pies myśliwski na polowaniu, rozejrzał się po amfiteatralnej widowni Covent Garden, usiłując wypatrzeć swoją zwierzynę.

Okazja pojawiła się na chwilę przed rozpoczęciem *Włoszki w Algierze*. Phoebe siedziała po drugiej stronie sali, w towarzystwie ciotki i kuzynki. Do antraktu opera nie mogła bardziej się dłużyć. Nagle, jak za sprawą boskiej interwencji, widownia wybuchła żywiołowym aplauzem, oznajmiającym koniec pierwszego aktu.

Winston pochylił się nad ramieniem Stephena.

- Poruszający pierwszy akt. Jak myślisz, co mężczyzna zrobi, żeby naprawić zerwane mosty?

Stephen zastanawiał się, co właściwie przeoczył.

- Kto to wie? A ty jak uważasz, Elizabeth? Rozkładając wachlarz, odparła z pełnym przekonaniem:

- Mustafa przyzna się do chwilowego zaćmienia i będzie błagał Elvire o wybaczenie.

Winston się zachnął.

- Kochanie, on nie może błagać kobiety, żeby wróciła. To niemożliwe dla mężczyzny z jego pozycją.

- Chyba że jest mężczyzną zakochanym, który w końcu uzna, że kobieta ma prawo do własnego zdania bez względu na wszystko - powiedziała z naciskiem. - Ty na pewno zrobiłbyś dla mnie to samo.

Kiedy Winston zwlekał z odpowiedzią, dała mu łokciem kuksańca w bok. Winston roześmiał się i objął Elizabeth.

- Oczywiście, moja miłości. Zrobiłbym wszystko, byle tylko sprawić ci przyjemność. Owinąłbym cię w jedwabie i obsypał klejnotami. Przepląnąłbym Tamizę, choć w tym wypadku prawdopodobnie zszedłbym wkrótce potem na skutek chorób. Nawet sprzedałbym mojego ulubionego ogiera, a wszystko po to, żeby dowieść mojej miłości i oddania.

Tą deklaracją zarobił sobie na kolejnego kuksańca w żebra, ale tym razem Elizabeth roześmiała się także.

Stephen obserwował tę manifestację czułości z pewną zazdrością. Kiedy obraz Phoebe wdarł się w jego myśli i dźgnęła go tęsknota, natychmiast zdusił w sobie to irytujące uczucie. Miłość nie była dla niego.

- Chyba pójde zaczerpnąć powietrza.

- Wspaniale. Będziemy ci towarzyszyć - oznajmił Winston.

We troje posuwali się przez tłum kłębiący się przy wejściu na balkon. Niektórzy kierowali się na kryty taras na górze, inni spotykali się z przyjaciółmi w prywatnych lożach. Stephen celowo prowadził Elizabeth i Winstona na drugą stronę teatru, w kierunku swojej zwierzyny. Grupa pyszałkowatych, młodych dandysów pograżonych w ożywionej rozmowie przesunęła się w kierunku wejścia, odsłaniając Phoebe. Stephen rozpoznał ją od razu. Stała obok portretu Henryka VIII, plecami do tłumy, ubrana w prostą szmaragdową suknię. Włosy miała zebrane na czubku głowy, a widoczne dzięki temu szyja i ramiona prezentowały się prześlicznie. Jasne piegi znaczyły jej skórę brzoskwiniowym odcieniem. Stephen spodziewał się odkryć wszystkie rozkoszne miejsca, w których piegi zdobiły jej ciało.

Elizabeth trąciła Stephena w ramię i czar prysnęła.

- Czy to nie panna Rafferty?

- Sądzę, że tak - odparł tonem tak swobodnym, na jaki tylko umiał się zdobyć.

- Czy możemy?

Nie czekając na odpowiedź, Elizabeth ruszyła do przodu, pozbawiając Stephena jakiegokolwiek możliwości wyboru.

- Uważam, że tak będzie najlepiej, przyjacielu. Inaczej nigdy nie poznamy jej zamiarów - powiedział radośnie Winston.

Cóż, stało się. Stephen chciał porozmawiać z Phoebe, ale, rzecz jasna, bez świadków. Wydłużył krok, by wyprzedzić przyjaciół i dotrzeć do Phoebe pierwszy. Zachodząc ją od tyłu, szepnął jej do ucha:

- Brakuje ci twoich przejażdżek, Phoebe Rafferty, a mnie brakuje ciebie.

Odwróciła się do niego, a na jej twarzy zaskoczenie ustąpiło miejsca irytacji.

- Lordzie Badrick, czy masz pojęcie, w jakie kłopoty omal mnie nie wpędziłeś? - Uniosła brodę, odprowadzając go. - Odejdź, zanim wróci moja ciotka.

- To nie jest możliwe. - Nie mając przy sobie żadnego klejnotu, postawił na komplementy. - Wyglądasz oszałamiająco tego wieczoru. Naprawdę wolę tę suknię od bryczesów, kochanie.

- Nie nazywaj mnie tak. I czemuż to nie możesz odejść?

Pochyliwszy się bliżej, poczuł czarowną woń bzu na jej skórze, co przypomniało mu o chwilach spędzonych z nią w ogrodzie Wymana. Wiele by dał za krótkie sam na sam.

- Przyjaciele - powiedział znów szeptem.

- Słucham?

- Moi przyjaciele pragną cię poznać. - Obejrzał się przez ramię, aby ocenić, jak blisko są Elizabeth i Winston, a kiedy stwierdził, że tuż obok, odsunął się na bardziej stosowną odległość. - A oto i oni.

Wyraz twarzy Phoebe zmienił się zauważalnie. Panika i irytacja zniknęły. Uśmiechnęła się uprzejmie. Oprócz lekkiego rumieńca na policzkach nic nie zdradzało, że jest poruszona, wydawała się spokojna, opanowana i pewna siebie. Założyłby się o wszystkie wygrane w pokera z zeszłego miesiąca, że puls miała przyspieszony, a serce jej waliło.

Winston, zadowolając się czekaniem, przystanął w pobliżu. Elizabeth z kolei podeszła bardzo blisko, z oczami błyszczącymi podnieceniem. Stephen wręcz słyszał, jak jej umysł pracuje nad możliwościami wyswatania ich. Miał ochotę jęknąć. Niestety, musiał uczynić zadość dobremu wychowaniu i przedstawić Phoebe Elizabeth.

- Panno Rafferty, niech mi wolno będzie przedstawić moich drogich przyjaciół, uroczych lorda i lady Payley.

Elizabeth chwyciła rękę Phoebe w obie swoje dłonie i uściśnęła.

- Dla mnie ciągle to matka Winstona jest lady Payley. Proszę mi mówić Elizabeth. Cieszę się z naszego spotkania. Tyle o tobie słyszałam.

Phoebe spojrzała na Stephena spod oka. Elizabeth zachichotała.

- Niech Bóg broni, nie od niego. Od twojej kuzynki, Charity. Ty i ja będziemy bliskimi przyjaciółkami. Wiesz, ja umiem to poznać. Musisz przyjść do naszej łoży. Tyle chciałabym się dowiedzieć o tobie i twoim domu.

Co za nacisk na ty, pomyślał Stephen. Wysyłając ostrzeżenie, zacisnął wargi i zerknął na Winstona. Jego przyjaciel miał oczy pełne dziecięcej niewinności. Wzruszył tylko ramionami, po czym łagodnie wydobyl dłoń Phoebe z rąk Elizabeth. Skłonił się nisko.

- Mów mi Winston. I wybac, proszę, mojej żonie. Toczy się rozkosznie przez życie bez zastanowienia. Gdyby to ona prowadziła wojnę, Napoleon poddałby się w ciągu kilku dni. Ożeniłem się z nią, żeby ją uratować przed nią samą. Go ty na to, Stephenie? Czy panna Rafferty powinna nam towarzyszyć dla równowagi tego wieczoru?

Winston, oczywiście, również chcąc poznać Phoebe, nie był specjalnie pomocny. Tym razem Stephen naprawdę jęknął.

- Wspaniały pomysł.

- Dziękuję, ale moja ciotka...

- Nie martw się - powiedział Stephen, chwytając rękę Phoebe, którą umieścił na swoim przedramieniu. - My pójdziemy przodem. Elizabeth z Winstonem chętnie zaczekają, żeby cię wytłumaczyć i roztoczą tak wiarygodne powody, że twojej ciotce nie pozostanie nic innego, jak tylko się poddać.

Elizabeth, z ręką wspartą na biodrze, zmarszczyła brwi. Winston miał przylepiony do twarzy głupawy uśmiech.

- Dobrze, sir. - Phoebe rzuciła Stephenowi spojrzenie, które wyraźnie mówiło: wiem, o co ci chodzi. - Jeśli będziesz zważał na swoje maniery.

Z ręką na sercu, Stephen przemówił uroczyście:

- Będę się zachowywał nienagannie, jak przystało na dżentelmena. - Następnie dodał psotnie: - Oczywiście każdy ma inne oczekiwania, co do dżentelmenerii. Chodźmy.

Stephen chciał mieć Phoebe przez kilka minut wyłącznie dla siebie. Pomachał do Elizabeth i Winstona.

- Nie musicie się spieszyć.

- Czy dobrze pamiętam, że powiedziałeś, iż nie powinnam być widziana w twoim towarzystwie? - przypomniała Phoebe, idąc obok Stephena.

- Zmieniłem zdanie.

- Dlaczego? - spytała obojętnie.

- Może chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że jestem zainteresowany - odparł Stephen.

- To nie jest gra, wasza łaskawość.

- Nasze stosunki przekroczyły już etap formalności, Phoebe. Mów mi Stephen. - Zatrzymał się na chwilę koło portiera, zamienił z nim kilka słów, po czym poprowadził ją na inne schody, ukryte za błękitną kotarą. - Podobały ci się kwiaty?

- Były prześliczne, nawet jeśli teraz ciotka Hildegard podejrzewa mnie o najgorsze. Wierz mi, udawałam zupełną nieświadomość. Dokąd idziemy? Myślałam, że mamy się spotkać z twoimi przyjaciółmi.

- Wszystko w swoim czasie. Najpierw chcę chwili sam na sam. Stephen, zadowolony z własnej przedsiębiorczości, miał poczucie, że po raz pierwszy od kilku dni szala przechyliła się na jego korzyść.

- Nie zrozum mnie źle - mówiła Phoebe, nie zwracając uwagi na ostrzeżenie kołaczące jej w skroniach - ale już coś ci powiedziałam, również sam na sam.

Zdecydowana wyjaśnić swoje stanowisko, wyprzedziła Stephena i weszła do małego, ale bogato urządzonego pokoju znajdującego się na wprost sceny. Ozdobny stół inkrustowany nefrytem i marmurem stał w rogu, zastawiony rozmaitymi trunkami i kryształowymi kielichami. Kanapa w kolorze królewskiego błękitu ustawiona była w drugim rogu. Cztery złożone fotele stały przodem do sceny. Widok na scenę przesłaniała biała zasłona z cienkiej siateczki, która jednocześnie ukrywała znajdujące się tu osoby przed wzrokiem widowni. Pokój był urządzony z myślą o zachowaniu prywatności.

- Czyje to?

- To, moja droga, jest loża królewska. Oczywiście z powodu choroby, król nigdy tu nie bywa. Czasem zjawiają się książę regent, królowa Charlotte i inni członkowie rodziny królewskiej. Za drobną opłatą specjalni goście czy pary, które chcą pozostać anonimowe i w samotności, mogą ją wypożyczyć. - Stephen zamknął drzwi i podszedł do stołu. - Masz ochotę na coś do picia?

Stojąc przy stole, ubrany w czerń, Badrick emanował arogancją która doprowadzała Phoebe do szału i poruszała każde włókno jej istoty. Była z nim sama. Jej zdradziecki umysł wyczarowywał obrazy jego pocałunków, ich ciał splecionych ze sobą. Rozprostowała ramiona i postanowiła nie tracić rozsądku. Alkohol mógł ukoić jej nerwy, ale szczęśliwie rozum zwyciężył.

- Nie, dziękuję.

Jakby czytając w jej myślach, Stephen skrzyżował ramiona na piersi.

- Chociaż pomysł ma sens, nie mam zamiaru oszołomić cię alkoholem i zgwałcić w teatrze pełnym ludzi.

Nie mogąc powstrzymać rumieńca, podeszła do zasłony i przyglądała się temu, co działo się niżej.

- Świetnie. Sherry, bądź tak miły.

Mój Boże, z powodu wysokości i słabego oświetlenia nikt nie mógł zajrzeć do środka, byli więc z księciem pozostawieni sami sobie. Dopóki zachowywali się cicho. Poczula jego ciepły oddech na swoim nagim ramieniu i odwróciła się na tyle szybko, że zdążyła uchwycić leniwy uśmiech na jego twarzy, jakby czytał w jej myślach. Zesztywniała, powstrzymała się przed ostrą ripostą i opanowała drżenie rąk i nóg.

Podał jej kryształowy kieliszek i powiedział:

- Kiedy będę się z tobą kochać, to w takim miejscu i czasie, że nikt nie ośmieli się nam przeszkodzić. Wyobrażam sobie, że będzie to trwało godzinami.

Chociaż nie miała pewności, co się właściwie robi, kochając się godzinami, taka sugestia zdawała się podobać jej ciału. A może sprawiła to sama bliskość Badricka? Działał na nią w najbardziej niezwykły sposób. Z godnością na jaką umiała się zdobyć i z fałszywą obojętnością jakiej nie czuła, odparła:

- To tylko przechwałki i właśnie dlatego przyszedłam tu z tobą. Najwyraźniej nie słyszałeś, co ci mówiłam tamtego dnia.

- Słyszałem. Po prostu postanowiłem nie przyjmować twoich słów do wiadomości. Jedną z korzyści tego, że jest się księciem.

- Masz świetne samopoczucie. Cóż, sir, ja nie mogę sobie pozwolić na taki luksus. To jest moje życie, a nie dzień na wyścigach czy partia szachów, którą rozgrywasz.

- Mówisz tak, jakbym był zepsutym smarkaczem, który nie liczy się z innymi. Uważam, że wiem, co jest dla ciebie najlepsze.

- Jak śmiesz zakładać coś takiego? Nawet mnie nie znasz.

- Opowiedz mi więc o sobie - powiedział głosem łagodnym i kuszącym. Kciukiem powiódł delikatnie po jej brwi, policzku i w końcu po wargach. - Pomóż mi zrozumieć tajemnice, jakie kryjesz, swoje pragnienia, marzenia. Powiedz mi, czego żądasz, a zrobię wszystko, żeby ci to dać.

Skłonny do uwiedzenia czy nie, Stephen czekał cierpliwie, dając Phoebe szansę dokonania wyboru. Wydawał się szczery. Może gdyby zwierzyła mu się, zobaczyłby, że to co robi, jest konieczne. Podeszła do kanapy i przysiadła na samym brzeżku. Utkwiła wzrok w nodze fotela zakończonej lwią łapą i zastanawiała się, jak można przełożyć czyjeś marzenia na kilka krótkich zdań.

- Wszelkie wybory czy marzenia, jakie kiedykolwiek miałam, skończyły się w dniu śmierci mojego ojca. Tego dnia bankierzy zapukali do moich drzwi, żeby mi powiedzieć, że wszystko, co kochałam i co było mi drogie, należy do banku. W prostocie serca mój tata zostawił Irlandię, myśląc, że w koloniach czeka go garnek złota na końcu tęczy. Niestety, był dobrym człowiekiem bez talentu do interesów. Po śmierci mamy przeprowadzaliśmy się kilka razy. W końcu osiedliśmy w River's Bend. Gdy zaczęłam dorastać, coraz bardziej rozumiałam słabe strony charakteru mojego ojca. Kierowałam plantacją najlepiej, jak umiałam, starając się zapewnić nam bezpieczeństwo finansowe. Nie wiedziałam, że narobił długów, podejmując swoje ostatnie przedsięwzięcie. Kiedy wszystko już zostało powiedziane i zrobione, zostałam ze spadkiem, o którym dowiedziałam się dopiero trzy miesiące temu, i z pieniędzmi, które wystarczały tylko na bilet do Anglii. - Wzięła głęboki wdech i spojrzała Stephenowi prosto w oczy. - Miałaś rację. Nie pragnę wyjść za mąż. Nie w takich okolicznościach. Gdybym mogła wybierać, znalazłabym męża, z którym kochalibyśmy się, tak jak kochali się moja mama i tata. Machnął ręką.

- Co za głupstwa. Jak mówiono przez wieki w poezji, miłość czyni mężczyzn i kobiety głupcami, którzy wierzą w złudzenia. Najrozsądniejsze młode kobiety chcą po prostu odpowiedniej partii. Mają szczęście, jeśli przy okazji zdarzy się wzajemne dopasowanie.

Chcąc przeciwstawić jego nonszalancji własną determinację, splotła dłonie.

- Sir, większość kobiet chce miłości. To ich rodzice mają nadzieję na odpowiednią partię.

- Być może. Ale najczęściej pogoń za miłością odbiera mężczyznom rozum.

Phoebe nigdy w życiu nie spotkała nikogo, kto nie wierzy w miłość, kto nie marzy o tym, że kiedyś wreszcie ją znajdzie. Miłość to największy skarb, jaki można dać i dostać. Miłość wszystko zwycięża. Boże, on przedstawiał to uczucie jak głupie marzenie pensjonarki i sznur na szyję mężczyzny.

- A co powiesz o twoich przyjaciółach, Elizabeth i Winstonie?

- Zgoda, przyznaję, że niektórzy ludzie, bardzo nieliczni, mają to szczęście, że znajdują miłość, ale wróćmy do twojej sytuacji. Ustaliliśmy, że nie masz wyboru i zostało ci bardzo mało czasu. Przypuśćmy, że miłość jest poza twoim zasięgiem. Czemu wiązać się z mężczyzną, którego będziesz ledwo tolerować? Wiem, że cię pociągam, Phoebe. Proponuję ci alternatywę.

Przypomniała sobie Sarah Hastings, słodką, niewinną dziewczynę, która zaślepiona namiętnością uciekła z dżentelmenem z Atlanty. Mężczyzna ten wykorzystał ją i porzucił jak

stary płaszcz. Sarah, nie mogąc znieść pogardy dawnych przyjaciół i własnych rodziców, rzuciła się z balkonu pod nadjeżdżający powóz.

Phoebe nie uważała się za istotę aż tak słabą nie była też na tyle głupia, żeby wierzyć, iż Badrick ma na względzie jej dobro. Określone konsekwencje wynikają zawsze z określonych działań. Wstała z kanapy i przeszła w drugi róg pokoju, żeby odstawić na stół niedopite sherry.

- Twoja, jak to nazywasz, alternatywa daje ci władzę nad moją przyszłością a mnie każe być na twoje zawołanie. Jest to alternatywa, która pozwala ci porzucić mnie, kiedy znudzi ci się moje towarzystwo, i pozbawia mnie możliwości dochodzenia jedynych należnych mi z urodzenia praw.

- Jako mężczyzna obarczony tego rodzaju prawami, mogę cię szczerze zapewnić, że byłoby ci lepiej bez obowiązków, które również odziedziczysz. A jeśli, podkreślam, jeśli, znudzę się twoim towarzystwem, będziesz mogła wrócić do Ameryki z przyzwoitymi dochodami, nawet bez Marsden Manor.

- A co z ciotką Hildegard? Jestem jej winna więcej niż tylko skandal wśród jej przyjaciół.

- Naprawdę troszczysz się o moralność przyjaciół swojej ciotki? Nawet ich nie znasz.

Uzbrojony w logikę i chłodną kalkulację był najwyraźniej gotów rozprawić się z każdym argumentem, jaki mogłaby przedstawić. Przez moment zastanowiła się, czy wszystkie swoje dotychczasowe kochanki najmował w taki sam rzeczowy sposób. Pewno tak. Jego postępowanie było idealnym przykładem opanowania. Wątpiła, żeby wielu ludzi, jeśli w ogóle miało to miejsce, widziało go kiedykolwiek na pozycji słabszego. Matko Boska, dlaczego tak się jej podobał?

- Jeśli tak się mną interesujesz, to czemu nie prosisz mnie o rękę? - spytała z wahaniem. - Czy małżeństwo ze mną byłoby takie straszne?

Przyglądała się swoim pantoflom, słyszała więc, ale nie widziała, że podszedł. Stojąc o kilka centymetrów od niej, nie dotknął jej.

- Nie z tobą, Phoebe. Nie chodzi o ciebie, ale o samo małżeństwo. Więzy małżeńskie są nie dla mnie. Nie będę ci robił fałszywej nadziei.

Choć jego głos zabarwiony był odcieniem ironii, wyczuła w nim żal, a nawet smutek.

- Mówisz o małżeństwie jak o wyroku śmierci.

- Dla niektórych małżeństwo tym właśnie jest.

- Dlaczego? Z pewnością musisz mieć powód.

Ścisnął grzbiet nosa palcami, jakby myśli kłębiące się w jego głowie wymagały zbyt wielkiej koncentracji.

- Wybacz moje ponuractwo. Wystarczy powiedzieć, że oddaję ci większą przysługę, proponując ci pozycję mojej kochanki niż gdybym ci się oświadczył.

Karząc się za poczucie zawodu, które targało jej sercem, powiedziała z fałszywą brawurą:

- Mniejsza o to. Nie jestem gotowa się sprzedać. Nadal zostają mi cztery tygodnie.

- Na zadanie, które jest ci nienawistne. Pozwól sobie pomóc. Chciałbym zatroszczyć się o ciebie.

- Przepraszam za to, co powiem, ale chciałbyś mnie zwabić do łóżka.

- To prawda, ale pociąga mnie coś jeszcze.

- Może chcesz mnie po prostu dlatego, że zraniłam twoją dumę, odrzucając propozycję.

- Różne rzeczy można o mnie powiedzieć, ale nie jestem głupcem. Nigdy nie związałbym się z kobietą której nie lubię, tylko po to, żeby uśmierzyć moją zranioną męskość. Zapewniam cię, że mam o wiele mniej szlachetne powody. Czy chcesz, abym tego dowiedział?

Wiedziała, że zamierza ją pocałować. I żadne drzewo nie blokowało jej tym razem drogi ucieczki. Prawdę mówiąc, ladacznica czy nie, ale czekała, nawet miała nadzieję na ten moment. Patrzyła na jego palce, długie i wypielęgnowane, błędzące po jej talii i drżała. Drugą dłonią ujął ją pod brodę. Kiedy jego wargi zbliżyły się, spotkała je w pół drogi. Ten pocałunek, bardziej zmysłowy niż pierwszy, zasiał w niej ziarno pożądania, i czuła, że wystarczy kilka pieśczoł, aby zakiełkowało i wyrosło. Jeszcze bardziej fascynujące było poczucie słuszności, kiedy przyłgnęli do siebie. Wielkie nieba, musiała przyznać, że podobały jej się pocałunki tego mężczyzny, a kiedy posługiwał się w ten sposób językiem, podobało jej się jeszcze bardziej. Przywarła do niego mocniej.

Ciche, ale nieustające pukanie położyło kres oszalamiającemu doznaniu. Zdumiona odskoczyła. Zawadziła ręką o stół, aż zabrzęczało stojące na nim szkło. Po chwili w drzwiach pojawiła się głowa Winstona. Jej druga ręka pozostała uwięziona w dłoni Badricka, który ani myślał jej puścić.

- Hm, hm - powiedział Winston głupkowato. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale Elizabeth domaga się, dość natarczywie, abyście oboje dołączyli do nas.

- Zapewnij Elizabeth, że panna Rafferty ma się dobrze. Przyjdziemy za trzy minuty.

Po odejściu Winstona Stephen znów przyciągnął Phoebe do siebie, za nic mając jej gniewne spojrzenie.

- Nie spiesz się tak z decyzją. Sprawa między nami jest niezłatwiona i ostrzegam cię, że mam zamiar użyć całej swojej siły perswazji, która jest znaczna, by skłonić cię do mojego sposobu myślenia. Możesz po prostu zmienić zdanie.

- A jeśli zażądam, żebyś zostawił mnie w spokoju?

- Byłabyś tak okrutna? Poza tym, czeka nas mnóstwo przyjęć. Kiedy ty będziesz biegać po Londynie w poszukiwaniu męża, z pewnością wiele razy natkniemy się na siebie.

Wydymając wargi z powątpiewaniem, wypaliła:

- Nie ty jeden masz dar perswazji. Kto powiedział, że to nie ja skłonię cię do zmiany zdania?

- Chcesz użyć waszych kobiecych forteli, żeby postawić na swoim? Hm. Przekonamy się, które z nas ma większą siłę woli? Ty czy ja? - Uśmiechnął się, słysząc to oczywiste wyzwanie. - Zdaje się, że kilka następnych tygodni zapowiada się dość interesująco. Chodźmy, zanim Elizabeth wyśle na poszukiwanie gwardię królewską.

Nie mówiąc nic więcej, zeszli ze schodów. Stephen trzymał Phoebe za łokieć, kierując ją w odpowiednią stronę.

- No i jesteśmy.

W chwili, kiedy weszli do łóża, Elizabeth odwróciła się na fotelu i spiorunowała Stephena wzrokiem.

- Wstydz się. Drugi akt zaraz się zacznie. Jak mam się poznać z panną Rafferty, skoro ty upierasz się, aby cały swój czas poświęciła tobie.

- Moja droga Elizabeth - zaczął Stephen. - Ku mej narastającej konsternacji, jestem prawie pewien, że znajdziesz okazję, żeby przesłuchać Phoebe do woli.

- Nie mylisz się - oznajmiła Elizabeth z uśmiechem potwierdzającym podejrzenia Stephena. - W sobotę odbędą się regaty Doggett's Coat and Badge. - Rozpromieniła się i mówiła dalej, jak dziecko poszukujące skarbu, rozradowane i niedające się powstrzymać: - Phoebe, musisz z nami pójść. To najbardziej zachwycająca rozrywka, oczywiście jeśli nie pada. Dosłownie wszyscy wybierają się popatrzeć.

- Na czym to polega? - spytała Phoebe, porwana żywiołowością Elizabeth. Nastrój minął. Stephen przysunął się bliżej Phoebe.

- Młodzi wiosłarze ścigają się od Mostu Londenckiego do Chelsea. Zwycięzca zdobywa prawo do noszenia ogromnego, purpurowego płaszcza z emblematem domu hanowerskiego. Będzie tam hałaśliwy tłum, zakłady o wysokie stawki, złodzieje kieszonkowi

i rabusie, przekupnie zachwalający swoje towary, żeby nie wspomnieć o kategorii rozmaitych rozczołkańców żeglujących po morzach.

Ton Stephena, przypominający kaznodzieję potępiającego grzechy miejscowej tawerny, kontrastował z entuzjazmem Elizabeth. Phoebe wybuchnęła śmiechem.

- To brzmi wspaniale.

- Mówiłam ci, że do nas dołączy. Przyślę po ciebie mój powóz około pierwszej. Poza tym, to może być jedna z nielicznych okazji, aby wyjść razem. Stephen rzadko pokazuje się w Londynie, a jeszcze rzadziej uczęszcza na publiczne zgromadzenia. Jest trochę samotnikiem.

- To ciekawe - zdumiała się Phoebe, mając w pamięci jego stwierdzenie, że będą się często widywać. Wyszło szydło z worka.

- Elizabeth - wycedził Stephen. - Bądź cicho. Przedstawienie się zaczyna. Elizabeth machnęła jedną ręką, a drugą poklepała pusty fotel koło siebie.

- Siądź koło mnie, Phoebe. Będziemy szeptać przez całą resztę opery i rozpraszać Stephena, który zacznie się zastanawiać, jakie tajemnice mogą ujawnić.

Phoebe usiadła na wskazanym miejscu, mając nadzieję, że Elizabeth okaże się zaufaną przyjaciółką zdolną ulżyć jej w samotności i służyć pociechą. W teatrze zapadła cisza, a Stephen, ociągając się, zajął miejsce za obiema damami, obok Winstona. Do końca opery Phoebe próbowała zrozumieć, co dzieje się na scenie lub co mówi do niej Elizabeth, która od czasu do czasu zadawała jej jakieś pytanie. Z całych sił starała się nie zwracać uwagi na Stephena, ale kiedy tylko spoglądała przez ramię, widziała, że cały czas ją obserwuje. Przyciągana jego wolą, oglądała się coraz częściej. Kącik jego warg uniósł się nawet do góry, jakby Stephen miał pewność, że dowiódł swojej racji lub uzyskał przewagę. Raz nawet drań posłał jej całusa. Kiedy opera dobiegła końca, Phoebe czym prędzej życzyła dobrej nocy Elizabeth i Winstonowi, a następnie ruszyła korytarzem, starając się jak najszybciej dotrzeć na drugą stronę teatru. Możliwe, że ciotka Hildegard była wściekła. W tłoku została przyciśnięta do Stephena który jej towarzyszył. Ciało Phoebe zdawało się tym nie przejmować. Wbrew rozsądkowi, który jak widać opuszczał ją w obecności Stephena, sama celowo otarła się o niego raz i drugi. Kątem oka obserwowała swojego towarzysza. Och, przystojny był jak diabeł. I czarujący w jakiś pełen godności sposób. Jednak jego awersja do małżeństwa zbijała ją z tropu, a on w dodatku nie miał zamiaru niczego wyjaśniać. Zastanawiała się nad tym, co powiedziała Dee, jakoby mogła zmienić jego zapatrywania na małżeństwo, jeśli rzeczywiście jest on mężczyzną, którego pragnie.

Zanim coś postanowi lub zaryzykuje złamane serce, miała zamiar dowiedzieć się o księciu Badricku czegoś więcej niż tylko to, że przy nim robi jej się siczka w głowie, a w

środku ciepły jabłecznik. Jeśli naprawdę mówił poważnie, lepiej poświęcić swój krótki i cenny czas innym zalotnikom. Elizabeth wydawała się być najodpowiedniejszą osobą która mogłaby pomóc Phoebe znaleźć odpowiedzi, jakich potrzebowała.

Kiedy dotarli do łoży Hildegard, ciotka przechadzała się tam i z powrotem, podczas gdy Charity, z ogromną, pomarańczową kokardą we włosach, siedziała, patrząc na własne kolana.

- Dobry wieczór, lady Goodliffe - powiedział Stephen.

Hildegard, zwrócona plecami do wejścia, spojrzała przez ramię i uniosła swoją spiczastą brodę odrobinę wyżej.

- Lord Badrick.

Skinął głową po czym zapytał:

- Jak idzie nauka akwareli, lady Charity?

Charity poruszyła się w fotelu i uderzyła kolanem o drewnianą poręcz, wywołując głośny dźwięk.

- Przepraszam - wymamrotała. Hildegard westchnęła i oznajmiła:

- Charity odkryła, że przedkłada kobiece powinności nad artystyczne głupstwa.

Słowa były cierpkie i pełne nagany. Twarz Charity wydłużyła się, a ona sama zgarbiła się w fotelu.

- Szkoda - powiedział Stephen. - Zdawała się czynić postępy.

- Też coś - prychnęła Hildegard. - Jak doszło do tego, że poznałeś moją siostrzenicę, lordzie Badrick?

Między Stephenem a jej ciotką panowała wrogość, oczywiście wyczuwalna dla Phoebe, która miała wrażenie, że rozgrywa się tu bitwa między tymi dwojgiem, rywalizującymi ze sobą o palmę pierwszeństwa. Niepokój targnął żołądkiem Phoebe, kiedy spróbowała pojąć powód tej wrogości. Chciała wytłumaczyć, jak poznała Stephena, ale widząc nieprzyjemne skrzywienie ust Hildegard, zrezygnowała. Postanowiła rozładować atmosferę, uśmiechnęła się więc promiennie i powiedziała:

- Prawdę mówiąc, cioteczko, to za sprawą lady Payley. Kiedy czekałam, aż wrócisz, przedstawiła mi się, a wraz z nią jej mąż i lord Badrick.

- Zrządenie losu, za które jestem niezmiernie wdzięczny - wtrącił Stephen, wykazując się elokwencją.

- O, doprawdy - skwitowała to Hildegard i z ustami zaciśniętymi w linię jeszcze węższą niż przedtem popatrzyła na Phoebe. - Sir Lemmer przyszedł z wizytą specjalnie, żeby się z tobą widzieć. Był bardzo rozczarowany, kiedy okazało się, że cię nie ma. - Zwróciła się

z powrotem do Stephena: - Dziękuję za odprowadzenie mojej siostrzenicy, ale teraz co innego wymaga jej zainteresowania.

Nic sobie nie robiąc z tej wyraźnej odprawy, Stephen oparł się o ścianę, założył ręce i nawet nie drgnął.

- Gdzie jest sir Lemmer? - spytał głosem pozbawionym jakichkolwiek cieplejszych tonów.

- Niestety, otrzymał wiadomość wzywającą go do domu.

- W takim razie pożegnam panie. Do następnego spotkania, panno Rafferty.

Phoebe, już znajdującą się na krawędzi wytrzymałości, stężała, kiedy uniósł jej dłoń do ust i przytrzymał wystarczająco długo, by skłonić do spekulacji i tak już podejrzliwy umysł Hildegard. Cholerny myszołów. On umknie, podczas gdy ona będzie musiała zostać i stawić czoło inkwizytorskiemu przesłuchaniu, które z pewnością jej nie minie.

Hildegard nie czekała długo.

- Nie zobaczysz się już z lordem Badrickiem.

- Przypuszczam, że ten dyktat ma jakiś szczególny powód?

- To przeklęty mężczyzna, który zaprzedał duszę diabłu. Jego przeszłość jest zdecydowanie skandaliczna, co zmusza go do życia w odosobnieniu. Mimo to pogłoski o jego występkach nie cichną.

- Ciociu Hildegard, o czym ty mówisz?

- Zła krew płynie w jego żyłach, co z tego, że błękitna. Jest niemoralny. Szuka flirtu tam, gdzie nie powinien. Zabiera do siebie małych chłopców, Bóg wie po co. Linia Badricków jest przeklęta i zła, a ten młody człowiek niczym nie różni się od swoich przodków. Zamordował swoją pierwszą żonę, kiedy nie udało jej się donosić córki. Jego druga żona uciekła, ratując życie, ale wytropił ją jak zwierzę i zabił. To tylko dwa przykłady, uświadom sobie. Jest wiele innych, ale nie będę brukać uszu mojej córki, wspominając o nich.

- Na litość boską, przecież nie wierzysz w te bzdury, prawda?

- Ten mężczyzna zniszczy ciebie i moją rodzinę. - Szttywna poza Hildegard świadczyła, że wierzy w każde oszczercze słowo, jakie wypowiedziała. - Trzymaj się od niego z daleka. Czy wyrażam się jasno?

Wielkie nieba. Phoebe chciała, bardziej niż czegokolwiek na świecie, sprzeciwić się, ale jak mogłaby powiedzieć cokolwiek na korzyść tego mężczyzny, kiedy sama wiedziała tak niewiele? Pomyśleć tylko. Morderstwo? Występki? Klątwy? Ugryzła się w język i zdusiła w sobie palącą potrzebę stanięcia w jego obronie. Skłoniła głowę. Wystarczy, jeśli jutro zacznie badać przeszłość Stephena Lamberta, księcia Badricka.

Światło słoneczne igrało w liściach drzew rosnących wzdłuż Park Lane, a powóz kierował się na południe, ku Tamizie. Phoebe była wdzięczna Elizabeth, że może być poza domem, z dala od ciotki. Rozsiadła się wygodnie na kanapce pokrytej miękką skórą w kolorze burgunda. Przez dwa dni musiała znosić nieustanne ataki ciotki na charakter lorda Badricka i najazd gości płci męskiej porównywalny z oblężeniem Nowego Orleanu przez Brytyjczyków. Zasłużyła sobie na tę małą przygodę. Poza tym, nurtowały ją pytania, na które zamierzała uzyskać odpowiedź, nim minie dzień. Wiedziała jednak, że prawdziwym powodem jej podniecenia jest perspektywa ujrzenia Stephena. Wzniosła twarz ku niebu i głośno westchnęła.

- Wyglądasz, jakby świat należał do ciebie - zauważyła Elizabeth. Uszczęśliwiona Phoebe odpowiedziała:

- Stwierdzam, że to absolutnie cudowne uwolnić się od tej kobiety na całe popołudnie.

Złapała się na tym, że wypowiedziała na głos swoje myśli. Jej niechęć do Hildegard to jedna sprawa, ale tak otwarte wyrażenie opinii na temat swojej rodziny to skrajna nieodpowiedzialność, zwłaszcza że ledwo poznała Elizabeth.

- Nie chodzi o ciotkę Hildegard... To znaczy... - Wyprostowała się, jakby dzięki temu jej słowa miały nabrać wiarygodności. - Ona świętego wyprowadziłaby z równowagi, ale...

W powozie zadźwięczał łagodny śmiech Elizabeth. Jej twarz, otoczona szeroką, różową wstążką przytrzymującą słomkowy kapelusz, jaśniała dobrocią.

- Nie płacz się tak. Twoja ciotka nie jest najprzyjemniejszą kobietą.

- To prawda, ale zawsze to rodzina i zapewnia mi dach nad głową. Powinnam być jej wdzięczna.

- Jak zajeżdżony koń, kiedy dostanie obrok. - Elizabeth czym prędzej zakryła sobie usta dłonią w białej rękawiczce. Wzruszyła ramionami i opuściła rękę. - Teraz ja się zapomniałam. Porzućmy temat twojej ciotki.

Phoebe skinęła głową, więcej niż chętna zapomnieć o nieprzyjemnościach ze strony ciotki i cieszyć się popołudniem. Powóz skręcił w stronę St James Park, włączając się w nurt ekstrawaganckich pojazdów i zwykłych wozów. Atmosfera naładowana była elektrycznością ludzie śmiali się i machali do siebie. Jacyś głupcy próbowali nawet ścigać się w tym tłumie. Phoebe czuła, jak radość ogarnia ją całą.

- Och, czy wszyscy jadą na te regaty?

- Możesz być pewna, ale nic nam nie grozi. Stephen z Winstonem pojechali przodem, żeby zająć nam miejsce. Wkrótce się z nimi spotkamy.

- To takie ekscytujące. Przypomina mi święta u nas w domu. Było cudownie. Odbywały się pikniki, ścigaliśmy się konno i na łódkach, urządzaliśmy tańce. Jedną z ulubionych zabaw mojego taty były zawody w jedzeniu arbuzów.

Wiedząc, że już nigdy nie podzieli z ojcem takich chwil, a może nawet nigdy nie wróci do domu, Phoebe straciła cały entuzjizm, ogarnął ją nastrój nostalgii.

Elizabeth położyła wiotką dłoń na ręce Phoebe.

- Wiem, jakie to musi być trudne. Kiedy umarł mój ojciec, strasznie za nim tęskniłam. Matka powiedziała mi, że zawsze będę o nim myśleć, ale pewnego dnia ból minie i zostaną tylko cudowne wspomnienia. Tak się stało. Potem poznałam Winstona. Wierzę, że znajdziesz w Anglii takie szczęście.

- Mam nadzieję.

- Wspaniale. A teraz dość ponurych myśli. Opowiedz mi, jak ci minął poranek.

- Był przygnębiająco nużący. Odkąd rozeszły się wieści o mojej sytuacji, drzwi się nie zamykają. Hildegard jest coraz bardziej zirytowana, Charity kuli się w sobie jak biedny ptaszek i boi się, że się potknie czy zająknie, a moja niania siedzi w kącie, złorzeczy i robi miny. Jestem po prostu wyczerpana całym tym zamieszaniem. Wielkie nieba, nie przypuszczałam, że aż tylu mężczyznom brakuje tytułu i funduszy.

Elizabeth zakręciła swoją różową parasolką od której odbijało się światło słońca.

- Proszę, nie zrozum mnie źle - powiedziała - ale niewykluczone, że niektórzy z tych mężczyzn przychodzą z ciekawości. Jesteś aktualnym *denier cri*. Moda.

- Akurat! Zeszłego wieczoru na balu tańczyłam z lordem, który rzeził cały czas i podpierał się laską po czym się oświadczył. Z tym tylko, że nie byłam pewna, czy prosi o rękę marmurowy posąg, przy którym stoi, czy mnie. Charity powiedziała, że on ma pięćdziesiąt dwa lata. Możesz sobie wyobrazić? Dziś z kolei rozmawiałam o pogodzie co najmniej czternaście razy. Moje ulubione gry w karty i kwiaty były tematami, które również cieszyły się powodzeniem. Popełniłam poważny błąd, wspominając o Napoleonie. Można było usłyszeć kichnięcie myszy.

- Niech nas Bóg broni rozmawiać na takie tematy - wyznała Elizabeth - żebyśmy nie narobiły sobie wstydu.

- Obawiam się, że popełniłam jeszcze gorszy błąd. Wspomniałam, że czytałam *Piektło* Dantego. Ciotka Hildegard omal nie spadła z krzesła. Ale ja nie zgadzam się odgrywać kury, która nie ma o niczym pojęcia.

- Masz rację. Na szczęście, w odróżnieniu od wielu mężczyzn, Winston lubi inteligentną rozmowę. Czy ktoś szczególnie cię zainteresował?

- Nie tak, jak miałam nadzieję. To jest dość zniechęcające. Sir Lemmer pojawia się w pobliżu przy każdej okazji, co cieszy ciotkę Hildegard niepomierne. Akurat dzisiaj wystraszył nieszczęsnego sir Ellwooda, który tak naprawdę wpadł z wizytą do Charity, ale wyszedł po pięciu minutach. Biedakowi udało się wyjść bez żadnego wypadku, a sir Lemmer tkwił przez dobrą godzinę.

Wzdrygnęła się, kiedy sobie przypomniała wyraz twarzy Lemmera, gdy tak siedział koło niej, nadęty jak zazdrosny mąż. Czy to w rzeczywistości, czy w wyobraźni, sposób bycia tego mężczyzny drażnił ją w bardzo nieprzyjemny sposób.

- Sir Lemmer nie ma miłego charakteru - powiedziała Elizabeth, z roztargnieniem machając parze w mijanym powozie. - Wiem na pewno, że zarówno Winston, jak i Stephen nie lubią go, a sir Lemmer nie cierpi Stephena, Radzę ci szukać męża gdzie indziej. - Zwróciła twarz w stronę Phoebe. - Będę okropną paplą i powiem, że moim zdaniem ty i Stephen moglibyście do siebie pasować. On potrzebuje żony.

- Zapewniam cię, biorąc pod uwagę tych kilka spotkań z nim, że nie zgodziłby się na to.

Elizabeth pochyliła się do przodu, jej parasolka ocieniła je obie.

- Nie był tak zajęty żadną kobietą od lat. On cię chce, ale boi się zaryzykować. Ten uparty głupiec jest moim bliskim przyjacielem, który zdaje się być skazany na odosobnienie i samotność. Wszystko z własnego wyboru. Ja natomiast wierzę, że on zasługuje na każdą odrobinę szczęścia, jaką tylko spotka na swojej drodze.

Dwie głębokie nuty rozbrzmiały w powietrzu, kiedy Big Ben wybił nową godzinę. Phoebe podziwiała gotyckie wieże opactwa westminsterskiego w oddali, zastanawiając się w duchu, czy drażyć dalej temat Stephena. Uznała, że lepsza okazja może się nie nadarzyć, ale przecież nie mogła tak po prostu zapytać, czy rzeczywiście zamordował swoje dwie żony. Jeśli w ogóle miał dwie żony.

- Skąd tak dobrze znasz Stephena?

- Nasze posiadłości graniczyły ze sobą. Choć jest o dziesięć lat starszy, dużo czasu spędzaliśmy razem jako dzieci. Po śmierci ojca przeniosłam się do majątku mojej matki, ale wciąż od czasu do czasu widywałam Stephena. Prawdę mówiąc, to on przedstawił mnie Winstonowi, mam więc wobec niego dług nie do spłacenia. Chyba że odwzajemnię mu się taką samą przysługą.

Teraz albo nigdy. Mając w pamięci wszystkie nikczemne plotki Hildegard, jakaś część Phoebe, prawdopodobnie jej serce, chciała zdyskontować wszystko, co słyszała. W końcu Elizabeth, przyjaciółka Stephena, powie jej prawdę.

- Czy Stephen był żonaty?

- Prawdę mówiąc, był. Dwukrotnie.

- Co się stało?

Elizabeth zapatrzyła się w stado gołębi nad głową, najwyraźniej zastanawiając się, jak odpowiedzieć na pytanie Phoebe. Wreszcie usiadła głębiej na kanapce i odparła:

- Miałam zaledwie trzynaście lat, kiedy Stephen poślubił Emily. Myślę, że kochał ją za szczęście i dobroć, jakie wniosła w jego życie. Przeprowadziliśmy się wkrótce potem. Emily umarła w następnym roku. Dwa lata później ożenił się z Louisa. Umarła następnej wiosny.

Phoebe zagryzła dolną wargę, potem wzięła głęboki wdech i wypaliła:

- Czy on je zamordował? - Elizabeth wytrzeszczyła oczy i otworzyła usta ze zdumienia. - Och, wybac, że tak mi się wyrwało, ale nie wiem, co myśleć i... no cóż... moja ciotka mówiła takie okropności.

Dochodząc do siebie po szoku, Elizabeth przyglądała się temu, co działo się wokół, gniewnie zaciskając wargi.

- Wyobrażam sobie, że nasłuchiwałaś się od Hildegard mnóstwa bzdur. Czasem ludzie z mojej sfery irytują mnie tak bardzo, że mam ochotę potępić ich wszystkich. Niestety, jeśli chodzi o pikantne historie dotyczące życia innych, towarzystwo jest równie pamiętliwe, co niedoinformowane. Pragnienie prywatności Stephena podsyca domysły. Za każdym razem, kiedy przyjeżdża do Londynu, plotki wybuchają na nowo.

- Proszę, muszę wiedzieć.

- Nie jestem pewna, czy potrafię zaspokoić twoją ciekawość. Stephen jest raczej mało mówny w kwestii swojej przeszłości.

- Niemy i uparty jak muł.

Elizabeth patrzyła na Phoebe z otwartą buzią po czym wybuchnęła śmiechem.

- Droga Phoebe, tak się cieszę, że się spotkałyśmy.

- Zazwyczaj jestem nieco bardziej taktowna, ale naprawdę muszę to wiedzieć. Czy on je zamordował?

- Oczywiście, że nie.

Chwała Bogu, pomyślała Phoebe. Powinna całkowicie zaufać instynktowi. Stephen nie był zdolny do morderstwa. Ale wszystkie te plotki musiały mieć jakieś logiczne uzasadnienie.

- Jak umarła Emily?

- To był jakiś wypadek niedługo po tym, jak Emily urodziła dziedzica Badricków. Stephen znalazł ją i maleństwo martwych w pokoju dziecięcym. A może to było w sypialni, nie wiem dokładnie gdzie. - Elizabeth przygryzała czubek palca.

- A co z Louisa? Hildegard powiedziała, że opuściła Stephena i dlatego zginęła.

- Ja natomiast wiem, że pewnej nocy spadła ze schodów. Przepraszam, że nie ma ze mnie wielkiego pożytku. Byłam w tym czasie na wsi, a Stephen nie chce o tym mówić.

- Hildegard wspomniała także o klątwie.

- Mój Boże. O tym Stephen mówi jeszcze mniej niż o swoich dwóch nieżyjących żonach.

Phoebe dostrzegła wahanie Elizabeth i nie była pewna, czy rzeczywiście tak mało wie, czy może chroni Stephena. Dotychczasowe informacje podsyciły tylko jej ciekawość co do przeszłości Stephena. Była nieustępliwa.

- Z pewnością masz dokładniejsze informacje niż moja ciotka.

- To ma coś wspólnego z jego pradziadkiem i Cyganką, która rzuciła klątwę na mężczyzn z rodu Badricków i ich małżeństwa.

- Czy Stephen naprawdę wierzy w takie nonsensy?

- Kiedy miałam osiem lat, Stephen pokazał mi pukiel włosów ze wstążkami, leżał u nich w szafie z trofeami myśliwskimi. Powiedział, że to jego dziedzictwo. Wiem, że jego ojciec w to wierzył i stał się zgorzkniałym, okropnym człowiekiem. Co do Stephena, to jeśli żyjesz z nieszczęściem dzień po dniu, rok po roku, jakaś część ciebie zaczyna wierzyć we wszystko, nawet jeśli poza tym jesteś inteligentnym człowiekiem. - Niecierpliwie wyrzucając w górę ręce, dodała: - Bez względu na to, czy klątwa istnieje, czy nie, on wierzy, że obie kobiety żyłyby, gdyby nie on.

- Och! A czy ty wierzysz w klątwę?

- Wiem, że żadna rodzina nie zasługuje na tyle nieszczęścia. Może niedowierzam, ponieważ życzę Stephenowi jak najlepiej. - Elizabeth obracała w dłoniach rączkę parasolki. - Skoro rozmawiamy tak otwarcie, powiesz mi coś?

- Jeśli potrafię.

- Czy ty go kochasz?

Ukrywając dłonie w fałdach niebieskiej, lnianej spódnicy, Phoebe jeszcze raz zastanowiła się nad pytaniem, które zadawała sobie przez kilka ostatnich dni.

- Czy można kochać kogoś, kogo się ledwo zna?

Sposób, w jaki Elizabeth machnęła ręką, powiedział Phoebe, że uznała pytanie za śmieszne. Jej oczy stały się rozmarzone, a uśmiech senny. Wyglądała jak kobieta zakochana.

- W chwili, w której ujrzałam Winstona, chciałam go poznać. Po trzech tańcach, czterech kieliszkach ponczu i partii wista byłam zakochana do szaleństwa.

Phoebe starała się zdefiniować swoje uczucia. Pamiętała duchowe pokrewieństwo ze Stephenem, jakie odczuła podczas pierwszego spotkania w gabinecie Wymana, ciepło, jakie ogarnęło ją w dole brzucha na sam widok błysku w jego ciemnych oczach, zapierający dech w piersiach pierwszy pocałunek, rozczarowanie, kiedy oznajmił, że nigdy się nie ożeni. Żaden mężczyzna nigdy nie przyprawiał jej o tak przyspieszone bicie serca, nie opanował jej marzeń, tak jak on.

- Ten mężczyzna w tym samym stopniu mnie pociąga, co denerwuje. Jest arogancki i tajemniczy, miły i inteligentny. Wkrada się w moje myśli dniem i nocą. Kocham jego oczy. O nieba, łapię się nawet na tym, że myślę o tym, w jaki sposób wymawia moje imię. - Złożyła ręce na kolanach. - Czy będzie z mojej strony głupotą próbować zdobyć jego serce?

- Mam nadzieję, że spróbujesz i ci się uda, ale muszę być szczerą. Stephen będzie się opierał. Bez względu na to, jak bardzo się postarasz, a nawet jeśli zdołasz rozkochać go w sobie, nie mogę zagwarantować ci małżeństwa. Jest w tej sprawie niezwykle uparty. Jeśli cię poślubi, nie ma gwarancji, że pozwoli sobie, aby cię kochać. Jeśli natomiast jesteś w stanie rozerwać żelazną obręcz wokół jego serca, a on zgodzi się na luksus szczęścia, rzuci ci świat do stóp. - Elizabeth, uśmiechając się, usiadła swobodniej na kanapce. - Doprawdy, pomogę ci, jak tylko będę mogła. Winston urządza za dwa tygodnie przyjęcie na wsi. Oczywiście Stephen przyjedzie. Możesz spędzić cały weekend na udowadnianiu temu człowiekowi, że byłabyś idealną...

Zanim Elizabeth zdołała skończyć zdanie, obie kobiety poleciały do przodu ze swoich miejsc, powóz bowiem gwałtownie się zatrzymał. Cały ruch uliczny stanął w miejscu. Na środku drogi siedział wychudzony muł, zaprzężony do wozu wyładowanego różnymi towarami i żywnością. Mały chłopiec, sześć - , najwyżej siedmioletni, ciągnął długą linę, próbując nakłonić stworzenie, by się ruszyło. Zbierający się tłum, zdezorientowany i powstrzymywany przez uparte zwierzę, wykrzykiwał obelgi i podpowiedzi, jak rozwiązać problem. Mężczyzna z dłońmi jak bochny kopał muła i kłął chłopca na czym świat stoi.

- Wielkie nieba, czy ten głupiec nie wie, że muł nie może uciągnąć takiego ciężaru?

- Pewno chciał skorzystać z okazji, że tylu ludzi przybędzie na regaty. Phoebe patrzyła z narastającym niepokojem na właściciela, który z grubym, rzemiennym batem w dłoni ruszył w kierunku chłopca. Łzy ciekły po policzkach malca, kiedy śmiało wskoczył pomiędzy muła

a mężczyznę, przyjmując na siebie cios wymierzony w zwierzę. Przed oczami Phoebe stanął obraz Neldy, młodej niewolnicy tam, w domu, na którą spadały niezasłużone razy. Ból, jaki poczuła Phoebe, kiedy stanęła na drodze następnego ciosu, powrócił także.

Ogarnęła ją wściekłość. Nie zastanawiając się dłużej, wyskoczyła z powozu i popędziła, by stanąć u boku chłopca, nim ten oberwie po raz drugi.

- Phoebe! - krzyknęła Elizabeth, po czym sama zeskoczyła na ziemię i pognała w ślad za Phoebe.



Z łokciem opartym na łąku siodła, Stephen uderzał skórzanymi rękawiczkami o udo.

- Jak myślisz, gdzie, u diabła, one są? Powinny tu być już dobry kwadrans temu.

Winston zmrużył oczy w blasku słońca odbijającym się w wodzie.

- Miło popatrzeć, jak nie możesz się doczekać. Nie widziałem cię w takim nastroju od bardzo dawna. To pozwala mi mieć nadzieję.

Stephen skrzyżował ramiona na piersi, nie mając ochoty wdawać się w dyskusję na temat, który przyjaciel starał się poruszyć przez ostatnią godzinę.

- Skończ z tym, Winstonie.

- Czy to w ten sposób zwabiasz te wszystkie kobiety do swojego łóżka?

- Jakie kobiety?

- No właśnie. - Winston uśmiechnął się, zadowolony, że znalazł punkt zaczepienia. - Przecież wiesz żywot pustelnika czy mnicha. Może gdybyś nieco złagodniał i przestał być taki cierpki, nie odstraszałbyś tak łatwo ludzi. - Popatrzył na Stephena i dodał: - Włączając w to pannę Rafferty.

Stephen, coraz bardziej niespokojny, zaczął krążyć, przystając co chwila, by rozejrzeć się wśród nadjeżdżających pojazdów.

- Troskę o Phoebe pozostaw mnie.

- Mam taki zamiar. Wiedz tylko, że służę ci pomocą w postaci moich zdolności dyplomatycznych i umiejętności negocjacji, gdybyś ich potrzebował. Jak wytłumaczysz swój słynny rodowód? Do Phoebe z pewnością dotrze plotka, i to niejedna.

- Wyobrażam sobie, że Elizabeth, której umiejętności manipulacji dorównują twoim, wyjawiała wszystko, co wie, a czego na szczęście nie ma wiele, kiedy tylko zostały z Phoebe same. Aż się pali, żeby przyłożyć rękę do tego, co jawi się jej jako większy plan, czyli do mojej przyszłości.

- To prawda, lubi się wtrącać.

Stephen zerknął przelotnie na Winstona, gotów przypomnieć przyjacielowi, co przystoi kobietom i mężczyznom. Tylko po co? Przyjaciel był beznadziejnie zakochany. Stephen jeszcze raz rozejrzał się po drodze i błoniach. Marszcząc brwi, zebrał wodze i z naturalną swobodą wskoczył na koński grzbiet.

- Zostań tutaj. Pojadę z powrotem i zobaczę, czy uda mi się odnaleźć damy. Może Cosgell ma jakiś kłopot.

Trzymając krótko wodze ogiera, Stephen powoli przeciskał się przez tłum. Dzięki Bogu siedział na koniu, a nie w powozie. Kilometr dalej wąska droga stała się bardziej przejezdna. Kiedy wyłonił się zza zakrętu, jego oczom przedstawił się chaos w swoim szczytowym momencie. Unieruchomione powozy były wszędzie. Pośrodku zamętu tkwił muł, który zdawał się już spoglądać na niebieską stajnię. Na ziemi walały się porozrzucone owoce. Niebezpiecznie przechylony na jedną stronę wóz groził przewróceniem się na skutek przesunięcia się ładunku. Lord Albuld, nadęty filistyn, rzucił jakąś rubaszną uwagę pod adresem kogoś, kto znajdował się w pobliżu muła, co wywołało chichoty i dalsze komentarze gapiów.

- Dziękuję, sir, ale nie przypominam sobie, żebym cię prosiła o radę w tej kwestii. Bądź uprzejmy pilnować własnych spraw.

Na dźwięk tego głosu, niewątpliwie kobiecego, włosy zjeżyły się Stephenowi na karku. Spiał Kawalera, każąc mu podjechać bliżej rozgrywającej się sceny, dzięki czemu mógł ujrzeć Phoebe z rzemiennym batem w dłoniach, stojącą między mężczyzną dwa razy większym od niej a małym chłopcem, którego z kolei prawie nie było widać między jej spódnicami a mułem. Co ona sobie myśli, ta głupia dziewczyna? Mogła zostać stratowana lub pobita, nie mówiąc już o wstydzie doznanym na oczach połowy londyńskiego towarzystwa, którego członkowie, siedząc w swoich powozach, dokonywali zakładów. Tamten brutal tylko czekał, żeby zaatakować.

Boże, konieczny jej był opiekun. Gniew jak gorączka ogarnął każde włókno jego ciała. Przymknął na chwilę oczy, odetchnął głęboko i zapanował nad sobą. Zsiadłszy z konia, podszedł bliżej. Elizabeth stała nieopodal, mnąc w dłoniach chusteczkę. Powinien się domyślić, że ona też tu będzie. Kiedy go zauważyła, miała czelność pomachać do niego. Nie do wiary. Niech to diabli, obie potrzebowały kogoś, kto by miał je na oku. Gdzie, u licha, jest stangret, Cosgell?

Nagle muł zmienił pozycję i zwałił się w stronę Phoebe i chłopca. Z ulicznikiem zaplątanym w spódnice, potknęła się i opadła na kolana. Właściciel towarów na wozie rzucił

się do przodu, wyciągając potężne ramię. Przez tłum przeszedł szmer. Stephen ruszył, gotów bronić Phoebe za wszelką cenę.

Ze zręcznością niespotykaną u większości kobiet i godną pozazdroszczenia przez większość mężczyzn, Phoebe podniosła się, strzelając jednocześnie z bata tuż przy lewym uchu handlarza. Stephen oniemiał ze zdumienia. Okrzyki i docinki gapiów pchnęły go jednak do czynu.

Natychmiast stanął za Phoebę.

- Nie sądzę, żeby dama życzyła sobie, aby ktoś bił chłopca lub muła - powiedział tonem, w którym brzmiała wyraźna groźba.

Phoebe odwróciła się gwałtownie, a gniew na jej twarzy ustąpił miejsca zdumieniu.

- Lord Badrick.

Wyczuł w jej głosie nawet odrobinę ulgi. Nie na długo, pomyślał.

- Panno Rafferty - skłonił się chłodno, nie mówiąc nic więcej. Wiedział, że nie czas na pouczenia, jakie miał na końcu języka. - Proszę do powozu.

- Najpierw muszę zatroszczyć się o chłopca.

Schyliła się, żeby przyjrzeć się ranom na ramieniu malca, zachowywała się jak troskliwa opiekunka. Handlarz odchrząknął. Jego beczkowata pierś nadymała się oburzeniem.

- Chwileczkę. Ta dama jest mi winna przeprosiny i pieniądze. Przez nią straciłem zwierzę i towar.

Gdyby to było w ludzkich możliwościach, oczy Phoebe miałyby strząły, kiedy wyprostowała się i stanęła naprzeciw mężczyzny, z rękami na biodrach, przytupując w gwałtownym tempie prawą stopą.

- Ty łajdaki nicponiu. Gdybym nie była damą zrobiłabym...

- Dołóż mu, panienko! - krzyknął mężczyzna z pobliskiego powozu.

- Stawiam pięć funtów, że da w papę tej damie - powiedział ktoś inny. Następny żartowniś zapowiedział donośnym głosem:

- Pięć funtów, że lord Badrick da w papę gościowi, a potem da w papę damie.

Gorączka zakładów na nowo ogarnęła widzów, podczas gdy Phoebe usiłowała wypatrzeć w tłumie tego, który rzucił tę obraźliwą sugestię. Stephen zgromił wzrokiem jednego z gapiów, a ten miał na tyle rozumu, żeby zamilknąć i usiąść. Usatysfakcjonowany taką reakcją Stephen zbliżył swą twarz do twarzy Phoebe i wyszeptał:

- Nalegam usilnie, abyś oddaliła się stąd i wsiadła do cholernego powozu, zanim zrobię coś, czego oboje będziemy żałować.

Czekał, a ona gwałtownie chwyciła powietrze. Oczy zrobiły się jej okrągłe, twarz czerwona. Elizabeth, która poczuła się na tyle bezpiecznie, żeby podejść bliżej, pociągnęła Phoebe za rękę.

- Chodźmy. Poznaję ten ton. Nie czas na dyskusje. On jest zły na nas.

- Nie tylko zły, Elizabeth - warknął Stephen. - Jestem wściekły.

- Cóż, nie mam zamiaru - mruknęła Phoebe. - A co z chłopcem?

- Ja się nim zajmę.

Zdawała się rozstrzygać jakąś kwestię wielkiej wagi, po czym skinęła głową. Z dumnie wyprostowanymi ramionami, niosąc swą godność jak tarczę, mamrotała pod nosem, idąc za Elizabeth do powozu. Część zgromadzonych wydała z siebie pomruk zawodu, że przedstawienie zakończyło się bez dodatkowego aktu przemocy, a oni przegrali zakład. Inni pozdrawiali przechodzącą. Za każdym razem, kiedy ktoś zwrócił się bezpośrednio do niej, Phoebe przystawała i uśmiechała się serdecznie. Jakiś pan, zadowolony z takiego obrotu sprawy, nawet ucałował jej dłoń. Pieniądze szybko przeszły z rąk do rąk między tymi, którzy poczynili perwersyjne zakłady o wynik incydentu. Ludzie naprostowali wóz i odciągnęli go ze środka drogi, aby rozładować zator.

Kiedy Stephen uznał, że Phoebe znajduje się już w bezpiecznej odległości, odezwał się do handlarza:

- Macie zwyczaj bić kobiety i chłopców?

- Wsadziła nos w nie swoje sprawy.

Krew Stephena wciąż wrzała. Niczego bardziej nie pragnął jak zdzielić tego prostaka za zwalanie winy na Phoebe. Jednakże w tym przedstawieniu niepotrzebne były dodatkowe sceny. Zaciśnął zęby i zwrócił się do chłopca:

- Jak ci na imię?

- Niels, sir.

Stephen przyklęknął na jedno kolano i złagodził ton głosu, żeby nie przestraszyć chłopca, który nerwowo przestępował z nogi na nogę.

- Co się stało, Niels?

- Ja i mama pomagamy czasem Jakesowi, jak potrzebujemy pieniędzy. Teraz okropnie potrzebujemy. Moja siostra jest słabowita. Mama gotuje, a Jakes sprzedaje to, co ona narobi, ale to jest mój muł. Angus się zmęczył i Jakes go bił. Ta pani nie dała, żeby nam zrobił krzywdę. Ona jest jak prawdziwy anioł.

- Owszem, jest. A teraz posłuchaj mnie uważnie. Idź pod numer 12 na Park Lane. Spytaj o Davelmana. Powiedz mu, że przysyła cię lord Badrick. Sprowadź swoją matkę i siostrę. Czekajcie tam, dopóki nie wrócę. Rozumiesz?

- Ano, sir. A co z mułem?

Stephen podniósł się i zmierzwił chłopcu włosy.

- Najlepiej będzie, jeśli go weźmiesz ze sobą.

- Dobrze, sir! - wykrzyknął chłopiec rozpromieniony. Handlarz poklepał Stephena w ramię.

- Ej, panie, nie możesz tego zrobić.

Stephen zareagował natychmiast. Chwycił mężczyznę za kołnierz postrzępionej kurtki i skręcił materiał, skutecznie odcinając mu dopływ tlenu.

- Już to zrobiłem. I słuchaj no, prostaku, bo bardzo się mylisz. Miałbym ochotę wybić ci parę zębów, jednak się powstrzymam. A na przyszłość radzę ci wybrać sobie za przeciwnika kogoś twoich rozmiarów, zamiast kobiet, chłopców czy zaniedbanych zwierząt.

Następnie Stephen cisnął handlarza jak śmieć i zabrał swojego konia. Patrząc na handlarza, który leżał na ziemi, nie mogąc złapać tchu, miał nadzieję, że tamten porwie się na niego. Rozpaczliwie pragnął komuś przyłożyć. Kiedy już przywiązał swojego wierzchowca za powozem Elizabeth, wsiadł i zajął miejsce naprzeciw obu kobiet. Oparł się i skrzyżowawszy ramiona, milcząco domagał się wyjaśnień.

Phoebe patrzyła na niego gniewnie.

- Co zrobiłeś z chłopcem?

- Odesłałem go do mojego domu.

- Po cóż to?

Spojrzał w jej podejrzliwie zmrużone oczy. Na jej twarzy malował się niepokój, bez wątplenia większy niż przed chwilą. Co, u diabła, ona teraz myśli?

- Chłopiec sprowadzi swoją matkę i siostrę. Umieszczę ich w jednej z moich posiadłości, żeby tam pracowali. Zadowolona?

- Z tego owszem. A teraz powiedz, czy mam ci podziękować za publiczne upokorzenie mnie?

Boże, miał ochotę udusić tę kobietę. Najpierw sama naraziła się, urządzając publiczny spektakl, a następnie obwinia go o swoje zachowanie.

- Oczywiście, że nie. Wszystko zawdzięczasz sama sobie. Mogę się tylko cieszyć. Twoje dzisiejsze zachowanie znacznie przeważało szalę na moją stronę. Myślę, że stosowne z twojej strony byłyby przeprosiny.

- Jeszcze czego, ty arogancki...

- Phoebe! - wykrzyknęła przerażona Elizabeth. Ton Stephena pozostał wyniosły i obojętny.

- Wszystko w porządku, Elizabeth. Ciekaw jestem usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Pochylając się do przodu, z twarzą ślicznie zaróżowioną, Phoebe spytała:

- Kazałbyś mi siedzieć i patrzeć, jak chłopiec dostaje baty? Stephen także pochylił się do przodu, niemal stykając się z nią nosem.

- Wolałbym, żebyś używała tej swojej ślicznej główki nie tylko do noszenia kapelusza. Kazałbym ci zostać tam, gdzie jesteś bezpieczna.

- Jak inni tchórze, którzy siedzieli w swoich powozach i przyglądali się, kiedy mężczyzna wielki jak biała bawełna bije małego chłopca?

- Doprawdy, Stephenie. - Elizabeth dłonią w rękawiczce delikatnie trąciła Stephena w ramię. - Nikt w ogóle nie przejął się trudną sytuacją chłopca, tylko tym, że przez niego spóźnią się na regaty.

- Zachowaj swoje wyjaśnienia dla Winstona. Jestem pewien, że będzie miał swoje zdanie w tej sprawie.

Phoebe uniosła brodę w niebo.

- Na litość boską, nie mieszaj do tego Elizabeth. - Znow zwróciła twarz ku Stepheneowi i przymknęła oczy, starając się utrzymać emocje na wodzy. - Znam to uczucie, kiedy jest się niesprawiedliwie ukaranym i osamotnionym wobec tego faktu. Ten chłopiec nie zasłużył sobie na baty. I tamto nieszczęsne zwierzę też nie. Ja czułam uderzenie bata, czułam ból. Wiem, jakie zostawia piętno.

To ostatnie oświadczenie wyzwoliło nieoczekiwaną falę czułości, wobec której gniew Stephena wydał się mały. Chęć udzielenia jej pouczeń znikła. Zapragnął uwolnić ją z ubrania, odkryć owo piętno i pocałunkami odpędzić przykre wspomnienia. Przejechał dłonią po twarzy.

- Rozumiem powody, dla których się wtrąciłaś. Podziwiam nawet twój hart ducha. Bóg wie, jak niewielu ludzi jest skłonnych stanąć po stronie słuszności, ale musisz pomyśleć, zanim wdasz się w coś takiego. Mogła ci się stać krzywda. I co chcesz zaproponować swojej ciotce jako wyjaśnienie, kiedy rozejdą się pogłoski o tej awanturze? Zapewniam cię, że plotka rozprzestrzeni się z ust do ust prędzej niż zaraza wśród owiec.

Zanim Phoebe odwróciła się, żeby spojrzeć, co dzieje się naokoło, z jej ust wydobyło się ciężkie westchnienie świadczące o tym, że pogodziła się z tą sytuacją.

- Wiem.

Wszyscy zamilkli. Stephen zorientował się, że dalsza argumentacja byłaby bezcelowa. Phoebe zdawała sobie sprawę z konsekwencji, ale i tak postąpiłaby drugi raz tak samo. Ma wielkie serce i wrażliwe sumienie, ale dopóki nie nauczy się kierować choć krztyną zdrowego rozsądku, bez przerwy będzie się pakować w niestosowne, stwarzające zagrożenie sytuacje. Cóż mu innego pozostaje, jak wziąć na siebie obowiązek dopilnowania, żeby nauczyła się ostrożności. Ta myśl doprowadziła go z powrotem do myśli wcześniejszej. Phoebe potrzebuje opiekuna. Jego.

A zatem jesteśmy. - Stephen zeskoczył na ziemię i pomógł Elizabeth wsiąść z powozu na rozległych błoniach. - Mam propozycję, abyśmy wyrzucili z pamięci ostatnie pół godziny i cieszyli się pięknym dniem. Ty, Elizabeth, możesz oczywiście zdecydować, czy wolisz opowiedzieć o wszystkim Winstonowi teraz czy później, jako że z pewnością powinien usłyszeć o twoich psotach. Stawiając na ziemi Phoebe, przycisnął ją do siebie i wyszeptał jej do ucha:

- Wszystko wybaczone?

- Nie jestem pewna. A ty jesteś zbyt śmiały, sir. Stephen nadal trzymał ją za ramiona.

- Dlatego, że cię pragnę?

Stojąc mocno na ziemi obiema nogami, przechyliła głowę.

- Pragnienie niczego nie gwarantuje, milordzie.

Zerknął przez ramię, aby ocenić, w jakiej odległości znajduje się Elizabeth. Stała o dobre dwa metry dalej, zwrócona do nich plecami, starając się dać Stephenowi i Phoebe chwilę sam na sam, co zrobiła dość ostentacyjnie, aczkolwiek był jej wdzięczny. Z uśmiechem odwrócił twarz Phoebe ku swojej.

- Kochanie, gwarantuję ci rozkosz, ale nie każ mi czekać zbyt długo.

- Kazać ci czekać? Ja nawet jeszcze nie zdecydowałam, czy dam ci szansę. Jej wargi wyduły się wdzięcznie, w sposób, jaki każe mężczyznom jego pokroju wielbić wszystko, co kobiece. Boże, jak on pragnął, żeby przystała na jego warunki. I to szybko. Nie mogąc się oprzeć pokusie, pogładził delikatną skórę jej szyi. Ku swej męskiej satysfakcji ujrzał błysk w oczach Phoebe i poczuł, że drży pod jego palcami. Powiódł kciukiem po dolnej wardze dziewczyny i powoli pieścił jej podbródek.

- Myślę, że już zdecydowałaś. Inaczej nie byłoby cię tutaj.

Oblizała wargę, której dotknął, przełknęła ślinę i cofnęła się na odległość, jaką uznała za bezpieczną.

- Elizabeth mnie zaprosiła. Nie pamiętasz? I muszę powiedzieć, że miałyśmy uroczą i dość pouczającą rozmowę.

Domyślając się przedmiotu subtelnej aluzji w głosie Phoebe, Stephen opuścił rękę. Nie spodziewał się utrzymać swojej przeszłości w tajemnicy, ale po latach, w ciągu których był na cenzurowanym i stanowił obiekt plotek, nie mogąc być pewnym reakcji Phoebe, czuł,

jak automatycznie, sam z siebie wznosi mur otaczający jego dumę. Czemu w ogóle opinia Phoebe miałyby mieć znaczenie?

- Doprawdy.

- Tak, w rzeczy samej. Chętnie przytoczyła fakty, które pewien znany mi dżentelmen uważa za nieistotne. Takie drobnostki, jak poprzednie małżeństwa, cygańskie klątwy i tego rodzaju sprawy.

Dokładnie tak, jak przypuszczał. Elizabeth miała niepokonany język, kiedy uważała, że ma rację, a według niej znalezienie mu żony było powodem usprawiedliwiającym wtrącanie się w jego sprawy. Nie wiedziała zbyt wiele, ale mógł się domyślić, co wyjawiała.

- Elizabeth musi się nauczyć powściągliwości - mruknął. Phoebe z wahaniem położyła mu rękę na dłoni.

- Ani ty, ani ja nie uciekniemy przed swoją przeszłością. Nie możesz też przewidzieć przyszłości.

- Ale moje działania zależą ode mnie.

- No właśnie. A ja oczekuję szczerości.

- Nigdy nie byłem nieszczerzy.

- Nie. Po prostu nie mówiłeś nic. - Zaciśnął zęby, jego twarz miała wyraz obojętny, pozbawiony emocji. Najwyraźniej temat był mu niemiły. Cóż, tym gorzej. Nie zamierzała poświęcać uwagi temu mężczyźnie, jeśli on woli kłamstwa od szczerości. - Nie jestem przyzwyczajona do tajemnic i zgadywanek. Jeśli w ogóle mamy mieć ze sobą coś wspólnego, oczekuję, że będziemy wobec siebie szczerzy.

Jak letnia burza na rzece, jego nastrój zmienił się gwałtownie i niespodziewanie. Linia ust złagodniała, a nawet zadrgała rozbawieniem, w oczach natomiast zabłyśły diabelskie iskierki.

- Ze wszech miar.

- Powiesz mi, co cię tak bawi?

- Właśnie przyznałaś, że moglibyśmy mieć ze sobą coś wspólnego. Uważam to za krok prosto w moje ramiona.

Ten piekielny mężczyzna potrafił, jakby nigdy nic, omotać ją i przekreślić wszystko, co mówiła.

- Nie to miałam na myśli.

- Każdemu wolno interpretować, jak mu się podoba.

Z szelmowskim uśmieszkiem, na widok którego przeszły ją ciarki z podniecenia, ułożył jej dłoń na swoim przedramieniu i poprowadził w kierunku Elizabeth.

- Doskonale, możesz się już odwrócić. Wydaje się, że Winston utknął w tłumie. Chodźmy.

Phoebe zastanawiała się nad wszystkim przez jakiś czas, by ostatecznie przyznać sama przed sobą, że Stephen miał rację. Jej serce i ciało wspólnie przekonały rozum, żeby zaryzykować z tym mężczyzną, bez względu na pozostające bez odpowiedzi pytania o jego przeszłość. Nic w tym dziwnego, skoro żaden spośród mężczyzn poznanych w ostatnim tygodniu nie pociągał jej ani trochę. Przygryzła dolną wargę, idąc między powozami stojącymi przy drodze gruntowej, tam gdzie pasażerowie zatrzymali się, żeby obserwować regaty. Handlarze, nie tracąc okazji, zachwalali swoje towary, podczas gdy mali chłopcy roznosili je po szerokich błoniach, gdzie na kocach porozsiadali się uczestnicy zabawy. Potrzebowała planu. I to dobrego, jeśli rzeczywiście miała zamiar za niego wyjść. Pokręciła głową. Pomyśleć tylko, że ludzie mogą uważać kogoś takiego jak on za zdolnego do morderstwa. A klątwa? Bujda. Czysty nonsens. Jeśli jedyną rzeczą stojącą jej na przeszkodzie do poślubienia tego mężczyzny jest głupia, stara klątwa, ona po prostu musi przekonać go, że to bzdura.

Winston stał obok wełnianego koca rozłożonego na brzegu rzeki i machał do nich. Butelka czerwonego wina i cztery kryształowe kieliszki upakowane były porządnie w wielkim, wiklinowym koszu, wraz z owocami i drewnianą skrzynką, w której znajdowały się pieczywo i sery. Phoebe usiadła naprzeciwko Elizabeth.

- Kiedy zacznie się wyścig? - spytała.

Stephen usiadł koło Phoebe i podparty na łokciu, wyciągnął przed siebie długie nogi. Nalał wina do czterech kieliszków.

- Wkrótce - odparł. - My akurat obejrzymy zakończenie regat. Zaczynają przy Moście Londyńskim: mają przed sobą siedem kilometrów ciężkiego, nużącego wiosłowania, aby wygrać możliwość noszenia symboli hanowerczyków.

- Kimże oni są? - spytała Phoebe, upijając łyk ze swego kieliszka. Winston, siedząc w pozycji będącej lustrzanym odbiciem poży Stephena, położył rękę na sercu, udając zdumienie.

- Na Henryka, dziewczyno, jeśli masz zamiar poślubić Brytyjczyka, musimy zadbać o twoją edukację. W 1715 roku tron objęła dynastia hanowerska. Dla uczczenia tego cudownego faktu Thomas Doggett, zwykły aktor, zapoczątkował te regaty.

- Dziś będziesz świadkiem historycznego wydarzenia, jak również kultywowania bardzo męskiej tradycji - dodał Stephen. - Dorośli mężczyźni zakładają się szaleńczo między sobą, a wiosłarze wkładają całe serce i siłę woli, by dopłynąć jak najszybciej do mety.

- Postaram się więc poświęcić im całą moją uwagę.

- Przepraszam, Stephenie - wtrąciła Elizabeth, uśmiechając się słodko. - Czy to nie lord Tewksbury i lord Hathaway?

- Tak.

- Phoebe, to wspaniale. - Elizabeth wręcz klasnęła w dłonie, ani na chwilę nie spuszczać z oka Stephena. - Podobno Tewksbury szuka żony. Co prawda nie jest on młodszym synem, nie potrzebuje też tytułów, ale cudownie nadaje się na męża. Lord Hathaway jest oczywiście odpowiedni i ma dwóch starszych braci, ale zastanawiałabym się nad jego kandydaturą. Ma opinię hulaki.

Grupa mężczyzn stojąca w pobliżu hałaśliwie wyrażała swoją radość, kiedy dwaj z nich podali sobie ręce.

- Który jest który? - spytała Phoebe, zdziwiona nagłym zainteresowaniem Elizabeth kandydatami na jej męża.

- Dżentelmen o włosach blond to lord Hathaway. Ten, który mu ściska rękę, to lord Ricland, hrabia Tewksbury. Wdowiec. Stephenie, koniecznie musisz dokonać prezentacji.

- Nie, nie muszę.

Elizabeth zmarszczyła brwi. Stephen, jak zwykle autokrata, milcząco rzucał wyzwanie, czy ktoś ośmieli się zakwestionować jego decyzję. Phoebe, stłumiwszy uśmiech, znowu zaczęła przyglądać się obu mężczyznom. Obaj byli przystojni, ale niestety, żaden z nich nie sprawiał, że ciało jej płonęło, a puls przyspieszał, do czego wystarczał sam uśmiech Stephena. Lord Hathaway i Tewksbury byli tego samego wzrostu, ale Hathaway wydawał się nieco szczuplejszy. Lord Tewksbury miał na sobie frak w kolorze marynarskim i ciemne spodnie, ubiór podkreślający szerokie ramiona i długie, muskularne nogi.

- Winstonie, pomachaj do panów.

- Elizabeth - powiedział Stephen, a jego irytacja była czytelna. - Daj spokój z Tewksburym.

- Co oni robią? - spytała Phoebe. Winston, milczący dotychczas, odpowiedział:

- Z tego co rozumiem, Tewksbury i Hathaway założyli się i każdy postawił po jednym ze swoich statków na wioślarza, którego sponsoruje. Wydaje mi się, że właśnie się umówili.

Z pewnością coś źle usłyszała. Jakiego rodzaju mężczyzna stawiałby tak wysokie stawki?

- Coś takiego. Statek?

Winston wygrzebał z kosza jabłko i wytarł je do połysku o rękaw fraka.

- Tak. Tego rodzaju zachowanie nie jest niczym niezwykłym, jeśli chodzi o Hathaway. Jestem zdziwiony, że Tewksbury przyjął zakład. Na ogół bardziej ostrożnie dysponuje swoim majątkiem.

- To ekscytujące - powiedziała Phoebe.

Stephen usiadł gwałtownie. Wyciągnął chleb z kosza i wymachiwał nim przed sobą, jak przedłużeniem ramienia.

- Powiedziałbym raczej, że bezdennie głupie.

Cóż, gdyby nie wiedziała tego, co wiedziała, przysięgłaby, że Stephen jest zazdrosny. Wydęła wargi.

- Hm. Jego włosy z pewnością mają fascynujący kolor.

- Jak mi wiadomo, ten kolor nazywa się rudym - powiedział Stephen, a w jego głosie z chwili na chwilę coraz wyraźniej pobrzmiwała cudowna irytacja.

- Wielkie nieba, nie - zaprotestowała Phoebe, nasycając te słowa całą swoją południową słodyczą. - To raczej połączenie szałwi z odrobiną cynamonu. Ciekawa jestem, jakiego koloru są jego oczy.

- Sądzę, że niebieskie - poinformował Winston. Stephen oderwał kawałek chleba z bochenka.

- Winstonie, czy musisz podsycać te głupstwa?

Winston wzruszył ramionami, Phoebe zauważyła, że jest to odruch charakterystyczny dla niego, i dalej jadł jabłko.

- Uwielbiam niebieskie oczy - zanuciła.

- Dość - parsknął Stephen. - Nie wybrałem się tu dziś, żeby rozprawiać o kolorze oczu innego mężczyzny. Zmieńcie wreszcie temat.

Elizabeth machnęła serwetką w kierunku Stephena, po czym z uśmiechem zwróciła się do Phoebe.

- W dodatku jest dość bogaty. Darczyńca wielu przedsięwzięć dobroczynnych i...

- Ja też jestem dość bogaty - dodał Stephen, usiłując, z wyraźnym wysiłkiem, nie stracić panowania nad sobą. Mój Boże, Elizabeth zachowywała się tak, jakby chciała uznać Tewksbury'ego za świętość. A co gorsza, wzbudziła zainteresowanie Phoebe tym mężczyzną. Nie miało to jakiegось decydującego znaczenia, ale nie pomagało mu. Z rozmarzonym uśmiechem na twarzy Elizabeth powiedziała:

- Ale pamiętaj o naszym zadaniu. Szukamy męża dla Phoebe. Stephen zmrużył oczy w wąskie szparki. Pociągnął, wcale nie lekko, za wstążki kapelusika Elizabeth.

- Bawisz się dziś moim kosztem, prawda, Elizabeth? Swatanie to zabawa dla zniedołężniałych, bezzębnych matron i niesfornych dziewczyn, które nie mają nic lepszego do roboty. Zostaw Phoebe i mnie nam samym.

- A to dlaczego? - Uniosła jasne brwi, a usta ułożyła w dziubek, którą to sztukę opanowała przez lata praktyki.

Stephen nabrał się na udawaną niewinność Elizabeth setki razy. Na ogół był w stanie wykryć taką przejrzystą taktykę. Tym razem wpadł w sidła jak bezrozumny zając. Szybko wytłumaczył sobie to potknięcie obecnością Phoebe. Zachowywała się grubiańsko, bezwstydnie okazując brak manier. Dama po prostu nie przygląda się tak obcemu mężczyźnie, będąc w towarzystwie innego, który siedzi obok. Stephen zapisał w pamięci, aby udzielić jej pouczenia na temat tego uchybienia przyzwoitości, kiedy będą sami. Wstał i zwrócił się ku Tamizie.

- Wystarczy. Przyszliśmy popatrzeć na regaty.

Czując się lepiej, zaczął obserwować zbliżające się piętnaście łodzi. Zwłaszcza trzy szły równo. Ogólne podniecenie przeszło w ogłuszający ryk, kiedy wioślarze minęli zakole, zbliżając się do mety na wysokości Królewskiego Szpitala w Chelsea. Stephen pomógł wstać Phoebe.

- Nadchodzi Tewksbury - oznajmiła Elizabeth radośnie.

Stephen spojrział przez ramię, by ujrzeć zbliżającego się hrabiego. Zauważył, że Phoebe też patrzy na mężczyznę, stał więc bez ruchu u jej boku, celowo bliżej niżby należało.

- Nie zwracaj na niego uwagi. Łodzie zaraz dopłyną do mety. Winston, krztusząc się ze śmiechu, wstał, Elizabeth również.

- Dzień dobry, Tewksbury.

- Miło was widzieć, Payley. - Tewksbury odwrócił się do Stephena. - Badrick.

Stephen skinął głową w odpowiedzi, podczas gdy Tewksbury przyglądał się Phoebe z niepokojąco szczerą uwagą. Do licha, cały ten dzień jest jednym pasmem irytacji. Wiedział, jak bardzo irracjonalne jest to odczucie, ale życzył sobie, aby ten mężczyzna odwrócił się i odszedł. Natychmiast. Zanim zostanie dokonana prezentacja.

Nic z tego. Elizabeth chrząknęła.

- Znasz moją żonę, Elizabeth - powiedział Winston.

Tewksbury nienagannie przywitał się z Elizabeth, po czym wyczekująco zwrócił się ku Phoebe.

- A to musi być słynna przyjezdna z kolonii.

Stephen, ociągając się, przedstawił Phoebe, która wyciągnęła rękę o wiele za gorliwie, by mogło mu się to spodobać. Stłumił chęć chwycenia jej dłoni i przytrzymania bezpiecznie przy sobie. Myśl o dłoni Phoebe zaledwie o parę centymetrów od jego przyrodzenia wywołała w wyobraźni Stephena tak kuszący obraz, że ciało zareagowało samo - zupełnie niestosownie do obecnych okoliczności. Było to bardzo kłopotliwe. Jęknął. Tego dnia nic nie układało się po jego myśli. W gruncie rzeczy, żadne z jego spotkań z panną Rafferty nie przebiegało tak, jak sobie zaplanował. Teraz musiał wręcz przypomnieć jej o swojej obecności. Przysunął się bliżej i wziął ją za łokieć.

- Wybacz nam, Tewksbury, ale przyszliśmy tu popatrzeć na regaty. - Stephen spojrzął wymownie na rzekę.

Starając się uwolnić rękę z uścisku Stephena, Phoebe odwróciła się i uśmiechnęła.

- Jak rozumiem, założyłeś się o wysoką stawkę, lordzie Tewksbury. Czy twój wioślarz prowadzi?

- Nie, ale na szczęście podopieczny Hathawaya jest jeszcze dalej. Jest to dla mnie pewna rekompensata.

- Chwała Bogu. Nie zniosłabym myśli, że straciłeś statek.

- Jesteś nad wyraz uprzejma, panno Rafferty.

Gotów puścić jej ramię, żeby nie wyjść na pajaca, Stephen opuścił rękę. Wyglądał jak rozwścieczony byk szykujący się do ataku. Po trzech głębokich wdechach mruknął w końcu:

- Raczej porywca, moim zdaniem.

- Przywołuję cię do porządku, lordzie Badrick - szepnęła Phoebe.

Wymieniwszy ze Stephenem groźne spojrzenia, odwróciła się, żeby popatrzeć na wyścig. Tamiza lśniła w słońcu. Mężczyźni całym ciałem napierali na wiosła, każde pociągnięcie posuwało ich łodzie do przodu. Entuzjazm narastał, kiedy jeden z młodzieńców zdobył się na ostateczny wysiłek. Jego niewielka łódka przepłynęła ostatni odcinek przed rywalami. Tłum wiwatował głośno. Phoebe nie przestawała krzyczeć, dopóki ostatni z zawodników nie minął linii mety, a wtedy pieniądze przeszły z rąk do rąk, handlarze zaś podjęli na nowo sprzedaż swoich towarów.

Stephen wymienił niemal wrogie spojrzenie z Tewksburym, jakby prowadzili jakąś sekretną męską rozmowę, w której niepotrzebne są słowa. Phoebe pomyślała, że wie, co jest jej tematem. Ona. Zła na Stephena, powiedziała:

- Lordzie Tewksbury, muszę o coś zapytać. Czemuż to nazwałeś mnie słynną przyjezdną z kolonii?

- Nie miałem na myśli nic obraźliwego, panno Rafferty. Twoja sława wyprzedziła ciebie. A po dzisiejszych wydarzeniach, połączonych z twoją wyjątkową sytuacją, można uznać, że w pełni zasługujesz na to miano. Gazety o tym piszą.

Winston wyraźnie oczekiwał wyjaśnień.

- Czy ktoś może mnie oświecić? - spytał.

- Nie masz się o co martwić, Winstonie - powiedziała Phoebe. Wiedziała, że każde działanie pociąga za sobą skutki. Przewidując problemy z Hildegard, wiedziała również, że cała ta sprawa ze sławą jest kompletnym nonsensem i wynikną z niej same kłopoty. Zerknęła na Stephena, by sprawdzić jego reakcję na tę najświeższą wiadomość. Patrząc na jego chmurną twarz, domyśliła się, że jest nie mniej uradowany niż ona. - Coś takiego. Wy, Brytyjczycy potraficie tworzyć plotki tak wielkie, że krowa by się udławiła.

Tewksbury się roześmiał.

- Droga panno Rafferty, poznawszy cię dzisiaj, całkowicie zgadzam się z innymi. Jesteś niezwykła.

Stephen skrzyżował ramiona na piersi.

- Dziękujemy za dobre słowo, Tewksbury. Przypuszczam, że Hathaway cię szuka. Miłego dnia.

Winston zakrztusił się winem, a Elizabeth przesłoniła sobie dłonią usta, by stłumić chichot czy okrzyk, tego Phoebe nie była pewna, ale też nie dbała o to. Była tak zdumiona grubiaństwem Stephena, że nie potrafiła z siebie wydusić słowa.

Po chwili, która zdawała się nieznośnie dłużyć, Tewksbury skłonił się lekko.

- Lord Badrick ma rację - powiedział, unosząc dłoń Phoebe do ust. - Jestem teraz potrzebny gdzie indziej. Wpierw jednak powiem, że postanowiłem urządzić małą, niezobowiązującą kolację we wtorek. Zaproszenia wyślę dzisiaj. Mam nadzieję, że przybędziesz, panno Rafferty. Do zobaczenia.

Phoebe popatrzyła na Stephena, który miał czelność uśmiechać się z samozadowoleniem. Pod spokojną powierzchnią gotowała się z wściekłości. Oczekała, aż Tewksbury oddali się, po czym powiedziała:

- Masz świetne samopoczucie. Powiedzieć, że twoje zachowanie było grubiańskie, to mało.

- Moje? Ha! Po wysłuchaniu twoich pochwał na temat jego zalet musiałem jeszcze patrzeć, jak pożera cię wzrokiem na moich oczach. Dlaczego mężczyzna musi tyle znieść?

- Nie masz do mnie prawa.

- Jeszcze nie.

- I nigdy nie będziesz miał, jeśli takie zachowanie jest przykładem... Winston odchrząknął i się odezwał:

- Przepraszam, dzieci, ale jeśli nie chcecie dodać publicznej kłótni do listy osiągnięć Phoebe, sugeruję zmianę tematu.

Miała ochotę tupać lub przynajmniej kopnąć Stephena w nogę. Jak on ją denerwował. Drań. A sądząc z drgania kącika jego ust, był zadowolony z siebie. Bezgranicznie. To spostrzeżenie pohamowało ją wystarczająco, by pomyśleć jak ziarno wykiełkowało w jej umyśle i nabrał kształtów planu. Tego właśnie planu, którego potrzebowała. Chodziło o to, by spędzać więcej czasu ze Stephenem Lambertem i uzyskać informacje z jego własnych ust. Chodziło o to, by dowiedzieć temu mężczyźnie, że jest on jedynym, którego powinna poślubić.

Udając, że się poddaje, podniosła ręce.

- Jeśli o mnie chodzi, zgoda. Zastanawiałam się - dodała po chwili - czy mogłabym prosić Winstona o przysługę.

- Jak najbardziej - oświadczył Winston.

- Jak dobrze wiesz, szukam męża. Ograniczyłam listę do kilku możliwości, ale prawdę mówiąc, niewiele wiem o tych mężczyznach.

- Listę możliwości? - powtórzył Stephen, marszcząc czoło zdezorientowany. Z pewnością się przesłyszała. Zostawił ją samej sobie na trzy dni, a teraz ona ma jakąś cholerną listę. - Od kiedy to?

Elizabeth przeskakiwała wzrokiem ze Stephena na Phoebe, potem na Winstona i znów na Stephena.

- To żadna niespodzianka - powiedziała wesoło. - Powinieneś widzieć, Stephenie, te wszystkie powozy stojące rzędem przed domem Hildegard. Jak już mówiłam Phoebe, ona jest w modzie. Mogę zrozumieć jej potrzebę konsultacji. Winston to logiczny wybór.

Oszołomienie Stephena szybko przeszło w irytację. Elizabeth stała się nowym celem jego gniewu.

- Ponieważ?

Phoebe protekcyjnie poklepała Stephena po ramieniu, tak jakby chciała uciszyć niesfornego młodzieniaszka.

- Wybacz, próbuję porozmawiać z Winstonem. - Po raz kolejny ignorując Stephena, zwróciła się do Winstona: - W każdym razie, zastanawiałam się nad tym. Czy zechcesz powiedzieć mi, który z tych dżentelmenów nadaje się, a który nie? Chodzi mi o to, że nie ufam opinii Hildegard. Ona poleca mi osoby w rodzaju sir Lemmera, który już zachowuje się tak, jak byśmy byli zaręczeni.

Zapominając o wszelkich pretensjach do panowania nad sobą, Stephen pochylił się do przodu.

- Trzymaj się od niego z daleka. Phoebe wyprostowała się sztywno.

- Uważam, że decyzja należy do mnie. W każdym razie...

- Ta mistyfikacja ci się nie uda.

- Jaka mistyfikacja?

Stephena ogarnął spokój. Pewien słuszności swej dedukcji uśmiechnął się z grymasem wyższości. Z rękami w kieszeniach spodni kiwał się na piętach.

- Ten nonsens z analizowaniem twoich potencjalnych zalotników jest próbą wzbudzenia we mnie zazdrości.

- Po co miałabym to robić? Ty już mi powiedziałaś, że nie ożenisz się ze mną.

- Powiedział? - spytała Elizabeth. - Kiedy?

- Nie twoja sprawa - burknął Stephen ze wzrokiem utkwionym w Phoebe. - Znasz moje intencje.

- Pewnie, że znam. A ty znasz moje - ton Phoebe zabrzmiał wyzywająco. - Jeśli Winston może mi pomóc, to niech tak będzie.

- To wspaniały pomysł - dodała Elizabeth z przesadnym entuzjazmem. - Przy okazji, Winstonie, zaprosiłam Phoebe na nasze przyjęcie. Będzie tam mnóstwo kawalerów.

Phoebe prowadzi z nim grę, tego Stephen był pewien. Rodzaj manipulacji, jaki Elizabeth ma w małym palcu. Miał dwa wyjścia. Albo wyłączyć się z tej sprawy, albo zadziałać jako jej pośrednik, co z kolei da mu czas i warunki, by namówić ją do zostania jego kochanką.

- Dlaczego Winston?

Elizabeth u boku Winstona ścisnęła męża za ramię.

- On zna wszystkich.

- Ja znam wszystkich - powtórzył Winston. Elizabeth cmoknęła kilka razy, kręcąc głową.

- Stephenie, ty o wiele za długo przebywałeś na wsi.

- Nieprawda.

Phoebe wyduła wargi, pogrążona w myślach. Zmarszczyła nos i rysowała niezrozumiały wzór na ziemi.

- Ależ Stephenie, gdybym nie wiedziała tego, co wiem, powiedziałabym, że proponujesz swoje usługi.

Stephen gładził wąża, przyglądając się Phoebe. Widział każdy niuans, każde drgnienie, każde mrugnięcie powiek. Możliwość, jaką sama mu podsunęła, była nazbyt kusząca. Przywrze do Phoebe jak cień, zawsze chętny ujawnić grzeszki despotycznych lordów z towarzystwa. Kiedy skończy, on będzie nagrodą wartą zdobycia.

- Jestem na twoje rozkazy. Pamiętaj. Zdobycz należy do zwycięzcy. Przedstawię również moje własne argumenty.

- Jakie argumenty? - spytała Elizabeth, klękając obok Winstona.

- Nie twoja sprawa - czym prędzej uciął Stephen. Elizabeth wrzuciła serwetkę do kosza.

- Co komu z podsłuchiwania, jeśli nikt nie chce rozwinąć tematu? Ignorując niezadowolenie Elizabeth, Stephen uśmiechnął się do Phoebe.

- Od kiedy mam się stawić na twoje usługi?

- Możemy zacząć od przyjęcia u lorda Tewksbury'ego. Ponieważ zostały tylko cztery tygodnie, czas mnie goni. Niebawem wyjeżdżam do Marsden Manor. Nie planowałam jechać tam przed ślubem, ale otrzymałam dziwną wiadomość od notariusza. Prawdę mówiąc, cieszy mnie perspektywa spędzenia kilku dni z dala od domu Hildegard.

- Gdzie się znajduje twoja posiadłość? - spytała Elizabeth.

- Gdzieś na południowo - wschodnim wybrzeżu, w pobliżu miasteczka o nazwie St Margaret's at Cliff. Podobno jest tam ślicznie.

- Niedaleko od Dover - zauważył Stephen. - Możesz stamtąd zobaczyć Francję.

Elizabeth przesunęła palcem po dolnej wardze.

- Mam pomysł. Zrobimy sobie przy tej okazji wypad. Winston i ja chętnie podejmiemy się roli osób towarzyszących. Możemy pomachać poczciwemu Bonapartemu.

- Wątpię, czy nam się zrewanżuje tym samym - mruknął Stephen.

- Jak już mówiłam, zanim mi tak niegrzecznie przerwano - kontynuowała Elizabeth, przygważdżając Stephena oskarżycielskim spojrzeniem - nie byłam na wybrzeżu od wieków. I podczas całej wyprawy będziemy mogli opisywać ci stosownych kawalerów. Co ty na to, Phoebe?

- Jedzie ze mną moja niania, ale... jesteś pewna, że moglibyście poświęcić mi tyle czasu? Wyprawa zajmie kilka dni. Nie wiem nawet, co...

Podczas gdy Elizabeth i Phoebe snuły plany, Stephen rozważał pomysł, który bardzo mu się spodobał. Być sam na sam z Phoebe z dala od Londynu, bez innych mężczyzn w zasięgu wzroku z wyjątkiem Winstona, który już był żonaty, to zbyt kusząca perspektywa, by zlekceważyć taką okazję.

- Uważam, że ten pomysł ma sens - oznajmił Stephen.

- Tak? - spytała Phoebe, wyraźnie zaskoczona.

- Bez wątplenia. Ja jestem twoim nowym swatem, prawda? To da mi dość czasu, by określić typ mężczyzny odpowiedniego na twojego męża.

- Wspaniale - podśpiewywała Elizabeth. - Ależ Phoebe, jeśli wszyscy weźmiemy się do pracy, zaraz stworzymy dla ciebie listę. Dodaj do tego weekend na wsi i niebawem będziesz nosić na palcu pierścioneł zaręczynowy.

Nie, jeśli on ma tu coś do powiedzenia, pomyślał Stephen. Zamierzał wykorzystać pięć dni z Phoebe dla własnych celów, zalecając się do niej i uwodząc ją, aby zgodziła się być jego.

Wziął ją za rękę i ucałował wnętrze dłoni.

- Czekam na te chwile, które spędzimy razem.

Phoebe zatknęła zaproszenie na wiejskie przyjęcie Winstona za dekolt porannej sukni. Dzięki Bogu, Siggers pamiętał, aby nie dawać go Hildegard. Od czasu przygody z mułem, która dała się utrzymać w tajemnicy przez marne sześć godzin, ciotka stała się zupełnie nie do zniesienia, a za jedyny cel przyjęła uprzykrzanie życia Phoebe. Szczęśliwie zbliżał się termin wyjazdu do Marsden Manor. Phoebe wciąż pamiętała pełną jadu tyradę ciotki na temat kolejnej pikantnej historyjki w „Timesie” łączącej ją z lordem Badrickiem. Zamieszczono nawet rysunek satyryczny z amerykańską flagą powiewającą nad głową Phoebe ciągnącej muła. Stephen, pod flagą brytyjską ciągnął z drugiej strony. Podpis głosił: Wojna? Znowu? A może błogosławiony węzeł małżeński, który połączy pannę P.R., naszą słynną przyjezdną z kolonii i D.B. Wobec nieustającej obserwacji, jakiej poddawała ją ciotka, i jej zmiennych nastrojów, Phoebe z ostrożności zarzuciła całkowicie poranne przejażdżki w Hyde Parku. Jakby tego było mało, podwoiła się liczba jej zalotników. Nowo zdobyty rozgłos dawał o sobie znać na każdym kroku. W gruncie rzeczy powinna być zadowolona. W końcu potrzebowała męża a im więcej zalotników, tym większa możliwość wyboru. Problem polegał jednak na tym, że wśród pukających do jej drzwi nie było Stephena.

Tęskniła za nim, za jego apodyktyczną postawą i szorstkimi uwagami. Drań. Nie widziała go od regat Doggetta, choć co noc nawiedzał ją w snach, dopełniając śmiałych fantazji palącymi pocałunkami i lubieżnymi pieszczotami. Nigdy dotąd nie miewała występnych myśli, w każdym razie nie takich jak te. Czuła się usprawiedliwiona, obwiniając go o swój stan rozedrgania. Musiała uciec. Rozpaczliwie tego potrzebowała. Próbując znaleźć sposób, jak opuścić dom bez nadzoru ciotki, Phoebe przystanęła w drzwiach pokoju śniadaniowego i patrzyła.

W holu stała Dee. Była sama. Z kieszeni swojego kwiecistego fartucha wyjęła zdechłą mysz i umieściła ją na trójnożnym stoliku, na którym Hildegard trzymała swoje skarby: robótkę hafciarską, okulary i „Timesa”.

- Dee, co ty robisz?

Dee, najwyraźniej zadowolona z siebie, zachichotała. Nakryła gryzonia rubryką towarzyską gazety.

- Chciałabym, żeby ta kobieta nigdy nie wróciła. Jest jeszcze podlejsza niż wdowiec Webster, kiedy przegrał w pokera z twoim ojcem swój najlepszy kawałek koniny.

Phoebe zmarszczyła nos.

- Muszę przyznać, że moja ciotka nie należy do najmilszych osób, jakie znam. Gdzie ona jest?

- Zaciągnęła tę nieszczęsną dziewczynę na jakąś lekcję śpiewu. Nawet chłopak od piekarza wiedziałby, że Charity w ogóle nie ma do tego talentu. Bardzo przygnębiające. To cud, że nie zamknęła się w pokoju na klucz, żeby nigdy nie wyjść. - Dee wzięła Phoebe pod brodę i uniosła jej twarz do góry. - Czemu taka smutna buzia?

- Nie sądzę, żebym zniosła jeszcze jedno popołudnie z gośćmi. Przyjęcie u Winstona jest w przyszłym tygodniu, a ja muszę jeszcze wymyślić sposób, jak poprosić Hildegard i przekonać ją żeby mi pozwoliła pójść.

Dee z uśmiechem uszczypnęła Phoebe w nos.

- Coś wymyślisz, kwiatuszku. Jak zawsze. Potrzeba ci po prostu trochę słońca, którego w tym mieście nie znajdziesz. Nigdy nie widziałam tak ponurego miejsca. Z drugiej strony jednak, przynajmniej nie pada. - Zatknąwszy sobie koszyk z rzeczami do naprawy pod jedno ramię, drugim otoczyła Phoebe i zawróciła w stronę kuchni. - Wiesz, dziecko, obiecałam Siggersowi, że pójmę za niego do rzeźnika, ale jakoś nogi mi okropnie dokuczają. Nie poszłabyś za mnie?

Ucieczka! To nic, że tylko na chwilę. Gdyby to było możliwe, Phoebe uśmiechałaby się całym ciałem.

- Wiesz, że pójmę.

Po paru minutach była już w pelerynie, w słomkowym kapelusiku ozdobionym śnieżnobiałymi stokrotkami, z listą sprawunków i pieniążkiem w ręce. Wypadła przez drzwi frontowe. Słońce ledwo przenikało przez mgłę zasnuwającą niebo, w powietrzu wisiała wilgoć, ale Phoebe nic sobie z tego nie robiła. Była wolna, przynajmniej na godzinę. I nie padało. Jak na skrzydłach przefrunęła uliczką w kierunku Hyde Parku, gdzie ludzie przechadzali się, korzystając z poprawy pogody. Niańki skrupulatnie doglądały powierzonych im dzieci, damy prezentowały siebie i swoje stroje w powozach, podczas gdy panowie pokazywali swoje wierzchowce. Złapała się na tym, że celowo zwolniła kroku, rozglądając się wokół w poszukiwaniu Stephena.

Co za pech, zamiast niego dostrzegła sir Lemmera, jak zwykle wystrojonego jak paw. Piękne piórka nie czynią ptaka pięknym, pomyślała i powstrzymała się, żeby nie wybuchnąć śmiechem z własnego żartu. Dosiadał czarnego ogiera, który robił bokami z wysiłku. Biedny koń pokryty był pianą i na skórze miał ślady świadczące o nadużywaniu przez jeźdźca ostróg. Niechęć Phoebe do tego mężczyzny rosła z każdym dniem. Odwróciła wzrok w nadziei, że ją minie.

- Kogóż my tu mamy? Dame z pewnością potrzebującą wybawcy.

- Dzień dobry, sir. - Ledwo skinąwszy głową, Phoebe szła dalej w swoją stronę.

Spiął konia, nakazując mu iść do przodu, na jej spotkanie. Nerwowe stworzenie zatańczyło, obracając się kilkakrotnie, zanim Lemmer wrzaskiem i silnym ściągnięciem wodzy nie zmusił go, aby się zatrzymało.

- Mógłbyś spróbować łagodniejszej ręki, sir. Uważam, że zaskarbienie sobie miłości zwierzęcia warte jest wysiłku.

Powoli przesunął wzrokiem po jej ciele w dół i w górę, zatrzymując się dłużej na jej piersiach. Pocierając palcem brodę, lekko rozchylił wargi i powiedział słodko:

- Okazuję dobroć, kiedy jest mi to na rękę. Przy odpowiedniej zachęcie będę więcej niż skłonny spełnić twoje marzenia.

Czuła się naga pod jego jawnie taksującym spojrzeniem. Nieomal się skrzywiła. Ten odrażający mężczyzna miał maniery świni i to nie byle jakiej świni, a takiej, która zachowuje się, jakby zdobyła zbyt wiele błękitnych wstęg na lokalnej wystawie. Powstrzymała się, żeby nie osłonić się rękoma.

- To zbytnia pewność siebie.

Odezwał się łagodnie, ale w jego głosie pobrzmiewało ostrzeżenie:

- Panno Rafferty, czy tak się mówi do przyszłego męża?

Nigdy nie była celowo nieuprzejma wobec tego mężczyzny, ale nigdy też nie dała mu najmniejszego powodu, by mógł sądzić, że jego awanse choć trochę jej pochlebiają. Uniosła brodę i powiedziała:

- Nie przypominam sobie, żebyś poprosił mnie o rękę ani żebym ja powiedziała tak.

Natarł koniem do przodu.

- To tylko kwestia czasu. Lord Badrick nie ożeni się z tobą. Wydaje się idealnym dżentelmenem, ale ja wiem swoje. Uważaj za błogosławieństwo, że masz mnie, abym cię przed nim chronił. Tak jak moja biedna siostra Emily, żony Badricka mają zwyczaj tajemniczo umierać.

- Emily była twoją siostrą?

- Badrick ci nie powiedział? Nie dziwi mnie to. Niewiele mówi o swojej przeszłości. Nie miej tego za złe temu gburowi. Czemu ktoś miałby opowiadać o czymś tak karygodnym, jak uwiedzenie niewinnej dziewczyny i morderstwo? Klątwa doprowadziła go do szaleństwa. Radzę ci, trzymaj się od niego z daleka. Jeśli chcesz, dopilnuję, żeby przestał cię nękać.

Phoebe zastanawiała się nad zdumiewającym faktem, że Stephen był spowinowacony z sir Lemmerem. Jak to się stało, że pominął tę informację? Słyszała już te śmieszne

oskarżenia o morderstwo, ale wiadomość o uwiedzeniu rzucała nowe światło na jego przeszłość. Niemniej jednak wątpiła, aby sir Lemmer był najlepszym źródłem informacji i nie miała zamiaru tkwić tam i spierać się z tym człowiekiem. Cofnęła się i rozejrzała wokół. Zorientowała się, że Lemmer, napierając na nią koniem, niemal wepchnął ją w gąszcz wysokich krzaków czarnego bzu. Nieprzyjemne uczucie znalezienia się w pułapce przejęło ją dreszczem. Przytupując prawą stopą zacisnęła dłonie na swojej torebce.

- Moja cierpliwość się wyczerpała, sir. Pozwól mi przejść. Uśmiechnął się leniwie. Rękojeścią jeździeckiego bata powiódł od jej ramienia do piersi.

- I stracić pierwszą okazję do pozostania z tobą sam na sam? - Przełożył nogę nad łąkiem siodła. - Nie ma mowy.

Phoebe wiedziała dość, żeby zdawać sobie sprawę, że Lemmer myśli o czymś, o czym nie powinien. Jeśli będzie nadal tak stała, on najprawdopodobniej spróbuje wprowadzić swoje zamiary w czyn. Wzdrygnęła się na myśl o jego ciele tuż przy swoim, o jego rękach dotykających jej tak, jak mu się podoba. Kiedy zawisł z jedną nogą w strzemieniu, chwyciła bat i pociągnęła z całej siły, pozbawiając Lemmera równowagi. Koń dokończył tego, co ona zaczęła. Uskoczył w lewo, zrzucając jeźdźca na ziemię po prawej stronie.

Lemmer zerwał się na nogi z twarzą wykrzywioną wściekłością. Strzepnął ziemię z bryczesów.

- Ty mała... Powiniennem...

- Masz kłopoty z koniem? Lemmer stężał.

Phoebe wyminęła konia i ruszyła w kierunku znanego i jakże pożądanego głosu. Awanse sir Lemmera ostatecznie nadwerżyły jej nerwy, co nie było rzeczą łatwą. Z wdzięczności mogłaby tu i teraz całować buty Stephena. Siedział w siodle całkowicie nieruchomo, zachowując wszelkie pozory spokoju. Zdawało się nawet, że nie oddycha, a emanujące z niego fale gniewu nasycały poranne powietrze niewygodną ciszą. Utkwił mroczne, dzikie spojrzenie w Lemmerze, któremu udało się znów dosiąść konia. Niemal szeptem powiedział:

- Ja się zaopiekuję panną Rafferty.

Ton jego głosu, spokojny lecz nieznoszący sprzeciwu, nie pozostawiał miejsca na spory.

Z fałszywym uśmiechem, który nie obejmował oczu, Lemmer zacisnął zęby tak mocno, że aż drgały mu policzki. Ściskając w dłoniach wodze, nakazał koniowi ruszyć w kierunku Phoebe.

- Bądź pewną panno Rafferty, że jeszcze porozmawiamy.

Nie, jeśli ona ma coś do powiedzenia na ten temat, ale nie była pewna, czy ma. Marzyła o tym, by koń zrzucił go na ziemię jeszcze raz i był uprzejmy go strącić. Przywołując całą arogancję, na jaką ją było stać, uniosła brodę w najbardziej wyniosły sposób i milczała, on zaś, spiąłszy konia ostrogami, oddalił się kłusem. Kiedy Lemmer zniknął z zasięgu wzroku, Phoebe w końcu zerknęła na Stephena. Z pewnością chciał na nią nakrzyczeć lub wygłosić wykład. Uśmiechnęła się radośnie.

- Ależ to lord Badrick. Co za miła niespodzianka. Zsiadł z konia, poruszając się sztywno i z rozmysłem.

- Wydaje mi się, że nieustannie muszę cię ratować z opresji.

- Nie pusz się tak. Przypadkiem zjawiłeś się na chwilę przedtem, zanim poradziłam sobie sama. I tak to ty wszystkiemu jesteś winien. Rozglądałam się za tobą, zamiast patrzeć tam, gdzie powinnam.

- Rozumiem, że w ten sposób chcesz uniknąć pouczeń. - Napięcie z wolna ustępowało z jego twarzy i ramion. Założył jej za ucho kosmyk włosów, który wymknął się spod kapelusza, pozwalając przy tym swojej dłoni dotknąć jej policzka. - Martwisz mnie, Phoebe Rafferty, dręczysz i nie dajesz spokoju.

Zniknął gdzieś wojownik, a jego miejsce zajął mężczyzna, który, jak się obawiała, skradł jej serce. Jedno muśnięcie jego palców i drżała jak pensjonarka. Odruchowo poddała się pieścizom i położyła dłoń na jego dłoni. Jego brązowe oczy pociemniały, nie z gniewu, ale z równie niebezpiecznego powodu. Była to żądza połączona z potrzebą. Jedno i drugie bardziej przekonujące niż Phoebe mogłaby sobie wyobrazić. Szybko opuścił rękę. Chwila, którą dzielili ze sobą minęła jak błysk robaczka świętojańskiego.

- Nic ci nie jest? - spytał.

- Mam się dobrze, ale dziękuję ci za interwencję w porę. Tego człowieka trzeba nauczyć manier.

- Już ci mówiłem. Trzymaj się z daleka od sir Lemmera.

- Chciałam, choć wydaje się, że on ma inne pomysły. Widzi siebie w roli mojego obrońcy.

Przechylił głowę na bok, w sposób jaki widziała już kilka razy, analizując w skupieniu to, co usłyszał.

- Doprawdy?

- W rzeczy samej. Myśli, że uratuje mnie przed podobnym losem, jaki spotkał jego siostrę, a twoją żonę. Zechcesz mi to wyjaśnić?

- Nie - uciął rzeczowo, wzruszając ramionami.

- Nie możesz mnie wiecznie unikać.

- Nie mam zamiaru unikać ciebie, tylko tematu mojej przeszłości. Starła się utrzymać nerwy na wodzy. Ten mężczyzna był gorszy od Tobiasa, kiedy chciał coś zachować w tajemnicy. Łatwiej byłoby sprawić, żeby trup zmienił zdanie. Aby dać Stephenowi do zrozumienia, co myśli o jego zachowaniu, prychnęła jak kotka, co zupełnie nie pasowało do zachowań damy. Odwróciła się i ruszyła przed siebie. Dogonił ją.

- Dokąd idziesz?

- Do rzeźnika i modystki.

- Mały spacer, tak?

- W ciągu ostatnich tygodni traciłam czas na herbatki, bale, prośzone kolacje i opery. Przywykłam do poważniejszych wysiłków. Skoro nie chcesz ze mną rozmawiać, spacer będzie miłą odmianą.

- Nieprawda, że nie chcę z tobą rozmawiać, ale ponieważ zdajesz się upierać przy tym i ponieważ znów wybrałaś się bez żadnej osoby towarzyszącej czy przyzwoitki, dotrzymam ci towarzystwa.

- Jakże wspaniałomyślnie z twojej strony, sir. - Czy ten mężczyzna nigdy nie pyta o pozwolenie? Chciała, by gniew jej nie opuszczał, naprawdę chciała, ale nie było na to szans. Przecież najbardziej na świecie pragnęła jego towarzystwa. Szli niespiesznie, Kawaler postępował za nimi. - Jeśli dobrze pamiętam, miałaś mi udzielać konsultacji w sprawie kandydatów do małżeństwa, a tymczasem zaniedbujesz swoje obowiązki. Wypchnął językiem policzek.

- Brakuje ci mnie?

- Jak odry z wysypką.

Kiedy roześmiał się, zawtórowała mu. Jego dobry humor był zaraźliwy. Brakowało jej Stephena, ale nie miała zamiaru przyznawać się do tego. I tak był zbyt pewny siebie. Zrezygnowała z kolejnych pytań, dlaczego nie było go przez trzy dni, i postanowiła po prostu cieszyć się jego towarzystwem.

- Zdajesz sobie sprawę, że twój mąż zabroni ci takiego zachowania, jak przechadzanie się samopas. Prawdopodobnie zabroni ci również porannych przejażdżek po parku, a może nawet w ogóle ograniczy twoje wyjścia.

- To raczej ja będę codziennie wystawiać jego cierpliwość na próbę.

- Wtedy on może spuścić ci lanie i zamknąć cię w twoim pokoju, co w oczach Izby Lordów będzie usprawiedliwione. W dzisiejszych czasach kochanki mają dużo więcej swobody. Wiedz, moja droga, że większość mężów oczekuje od żon o wiele większego

posłuszeństwa niż to, którym ty masz zamiar się wykazać. Nie lubią sprzeczek, nieważne, czy ich przedmiotem jest podarunek, posiłek, czy też strój. To im szkodzi.

- Stek bzdur, jakich w życiu nie słyszałam. Nie chcesz chyba powiedzieć, że to zagraża ich potrzebie panowania?

- Wszystko z troski o żony.

- Też coś! Wszystko z troski o dumę.

- Owszem. Jednakże jeśli mąż powie, że niebo jest zielone, będzie oczekiwał, że przynasz mu rację. Jeśli lubi ryby, zechce mieć na kolację dorsza. Jeśli nie podoba mu się aksamit, będziesz nosić jedwabie. Jeśli nie znosi Beethovena, będziesz grać Mozarta. Jeśli...

Uniosła dłoń, aby powstrzymać potok wymowy na temat powinności żony.

- Rozumiem, milordzie. Czy to wszystko jest spisane w jakimś kodeksie czy jakimś innym dokumencie tego rodzaju? Mogłoby się to okazać interesującą lekturą.

- Niech Bóg broni. Prawdziwy dżentelmen przychodzi z tymi cechami na świat, co czyni życie jego małżonki nieskończenie nudnym. Niewielu mężczyzn lubi dyskutować z kobietami na jakikolwiek temat. W odróżnieniu ode mnie, oczywiście.

- Oczywiście. - Łajdak. Był bezgranicznie zadowolony z siebie. Na jego uśmiech odpowiedziała uśmiechem. - Ty pozwoliłbyś mi nosić bryczesy?

- Codziennie, jeśli tak byś postanowiła.

- I jeździć samej w Hyde Parku, i dyskutować z tobą o Platonie i Sokratesie?

- To byłoby wielce ożywcze.

- Jadłbyś owsiankę i czarny pudding, tańczyłbyś w deszczu i pozwoliłbyś mi oszukiwać podczas gry w pokera?

- Z uśmiechem na ustach.

W duchu zadowolona z siebie, zarzuciła sobie torebkę na ramię i obserwowała wyraz jego twarzy.

- To dobrze. Zamierzam znaleźć męża tak niezwykłego jak ty, człowieka, który nie ma potrzeby sprawować władzy nade mną.

Odprowadzając ją do wyjścia z Hyde Parku, Stephen musiał się przyznać sam przed sobą do porażki.

- Jak zareagowała twoja ciotka na zaproszenie Winstona? - zapytał.

- Właściwie jeszcze jej nawet nie zapytałam o pozwolenie. Przystanął i spojrzał jej prosto w oczy.

- Mam nadzieję, że zamierzasz to uczynić niebawem. Wydłużyła krok.

- Gram na czas. Chcę o tym wspomnieć przed naszym wyjazdem do Mars - den Manor. Hildegard zrobiła się absolutnie koszmarna od czasu jak... cóż... - Kopnęła kamyk czubkiem pantofla. - Jestem pewna, że wiesz, dlaczego. Mam nadzieję, że wzmianka o nas w gazecie nie przysporzyła ci kłopotów. Można by się spodziewać, że ludzie mają lepsze rzeczy do roboty niż tracić czas na martwienie się o to, kto z kim przestaje w londyńskim towarzystwie.

- Kochanie, wcale mnie nie cieszy, że miałem rację co do incydentu z mułem, jeśli ta sprawa tak cię denerwuje. Wielu ludzi, którzy mają za dużo wolnego czasu, zaczyna czytanie gazety od rubryki towarzyskiej. Zapomnij o tym problemie. Coś wymyślę.

Idąc dalej, mówili o wszystkim, co przyszło im do głowy, począwszy od króla Jerzego, a skończywszy na cieście z jeżynami, które okazało się ulubionym ciastem Stephen. Wynajął nawet ulicznika do pilnowania konia, żeby pomóc Phoebe w zakupach. Chcąc jej pokazać, co może zyskać, jeśli zostanie jego kochanką, zaproponował kupno naszyjnika z pereł, nowego kapelusza, pantofelków i złotej spinki w kształcie mewy. Odmówiła przyjęcia każdego z osobna i wszystkich naraz prezentów, a kapelusz kupiła sobie sama. Zachwycona była każdą minutą, jaką spędzili razem.

Martwiła ją myśl o powrocie. Ciotka postawiła sprawę jasno. Książę Badrick nie był mile widzianym zalotnikiem. Liście tańczyły u jej stóp w porywach wiatru. Niebo przybrało ponurą, szarą barwę, a powietrze ciężkie było od wilgoci. Wszystko to idealnie odzwierciedlało jej nastrój. Wkrótce miało zacząć padać.

Zatrzymała się na rogu uliczki, gdzie stał dom Hildegard, chcąc zapobiec jakimkolwiek scenom, sięgnęła po pakunki, które niósł Stephen.

- Dziękuję za towarzystwo. Uroczo spędziłam czas.

Nie oddał jej paczek, przyglądając się badawczo twarzy Phoebe.

- O co chodzi? - zapytał.

Ciężka kropla deszczu spadła na czubek jej nosa, następna na czoło. Uśmiechnęła się nieśmiało, kokieteryjnie.

- Och, ja niemądra. Po prostu nie było mnie dłużej, niż się spodziewano. Lepiej będzie, jeśli się pospieszę. Miłego dnia.

Chwycił ją za nadgarstek i trzymał jak w potrzasku.

- Jesteś kiepską kłamczucha. Powiedz prawdę. Wykrztuś to.

Zaczął padać rzęsisty deszcz i ludzie posiadający choć odrobinę rozumu rozpierzchli się w poszukiwaniu schronienia. Ten uparty człowiek trzymałby ją pewnie w tej ulewie, dopóki nie nabawiłaby się zapalenia płuc, ale z drugiej strony, nie mogła mu przecież

powiedzieć prawdy. Wkrótce peleryna przykleiła się jej do ciała, woda kapłała z kapelusza, dwie malutkie stokrotki zwiesiły łebki z jego runda, poddając się deszczowi. Nadal nie chciał puścić jej ręki. Wzruszyła ramionami z rezygnacją.

- Jeśli już koniecznie musisz wiedzieć, moja ciotka za tobą nie przepada.

- Myślałem, że to coś ważnego. - Ruszył uliczką. - Nie przejmuj się takimi błahostkami. Chodź.

- Ona nie chce, żebym się z tobą widywała. W ogóle. Nie ma pojęcia, że będziesz mi towarzyszył do Marsden Manor i byłabym wdzięczna, gdyby ta wiadomość pozostała między nami.

- Zaufaj mi. Poradzę sobie z twoją ciotką. Teraz bardziej obchodzi mnie znalezienie suchego miejsca.

Chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę domu ciotki.

Zanim dotarli do frontowych drzwi, byli przemoczeni. Siggers pojawił się szybko i bez mrugnięcia okiem skierował ich do salonu. Odebrał paczki, obiecując powrócić z napojami i ręcznikami.

Stephen zamknął drzwi i zbliżył się na tyle, by móc pociągnąć za lok wijący się przy twarzy Phoebe.

- Wyglądasz ślicznie taka przemoknięta - powiódł palcem po jej policzku, pod brodą i po drugim policzku. - Jesteś piękna.

Tęsknota szarpnęła Phoebe.

- A Siggers? Moja ciotka?

- Wiem. Lepiej nie traćmy okazji. - Wtulił się w jej prawe ucho. - Przez kilka ostatnich dni nie myślałem o niczym innym. - Wzmocnił uścisk, przyciągnął ją do siebie, otoczył ramionami, a ich wargi się spotkały.

Ogarnął ją żar, każdy nerw ożył w oczekiwaniu. Zapomniała o deszczu, o dyktacie Hildegard, nawet o Siggersie. Namiętność walczyła z jej przytłumionym rozsądkiem. Przecież nie może pozwalać mu się tak całować, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Bez względu na pokusę. Czy nie powinni rozpalic w kominku, choć gorąco było ostatnią rzeczą, jaka jej była w tej chwili potrzebna? Stephen rozgrzewał ją lepiej i szybciej niż jakiś tam pocziwy ogień. Kiedy wsunął dłonie pod pelerynę Phoebe i objął ją w talii, jej piersi napęczniały. Przywierając do niego, starała się zrzucić winę na mokre ubranie, ale wiedziała swoje. Jej ciało pragnęło dotyku Stephena Lamberta. Mógł ją całować i nie tylko. Jakby czytając w myślach Phoebe, przesunął dłoń trochę wyżej. Powoli. Była pewna, że umrze z tego oczekiwania. Kiedy kciukiem łagodnie dotknął jej sutka, jęknęła. Nogi miała jak z waty, a całe ciało bolało ją w miejscach, w których nigdy nie przypuszczałyby, że to możliwe. W końcu dłoń Stephena znieruchomiała, przestali się całować. Phoebe, zaskoczona, jęknęła. Zmusiła się do otwarcia oczu.

- Och.

Stephen przytknął czoło do jej czoła.

- Dprowadzasz mnie do szaleństwa, kobieto.

Szaleństwo? Tak, ona też rozumiała to uczucie. Spazmatycznie przełykając ślinę, odsunęła się na odległość, która wydawała się jej bezpieczna, chowając się za wielki, gotycki

stół biblioteczny z paskudnymi, ozdobnymi nogami w kształcie smoków. Objęła się rękoma w pasie.

- Lepiej już idź. Moja ciotka zaraz wróci.

- Nie znoszę się powtarzać, a już ci mówiłem, że twoja ciotka nie stanowi zagrożenia.

Stephen nie miał zamiaru wyjść, zanim nie uzyska od Hildegard zapewnienia, że Phoebe przybędzie na przyjęcie u Winstona. Podszedł do kamiennego kominka, odsunął ozdobny ekran i poprawił polana ogrzewające pokój.

- Łatwo ci mówić - mruknęła pod nosem, zdejmując z głowy przesiąknięty wodą kapelusz, który położyła na stole. - Być może nie zdajesz sobie sprawy z rozmiarów jej niechęci do ciebie. Hildegard wygadywała okropne rzeczy, a ja nie mogłam nic powiedzieć w twojej obronie, ponieważ nie chcesz mi nic wyjaśnić na temat swojej przeszłości.

- Nie przypominam sobie, żebym prosił o jakąkolwiek obronę.

- Niemniej jednak mam wrażenie, że powinnam tak zrobić.

- Stawanie w mojej obronie nie jest mądrym planem. Mam zszarganą reputację. Niewielu ludzi zgodzi się z tobą, a co ważniejsze, narazisz się na ostracyzm.

- Coraz więcej powodów, aby powiedzieć mi to, co muszę wiedzieć.

- Daj spokój, Phoebe. Nie potrzebuję, żeby uparta, myśląca tylko o jednym kobieta rozgrywała moje bitwy.

- Uparta? - Wzięła się pod boki. - Ha! I to mówi mężczyzna, który woli odgrywać męczennika z powodu dwóch nieżyjących żon i głupiej cygańskiej klątwy.

- Uważaj, Phoebe. Nie wiesz, o czym mówisz.

- Wielkie nieba, to mi powiedz. Czy zamordowałaś Emily?

Rozdrażniony wyrzucił ręce w górę. Była gorsza od psa stróżującego, który capnął złodzieja za spodnie. Wiedział, że będzie warczeć i gryźć, dopóki nie odpowie jej na to pytanie albo nie ucieknie. Ucieczka nie wchodziła w grę. Z drugiej strony, odpowiedź przecież nie była trudna.

- Nie. Nie zamordowałem jej. Spadła z balkonu naszego domu. Po powrocie znalazłem ciało.

Phoebe stała jak wrośnięta, czubkiem stopy obwodząc wielki, różowy kwiat na dywanie. Zaczęła drżeć.

- Czy tak trudno było się ze mną tym podzielić?

Ukrył twarz w dłoni opartej na kolanie. Kobiety są niezaspokojone. Chcą duszy mężczyzny. Cóż, jego była nieosiągalna. Chciał jej to powiedzieć w momencie, kiedy przystojna Murzynka, najwyraźniej niania, o której mówiła Phoebe, z wdziękiem weszła do

pokoju, niosąc srebrną tacę z zastawą do herbaty. Wyraz zdecydowania na jej twarzy powiedział mu, że nad czymś się głęboko zastanawia.

- Co ty sobie myślisz, dziecko? - spytała Dee, stawiając tacę na stole. - Przemokłaś do suchej nitki.

Stephen stanął z ręką opartą na wielkiej, greckiej urnie.

- Ja tu zawiniłem.

Podczas gdy Stephen i Dee w milczeniu mierzyli się wzrokiem, Phoebe dokonała prezentacji.

- Cóż, nie mogę powiedzieć, żebym była pełna podziwu dla twojego sposobu troszczenia się o damę. Większość ludzi ma dość rozumu, żeby się schronić przed deszczem. Co masz na swoje wytłumaczenie?

- Dee. - Phoebe spojrzała groźnie na pokojówkę, przesyłając jej komunikat bez słów. Potem popatrzyła na Stephena z przepaszającym uśmiechem, który mówił: moja służąca nie mówiła poważnie. - Moja towarzyszka czasami martwi się o mnie aż za bardzo.

- To zrozumiałe - zgodził się Stephen niezrażony karcącym spojrzeniem kobiety. To oczywiste, że Dee troszczyła się bardzo o swoją panienkę i traktowała obowiązki poważnie. Nie mógł mieć do niej o to pretensji. Sam miał podobne uczucia w stosunku do Phoebe. - Wyznaję winę, Dee. Powiem tylko, że panna Rafferty oczarowała mnie. Rozsądek opuszcza mnie w jej obecności.

Ręce Dee znieruchomiały. Przechyliła głowę i uniosła hebanowe brwi na niewiarygodną wysokość, po czym posłała mu spojrzenie, które z pewnością powaliłoby mężczyzn słabszego charakteru.

- Co ty powiesz?

Stephen podszedł do stołu i nalał herbaty do dwóch filiżanek. Podał jedną Phoebe, a sam podszedł do okna i wyjrzał na ulicę.

- Właśnie tak. Towarzystwo panny Phoebe jest czarujące, co zapewne po części jest twoją zasługą.

- Tu akurat masz rację. Wychowywałam pannę Phoebe, odkąd przyszła na świat. Dokładnie wiem, jaka potrafi być czarująca. Wiem także, co mężczyźni tacy jak ty, panie książę, lubią robić z czarującymi kobietami, i jestem tu po to, żeby ci powiedzieć, że nie uczyłam jej, by zachowywała się jak głupia gęś bez krzty rozumu. Pamiętaj o tym.

Ostrzeżenie nie mogło być wyraźniejsze. Dee chroniła Phoebe tak, jak Winston Elizabeth: broniąc jej zapamiętałe, kiedy tylko wyczuje niebezpieczeństwo. Dee mogłaby się stać groźnym przeciwnikiem lub życzliwym sprzymierzeńcem. Musi to przemyśleć.

- Z pewnością będę pamiętał.

Wyzwoliwszy się w końcu z przemoczonej peleryny, Phoebe strząsnęła ją z ramion i wraz z kapeluszem przekazała w czekające w pogotowiu ręce Dee.

- Na wypadek gdybyście oboje zapomnieli, to ja wciąż jestem w tym samym pokoju. Jeśli wy...

Przeszywający krzyk, bez wątpienia kobiecy, dobiegł z holu. Phoebe zamknęła usta i przejechała dłońmi po twarzy, po czym spojrzała na Dee, która uśmiechnęła się z powodu, jaki Stephenowi, rzecz jasna, nie był znany. Kiedy ktoś, prawdopodobnie ciotka Hildegard, wrzasnął znowu, Phoebe zerknęła na Stephena i westchnęła. Jej oddech poruszył mokry lok nad czołem. Ze swojego miejsca na uboczu patrzył na drzwi.

Hildegard wtargnęła do pokoju, miała czerwone policzki i nadymała się z oburzenia. Jedną ręką przyciskała do szyi koronkowe obszycie jaskrawofioletowego płaszcza, drugą wymachiwała w przód i w tył, a jej biała chusteczka powiewała jak flaga oznajmiająca kapitulację.

Charity wślizgnęła się za matką, przyglądając się scenie z ostrożną, choć żywą fascynacją.

Hildegard stanęła i spiorunowała wzrokiem Dee.

- Ty...ty...

- Coś nie w porządku, madame? - spytała Dee, ściągając brwi, jakby nie wiedziała, o co chodzi.

Stephen domyślał się, że służąca dokładnie wie, o co Hildegard ma do niej pretensję. Zapowiadało się interesująco.

- Ty mi tu nie mów madame. Co to ma znaczyć?

Hildegard wskazała na Siggersa, który również pojawił się w drzwiach z obojętnym, wręcz spokojnym wyrazem twarzy. W ręce wyciągniętej na całą długość trzymał martwą mysz.

Dee uśmiechnęła się jeszcze szerzej, ukazując równe, białe zęby. Podbiegła do kamerdynera i wzięła od niego mysz.

- Na litość boską, lepiej to wyrzucę. Gdzie znalazłeś tego gryzonia?

- Wiesz równie dobrze jak ja - warknęła Hildegard. Słowa pospiesznie wydobywały się z jej ust. - To jedna z twoich sztuczek. Specjalnie położyłaś to koło mojego haftu.

- Ja? - Dee podrapała się w głowę. - Wielkie nieba, zupełnie nie pamiętam.

- O nie. Nie tym razem. Mam tego dość - oznajmiła Hildegard, tupiąc ze złością. Odwróciła się do Phoebe. - Ty, młoda damo, jesteś odpowiedzialna za to obrzydlistwo.

Wyobrażam sobie, że twój ojciec także pozwalał służbie na takie upiorne zachowanie. Ja nie. To jest mój dom. Będę...

- Cioteczko - przerwała jej Phoebe.

- Co? - burknęła Hildegard, ledwo się powstrzymując od kolejnego wybuchu.

Phoebe ruchem głowy wskazała róg pokoju, kierując uwagę ciotki na Stephena.

- Mamy gościa.

Hildegard tak szybko odwróciła głowę, że gdyby nie stała w rozkroku, upadłaby, zmieniając się w bezładną stertę tkanin w kolorze żółtawym i fioletowym.

Stephen podziwiał hart ducha Dee. Pokojówka z przyklejonym do twarzy niewinnym uśmiechem przyłączyła się do niego, co oczywiście zirytowało Hildegard jeszcze bardziej. Ledwo udało mu się ukryć uśmiech.

- Dzień dobry, lady Goodliffe.

Gniew malujący się na jej twarzy szybko przeszedł w dezaprobatę, po czym w coś, co można by nazwać serdecznością. Prawie. Nie była wcale zadowolona, że go tu widzi.

- Lordzie Badrick. Zaskoczyłeś mnie nieprzygotowaną. Jak już się z pewnością zorientowałeś, miałam trudny dzień.

- Tak to już jest. Każdemu się zdarza, że zaczyna dzień tylko po to, żeby się przekonać, że lepiej było nie wstawać z łóżka. Dzień dobry, Charity. Ślicznie wyglądasz.

Charity udało się dygnąć.

- Charity, przestań się czaić w holu i usiądź. - Hildegard nawet nie spojrzała na córkę, miała usta ściągnięte irytacją i patrzyła uporczywie na Dee. - Ty możesz odejść. Omówimy tę sprawę później.

- Oczywiście, madame. Chodź, Siggers. Widzę, że potrzebujemy więcej herbaty dla tych wszystkich osób.

Hildegard wetknęła chusteczkę w rękaw sukni i usiadła na szezlongu w purpurowe i różowe kwiaty, naprzeciw Charity, która przecupnęła sztywno na krześle obitym takim samym materiałem.

- Wybacz moje błahе problemy, wasza łaskawość. Czemu zawdzięczamy tę wizytę?

- Panna Rafferty nic nie powiedziała? Hildegard spojrzała groźnie na siostrzenicę.

- Najwyraźniej umknęło mi coś ważnego.

Oskarżenie promieniowało z jej oczu. Rzeczywiście ta kobieta była nie do zniesienia. Współczuł każdemu, kto musiał cierpieć jej towarzystwo przez dowolnie długi czas, a zwłaszcza Phoebe, Hildegard bowiem jawnie manifestowała niechęć do niej. Phoebe zajęła

się swoją filiżanką, a następnie podeszła do kominka. Jak widać, nie zamierzała udzielać wyjaśnień, nie mając pojęcia, do czego on zmierza. Sprytna dziewczyna. Stał obok Phoebe.

- Prawdę mówiąc, nie jest to aż tak ważne. Zaproponowałem jej moje usługi jako doradcy w sprawie poszukiwania męża.

- Nie widzę potrzeby, wasza łaskawość. Udzielanie rad to mój obowiązek, do którego jestem w pełni przygotowana.

- Oczywiście - zgodził się ochoczo, przyglądając się stojącej na półeczce nad kominkiem srebrnej wazie z dwójgiem uszu, bogato zdobionej motywami w stylu egipskim. Podboje są kwestią strategii i wyczucia właściwego momentu. - Cóż za nadzwyczajne dzieło sztuki.

- Tak się składa, że to jedna z moich ulubionych. Stworzona przez Paula Storra.

- Tak mi się zdawało, że poznaję jego robotę. Storr jest utalentowany, ale wróćmy do tematu. Kobiety są doskonałymi sędziami charakterów, ale mężczyźni często znają nawyki innych dżentelmenów, o których kobiety nie wiedzą. Mając ciebie, lady Goodliffe i mnie jako doradców, panna Rafferty znajdzie idealną partię, a jestem pewien, że właśnie tego dla niej szukasz.

- W rzeczy samej.

- W końcu więzy rodzinne zobowiązują nas na zawsze. Wiem, że twoim gorącym pragnieniem jest zapewnienie swojej jedynej siostrzenicy wszelkiej możliwej pomocy.

- Robię, co w mojej mocy.

Przysięgłby, że słyszy zgrzytanie zębów Hildegard dobywające się zza warg złożonych w ciup. Lady Goodliffe nie podobała się ani ta rozmowa, ani jego rola w tej sprawie. Phoebe z kolei wydawała się zadowolona, mogąc w milczeniu stać z boku. Stephen klasnął w rękę.

- Wspaniale. Sprawa załatwiona. Przynoszę zaproszenie od lorda Payleya na przyjęcie na wsi w przyszły weekend. Mniemam, że będzie tam obecnych wielu odpowiednich lordów.

Hildegard wyprostowała się, odzyskawszy nagle pewność siebie.

- Mamy już plany. Poza tym to o wiele za późno, aby przyjąć zaproszenie. Powinniśmy otrzymać i odpowiedzieć na takie zaproszenie kilka tygodni naprzód.

Jak konspirator, Stephen zniżył głos do szeptu.

- Kto to wie, lady Goodliffe? Czy nie otrzymałaś i nie przyjęłaś zaproszenia lorda Tewksbury'ego zaledwie dwa dni temu?

- To co innego, wasza łaskawość - udało się jej wykrztusić. - To tylko proszona kolacja, a nie wyjazd na weekend, wymagający ogromnych przygotowań.

- Drobną niedogodność, nic więcej, dla kobiety o twoich zdolnościach. Oczywiście towarzyszka Phoebe może przybyć wraz z nią, jak również ty i panna Charity, jeśli ma ochotę. - Zwrócił się bezpośrednio do Charity: - Jestem pewien, że Eustace Ellwood będzie tam również. Słyszałem pogłoski, że z zainteresowaniem spogląda w twoim kierunku.

Chyląc lekko głowę, Charity skuliła się na krześle, spoglądając to na Stephena, to na Phoebe, to na matkę, by w końcu utkwic wzrok w podłodze.

Biedna dziewczyna była bardziej płochliwa niż młody żrebak. Mimo zdenerwowania, jej oczy błyszczały radością.

- Zapomnij o Ellwoodzie - rozkazała Hildegard. - Rozważam kandydaturę lorda Hadlina.

- Ależ matko, on już był żonaty cztery razy i jest stary.

- Jest także bogaty. Uważaj to za błogosławieństwo, że chce młodej, silnej żony, aby mu urodziła dziedzica.

Stephen z trudem ukrył niesmak. Wiedział, jakim interesem jest korzystna partia. Taki jest porządek rzeczy. Jego nagłe zainteresowanie losem Charity zaskoczyło go samego, ale Hadlin miał co najmniej czterdzieści osiem lat, trudny charakter i upodobanie do dziewczyn w dowolnym wieku. Mógł sobie dysponować pieniędzmi, ale rzadko wydawał je na swoje żony. Jego kochanki, których miał wiele, były dużo szczęśliwsze. Ale to nic nie obchodziło Hildegard. Chciała tylko prestiżu, jaki zapewniłoby jej zamążpójście córki.

Uśmiechając się do Charity, co było oczywistą próbą podtrzymania jej na duchu, Phoebe powiedziała:

- Może inni lordowie, których musimy poznać, przyjadą tam również.

- Bez wątpienia, panno Rafferty - przyznał Stephen, znużony już tą grą. Czas użyć autorytetu, jaki dawało mu posiadanie tytułu. - Jestem pewien, że twoja ciotka zdaje sobie sprawę, że postawi się w niekorzystnej sytuacji, jeśli nie przyjmie tego zaproszenia. Czyż nie tak, lady Goodliffe?

Hildegard kilka razy złożyła i rozłożyła ręce, kilka razy też odchrząknęła. Na jej wargach pojawił się nikły uśmiech.

- Oczywiście przyjmujemy zaproszenie. Nieroztropnie byłoby postąpić inaczej. Poinformuję lorda Payleya, czy będę towarzyszyć Phoebe czy nie. - Wstała z szeszlona, jej ruchy były precyzyjne i sztywne. - A teraz proszę wybaczyć. Siggers odprowadzi cię do drzwi.

- Żegnam panie. - Zwracając się do Phoebe, wyszeptał: - Zamknij buzię, kochanie, otworzyłaś ją ze zdumienia. Mówiłem ci, że ciotka to najmniejsze z twoich zmartwień. - Ujął dłoń Phoebe i złożył na niej pocałunek. - Do wieczora, panno Rafferty.

Skinął głową Charity, po czym podszedł do drzwi, w których nagle, jak za dotknięciem różdżki, pojawił się Siggers. Z ironicznym uśmiechem i mrugnięciem oka Stephen opuścił pokój.

- Wielkie nieba - wymamrotała Phoebe, nie wiedząc, czy ma się cieszyć czy martwić.

Paskudny nastrój Hildegard zalegnie jak ciemna chmura przynajmniej do końca dnia, jeśli nie na resztę tygodnia. Gotowa skakać po pokoju na myśl o ucieczce do Marsden Manor, Phoebe przypomniała sobie o Charity. Biedactwo. Znajdowała się w o wiele gorszej sytuacji niż Phoebe. Phoebe miała przynajmniej coś do powiedzenia w kwestii wyboru małżonka. Teraz okazało się, że Hildegard planuje sprzedać Charity za najwyższą cenę, a Phoebe wątpiła, czy kuzynka miałaby dość siły woli, żeby okazać nieposłuszeństwo.

- Nie jesteś podekscytowana? - spytała Phoebe.

- Matka na pewno znajdzie powód, żebyśmy zostały w domu. O Boże, co ja mam zrobić? Lord Hadlin jest... on...

- Twoja matka jeszcze nie oddała mu twojej ręki. - Phoebe zajęła miejsce opuszczone przez Hildegard. - Naprawdę mi przykro, Charity. Może zobaczysz się z sir Ellwoodem u Tewksbury'ego dziś wieczorem. Zrobię, co będę mogła, żeby ci pomóc.

Teraz, w tej dokładnie chwili, popołudnie na polach bawełny tam, w domu, miałyby dla Phoebe więcej uroku niż bilans dzisiejszego wieczoru. Tam nie musiałaby martwić się o maniery, o suknię, bez przerwy uważać na to, co i jak mówi. To ciągle odgrywanie przyzwoitego zachowania i udawanie entuzjazmu było nużące, żeby nie powiedzieć przygnębiające. Jej przyszłość jawiła się co najmniej ponuro. I z takim nastawieniem przygotowywała się na ten wieczór.

Lord Tewksbury sumiennie wypełniał obowiązki gospodarza. Kolacja była pyszna, sprawnie podana i dłużyła się w nieskończoność. Teraz panowie, a wśród nich Stephen, zamknęli się w bawialni na cenną brandy i rozmowę we własnym gronie, uważaną za niestosowną dla uszu pań. W oczekiwaniu na wieczorne rozrywki Phoebe zносиła kwaśną minę Hildegard i konwersację o niczym, jaką próbowała podjąć jedna z młodych debiutantek. Charity tkwiła nieopodal i była równie znudzona jak Phoebe. Pewno myślami podążała za Eustace'em Ellwoodem, który także uczestniczył w rozmowach panów. Kiedy dziewczyna obok znów zachichotała, Phoebe stwierdziła, że albo przeniesie się gdzie indziej, albo zwariuje. Wymówiła się i uciekła do oranżerii. Może jeśli ukryje się w gąszczu roślin, znajdzie chwilę ciszy i spokoju.

Idąc wyłożoną kamieniami ścieżką, obstawioną różnymi gatunkami palm, natknęła się na dwie matrony siedzące na kamiennej ławce wciśniętej pomiędzy marmurową rzeźbę przedstawiającą dużego ptaka w locie a krzew róźany. Phoebe miała ochotę uciec niezauważona, ale jedna z kobiet już machała do niej. Z ociąganiem, pragnąc jedynie czmychnąć na zewnątrz, podeszła do ławki, usiadła i czekała na prezentację i Bóg wie, co jeszcze.

Lady Ostlin, tak bowiem przedstawiła się jedna z dam, miała biust tak okazały, że pomieściłaby na nim małą zastawę do herbaty. Dziobiąc swoje ciasto z jeżynami, badawczo przyglądała się Phoebe. W końcu skinęła głową swojej siostrze, lady Tipler, i położyła dłoń w żółtej rękawiczce na nagiej dłoni Phoebe.

- Wieść niesie, panno Rafferty, że polujesz na męża. Choć lady Goodliffe jest twoją ciotką, wyobrażam sobie, że bardziej troszczy się o zamążpójście Charity niż twoje. Moja siostra i ja czujemy się w obowiązku dopomóc ci, gdyż jesteś cudzoziemką i w ogóle.

- Tak, cudzoziemką - dodała wysokim, jazgotliwym głosem lady Tipler, kobieta o ptasich rysach, cienka jak trzcina.

- Poszcęściło ci się - ciągnęła lady Ostlin. - Masz tu prawdziwy melanz, z którego możesz wybierać. Sami zachwycający dżentelmeni.

W tym momencie nadszedł sir Lemmer z niewielkim talerzykiem. Panowie najwyraźniej zakończyli już swoje zebranie, o co Phoebe w tej chwili miała do nich wielki żal.

- Dobry wieczór paniom - powiedział sir Lemmer. - Muszę powiedzieć, lady Ostlin, że wyglądasz prześlicznie dziś wieczorem. A ty, lady Tipler, swoją urodą zawstydzasz młode dziewczęta. Pomyślałem, że możecie mieć ochotę coś przekąsić. - Podał im ciastka z kruszonką, które matrony przyjęły rozpromienione, wdzięcząc się z aprobatą. Były zachwycone potokiem pochlebstw, jakimi chlustał Lemmer. Kiedy z kolei zwrócił się do Phoebe, miała obojętny wyraz twarzy.

- Miło cię widzieć znowu, panno Rafferty. Miałabyś ochotę napić się czegoś ze mną przed koncertem?

- Przykro mi, sir, ale panie i ja prowadziłyśmy bardzo interesującą konwersację. Niemniej dziękuję.

Z jedną ręką założoną za plecy, a drugą w pasie i z lekko przechyloną głową wykonał doskonały ukłon.

- Zatem do zobaczenia później.

Lady Ostlin nie czekała dłużej niż dwie sekundy, żeby poklepać Phoebe po kolanie.

- Miej na względzie tego pana, moja droga. Sir Lemmer to skarb, można być tego pewnym. Jeśli mój instynkt mnie nie myli, a zazwyczaj tak jest, wydaje się wielce zdecydowany.

Głowa lady Tipler podskakiwała w górę i w dół.

- Wielce zdecydowany - zgodziła się ze zdaniem siostry.

Phoebe nie zadała sobie nawet trudu, by przeciwstawić się opinii lady Ostlin o sir Lemmerze. One przepadały za tym człowiekiem. Piękny i wspaniały. Niech więc one sobie za niego wychodzą. Wyglądało na to, że lady Tipler stać tylko na wypowiedzenie jednego czy dwóch słów. Myślała za nią siostra. Co za cudaczna para, pomyślała Phoebe, ale potrzebowała informacji, a one tylko czekały na chętnego słuchacza. Zwróciła się z pytaniem do lady Tipler, tylko po to, żeby sprawdzić, czy kobieta odpowie.

- Ktoś wspomniał, że może tu być również lord Badrick. Słyszałam, że jest bardzo przystojny.

Lady Ostlin z tuzin razy powiedziała „no, no”, po czym wyjęła zza dekoltu białą koronkową chusteczkę, obficie nasączoną wodą fiołkową i otarła brew.

- On się po prostu nie nadaje. Unikaj go, choćby nie wiem co. Lord Badrick jest niebezpieczny.

Wielkie nieba. Żadnych niedomówień. Phoebe z trudem powstrzymała się, by nie przewrócić oczami i nie powiedzieć tej kobiecie, co myśli. Uśmiechnęła się grzecznie.

- Na pewno żaden człowiek nie może być aż tak zły.

- Jego dziadek zabił młodą dziewczynę i to był początek katastrofy. Jeśli mnie pamięć nie myli, co najmniej sześć żon zginęło z rąk Badricków. Wstyd. Co do młodego księcia, to zabił on swoje żony gołymi rękami. Potwór staje nagi pod księżycem w pełni i oddaje cześć stworom ciemności.

- Potwór - powtórzyła lady Tipler i tym razem skinęła głową.

- I zwabia do siebie małych chłopców - ciągnęła lady Ostlin. - Zwłaszcza tych z ciemnymi włosami. Obcina im palce u nóg i wieszana drzewach w swojej posiadłości. Ma to odstraszać wszystkich Cyganów, swoją drogą uciążliwe stworzenia, od jego ziem, podczas gdy mógłby po prostu postawić znak.

- Znak - powtórzyła jak echo lady Tipler.

Phoebe siedziała zupełnie nieruchomo, oszołomiona oskarżeniami, które z każdym wypowiedzianym słowem stawały się coraz bardziej absurdalne. Te dwie kobiety należały do tego samego gatunku, co Hildegard. Ich mylne opinie znaczyły dla nich więcej niż prawda. Phoebe przyspieszył puls, żyłka drgająca za prawym uchem przyprawiała ją o swędzenie. Rozchodziło się ono na ramiona, które zdrętwiały w końcu. Zacisnęła, po czym rozluźniła dłonie. Jeśli posiedzi tu dłużej, wysłuchując tych nienawistnych i niedorzecznych kłamstw, strach pomyśleć, co mogłaby zrobić. Zwróciła się do lady Ostlin, która siedziała wyprostowana jak kolumna portyku.

- Czy byłaś świadkiem tych wydarzeń i czynów, lady Ostlin?

- Oczywiście, że nie.

Phoebe odwróciła się do lady Tipler:

- Czy twój mąż, lady Tipler, widział rzeczy, o których tu mowa i poinformował cię o zaistniałej sytuacji?

- Widział, siostrze?

- Oczywiście, że nie, siostrze - odparła lady Ostlin.

Miała ochotę potrząsnąć tymi głupimi kobietami, aby pozbyły się uprzedzeń rojących się w ich umysłach bardziej niż pszczoły w ulu. Biorąc głęboki wdech w nadziei, że to pomoże jej ostudzić gniew, zabębniła czubkami złożonych palców.

- Rozumiem. Jesteście w jakiś sposób spokrewnione z lordem Badrickiem i przeczytałyście o tych faktach w kronikach rodzinnych.

- Nie mów głupstw. Wszyscy wiedzą o jego postępowaniu - perswadowała lady Ostlin.

- Wszyscy wiedzą - zgodziła się lady Tipler, kiwając głową na chudej jak u kurczaka szyi.

Koniec. Phoebe nie była w stanie słuchać dłużej tych dzikich plotek.

- Wszyscy nie mają racji. To prostactwo, tak samo jak wasze zachowanie. Jak możecie wierzyć w coś podobnego, nie mówiąc już o powtarzaniu takich bzdur? Przecież, wy stare, zwiędłe plotkary, to jest złośliwe, krzywdzące pomówienie wymyślone przez zazdrosnych mężczyzn i kobiety, które nie mają nic lepszego do roboty.

Lady Ostlin, z biustem falującym z oburzenia, wstała i wyciągnęła rękę, której uchwyciła się jej siostra.

- Ty niewdzięcznico - wydyszała. - Zobaczysz, czy jeszcze kiedykolwiek zaproponujemy ci naszą pomoc.

Oddaliły się, krocząc dumnie, ramię w ramię, nadęte i wyprostowane, z podbródkami sterczącymi do góry.

Litości, co ona zrobiła? Phoebe miała nadzieję, że nie podniosła głosu. Oglądając się nerwowo przez ramię, żeby zobaczyć, czy przypadkiem ktoś nie był świadkiem jej wybuchu, wymknęła się przez najbliższe drzwi w noc.

Ciemność osłaniała ją jak tarcza. Zauważyła światło w stajni, wskazujące jej drogę niczym latarnia morska i postanowiła poszukać ukojenia wśród zwierząt. Przystanęła w otwartych drzwiach, wdychając znany zapach koni i siana; to miła odmiana po woni perfum. Z zamkniętymi oczami była gotowa uwierzyć, że znajduje się we własnej stajni w Georgii, gdzie przyglądała się narodzinom swojego konia, gdzie Tobias uczył ją strzelać z bata i ładować strzelbę, niezbędnych środków obrony dla kobiety prowadzącej plantację.

Obraz zbladł i przed jej oczami stanęły wydarzenia bliższe w czasie. Okazały dom na plantacji w River Bend, która zasłynęła w końcu z dobrej jakości bawełny, a wysiłki Phoebe zaczęły przynosić zyski. Zobaczyła swoją twarz ze śladami łez, kiedy rzuciła ostatnie spojrzenie na Herkulesa, zanim nowy właściciel nie zabrał konia. Poczula obezwładniający, letni upał, kiedy leżała na sianie, płacząc po śmierci ojca, którą przyjęła jako jego ostateczną zdradę.

Przypomniwała sobie chwilę, kiedy stała w prawie pustej stodole, żegnając się z ludźmi, z którymi razem pracowała, śmiała się i których kochała. Wspomnienia, dobre i złe, walczyły

o pierwszeństwo, a ona próbowała doszukać się sensu w swojej obecnej sytuacji. Jedno było pewne. Nie chciała nigdy zależeć od kaprysu mężczyzny ani też nigdy więcej doświadczyć tego poczucia bezradności. Ciche rzenie konia i nikły głosik przywołały ją z powrotem do teraźniejszości.

Bzdury. Nie była sama. Zastanawiała się, czy zostać, czy odejść, kiedy cienki głosik, dziecięcy, odezwał się znowu. Phoebe ostrożnie posuwała się do przodu, w końcu dotarła do ostatniego boksu. Wewnątrz mała dziewczynka o blond lokach pochylała się nad czarnym źrebaczkiem. Dziecko miało na sobie śliczny szlafroczek z czerwonego aksamitu, cały pokryty żdźbłami słomy.

Phoebe odezwała się łagodnie:

- Jaki śliczny.

Dziewczynka rzuciła szybkie spojrzenie nad ramieniem Phoebe, w głąb stajni. Jako dziecko Phoebe często wystawiała na próbę cierpliwość ojca, rozpoznała więc i zrozumiała niepokój dziewczynki. Wyglądała na sześć czy siedem lat, była prawdopodobnie córką lorda Tewksbury'ego i na pewno spodziewano się, że w tej chwili śpi w swoim pokoju.

Jakby dzieląc się wielkim sekretem, Phoebe wyszeptwała:

- Proszę, nie mów nikomu, że mnie tu widziałaś. Musiałam po prostu na chwilę wyjść z przyjęcia i zaczerpnąć świeżego powietrza.

Błękitne oczy dziecka zrobiły się okrągłe, jej troska skupiła się teraz na Phoebe.

- Nie lubisz przyjąć?

Phoebe przypomniała sobie wstrętą wymianę zdań z lady Ostlin i lady Tipler.

- Zazwyczaj lubię, ale czasami boli mnie od nich głowa. Mogę się do ciebie przyłączyć?

Dziecko skinęło głową.

- Śmiesznie mówisz. Jak ci na imię?

- Phoebe Rafferty. Przyjechałam z Ameryki i dlatego mówię trochę inaczej.

- Ja mam na imię Meredith. Możesz do mnie mówić Bliss. Mieszkam tu. Lubisz konie?

- Kocham konie - powiedziała Phoebe i usiadła koło Bliss, nie przejmując się suknią. - Mój ojciec podarował mi pierwszego kucyka, kiedy miałam sześć lat.

- Ja mam siedem - oznajmiła Bliss pełnym godności tonem, być może naśladując ojca.

- To jest mój koń. Jego matka umarła. Pomagam opiekować się nim.

- Twój ojciec musi być bardzo dumny z ciebie. Nie wszystkie dzieci są tak odpowiedzialne.

- To samo mówię mojemu ojcu. Moja matka umarła, ojciec myśli więc, że ja też potrzebuję nowej matki. To dlatego wyprawił to przyjęcie. Słyszałam, jak rozmawiał z babcią. Powiedziałam mu, że jeśli nowa matka ma być dla mnie, powinnam móc ją wybrać.

Phoebe miała ochotę roześmiać się na taką impertynencję.

- Czy powiedział ci też, że podsłuchiwanie nie należy do dobrych manier?

- Nie, ale niania mi powiedziała. Gniewa się prawie o wszystko, co robię.

Tym razem Phoebe roześmiała się głośno. Co za cudowne dziecko. Wyobraziła sobie siebie, że siedzi tak, dzieląc się sekretami z ciemnowłosym, ciemnokim dzieckiem podobnym do Stephen. Mrugnięciem powiek pozbyła się tego obrazu i wyprostowała ramiona.

Wielkie nieba! Teraz zastanawia się nad dziećmi i to nie jakimiś dziećmi, ale dziećmi jej i Stephen. Nienajlepiej, biorąc pod uwagę, że mężczyzna odmówił poślubienia jej. To nowa przeszkoda na drodze do dobrze zaplanowanej przyszłości. Mimo deklaracji, że chce wyjść za mąż i zostać sama, żeby kierować Marsden Manor, Phoebe wiedziała, że nie jest to prawda. Do pioruna! Chciała tego wszystkiego: własnych dzieci, rodziny i Marsden Manor. Chciała też Stephen.

- Dobry wieczór paniom. Nie zauważyłem, żeby przyjęcie przeniosło się na zewnątrz.

Wyrwana z zamyślenia po raz drugi, Phoebe wstała, a Bliss schowała się za jej spódnicą.

- Lordzie Badrick, niech mi wolno będzie przedstawić lady Tewksbury. Bliss wysunęła się do przodu, a on skłonił się i ucałował jej dłoń.

- Czarująca, szlachetna dama.

Bliss zachichotała. Nie był to wyuczony, sztuczny szczebiot, ale szczery, wesóły chichot z całego serca. Z uśmiechem się odezwała:

- Phoebe powiedziała, że na przyjęciu czasem boli ją głowa i potrzebuje świeżego powietrza. Czy cię też boli głowa?

- Nie. Ja cierpię na brak towarzystwa dwóch ślicznych i inteligentnych pań. Wiesz może, gdzie mógłbym takie znaleźć?

Pół godziny temu Phoebe gotowa była wyskoczyć przez okno i udusić dwie apodyktyczne, obrzydliwe kobiety. Wystarczył uśmiech Stephen i świat wrócił na właściwe tory. Wymieniła z Bliss porozumiewawcze spojrzenie.

- Myślę, że byłybyśmy w stanie dopomóc ci, miły panie.

- Wspaniale. - Uśmiechnął się. Bliss grzebała w słomie prawą stopą.

- Prawdę mówiąc, lepiej się stanie, jeśli sobie już pójdę. Niania sprawdza, czy jestem w łóżku. Rozgniewa się, jeśli nie znajdzie mnie tam, gdzie powinnam być.

Phoebe powiedziała dobranoc, po czym, bawiąc się żelaznym uchem przy drzwiczkach boksu, czekała, co powie Stephen, on natomiast przyglądał się jej w skupieniu.

- Phoebe, Phoebe, Phoebe - kręcąc głową powtarzał jej imię, jak opiekunka szykująca się, żeby przywołać do porządku niesforne dziecko. - Czy kiedykolwiek posłuchasz tego, co mówię? Znow płaczesz się tam, gdzie nie powinnaś. Samopas. I to po przygodach u lorda Wymana i w parku. Myślałem, że do tej pory już się czegoś nauczyłaś.

Nie wierzyła własnym uszom. Ten drań w końcu zdecydował odezwać się do niej i miał czelność ją pouczać. Przedrzeźniając jego ton, powiedziała:

- Stephenie, Stephenie, Stephenie. Czy zawsze ignorujesz kobiety podczas publicznych zgromadzeń, a potem szukasz ich na osobności? Chodzi mi o to, że bez trudu udało ci się nie zauważać mnie przez cały wieczór.

Opierając się o framugę, westchnął.

- Już to przerabialiśmy. Towarzystwo ci, kiedy wokół są inni, zwłaszcza po naszym wspólnym pojawieniu się w „Timesie”, nie jest najlepszym pomysłem.

- Nie obchodzi mnie ta głupia, stara gazeta. Jak mnie znalazłeś?

- Zostawiasz za sobą ślad, jak mały statek na wodzie. Zacząłem od Hildegard, równie niemiłej jak zawsze, a skończyłem na dwóch niezadowolonych matronach. Są na ciebie strasznie cięte. Coś ty powiedziała tej parze krytych strzechą szubienic?

Wyminęła go, mając nadzieję uciec, zanim on zażąda wszystkich odrażających szczegółów.

- Nie chcesz tego wiedzieć.

Chwycił ją za łokieć, udaremniając odwrót.

- Ależ chcę, skoro według nich ty i ja pasujemy do siebie. I nie miał to być komplement.

- Jeśli koniecznie musisz wiedzieć, nazwałam je zwiędłymi, starymi plotkami. Wygadywały o tobie obrzydliwe rzeczy. Straciłam panowanie nad sobą. Nic dziwnego, że unikasz tych ludzi. I nie wąż się wściekać na mnie, bo nigdy się już do ciebie nie odezwę. Ktoś musiał cię bronić.

Te słowa skruszyły nieco mur otaczający jego uczucia. Była w nich ogromna żarliwość. Ostrzegł się, żeby działać rozważnie, nie przejmować się zanedo. Niemniej jednak, to, że stanęła w jego obronie, chwyciło go za serce. Pragnienie bliskości, o którym myślał, że dawno już je pogrzebał, odrodziło się jak feniks z popiołów. Była skarbem,

wiedział to na pewno, którego sam chciał bronić za wszelką cenę. Pochylił głowę i pocałował ją w czoło.

- Prawdopodobnie to, co zrobiłaś, to głupota. Nie potrzebuję twojej obrony. Nie jestem nawet pewien, czy na nią zasługuję.

- Stephenie Lambercie, wstydź się nawet tak myśleć. Jesteś dobrym, inteligentnym człowiekiem.

- Tylu rzeczy o mnie nie wiesz, Phoebe.

- A czyja to wina? - Przeszła z nogi na nogę, czekając na jakieś wyjaśnienie z jego strony. Nie powiedział ani słowa. - Widzę, że nie masz zamiaru odpowiadać na moje pytanie. Lepiej wracajmy - mruknęła.

- Wolałbym cię pocałować. - Postąpił do przodu. Ona się cofnęła. Stephen nie ustępował, dopóki nie znaleźli się w mroku siodłami. - Czemu, Phoebe, moja droga, uciekasz? Boisz się mnie?

- Nie. Myślę tylko, że to nie jest dobry pomysł.

Powoli, uwodzicielsko, przesunął wzrokiem od jednego ramienia o barwie kości słoniowej do drugiego, poprzez piersi, w dół tułowia, jeszcze niżej i z powrotem do góry.

- A ja myślę, że się boisz. Boisz się tego, co mogłoby się wydarzyć między nami.

- Nonsens. Po prostu wolę tam wrócić i przyjrzeć się moim kandydatom na męża. Ty masz mi udzielać rad i podsuwać nazwiska.

Jego palce bawiły się delikatnym, złotym naszyjnikiem otaczającym jej smukłą szyję.

- Wolałbym sprawić, byś była moja.

Jej nozdrza drgały, westchnienie wydobyło się spomiędzy na wpół rozchylonych warg.

- A ja wolałabym, żebyś opowiedział mi o lordzie Pennbrighcie.

- Biedny chłopiec, ledwie ośmiela się zmienić spodnie bez aprobaty matki. Jeśli go poślubisz, poślubisz i ją.

Dłoń Stephena przesunęła się ku gronku pereł spoczywającemu między jej piersiami. Utkwił wzrok w ciemnym zagłębieniu.

- Powiedz mi, Phoebe, lubisz, kiedy cię dotykam?

Jej ramiona unosiły się i opadały dramatycznie przy każdym oddechu.

- Prawdziwej damie nigdy nie podobają się takie awanse. Co powiesz o lordzie Hemsleyu?

Stephen pomyślał o Sierocińcu Świętej Anny koło Świętego Idziego, najnowszym przedsięwzięciu dobroczynnym Hemsleya.

- O, ten jest bardzo pokrętny. Często upija się do nieprzytomności, po czym rozdaje pieniądze, żeby zatrzeć złe wrażenie. - Pochylił się do przodu i powiódł językiem po jej uchu.

- A ty znów słuchałaś Hildegard. Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Jesteś ciekawa, co jeszcze robią kochankowie?

- Ja, hm. - Przechyliła głowę na bok, pozwalając mu posuwać się dalej. - Opowiedz mi o lordzie Tewksburym.

Stephena zaczęła ogarniać irytacja. Niewiele mógł powiedzieć przeciwko Tewksbury'emu. W gruncie rzeczy szanował tego człowieka. Szukając drogi od ucha do ust, wymruczał:

- Jest nudny jak stojąca woda. Nigdy cię nie rozpali.

- Co?

Jej skóra przybrała śliczny różowy odcień i Stephen ku swemu wielkiemu zadowoleniu wyczuł pod palcami przyspieszone tętno Phoebe.

- Do diabła z Tewksburym - powiedział, a jego usta żarłocznie spadły na jej usta. Konwersacja ustała, a wszelka racjonalna myśl odleciała na trzepoczących skrzydłach zmysłów.

Nastawił się, że uwiedzie ją słowami, a uwiódł sam siebie. Dotyk był nie tylko pożądany, ale niezbędny, by wymazać z jej umysłu wszystkich innych mężczyzn. Namiętność wysunęła się na pierwszy plan.

Kiedy przywarła do niego, szeptał dla zachęty, ledwo dosłyszalne westchnienia głąskały jej ucho i drażniły umysł. Dotarł ustami do jej ramienia. Centymetr po centymetrze przesuwał dłoń wyżej, w końcu nakrył jej pierś. Sutki Phoebe naprężyły się na powitanie pieszczoty. Nie zastanawiając się nad miejscem i czasem, słysząc tylko jej urywany oddech i jęki rozkoszy, zsunął suknię z ramion Phoebe i pokrywał drobnymi, delikatnymi pocałunkami jej rozgrzaną skórę. Każdy pocałunek podniecał go coraz bardziej.

Jedwab zatrzymał się na czubkach jej nabrzmiątych piersi. Kiedy Stephen odchylił się do tyłu, by podziwiać ten zdumiewający widok, Phoebe otworzyła oczy i spotkała jego płomienny wzrok. Popatrzyła, idąc za spojrzeniem Stephena, na swoje piersi i uniosła rękę, by się osłonić. On tylko pokręcił głową.

- Pozwól - powiedział nieswoim, ledwo dosłyszalnym głosem. Phoebe nie była pewna, czy się odezwał czy nie, nie była też pewna, czy poprosił, czy nakazał. Widok własnych, prawie nagich piersi, na które patrzył z takim pożądaniem, wprowadził ją w zażenowanie, a jednocześnie rozpalił, osłabiając jej obronę. Oparła ręce na ramionach Stephena, a on zsunął jej suknię do pasa. Szczupłymi i smagłymi palcami drażnił nabrzmiąte sutki Phoebe, a gorąca

strzała dotarła do samej jej istoty. Ta pieszczota wzbudziła falę pożądania, która wzniosła się spiralnie od brzucha w górę, ogarnęła jej skórę, dotarła do rąk i nóg. Phoebe wygięła się, nie dbając o to, czy zachowuje się jak ladacznica czy nie. Pragnęła jego dotyku.

Objął obiema dłońmi jej piersi.

- Jesteś niezwykle piękna.

Taka pochwała, wypowiedziana ochryłym szeptem, wznieciła w niej kobiecą dumę. Kiedy wargami nakrył jeden naprężony sutek, zapadła się w głęboką otchłań i krzyknęła. Dźwięki, jakie z siebie wydawała były jej obce, ale nie mogła ich powstrzymać. Napięcie narastało i ogarniało ją coraz bardziej. Niepokój dręczył jej ciało, zdając się koncentrować w miejscu między udami. Przywarła do Stephena, przyciągnęła jego głowę do swojej twarzy. Ladacznica czy nie, kierowana nieznanym pragnieniem, musiała go całować, chciała czuć całe jego ciało przyciśnięte do swojego.

Jego męskość przeżyła się w spodniach i poprzez ubrania przycisnął ją do samej istoty Phoebe, a ciche okrzyki zaskoczenia połączonego z przerażeniem, przeszły w lubieżny jęk. Nie zaprzestawał dręczących, kołyszających ruchów w przód i w tył, doprowadzając ich oboje do szaleństwa. Chciał jej nagiej pod sobą, z całą garderobą porzuconą na ziemi. Takie irracjonalne myśli były nie tylko niebezpieczne, ale i niemożliwe do zrealizowania. Wiedza o tym sprawiała, że jego ruchy stały się jeszcze bardziej desperackie. Przycisnął do niej swoją stwardniałą męskość jeszcze raz i przestał się ruszać w ogóle. Phoebe skamlała jego imię, przywarła do jego ramion, głowę złożyła na piersi Stephena.

Sekundy zamieniały się w minuty. Powietrze przesycone było wonią namiętności. Jego ciało domagało się spełnienia. Możliwe, że Phoebe czuła to samo, choć wątpił, by rozumiała tego powód. Ta cholerna kobieta nie miała pojęcia, jak bardzo się powstrzymywał. Nie był niedoświadczonym młodzieniaszkiem niezdolnym do panowania nad swoim popędem, ale nigdy jeszcze nie był tak bliski, by osiąść kobietę - dziewicę, napomniał się - w stajni, na przyjęciu, na którym zgromadziło się ponad stu gości. Mniejsza o honor.

Kiedy będzie się z nią kochał po raz pierwszy, chciał, żeby to było w łóżku, w atłasowej pościeli, przy świecach. I przy jej pełnym przyzwoleniu. Jeśli tego dożyje. Przedłużający się stan pobudzenia nie może być zdrowy dla niego ani dla jego pulsującej męskości. Uniósł głowę i niechętnie naciągnął suknię Phoebe z powrotem na właściwe miejsce. Ona kryła przed nim swoją twarz. Boże, taka namiętność musiała ją przerazić. Czekał jeszcze, przygotowany na udzielenie wyjaśnień co do tego, jak się sprawy mają między mężczyzną a kobietą. Chyba nie każe mu przeproszać, do cholery. Przecież jęczała jego imię, doświadczając po raz pierwszy budzącej się rozkoszy.

Kiedy w końcu zdobyła się na odwagę, żeby spojrzeć na niego, niewiele brakowało, by dokończył to, co zaczął. W jej oczach nie było nagany, zażenowania czy wstydu, tylko zaskoczenie i coś bliskiego nabożnej czci. Boże, jak ona go uczyła pokory.

Zaczęła coś mówić, ale położył jej palec na ustach. Gdyby powiedziała słowo, wyraziła to, co widział w jej oczach, nie odpowiadałby za swoje czyny. Dla bezpieczeństwa potrzebowała obecności ludzi. Wielu ludzi.

- Sza, najśłodsza. Nic nie mów.

Nie dając Phoebe możliwości przeciwstawienia się, chwycił ją za rękę i w milczeniu wyprowadził ze stajni.



Gwiazdy świeciły jaśniej, powietrze było świeższe. Phoebe nie przypuszczała nigdy, że można mieć aż tak wyostrzone zmysły. Lekki wiatr drażnił jej skórę, przypominając o pieszczotach Stephen'a i jej niepohamowanej reakcji wywołanej eksplozją czystej rozkoszy.

Zdała sobie sprawę, dlaczego niektóre kobiety robią to, co oni przed chwilą i przypuszczała, że można doznać o wiele większej rozkoszy. Gdyby Stephen nie przestał sam, prawdopodobnie nigdy nie poprosiłaby go o to. Ten mężczyzna, jego dotyk, pocałunki, wszystko to pokonało rozum.

Kiedy dotarli do drzwi oranżerii i zajrzeli do środka, natychmiast wyczuła jego rezerwę. Przypomniała sobie wcześniejszą rozmowę z dwiema strasznymi kobietami. Nic dziwnego, że unikał rodzaju ludzkiego i otaczał swoje uczucia i życie osobiste murem. Wiedziała, że nie da się zmienić czyjeś sposobu myślenia z dnia na dzień.

Aby wyrósł krzaczek bawełny, najpierw trzeba zasiać ziarno; a ono musi wypuścić korzenie.

Tak więc, z małą zachętą z jej strony, może, tylko może, ludzie mogliby oceniać Stephen'a inaczej. Oczywiście przydałaby się niewielka współpraca z jego strony.

- Wyglądasz jak barmanka, która próbuje napełnić kufel z pustej beczki - powiedział Stephen. - O czym myślisz?

Wiedziała, że on nie zechce rozmawiać o swojej pozycji w towarzystwie. A ona nie miała zamiaru mówić o ich małym interludium w stajni i wątpiła, czy Stephen chciałby dyskutować na temat jej planów małżeńskich. Skłamała więc.

- Myślałam o Marsden Manor. Całując jej palce, powiedział:

- Jeśli chcesz, mogę kontynuować lekcje, kiedy wybierzemy się jutro na wybrzeże.

Przechyliła głowę i wydeła wargi.

- Przypuszczam, że mówisz o swojej pomocy w szukaniu dla mnie męża? Nachylił się do jej ucha.

- Zastanów się jeszcze, moja droga.

Oddech Stephena musnął jej kark, wprowadzając w drżenie ręce i nogi Phoebe aż po czubki palców. Odchrząknęła, udając, że to na nią nie działa. Zastanawiała się, ale nad czymś innym i z pewnością nie chciałaby teraz o tym rozmawiać. Miała własne plany związane z podróżą do Marsden Manor.

Phoebe naciągnęła kaptur peleryny na głowę, próżno usiłując osłonić twarz przed deszczem. Błądziła wzrokiem po masywnej, kamiennej budowli, która wznosiła się przed nią.

- Zdaje się, że moje dziedzictwo się wali.

- Boże, dziecko - mruknęła Dee, stając obok powozu. - Jesteś pewna, że to jest to miejsce?

- Według tego, co mówił pastor, to właśnie jest Marsden Manor.

Żwir zachrząścił pod stopami Stephena, który zbliżył się do obu kobiet. Przez chwilę stał w milczeniu, po czym odchrząknął.

- Phoebe, moja droga. Dobrze się składa, że to miejsce położone jest o dwa dni jazdy od Londynu. Jeśli nawet jakiemuś zalotnikowi uda się tu dotrzeć, i nie zgubi się po drodze, rzuci tylko okiem i ucieknie z powrotem do cywilizacji, z pierścieniem zaręczynowym wetkniętym w kieszeń kamizelki.

Mimo prawdziwości tego stwierdzenia, Phoebe rzuciła Stephenowi spojrzenie nakazujące mu zamilknąć. Z pewnością nie musiał wykazywać niedostatków jej dziedzictwa. Były widoczne gołym okiem. Wróciwszy do oglądania budowli, westchnęła. Marsden Manor nie był tym, czego się spodziewała.

Nad dwupiętrowym domostwem wznosiły się cztery ozdobne iglice różnej wysokości, po jednej na każdym rogu. Przez całą fasadę ciągnęły się ostre łuki wypełnione szybkami oprawnymi w ołów, a dziesiątki maskaronów niebezpiecznie balansowały na pokruszonych, kamiennych gzymsach. Były jak sponiewierani w walkach strażnicy, każdemu brakowało to ucha, to skrzydła, to znów innej części ciała. Z ich pysków ciekła woda. Westchnęła znowu, tym razem głębiej i ramiona jej opadły. Marsden Manor był kunsztowną, acz bezsensowną kombinacją francuskiego château z domem z powieści grozy i rozpadał się kamień po kamieniu. A wszystko to należało do niej, czy też wkrótce miało należeć. Kiedy wyjdzie za mąż. Teraz, w tej akurat chwili, żałowała, że jej dziedzictwo nie jest małym, ceglany domkiem położonym w jakiegokolwiek suchej okolicy.

Dwudniowa podróż była długa i nużąca. Dee ciągle bacznie obserwowała Phoebe, Stephen nieustannie sondował, jakiego rodzaju męża by sobie życzyła, a Elizabeth doznała naglej niedyspozycji żołądkowej i Winston bez przerwy się o nią zamartwiał. Kiepska pogoda, trwające godzinę wyciąganie powozu z błota i dwukrotne zmylenie drogi również nie były okolicznościami sprzyjającymi. Nie pomogło im także podłe jedzenie podane w

zajeździe poprzedniego wieczoru. Po tym wszystkim przybyć tu tylko po to, żeby odkryć...
cóż... nawet posiłek w towarzystwie Hildegard zdawał się nabierać uroku. Mając nadzieję, że
nie widać jej rozczarowania, Phoebe powiedziała:

- Może w środku to wygląda trochę inaczej.

Winston, z Elizabeth na rękach, przystanął obok Stephena.

- Liczmy na to, że dach nie przecieka.

- Chodźmy - zakomenderowała Dee. - Przemokniemy wszyscy na wylot. Wejźmy do
środku i zobaczymy, czy tam jest choć trochę lepiej.

Elizabeth wrywała się z ramion Winstona.

- Na litość boską, postaw mnie. Boli mnie brzuch, a nie nogi.

Stephen ujął Phoebe za łokieć i ruszył po schodach za Winstonem i Elizabeth, którzy
cmokali się jak dziobiące się, zmokłe kury. Ciężkie, dwuskrzydłowe drzwi były sztukowane
różnymi kawałkami drewna, a mosiężnej kołatce w kształcie maskarona brakowało prawej
łapy. Ponieważ nikt nie odpowiedział na pukanie, Stephen przekręcił gałkę w drzwiach i
przekroczył próg.

Złe przecucie ogarnęło Phoebe i ugięły się pod nią kolana. W środku nie wyglądało
to ani trochę lepiej niż na zewnątrz. Przez gołe ściany biegły pęknięcia tynku przypominające
żyły na dłoni starca. Drewniana podłoga była pokryta wytartym dywanem z Aubusson, a
chwiejnie wyglądającej poręczy schodów prowadzących na górę brakowało połowy tralek.
Dom potrzebował gruntownego sprzątnięcia, lepszego oświetlenia, nowego wyposażenia i
wielu innych rzeczy. Wszystko to wymagało pieniędzy. Czegoś, czego nie miała.

Straszne zadanie, by znaleźć odpowiedniego męża, skłonnego przyjąć ją z tym
dziedzictwem, wydało jej się niewykonalne. To znaczy, jeśli nie przekona Stephena, żeby ją
poślubił.

Stephen przejechał palcem po zakurzonym stoliku w holu.

- Powiedziałaś, że wysłałaś wiadomość o swoim przyjeździe, prawda?

- Tak - jej głos drżał lekko. - Napisałam natychmiast po otrzymaniu listu od mojego
notariusza i podałam w przybliżeniu termin naszego przyjazdu.

- Być może wiadomość tu nie dotarła - wtrąciła się Elizabeth. Przycisnęła dłoń do ust.

- O Boże, chyba znów będę chorować.

Winston rzucił się ku schodom, wołając przez ramię:

- Spróbuję znaleźć dla mojej żony jakieś wygodne miejsce, gdzie mogłaby się
położyć!

- No cóż, nie po to tu jestem, żeby tak to miało być - oznajmiła Dee, stawiając swoją torbę. Ściągnęła z ramion mokrą pelerynę i rzuciła ją na poręcz krzesła, które z powodu braku jednej nogi było podparte cegłą. - Mam zamiar znaleźć kuchnię, zaparzyć nam imbryk herbaty i poszukać czegoś dla uspokojenia żołądka tej biednej dziewczyny. - Dee zwróciła się do Stephen: - A tobie, panie książę, niech nic nie przyjdzie do głowy. Nie będę daleko.

Mamrocząc pod nosem, zniknęła w długim, ciemnym korytarzu.

Phoebe przyglądała się gniewnej twarzy Stephen, który patrzył w ślad za Dee. Nie poddała się chęci ukojenia jego książęcej dumy urażonej opryskliwością służącej. Dość miała innych zmartwień. Zdejmując kaptur, powstrzymała się, żeby nie ukryć twarzy w dłoniach. Łzy jej nie pomogą.

- Nic z tego nie rozumiem. Jak to się mogło stać? Kto do tego dopuścił?

- Tę zagadkę rozwiążemy w krótkim czasie. - Przysunął się do niej i pociągnął za lok opadający jej na twarz. - Teraz lepiej pomyśl o czymś innym. Zdaje się, że jesteś zupełnie mokra. Znowu. - Uniósł jej brodę do góry. - Zeszłej nocy, kiedy próbowałem zasnąć, nie mogłem zapomnieć, że dzieli nas tylko ściana.

Złote iskry zapłonęły w jego oczach na myśl o pewnej możliwości. Nie musiał Phoebe do niczego nakłaniać. Ona nie pragnęła niczego więcej, jak wtulić się w jego ramiona i przyjąć pociechę wraz ze wszystkim, co miał do zaoferowania. Zanim pokusa wzięła górę nad rozsądkiem, zmusiła się, żeby się cofnąć. Wieszając pelerynę na kołku dębowego wieszaka, zauważyła, że drżą jej ręce.

- Lepiej znajdziemy jakieś inne miejsce, nie ten okropny hol, bo Dee zacznie się zastanawiać, co robiliśmy tu tak długo.

- Pójdziemy pozwiedzać? Dee mogłaby nas nigdy nie znaleźć. - Poruszył brwiami. - Z drugiej strony, ten pomysł daje pewne możliwości.

- Nic z tego. Dee jest bardzo pomysłowa.

- Wierz mi, kochanie. Doceniam twoją towarzyszkę. Wszystko wskazuje na to, że bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki przyzwoitki - powiedział z gniewnym wyrazem twarzy. Zmarszczył czoło i uniósł brodę. - Ona nie zważa ani na mój tytuł, ani na moje przywileje. Muszę przyznać, że nie jestem do tego przyzwyczajony. Po co mi tytuł książęcy, jeśli nie zapewnia mi szacunku? Od dwóch dni, poza okazjonalnym „panie książę” nic, tylko patrzy na mnie spode łba, jakby czytała w moich myślach. Zeszłej nocy, zanim udaliśmy się na spoczynek, mamrotała za moimi plecami dziwne słowa. Myślałem, że obudzę się bez palców u nóg albo innej istotnej części ciała.

- To absurd. Ona zawsze mamrocze.

- Łatwo ci mówić, bo ciebie lubi.

Błyski w jego oczach zwróciły uwagę Phoebe. Ten chytrus drażnił się z nią. W końcu się roześmiała.

- Próbujesz odwrócić moją uwagę.

Uśmiechnął się, nie kryjąc już dłużej wesołości pod maską surowości i wzruszył jednym ramieniem. Podeszedł do poręczy, przyjrzał się jej podejrzliwie i powiesił nasiąkniętą wodą okrycie na słupku.

- Znów patrzyłaś tak, jakby coś cię zraniło. To mnie niepokoi. Obiecuję, Phoebe, że dojdę, o co tu chodzi.

- Dziękuję. Wiesz, tak naprawdę, to Dee cię lubi.

- Boże uchowaj, żebyś kiedykolwiek stał się jej wrogiem. Chodź. - Wziął ją za rękę i głaszcząc kciukiem wewnątrz jej dłoni, poprowadził w kierunku, w którym poszła Dee.

Zajrzeli do pomieszczenia, w którym znajdował się jedynie zakurzony mahoniowy stół, tak wielki, że swobodnie mogłoby usiąść przy nim trzydzieści osób. Stały tam tylko cztery krzesła. Minęli trzy następne pokoje, wszystkie pozbawione mebli, w końcu znaleźli to, co wydało im się niebem - bibliotekę. Półki były pełne książek, a ponadto stały tu aż trzy krzesła, szeszlony i stolik karciany, a w kącie niewielkie biurko. Ogromny kominek z marmurową półeczką zajmował prawie całą przeciwległą ścianę. Po kilku minutach paliły się dwie lampy, ogień trzaskał, a Phoebe i Stephen popijali całkiem niezłą, według niej, brandy. Stephen zajmował się ogniem, podczas gdy Phoebe przeglądała papiery porzucone na biurku. Żaden z nich nie dawał wskazówki co do powodów opłakanego stanu posiadłości.

Stephen otrzepał kolana z kurzu i zaczął kartkować książkę leżącą na podłodze.

- Czy oczekujesz, aby twój mąż był człowiekiem wykształconym?

Phoebe zdążyła się już przyzwyczaić do tej zabawy w pytania i odpowiedzi, która zazwyczaj służyła jakimś własnym celom Stephena, odpowiadała więc bez namysłu. W ten sposób dowiadywała się też wielu rzeczy o nim.

- Tak. Byłoby mi miło, gdyby miał zwyczaj czytać.

- Hm. Wielu mężczyzn woli ciemne, niewykształcone kobiety, żony, których jedynym celem życia jest sprawiać przyjemność mężom na wszelkie sposoby, Phoebe, sposoby niemające nic wspólnego z czytaniem, haftowaniem czy prowadzeniem domu. Czy chciałabyś poznać niektóre ze sposobów dogadzania mężczyznom, jakich oni oczekują?

Jego głos przeszedł w prowokujący szept, celowo powolny i jedwabisty, podszyty obietnicą rzeczy niewypowiedzianych, których miała jeszcze doświadczyć, czego była pewna.

- Uważam, sir, że jest to temat ze wszech miar niestosowny.

- Ale kobieta taka jak ty mogłaby odnieść wiele korzyści, poznając oczekiwania swojego męża - kusił Stephen.

Doświadczył już namiętności Phoebe. Miał nadzieję, że jest także ciekawa. Musi uświadomić sobie, że żar, jaki wzbudzają w sobie nawzajem, jeszcze niezbadany w pełni, jest czymś, czego brakuje w większości związków.

Jej umysł musi zdać sobie sprawę z tego, co jej ciało już zaakceptowało. Pragnęła go. Wyczuwał to w jej reakcjach za każdym razem, kiedy brał ją w ramiona. Mówiły o tym jej oczy, które przybierały ciemniejszy odcień zieleni, kiedy czuła jego podniecenie, a on przyciskał ją do siebie, żeby chłonęła jego żar. Niech to szlag, jeśli miałby dzielić się nią z innym mężczyzną.

- Nawiązując do pewnej niemądrej uwagi, że prawdziwej damie nie w smak jest namiętność, powiem, że niektórzy mężczyźni wolą szybko załatwić sprawę, w zasadzie nie pozbywając się ubrania i po ciemku, a ich jedynym celem jest zapewnienie sobie dziedzica. Najprawdopodobniej mają oni kochanki dla zaspokajania innych swoich potrzeb. - Zrobił pauzę dla efektu. - Niektórzy jednak mężczyźni uważają że rozkosz jest niezbędna, kiedy się kochają, czy to z żoną, czy to z kochanką.

- I wyobrażam sobie, że ty się do nich zaliczasz.

- Jak najbardziej. Głęboko wierzę w obdarzanie rozkoszą jak i w jej otrzymywanie. Lubię, żeby w pokoju panował półmrok, ale nie ciemność, bo wtedy dotyk można widzieć, a nie tylko odczuwać, a westchnienia dają się zauważyć, nie tylko usłyszeć.

Spostrzegł rumieniec, który wystąpił jej na szyję, i napięcie dłoni ściskającej nóżkę kieliszka. Oczy Phoebe błyszczały rozbudzoną świadomością i wiedział, że to on ją tego nauczył. Stephen gładził dłonią miękką skórę okładki książki raz za razem i, niech to szlag, jeśli ta mała gierka nie działała na niego samego.

Czuł się trochę niezręcznie, ale był zdecydowany kontynuować. Stanął przy niej, odwrócił jej dłoń wnętrzem do góry i delikatnie pogładził każdy palec na całej długości.

- Czy wiesz, że są książki, które opisują bardzo szczegółowo, metody, za pomocą których mężczyzna i kobieta mogą sprawić sobie nawzajem rozkosz? Mówią o tym, gdzie dotykać. Jak dotykać. - Uniósł jej dłoń do ust i drasnął zębami delikatne ciało u nasady kciuka.

- Naprawdę? - Głos Phoebe zabrzmiał nienaturalnie wysoko. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę śmiałe obrazy przemykające jej przez głowę. Były one barwną kombinacją jej wyobraźni, świeżo rozbudzonych pragnień i cennych chwil ze Stephenem, i nie były one

bynajmniej przyzwoite, ale nie potrafiła ich powstrzymać. Sądząc po uniesionym w górę kąciku warg pod wąsem, Stephen dokładnie wiedział, jak podziałała na nią ta rozmowa. Drań.

Cóż, nie chciała, żeby tak nią manipulowano. Mogą prowadzić tę grę, ale we dwoje. Wyrwała mu dłoń i zacisnęła ją w pięść, by położyć kres niepokojącemu doznaniu.

- Czy żona może domagać się rozkoszy? Chodzi mi o to, że tylko tak byłoby sprawiedliwie. Jeśli mąż zaniedbuje obowiązki, powinna mieć prawo powiedzieć mu, czego ona potrzebuje, gdzie lubi być dotykana i jak chce być dotykana.

- Taka kobieta jest rzadkością doprawdy - powiedział Stephen ciężkim, rwącym się nieco głosem.

- Tym bardziej powinna być zatem doceniana przez swojego męża. Kiedy po raz kolejny wspomniała o mężu, przygładził palcami wąsa.

- Lub opiekuna.

Zanim zdążył wypowiedzieć następną myśl, do pokoju wtoczył się niski, krągły mężczyzna, stary jak świat, ubrany w brązowe, wełniane bryczesy i długi, ciemny płaszcz. Na głowie miał wielki, ceratowy kapelusz, z którego ronda ciekła woda. Jasne było, że przychodzi z zewnątrz. Jedno oko miał przesłonięte czarną opaską.

Nerwowo spoglądał to na Phoebe, to na Stephena, a następnie rozejrzał się po kątach, jakby szukał kogoś lub czegoś.

- Przepraszam, ale może wy jesteście Amerykanka? - powiedział ze świstem.

Zanim Phoebe skinęła głową, obejrzała się przez ramię, jakby spodziewała się zobaczyć jeszcze kogoś.

- Tak. To ja jestem panna Rafferty. A wy musicie być panem Hampsonem.

- Wibolt, panienko - powiedział, oddychając ze świstem i niespokojnie zerkając na Stephena. - Nie spodziewaliśmy się ciebie dzisiaj ani nie przypuszczaliśmy, że przyjedziesz w towarzystwie innych osób.

- Niech mi wolno będzie przedstawić mojego znajomego, księcia Badricka. Stephen wyprostował się, przywdziewając swoją książęcą godność jak drugą skórę.

- Zdejmijcie kapelusz, na litość boską. Panna Rafferty przywiozła ze sobą ponadto swoją towarzyszkę i dwoje przyjaciół. Czy to jest jakiś problem?

Twarz Wibolta zrobiła się jeszcze bardziej czerwona. Zdjął kapelusz, spod którego ukazały się siwe, krzaczaste brwi i szopa siwych włosów. Z kapeluszem w zaciśniętych dłoniach szurnął nogą. Między sapnięciami powiedział:

- Nie, sir. Każę przygotować inne pokoje.

- Skoro o tym mówisz, Wibolt, dopilnuj też, żeby była woda do mycia i zawiadom kucharkę. - Stephen pochylił się do przodu, wyciągając rękę. - Dobrze się czujesz?

Wibolt, wstrząsany kaszlem, oddychając zgrzytliwie, zdołał powiedzieć:

- Biegłem, rozumiecie. Zaraz mi przejdzie, wasza łaskawość, ale dziękuję za troskę.

Stephen chyba mu nie uwierzył, bo wyglądał tak, jakby był gotów złapać Wibolta, gdyby ten miał upaść, pomyślała Phoebe. Mimo że pozory temu przeczyły, w istocie Stephen był dobrym człowiekiem.

- Moja towarzyszka, jak mówiliśmy, jest w kuchni - powiedziała Phoebe. - Myślę, że zjemy tutaj, jako że biblioteka wydaje się jedynym pokojem z odpowiednim umeblowaniem.

- Tak będzie dobrze, panienko. Mogę przysłać Mary Potter do pomocy, ale... - Zachwiał się. - Cóż - wydał z siebie pusty, syczący dźwięk. - Jest tylko...

Stephen chwycił mężczyznę za łokieć i zmusił go, żeby usiadł na najbliższym krześle.

- Wykrztuś to wreszcie z siebie, człowieku.

- Hampson będzie potrzebował pieniędzy, żeby zapłacić, a pani Potter pewno nie zostanie na noc z powodu... - Wibolt kilka razy przerzucił spojrzenie z Phoebe na drzwi i z powrotem.

- Z powodu? - przynagliła go, w nadziei, że uda mu się dokończyć zdanie, zanim padnie zemdlony.

- Z powodu ducha - wyszeptał.

Phoebe zakrztusiła się, brandy paliła ją w gardle, powodując atak kaszlu.

- Duch? - zdołała zapytać.

- Ano, milady.

Biedak zerknął na drzwi po raz ostatni, po czym zaczął przyglądać się uważnie czubkom swoich przemoczonych butów. Sprawiał wrażenie, jakby miał związać swój kapelusz na supeł, starając się rozstrzygnąć jakąś kwestię wielkiej wagi. Wziął głęboki oddech, podniósł wzrok i wypalił:

- Lord Marsden, twój dziadek, panienko. Nie możemy zatrudnić tu nikogo przyzwoitego do pomocy. Augustus ich wszystkich wystrasza.

- Och, na miłość boską - zniecierpliwiał się Stephen. - Chyba nie spodziewasz się, że uwierzemy w ten stek bzdur, co?

- Sir, to prawda. Jeśli pobędziesz tu dość długo, sam się przekonasz.

- Wystarczy. O przodkach panny Rafferty pomówimy innym razem. Phoebe w końcu odzyskała głos.

- Czy chcesz mi oznajmić, że na koncie posiadłości nie ma pieniędzy?

- No cóż, panienko... - Wibolt odchrząknął, po czym wymamrotał z ulgą: - Chwała Bogu.

Idąc za jego wzrokiem, Phoebe spojrzała w kierunku drzwi, obawiając się, co tam zobaczy i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Jeśli Wibolt wydawał się stary jak świat, to człowiek, który się właśnie pojawił, był jeszcze starszy. Jego szyję nad wykrochmalonym kołnierzykiem i łysą głowę aż po czubek pokrywały zmarszczki. Choć ramiona miał nieco przygarbione, wyprostowana postawa mówiła o latach służby. Jego dobre oczy, czujne i inteligentne, analizowały sytuację szybko i dogłębnie. Pytająco spojrzał na Wibolta, który pokręcił głową. To musiał być Hampson.

- Szczerze mówiąc, wasza lordowska mość, Marsden Manor w chwili obecnej cierpi na absolutny brak funduszy - oświadczył nowo przybyły.

Stephen przysiadł na krawędzi biurka i lustrował go wzrokiem.

- Hampson, jak mniemam?

- Do usług, sir. - Skinął głową Phoebe. - Witaj w Marsden Manor, panno Rafferty.

Zaniemówiwszy po raz kolejny, odkloniła się tylko.

Wibolt wyciągnął z kieszeni chustkę do nosa i otarł sobie czoło. Oddychał głęboko, a jego lewe oko drgało. Wyglądał tak, jakby był bliski omdlenia. Stephen uniósł dłoń.

- Nie zaczynaj znów rzeźcić, Wibolt. W gruncie rzeczy, mógłbyś sprawdzić, co z naszymi pokojami. Lady Payley jest odrobinę niedysponowana.

Poszła ze swoim mężem gdzieś na górę. Dopilnuj, proszę, żeby się rozgościli. Hampson, idź do kuchni i przyprowadź tu towarzyszkę panny Rafferty. Musimy postanowić, jak się rozlokować na noc.

- Tak jest, wasza lordowska mość. - Hampson odwrócił się, żeby odejść. Wibolt, któremu zdecydowanie ulżyło, czym prędzej poczłapał za nim.

Phoebe wstała z krzesła, podeszła do biurka i zajęła miejsce koło Stephena. Ciekawość przerastała jej cierpliwość.

- Chwileczkę. Hampson, co tu się stało?

- Ja się tym zajmę. - Stephen podszedł do służącego. - Zbadamy w najdrobniejszych szczegółach pożalowania godne sprawy tego majątku i postanowimy, co należy uczynić, ale będzie na to czas jutro.

- Za pozwoleniem - chciała się wtrącić Phoebe.

- Poczekaj, Phoebe. Panna Rafferty zechce najpierw przejrzeć księgi rachunkowe. Zapewne wiele będziecie musieli wyjaśnić. Na razie zatrudnijcie kogo trzeba do pomocy. Osobiście gwarantuję zapłatę.

Odprawiony w ten sposób Hampson spojrział po raz ostatni na Phoebe z taką nadzieją i ufnością, iż wydawało jej się, że śni. Starając się rozmasować pulsujące skronie, odwróciła się do Stephena i natarła na niego jak rozwścieczony pies. Postukała go palcem w gors koszuli.

- Jeśli masz zamiar rządzić się w moim życiu, mógłbyś zapytać, czy ci na to pozwolę. Tak się złożyło, że stoję tu, obok ciebie w tym zapuszczonym pokoju, a ty jesteś tak zajęty kierowaniem moimi sprawami, że po prostu zapominasz o moim istnieniu. Jakim prawem zatrudniasz więcej służby? A co z Wiboltem i Hampsonem? Nie jesteś w ogóle ciekaw, co mają do powiedzenia moi służący? A jeśli tu rzeczywiście jest duch? Nie wierzę, że to mój dziadek nas podsłuchuje czy coś w tym rodzaju, ale na pewno dzieje się tu coś niezwykłego. Mogłabym mieć pytanie czy dwa.

Ściskając palcami grzbiet nosa, przechadzał się przed kominkiem, po czym zatrzymał się i wetknął rękę do kieszeni, a drugą oparł na półeczce nad paleniskiem.

- Czy jest jakiś szczególny porządek, według którego chciałabyś, abym odpowiedział na twoje pytania?

- Jest późno. Jestem zmęczona, mokra, trochę rozczarowana i właśnie straciłam cierpliwość. Jeśli jeszcze tego nie zauważyłaś, to Marsden Manor stało się moją sceną szekspirowskiej komedii pomyłek. Swojego ducha już mam. Brakuje mi jeszcze tylko trzech wiedźm i elfa, albo nawet dwóch.

- Uspokój się, zaczynasz wpadać w histerię.

- W histerię? - W końcu pozwoliła sobie na nerwowy śmiech, którego wybuch groził jej przez ostatnie pół godziny. - Może i masz rację, a jeśli tak, to jest to mój wybór i biorąc pod uwagę okoliczności, czuję się w pełni usprawiedliwiona. W tej chwili nie podoba mi się twój despotyzm.

- Wybacz. Nie planuję kierowania za ciebie twoim życiem, choć mógłbym tu bardzo wiele zdziałać. Pomyślałem, że może chciałabyś mieć trochę czasu, żeby to wszystko przemyśleć. Twój dom wali ci się na głowę. Ty jesteś o krok od załamania. Twoja służba to straszni starcy, prawdopodobnie niekompetentni, kompletni idioci lub kłamcy i złodzieje. Jeszcze nie wiem, którą z tych możliwości wybrać.

Zabębniła palcami w blat biurka.

- Orientuję się, że coś jest nie w porządku.

- Nie w porządku? Ha! Co do błąkania się twojego drogiego, zmarłego krewnego, zajmijmy się tą sprawą, jeśli się pojawi. Co do służby, domagam się przyzwoitego posiłku i przyzwoitego łóżka. I chętnie za to zapłacę.

- Nie mam nadzwyczajnych funduszy, żeby móc teraz zatrudniać ludzi. Umiem gotować, tak samo jak Dee i oczywiście potrafię ścielić łóżka.

Staął na rozstawionych nogach i wziął się pod boki.

- Nie będziesz moją służącą. Rozumiesz?

- A ja nie chcę, żebyś płacił moje rachunki.

- Uznaj to za prezent.

- Nie zaciągam długów, a prezenty przyjmują kochanki.

- Phoebe, zaczynasz mnie denerwować. Skrzyżowała ramiona na piersi.

- Wyobrażam sobie...

Do pokoju weszła Dee, skutecznie kładąc kres dyskusji. Po bibliotece rozszedł się kuszący aromat, kiedy postawiła na jedynym stoliku tacę z imbrykiem gorącej herbaty i chlebem.

- Coś bardzo dziwnego dzieje się w tym gospodarstwie. Spotkałam tego człowieka, za starego, żeby oddychać, i oświadczył mi, że w tej chwili mogę wyjść z kuchni. Powiedziałam mu, co myślę i chyba nie będzie mi już zawracał głowy. Myślałam, że się zaraz przewróci. Był taki zdenerwowany, jak kocur w pokoju pełnym foteli na biegunach. Nie ufam temu człowiekowi. Ani trochę. - Trajkotała dalej, nie dopuszczając nikogo do słowa. - Teraz panna Phoebe i ja poszukamy jakichś kwater do spania. Słyszałam, że mają tu przyjemny pokój w zachodnim skrzydle, w sam raz dla jego lordowskiej mości. My weźmiemy apartament we wschodnim skrzydle.

- To znaczy, myślisz, że my, słabe kobiety, nie zgubimy się po drodze? - spytała Phoebe sarkastycznie.

Stephen prawie jęknął, ale wyraz twarzy miał obojętny.

- Jesteście u siebie. Skoro wy, kobiety - położył nacisk na to słowo - zdajecie się panować nad wszystkim, ja wysiłę mój wątły, męski umysł, aby znaleźć Winstona i Elizabeth.

Stephen po cichu schodził schodami dla służby, prowadzącymi mniej więcej w kierunku kuchni. Świeca z baraniego łożu wytwarzała mdły odór, który był dla niego torturą. Kiedy po zjedzeniu czegoś, co niektórzy mogliby nazwać kolacją, udali się na spoczynek, leżał bezsennie i myślał o Phoebe i jej dziedzictwie. Nagle usłyszał ciche kroki pod swoimi drzwiami. Przysiągłby, że poczuł również woń fajkowego tytoniu. Wiedząc, że Winston i Elizabeth poszli spać, natychmiast postanowił sprawdzić, co się dzieje.

Piętro niżej wyjrzał zza węgła i rozejrzał się na boki. Żadnego ruchu. Nasłuchując jakiegokolwiek dźwięku, znów pomyślał o Phoebe i jej najnowszym kłopotcie. Marsden Manor był ruiną suma pieniędzy konieczna na odrestaurowanie go astronomiczna, nie mówiąc już o dziwnych służących.

Nieważne, jak bardzo mężczyzna pragnąłby tytułu, musiałby być straceńcem i głupcem, żeby inwestować pieniądze w to mauzoleum. Bez finansowego wsparcia, na urwistym wybrzeżu omijanym przez większość żeglarzy, Marsden Manor nie miał przyszłości. Dlatego zadanie Phoebe, aby znaleźć sobie męża, stało się niemal niemożliwe do wypełnienia. Jego propozycja zatem nabrała jeszcze większego sensu niż przedtem.

Dziwne, ale jej obecne położenie nie sprawiało mu radości. Wiedział, z równą pewnością jakby chodziło o niego samego, że bez względu na wszystkie jego ostrzeżenia nadal miała nadzieję, że on ją poślubi. Nic z tego. Zabił już dwie żony. Nie chciał dodawać Phoebe do tej listy.

Przed oczami stanęła mu jego pierwsza żona. Emily była taka ufna i tak łatwo mógł sprawić jej przyjemność. Na jej życzenie do głównej bryły Badrick Manor dobudowano balkon łączący ich pokoje. Prosiła o tak niewiele, że z chęcią przystał na to. Lubiła siadywać na tym balkonie, żeby czytać i cieszyć się porannym słońcem. Gdyby wiedział...

Oboje, Emily i ich małżeństwo, zginęli, kiedy on siedział w zaciszu swojego gabinetu, sącząc brandy i czytając cholerną gazetę. Zabili się, spadając, kiedy on dumał nad zbliżającą się gonitwą w Ascot. Pierwsze małżeństwo i jego gwałtowny koniec zdawały się tak odległe, jakby wydarzyły się wieki temu, ale wciąż ból rozdzierał mu serce jak sztylet. Zaciśnął dłoń na świecy. Boże, czemu nie da się pogrzebać przeszłości?

Skrzypnęły drzwi i słabe światło zabłysło w głębi korytarza, tam gdzie, jak sprawdził wcześniej, znajdował się staroświecki pokój muzyczny. Płomyk świecy zamigotał. Stephena owionęło zimne powietrze. Ledwo tłumił ekscytację. Czający się gdzieś winowajca niebawem

zostanie przyłapany. Podkradł się, starając się ze wszystkich sił zrobić to bezszelestnie, i zajrzał do środka. Nie do wiary, ale w pokoju nie było nikogo.

- Jasny szlag - mruknął Stephen. Zaklął jeszcze raz, ponieważ poprawiało mu to nastrój i zamarł, usłyszawszy lekkie kroki. Czy nikt w tym cholernym domu nie śpi? Ukrył się we framudze drzwi.

Zjawa, spowita w biel i podejrzenie znajoma, skradała się na palcach w jego kierunku. Ku zdumieniu Stephena, kiedy zawadziła będąc stopą o wystającą deskę podłogi, zakląła jak marynarz na przepustce.

Dwoma susami znalazł się przy niej, złapał ją za nadgarstki i odwrócił tyłem. Zanim zdołała krzyknąć, budząc wszystkich, zakrył jej usta dłonią.

- Postradałaś rozum? Co ty, u diabła, wyprawiasz? Phoebe, odwracając do niego głowę, wyszeptala wściekle:

- Ja? To ty mnie śmiertelnie przeraziłaś.

- Odpowiedz na pytanie.

- Nie mogłam zasnąć i usłyszałam, że ktoś jest na dole.

- Postanowiłaś więc sprawdzić?

Kiedy przytaknęła, wczepił sobie palce we włosy, zmuszając się, żeby nie krzyczeć. Z pewnością nie był mu potrzebny nikt więcej, czający się w korytarzu. Ta kobieta zachowywała się jak samowolne dziecko. Chodziła, gdzie chciała i kiedy chciała, nie myśląc o konsekwencjach.

- To było nieskończenie głupie.

- A ty?

- Ja jestem mężczyzną. Mam tropić wrogów, bronić kobiety i domu.

- Nonsens. - Widząc, że twarz mu stężała, wsparła ręce na biodrach. - I co, wielki obrońco domowego ogniska, co odkryłeś?

- Ktoś tu się skradał, wszedł do pokoju muzycznego i zniknął. Trudno to uznać za normalną kolej rzeczy.

Phoebe miała oczy okrągłe ze zdumienia. Rozejrzała się wokół jak ktoś, kogo mrok zaskoczył na cmentarzu.

- Nie ma co się denerwować, Phoebe. Nie wierzę, żeby twój przodek wpadł na kieliszeczek przed snem. Duchy zazwyczaj przenikają przez przeszkody. Nasz intruz użył drzwi. Musiał się prześlizgnąć koło mnie.

- Jakim cudem do tego dopuściłeś?

Już miał odpowiedzieć, ale postanowił zachować swój niewyszukany komentarz dla siebie. W jego obecnym stanie ducha prawdopodobnie nie obyłoby się bez jadowitego wykładu na temat zdrowego rozsądku, co mogłoby ją urazić. Odwrócił się na pięcie i trzymając ją za rękę, ruszył korytarzem.

- Gdzie jest Dee? Tylko mi nie mów, że pozwoliła ci chodzić samej po nocy.

- Nie słyszała mnie. Kiedy już zaśnie, nie obudzi się przed wschodem słońca, choćby spała w stodole pełnej piejących kogutów.

Ta mała niedyskrecja pobudziła jego umysł i ciało. Stał jak wryty i pozwolił oczom napawać się widokiem osłoniętego jedwabiem ciała Phoebe, błędząc wzrokiem z góry na dół i z powrotem. Drobne, perłowe guziczki biegły rzędem na całej długości jej szlafroka, aż do szyi, gdzie zapomniała zapiąć ostatnie trzy. Nad kołnierzykiem wystawała delikatna, różowa koronka. Włosy opadały kasztanową falą na plecy. Zamruczał cicho:

- Nie jest to najmądrzejsza rzecz, jaką można powiedzieć mężczyźnie, który chce cię uwieść.

Szybko przełknęła ślinę, ściągnęła ciaśniej szlafrok przy szyi i zadarła wysoko nos.

- Zapewniam cię, lordzie Badrick, że zostanę uwiedziona, jeśli zechcę i kiedy postanowię, że chcę być uwiedziona. I najprawdopodobniej nie stanie się to przed moją nocą poślubną.

Stephen prawie jęknął. Mocniej ścisnął ją za rękę i pociągnął za sobą, nie mając ochoty wdawać się w dyskusję na temat małżeństwa o tej późnej porze.

- Dokąd idziemy?

- Do pokoju muzycznego. Musi tam być coś, co przeoczyłem.

- Na przykład dziadek Augustus.

- Wątpliwe.

Deszcz nie przestawał padać i w domu zrobiło się wilgotno i chłodno. Podmuchy zimnego wiatru wdzierającego się przez szpary w okiennicach hulały po korytarzu, przypominając Stephenowi, że jest ubrany tylko w cienką koszulę pospiesznie wetkniętą w spodnie. Phoebe miała na sobie niewiele więcej. Byli tu we dwoje, sami, bez przyzwoitki, ledwo ubrani, w środku nocy, a on prowadził ją ciemnym, pełnym przeciągów korytarzem. Był bliski szaleństwa.

- Czy ta kucharka powiedziała coś pożytecznego?

- Nie - odparła z zalem.

- Nie martw się, jutro będziesz miała czas, by wypytać Hampsona. To tutaj.

Pokój muzyczny znajdował się na końcu korytarza na pierwszym piętrze. Światło świecy, którą niósł Stephen, ożywiało cienie na ścianach, zastępujące obrazy. W jednym kącie stała harfa, przy stoliku z małą karafką i kilkoma kieliszkami ustawione było jedyne krzesło.

Phoebe wyrwała rękę z dłoni Stephena, wspięła się na palce i zajrzała nad jego ramieniem w ciemność.

- Nie powinniśmy poczekać do rana? Będzie świeciło słońce i zrobi się jakoś różnie.

Przez materiał koszuli poczuł jej piersi przyciśnięte do swoich pleców. Niech to szlag, nie jest jakimś cholernym świętym. Jak mężczyzna ma zachować czystość intencji, kiedy ona przypiera do niego w tak rozkoszny sposób? Odwrócił się, chciał ostrzec ją uczciwie. Położył rękę na karku Phoebe, unieruchamiając ją.

- Jestem zupełnie rozbudzony. Pewno nie mógłbym zasnąć, gdybym próbował. Jeśli chcesz, możemy wrócić do naszej wcześniejszej rozmowy. Byłbym nawet skłonny zademonstrować ci pewne techniki. Wróćmy może w zacisze biblioteki i...

Wyczuł narastający w niej żar. Jej oczy zrobiły się ogromne, nozdrza drgały.

- Tam do diabła - mruknął i jego wargi spadły na usta Phoebe, co było bardziej wymowne niż słowa. Ledwo chwyciła oddech, tętno waliło jej pod palcami Stephena. Takiego właśnie zaproszenia potrzebował. Nie zastanawiając się dłużej, przywarł do niej całym ciałem, dłońmi objął krągłe pośladki Phoebe. Kiedy stali tak z udem przy udzie, z piersią przy piersi, wsunął język do jej ust. Nie był to nieśmiały pocałunek. Składał się z ognia i żaru, z oczekiwania i obietnicy. Przesunął usta za jej ucho, tam gdzie znajdował się mały pieprzyk, który nie dawał mu spokoju za każdym razem, kiedy miała włosy splecione w warkocz. Między przenikliwymi westchnieniami rozkoszy udało jej się wyszeptać:

- To chyba nie jest dobry pomysł. To znaczy, możemy nie być sami. - Wywinęła się i stanęła tyłem, ale wciąż wtulała się w niego. - Przynajmniej mógłbyś przynieść więcej światła.

Wydał z siebie jęk i dla własnego dobra odsunął się pod ścianę. Podążyła za nim, jak słodki zapach perfum. Ciepłe tchnienie owiewało co chwila wrażliwe miejsce za jego lewym uchem. Nie bacząc na odruch, który nakazywał mu wziąć ją w ramiona, co z pewnością wyzwoliłoby inne, niewłaściwe impulsy, jakim bardzo starał się oprzeć, zaczął macać ścianę nad drewnianą listwą.

- Czego szukamy? - spytała.

- Nie jestem pewien. Jeśli ktoś wszedł do tego pokoju, musiał go opuścić innym wyjściem.

- Jakieś ukryte przejście? To takie ekscytujące.

Powoli okrążając pokój, dokładnie zbadał każdą deskę boazerii, regularnie opukując drewno. Chwilami Phoebe naśladowała jego działania, ale nie odstępowała go na krok, trąkając pospiesznie:

- Wiedziałaś, że Wibolt jest w Marsden Manor od trzech lat? - mówiła. - Hampson jest tu od zawsze. W każdym razie, Wibolt twierdzi, że nic nie wie o finansach, tyle tylko, że z pieniędzmi krucho. Wspomniał o jakichś ludziach i pewnej wstrętnej kobiecie, która przyjeżdżała tu i odjeżdżała. Nie bardzo zrozumiałam tę część jego opowieści. Zaczął się okropnie płatać, kiedy pytałam o Hampsona i dziadka, którego jakoby widział.

- Phoebe - westchnął. - Mówisz o starcu, którego dopiero co poznałaś i który może być odpowiedzialny za ten cały bałagan. Pleciesz też bzdury.

- To mi pomaga oderwać myśli od tego, co akurat robię, a co mnie raczej nie pociąga. Nie zwykłam szukać duchów w środku nocy. - Przerwała. - No więc pewnego wieczoru, idąc do kuchni, na pierwszym piętrze południowego skrzydła Wibolt zobaczył Augustusa, który niósł skrzynkę, palił fajkę i pogwizdywał. Zniknął w ścianie z portretami rodzinnymi w zachodnim skrzydle. Myślisz, że te przejścia łączą różne części domu?

- Być może.

Postukał w boazerię po raz ostatni. Nie znalazł nic niezwykłego, ale przecież ktoś wszedł do tego pokoju. Stephen nie wierzył w duchy. W każdym razie nie w duchy zmarłych. Przyglądał węża.

- No tak. Wiatr się wzmaga.

Phoebe podeszła do siedziska pod oknem, uklękła i wyrzła w noc.

- A tak w ogóle, to po co ktoś miałby się tu kręcić w taką noc?

- Hm. - Stephen zastanawiał się nad tym samym. Zapalił następną świecę, znalazł na stoliku kryształową karafkę, wyjął mosiężny korek, powąchał i uśmiechnął się z zadowoleniem. - Dojdziemy do tego prędzej czy później.

Błyskawica rozdarła niebo. Widok nocnego stroju Phoebe ciasno opinającego jej pośladki rozjaśnił nastrój Stephena szybciej niż brandy. Napełnił dwa kieliszki i usiadł obok niej na wyściełanym siedzisku pod oknem. Na zewnątrz znów błysnęło, a w białym świetle skóra Phoebe zdawała się świecić.

Kremowa, jedwabna koszula nocna i szlafrok podkreślały jej kształty, które wyobrażał sobie i pamiętał. Rude włosy spływały na plecy. Była najczystsza formą pokusy. Łatwo mu przyszło wyobrazić ją sobie nagą, pod nim. Deszcz bębnił o szyby, a on dzielił się z nią ciepłem swego ciała. Zdejmowałby jej nocny strój po trochu, zaczynając od rozpięcia

perłowych guziczków, potem uwolniłby jej ramię. Jego usta znalazłyby drogę do piersi Phoebe. Patrzył, jak zlizwała kropelkę brandy z kącika ust. Boże, chciał ją pożreć.

Jej oczy, miękkie od alkoholu i senności, błyszczały czymś zbliżonym do uwielbienia. Było to spojrzenie, które chwyta mężczyznę za serce, każąc mu wierzyć, że wszystko jest możliwe. Nawet uwolnienie się od cygańskiej klątwy i dręczącej przeszłości. Piekło i szatani, pomyślał, kręcąc głową, co to za myśli? Zaczynała zasiewać w jego umyśle niemożliwe marzenia i to przeraziło go do głębi. Przesunął się na sam skraj siedziska.

- Nie patrz tak na mnie.

- Słucham? - zapytała Phoebe, zaskoczona jego szorstkim tonem.

- Słyszałaś. Masz wyraz twarzy, który mówi chodź tu i który każe mężczyznom myśleć o niemożliwych rzeczach, robiąc z nich skończonych idiotów. Tylko moja frustracja, za którą ty ponosisz winę, sprawia, że jestem delikatny. Gdybyś była pierwszą lepszą kobietą, już byś leżała na plecach, bez względu na konsekwencje.

Phoebe przyglądała się Stephenowi, jak przeszedł przez pokój z kocim wdziękiem, który niezwykle jej się podobał. Jego ruchy były bardziej nerwowe niż zwykle, co miało źródło w wewnętrznym niepokoju, którego nie pojmowała.

- Wydaje się, jakbym przyszła na przedstawienie po antrakcie.

Stojąc przy drzwiach, z twarzą ukrytą w cieniu odpowiedział prostym pytaniem:

- Masz zamiar zrealizować ten swój niedorzeczny plan?

Starając się dociec powodu zmiany jego nastroju, odrzekła powoli i ostrożnie:

- Nie mam wyboru.

- Zrezygnuj. Zadanie, jakie przed tobą stoi, jest niewykonalne. Phoebe zdawała sobie sprawę, że to prawda. Nie myślała o niczym innym, odkąd tu przyjechała, odkąd skończyła nędzny posiłek złożony z ziemniaków i czegoś, co mogło uchodzić za szynkę, przygotowany przez panią Potter, która wzdrygała się na każdy dźwięk rozlegający się gdzieś w głębi domu. Posiłek podany był na wyszczerbionych, fajansowych talerzach, a obsługiwał im Wibolt w wytartej liberii. Marsden Manor był pętlą na jej szyję. Odezwała się wesołym, niemal kokieteryjnym tonem:

- O jakim zadaniu mówisz, sir? Zdaje się, że obecnie mam ich wiele.

- Zostały ci trzy tygodnie, aby znaleźć męża. Dodaj do tego koszmar tego domu, a twoje szanse na poślubienie kogoś, kto nie zmieni twojego życia w piekło, są nikłe.

- Moje zadanie z pewnością jest teraz o wiele trudniejsze.

- Ha - parsknął sarkastycznie. - Jakiego dokładnie rodzaju mężczyznę chcesz poślubić? Okłamięs go?

Cała jej poza zniknęła bez śladu. Phoebe zerwała się spod okna i natarła na Stephena, a szlafrok powiewał za nią.

- Jak śmiesz? Chcę pozostać szczerą i uczciwą. Jeśli on chce tytułu, będzie go miał. Jeśli życzy sobie, by jego noga nigdy tu nie powstała, tym lepiej. Myślisz, że nie rozumiem swojej sytuacji? Myślisz, że jestem pustogłową trzpiotką bez skrupułów? Zapewniam cię, że się mylisz. Pracowałam przedtem i mogę pracować znowu, jeżeli będzie trzeba, ale jestem zdecydowana zatrzymać Marsden Manor, nawet jeśli miałabym używać tylko jednego pokoju. Wielkie nieba, nie potrzebuję czterdziestu ośmiu pokoi.

Wetknęła ręce do kieszeni, żeby nie zrobić czegoś głupiego. Gwałtem nic nie osiągnie. Wymaszerowała z pokoju muzycznego, przeszła szybko cztery kroki, próbując uciszyć narastającą bezradność i gniew. Odwróciła się.

- Obiecałam sobie opanować tego rodzaju wybuchy. Czy ty nie widzisz, jakie tu są możliwości?

Wyszedł za nią na korytarz.

- Jeśli mam być szczerą, to nie.

- To dlatego, że jesteś mężczyzną. Marzysz za pomocą logiki i portfela. Kobiety marzą sercem.

- Ale to my postępujemy słusznie, inaczej świat byłby finansową ruiną. Powiedz mi przynajmniej, dlaczego chcesz zatrzymać Marsden Manor? Do dziś nigdy nie widziałas tego miejsca.

Gdyby przekonała go, jak bardzo ta posiadłość jest ważna, mógłby przynajmniej zrozumieć jej determinację. Przeszła kawalek, wiedząc, że on idzie za nią. Ściany korytarza były wyłożone niegdyś pięknie rzeźbioną boazerią z której zostały tylko resztki. Zatrzymała się i powiodła palcami po zakurzonym reliefie wyobrażającym owoce i kwiaty przybrane powiewającymi wstęgami, jak żywe.

- Boże, wiem, ile tu trzeba zrobić, ale moja matka tu się urodziła i dorastała. Kochała morze i wzgórze. Na toaletce w sypialni trzymała miniaturę przedstawiającą ten dom. Kiedy byłam małą, zakradałam się do jej pokoju i wyobrażałam sobie, że tu mieszkam. To był zamek z bajki, oaza spokoju, idealne miejsce dla królowny czekającej na swojego królewicza.

- Nie spodziewaj się królewicza, bo musiałby on mieć dwa tysiące funtów i zamiłowanie do niewygód, bałaganu i kiepskiej strawy. Poza tym, nie sądzę, żebyś znalazła królewicza między kandydatami, którzy węszą za tobą i twoim tytułem jak parszywe kundle.

- Och ty... - stłumiła okrzyk. - Jak cudownie być mężczyzną i rządzić światem. Mieć tyle pieniędzy, żeby zaspokajać swoje kaprysy i nie martwić się, z czego zapłacić rachunki

ani czy po powrocie do domu nie okaże się, że twój majątek został sprzedany bez twojej wiedzy. Wierz mi, Marsden Manor będzie mój. I wiele tu zdziałam.

Nieziemski wrzask przeszył ciemność. Wszelkie myśli dotyczące uporu Stephena pierzchły. Zapadła niesamowita cisza. Phoebe przycisnęła dłonie do piersi.

- Dobry Boże, co to było?

- Trzymaj się za mną - nakazał Stephen. - Choćby nie wiem co się działo.

Nie musiał powtarzać. Pchnął ją za siebie, chwycił za rękę i pobiegli korytarzem. Przystanęli u szczytu schodów i zamarli, nasłuchując. Ich przyspieszony oddech był jedynym dźwiękiem. Kolejny wrzask rozniósł się echem wśród gołych ścian.

- Kucharka! - krzyknął Stephen.

Najwyraźniej wcześniejsze wydarzenia były jedynie preludium do tego, co miało dzieć się tej nocy. Wspaniale. Zanim dotarli do pokoju kucharki, zaległa złowroga cisza. Stephen zmarszczył brwi. Drzwi były lekko uchylone i otwały się bez trudu. Pani Potter leżała jak toból na podłodze przy łóżku. Twarz miała szarą jak popiół. Przy jej stopach leżała miotła.

Phoebe ścisnęła dłoń Stephena, wbijając mu w ciało paznokcie.

- Myślisz, że ona nie żyje?

Stephen energicznie wyswobodził swoją rękę i przystawił palce do szyi pani Potter, badając puls.

- Zemdląca.

- Co tu się stało?

- Musimy poczekać, aż się ocknie - powiedział, dźwigając kucharkę na łóżko. - Zobacz, może znajdziesz drugą świecę. Nie przypuszczam, żebyś miała sole trzeźwiące, co?

Phoebe posłała mu spojrzenie wyraźnie mówiące, że uważa to pytanie za obelżliwe. Na nocnym stoliku znalazła szmatkę i miseczkę z wodą.

- Słodka Dalilo, a to co?! - zawołała Dee, wpadając do pokoju. Hampson przyczłapał tuż za nią.

- Kucharka krzyczała - odparł Stephen.

Następnie zjawili się Elizabeth i Winston, trzymając się za ręce. Można by podać herbatkę, gdyby nie to całe zamieszanie.

- Matko Boska, kogo zamordowano? - spytał Winston.

- Nikogo. Kucharka zemdląca - oznajmiła Phoebe. - Tak jak wy, usłyszeliśmy krzyk, przybiegliśmy i znaleźliśmy panią Potter zupełnie nieprzytomną.

- O mój Boże - wymamrotał Hampson z zeszywniałą twarzą.

- Daj mi to, proszę - powiedziała Dee. Odebrała Phoebe szmatkę i podeszła do leżącej kucharki. Ocierając czoło kobiety, spojrzała na Stephena pytająco. - Zechcesz mi powiedzieć, co dokładnie wy dwoje robiliście, chodząc po domu w środku nocy?

Stephen uznał, że jest to właściwy moment, by uciec się do książęcego autorytetu.

- Niespecjalnie.

- A może mnie zechcesz powiedzieć? - spytała Elizabeth, przyglądając się badawczo Stephenowi i Phoebe, doszukując się na ich twarzach oznak psoty.

- Nie - odburknął Stephen.

Winston, najwyraźniej przekonany, że nie ma bezpośredniego zagrożenia dla domowników, oparł się o zagłówek łóżka, a uśmiech igrał na jego wargach.

- Byłbyś uprzejmy powiedzieć...

- Och, litości - mruknęła Phoebe, następując Stephenowi na palec, zanim zdążył powiedzieć coś niemiłego. - Usłyszeliśmy hałasy i sprawdzaliśmy, co się dzieje. To wszystko.

- Na tym małym przyjęciu brakuje tylko Wibolta - powiedział Winston, wiedząc, że Stephen zapewne też się nad tym zastanawia. - Jak myślicie, gdzie on może być?

- Sądzę, że w łóżku - odparł Hampson, po czym wyprostował się i włożył ręce do kieszeni flanelowego szlafroka.

Pani Potter zakrztusiła się, stęknęła dwa razy i wreszcie się ocknęła. Wciąż w panice i oszołomiona, sięgnęła po miotłę.

- Czy... on... poszedł?

Stephen poklepał ją po dłoni dla dodania otuchy.

- Kto?

- Jego lordowska mość - wskazała palcem w kąt pokoju. - Stał tam, w nogach łóżka, jak żywy. Przeraził mnie prawie na śmierć. Nigdy już nie będę w stanie ugotować przyzwoitego posiłku.

Stephen zachował dla siebie uwagę, że pani Potter i tak nie potrafi gotować, czuł bowiem, że nie jest to najlepsza pora, aby krytykować jej talenty kulinarne. Wciąż drżała jak liść osiki.

- Zapewniam, że lord Marsden nie pojawił się dzisiejszej nocy. Miała pani straszny sen, to wszystko.

- Ha. Mówiłam panu Hampsonowi, że mogę gotować, ale nocować tu już nie będę.

- Ciii - uspokajał Stephen. - Z pewnością taka inteligentna kobieta jest rozsądna i nie wierzy w duchy. Może pani przez resztę nocy dzielić pokój z panną Rafferty. - Spojrzał na Phoebe, która skinęła głową. Następnie stanął w nogach łóżka i zwrócił się do wszystkich: -

Załatwione. Elizabeth, proszę, pomóż pani Potter pozbierać jej rzeczy, podczas gdy ja i Winston coś sprawdzimy. Idź z nimi, Phoebe. Rozprawimy się z tym bałaganem jutro.

Sądząc z wymiany spojrzeń między Dee a Stephenem, Phoebe powinna opuścić pokój pięć minut wcześniej. Nie potrzebowała pouczenia i ostrzeżeń od nikogo ani śledztwa. Nie dziś. Stephen dostarczył jej dość tematów do przemyślenia.

- Chodź dziecko. Wracaj do łóżka - powiedziała Dee.

Phoebe, nie mając siły zaprotestować, po prostu odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę schodów. Przysięgłaby, że słyszy, jak umysł Dee pracuje, zadając pytania.

- Och przestań. Inaczej będziesz się wiercić i przewracać z boku na bok, nie dając mi spać. - Phoebe obejrzała się przez ramię. - Powiem ci jednak, że nic się nie stało. Przynajmniej nie to, co podejrzewasz.

Dee dogoniła Phoebe, która szybkimi krokami pokonywała schody. Wzięła ją za rękę i ścisnęła.

- Wiem o tym, kwiatuszku. Sprawdzam tylko zapal tego mężczyzny.

Phoebe zachichotała, słysząc tę rewelację, która nie zdziwiła jej ani trochę. Ziewając, zdjęła szlafrok i usiadła na nierównym sienniku. Przyklepała go tu i ówdzie, po czym zrezygnowała i położyła się znużona.

Dee, nucąc, okryła ją kołdrą pod brodę.

- Czemuś taka markotna?

- Dee, staram się, naprawdę, ale tym razem tak trudno jest zobaczyć choćby tęczę, nie mówiąc już o garnku złota. Jakże ja znajdę przyzwoitego mężczyznę, żeby się ze mną ożenił, kiedy to miejsce jest moim wianem?

Dee odgarnęła włosy z czoła Phoebe tak, jak to robiła tyle razy przedtem.

- Nie poddawaj się, panno Phoebe. Cuda, wielkie i małe, zdarzają się codziennie. Śpij, dziecko. Wszystko będzie wyglądać jaśniej w świetle dnia.

Kiedy Phoebe obudziła się następnego ranka, w świetle dnia dostrzegła tylko więcej brudu, więcej pęknięć i ogólną ruinę Marsden Manor, która była katastrofalna. Hampson i Wibolt nadal byli za starzy, by podjąć się ciężkiej pracy, a garnek złota nie pojawił się w cudowny sposób na końcu tęczy. Słowa Stephena, prawdziwe, ale tym bardziej irytujące, ciągle na nowo dzwięczały jej w uszach. Co robić? Jak ma znaleźć mężczyznę, który ożeniłby się z nią, skuszony Marsden Manor?

Niespokojna, wciąż szukając odpowiedzi, zrezygnowała ze śniadania i błądziła po korytarzach domostwa, a każda podarta kotara, każdy огоłocony pokój sprawiały, że w jej myślach panował coraz większy zamęt. W końcu stanęła przed portretami przodków. Była to kolekcja typów surowych i władczych oraz osób o miłym, przyjaznym wyglądzie. Wiedziała o nich niewiele. Portrety jej matki z ujmującym uśmiechem i dziadka o dobrych oczach wywołały tylko jeszcze większą melancholię.

- Twoja matka była śliczną, młodą kobietą.

Phoebe odwróciła się i ujrzała Hampsona stojącego na końcu korytarza ze smutnym wyrazem twarzy. Jego liberia, czysta i idealnie wyprasowana, była przetarta na łokciach i kolanach. Nie umiała wyobrazić go sobie, jak knuje, by ograbić ją z majątku. Znów spojrzała na obraz. Matka siedziała na kamiennym balkonie, mając za całe tło ciemnobłękitny ocean i bezkresny horyzont.

- Ile miała lat, gdy namalowano ten portret?

- Osiemnaście. Portret został zamówiony zaledwie dwa miesiące przed tym, jak odplynęła z twoim ojcem. Była taka szczęśliwa. Twój dziadek latami przechowywał obraz na strychu. Po jej śmierci powiesił portret z powrotem na właściwym mu miejscu, aby przypominał mu stale o jego głupiej dumie. Często stał tu, tak jak ty teraz, wpatrując się w obraz. Nigdy sobie nie wybaczył.

- Umarła, kiedy miałam zaledwie sześć lat. Pamiętam trochę z tego, co mi opowiadała, ale żałuję, że nie dowiedziałam się więcej o jej życiu i dzieciństwie. Tatuś nigdy o tym nie mówił. Powiedział, że to zbyt bolesne.

- Jeśli pozwolisz, panienko, sądzę, że mógłbym coś na to poradzić. Zaciekawiona poszła za Hampsonem długim korytarzem. Przystawali co chwila, a on opowiadał jej rodowe historie, które słyszała po raz pierwszy. Dowiedziała się, że jej pradziadek był dżentelmenem, który przez jakiś czas wiódł życie pirata, kazał wybudować Marsden Manor, ponieważ kochał

morze. Porwał on prababkę Phoebe, co było powodem skandalu, i tylko małżeństwo mogło ten skandal uciszyć. Kochali się do szaleństwa. Brat dziadka, Herbert, obdarzony ogromnym nosem, uwielbiał polowania. Jego małżonka, Rosalund, wbrew woli męża założyła w Londynie sierociniec, a prababka Phoebe była doskonałą amazonką.

Poczuła się lepiej, niż mogłaby się spodziewać, dostrzegłszy swoje miejsce w nowo odnalezionej rodzinie. Podeszła do Hampsona, który czekał obok przeszklonych drzwi. Otworzył je i znaleźli się na długim balkonie wiszącym trzydzieści metrów nad szafirowym morzem, i ujrzała zapierający dech w piersi widok, jakiego nie widziała nigdy w życiu.

Poszum fal rozbijających się o urwisko zdawał się dobiegać z odległości wielu kilometrów, przemawiając do niej w hipnotycznym rytmie. Mewy szybowały nad urwiskiem, krzykiem głosząc słyszalną dla wszystkich pochwałę wolności. Świeży, rześki powiew osadzał na jej skórze sól. Okolica była rozległa i bezludna, tak jak Stephen opisał, a ona zachwycała się nią.

Hampson stanął pod ścianą.

- Twoja matka miała niezwykłą wyobraźnię. Przesiadywała tu godzinami, wypatrując syreny wyrzuconej na brzeg lub bezradnie dryfującej łodzi. Byłaby gotowa sfrunąć z urwiska na ratunek.

- Opowiadała mi cudowne historie o piratach i ich statkach pełnych złota.

- Inspirowane bez wątpienia przez twojego pradziadka, pirata - dopowiedział Hampson, w jego głosie brzmiało coraz większe ożywienie. - Twój dziadek towarzyszył jej każdego popołudnia przy herbacie. Siadywali tutaj, głowa przy głowie i snuli plany podróży dookoła świata. Kiedy już znudziła ich ta zabawa, dostarczali sobie nawzajem rozrywki, opowiadając historie nie do wiary.

Na balkonie, we wnęce, stały mały, żelazny stolik i dwa krzesła, wszystko domagało się malowania. Łatwo było wyobrazić sobie scenę, jaką opisał Hampson. Chcąc odzyskać choć odrobinę życia matki, Phoebe usiadła na najbliższym krześle, oparła łokcie na stoliku i zapatrzyła się w morze tak, jak dawniej czyniła jej matka.

- Musiałeś bardzo dobrze ją znać.

- W gruncie rzeczy, to ja przyjmowałem poród.

- I kochałeś ją. - Uśmiechnęła się, widząc, że się lekko nastroszył. - To tak, jak ja. Dziękuję. Ofiarowałeś mi dziś najwspanialszy z darów.

Hampson, zawstydzony tym podziękowaniem, podszedł do kamiennego siedziska zwróconego przodem do oceanu, nagle niechętny, by spojrzeć jej w oczy. Stał, zapatrzony w dal. Wyraz bólu na jego twarzy zaczął martwić Phoebe, ale czekała. Po chwili, z wielką

ostrożnością wydobyl spod pachy zawiniatko opakowane w brązowe płótno. Kiedy rozwinął materiał, ukazała się urocza, woskowa lalka. Posadził ją na stoliku.

- Trzymałem ją dla ciebie.

Przytuliła lalkę do piersi. Do oczu napłynęły jej łzy.

- Dziwię się, że dziadek pozwolił ci zatrzymać coś, co należało do niej.

- Tak naprawdę, panno Phoebe, to on kochał ją nad życie. Cała radość opuściła jego serce, kiedy twoja matka umarła. - Mówiąc to, wyglądał, jakby wielki ciężar zaległ mu w duszy, w jego oczach malowało się znużenie, całe ciało zdawało się jeszcze bardziej kruche. Po chwili wyjął z kieszeni kawałek papieru, był to chyba jakiś list. Podał go Phoebe, mamrocząc: - Głęboko żałuję, że nie potrafiłem lepiej zatroszczyć się o to miejsce. Kiedy ty i lord Badrick będziecie gotowi, odpowiem na wasze pytania.

Nie mówiąc nic więcej, odszedł. Phoebe, bojąc się tego, co mogło kryć się za nagłą zmianą nastroju Hampsona, obracała w palcach kopertę, jakby to w niej miała się znajdować wskazówka. Kiedy w końcu zdobyła się na odwagę, otworzyła ją i przeczytała pismo. Potem przeczytała znowu. Dwukrotnie.

Wiadomość była ciągle ta sama, równie zdumiewająca i przygnębiająca, jak za pierwszym razem. Ogarnięta nagłym wyczerpaniem, przytuliła lalkę matki do piersi, położyła głowę na stoliku i zamknęła oczy.



Szukając Phoebe, Stephen natknął się na Hampsona, i po chwili już był na balkonie. Widok bez wątpienia zapierał dech w piersi. Ten, kto wybrał miejsce pod budowę Marsden Manor, wybrał je dobrze. Szkoda, że inni krewni zapomnieli zatroszczyć się o stare domostwo.

Ujrzał Phoebe z głową opartą na rękach na stoliku i uznał, że biedna dziewczyna jest wyczerpana. Nic dziwnego. Miniona noc okazała się dość męcząca dla wszystkich. Kiedy zastanawiał się, czy pozwolić jej na odpoczynek, jakiego zdawała się potrzebować, zauważył w jej zaciśniętej dłoni kawałek papieru. Podeszedł bliżej i nie umiejąc oprzeć się pragnieniu, wtulił usta w jej odsłonięte ucho.

- Dzień dobry.

Uniosła głowę i trzymając łokcie na stoliku, podparła brodę dłońmi.

- Może dla ciebie dobry.

Usiadł na krześle i po raz pierwszy spojrzął jej w twarz. Coś więcej niż tylko wyczerpanie nawiedziło ją tego ranka. Cera zdawała się przezroczysta, z oczu zniknęło

zwykle dla niej ożywienie. Choć kąciki ust Phoebe uniosły się, uśmiech pozbawiony był prawdziwej radości. Wydawała się posępna i przybita. Odwrócił jej twarz ku sobie i spytał:

- Co się stało? Jesteś blada, wyglądasz tak, jakby ktoś wręczył ci wyrok śmierci.

Odwróciła twarz i podała mu zmiętą kartkę. Wydawało mu się, że zauważył plamkę, która, przysiągłby, była śladem łzy. Przeczytał wiadomość i zrozumiał nastrój Phoebe. Marsden Manor to nie tylko ruina, ale też domagano się natychmiastowego uregulowania zaległych podatków, prawdopodobnie znacznej kwoty. Klnąc pod nosem, zwinął arkusik w jeszcze ciaśniejszą kulkę.

- Poza tym, że mi przykro, nie bardzo wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć.

- Czuję się, jakbym była marionetką którą kieruje ktoś, kto uparł się szarpać za sznurki za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że jestem bliska znalezienia rozwiązania. Niania Dee zawsze powtarza, że zmaganie się z kłopotami wzmacnia charakter. Cóż, mam już chyba tyle charakteru, że wystarczy mi do końca życia. Teraz przynajmniej rozumiem, co znaczyła ta dziwna wiadomość od mojego notariusza. Czy to duża suma? - Wskazała na pismo.

- To zależy od tego, jak dużej płatności dokonał twój notariusz ostatnim razem, oraz od wielkości posiadłości. Jest to dość skomplikowane. Poza tuzinem innych rzeczy, płacimy podatki od służby i ziemi. Dziesiąta część idzie na Kościół Anglii, a twoja parafia musi dostać na drogi i na biednych. Księgi rachunkowe majątku, jeśli były prowadzone, powinny wykazać szczegółowe wyliczenia. Co chcesz zrobić?

- Urwisko ma przyzwoitą wysokość, ale biorąc pod uwagę moje szczęście, wylądowałabym na jedynym miękkim miejscu na całej plaży. - Był wstrząśnięty, poczuła się więc odrobinę winna i szybko dodała: - Żartuję. Czuję się co najmniej zniechęcona, ale obiecuję, że taki nastrój nie potrwa długo. Dąsanie się nie leży w mojej naturze. Poza tym, bezproduktywność jest męcząca. Hampson jest gotów udzielić szczegółowych wyjaśnień, jeśli chcesz. Potem zadecyduję, co trzeba zrobić.

Nuta beznadziei w jej głosie dręczyła go najbardziej. Gwałtowna chęć chronienia Phoebe zalała go jak fale rozbijające się w dole o skały. Lata minęły od czasu, kiedy czuł potrzebę przyjścia na ratunek kobiecie. Jego żona Louisa nigdy nie skłaniała go do myśli o poświęceniu się dla niej, nie chwyciła go za serce ani nie poruszała jego sumienia, tak jak Phoebe.

Szybko pozbył się dręczących myśli. Nie był gotów zaoferować jej tego, czego naprawdę pragnęła. Poza tym, gdyby zechciał teraz coś jej doradzić, prawdopodobnie to jego rzuciłaby z urwiska. Ona potrzebowała odmiany! Czegoś, co odwróciłoby jej uwagę od zadłużenia, od kłopotów i stanu posiadłości. Przygody. Poza tym, czekał cały ranek, aby

wyjawić jej, co odkrył w nocy. Wibolt wybrał się do wsi. Winston z małżonką byli niedysponowani - miejscowy lekarz przyszedł zbadać Elizabeth. Pani Potter, Dee i Hampson porządkowali na górze pokoje służby. Jeśli podejrzenia Stephena okażą się słuszne, Hampson będzie musiał wyjaśnić nie tylko stan posiadłości.

Wstał z krzesła i wziął ją za rękę.

- Na razie proponuję, żebyś pomyślała o czymś innym. Chodź.

- Dokąd?

- Do pokoju kucharki.

- Po co?

- Założę się o moją najlepszą klacz, że nasz nocny gość to człowiek z krwi i kości i to ktoś z twojej służby.

Przedostali się do północnej części domu, starannie unikając spotkania z kimkolwiek po drodze. Nie chcąc, by ktoś im przeszkodził, Stephen zamknął drzwi i zaczął systematycznie przeszukiwać pokój kucharki, w taki sam sposób, w jaki poprzedniej nocy przeszukiwał pokój muzyczny.

- Nadal wierzysz, że w domu są tajne przejścia? - spytała Phoebe. Przyglądała się skromnemu umeblowaniu, zadowolona z odmiany, jaką Stephen jej zaproponował.

- To bardzo możliwe. W pokojach dla służby nie ma takich półek jak te. Od razu wydało mi się to dziwne. - Z uchem przy ścianie obmacywał drewnianą konstrukcję podtrzymującą półki. Ciche, ale zdecydowane szcęknięcie dobiegło gdzieś ze środka. - Proszę bardzo. - Naparł ramieniem i cała półka odsunęła się, a ich oczom ukazały się schody prowadzące w dół. Chwycił świecę, która była pod ręką, i szybko ją zapalił, po czym wślizgnął się do tunelu. - Zobaczmy, dokąd one prowadzą.

Phoebe patrzyła, jak zgarbił się i schylił głowę. Wielkie nieba, jego ramiona ledwo mieściły się między wiekowymi, kamiennymi ścianami.

- Teraz? - spytała. - Tam na dół? Sami?

- Chciałbym wiedzieć jak najwięcej przed rozmową z Hampsonem - odparł Stephen, z trudem kryjąc ekscytację. - Jego reakcja powinna okazać się interesująca.

Stała na najwyższym stopniu schodów i spojrzała w dół, w mrok. Docierało stamtąd wilgotne powietrze przesycone wonią pleśni. Nienawidziła ciemnych, zamkniętych miejsc. Poczula, że pocą się jej dłonie, otarła je więc o suknię i zapanowała nad głosem.

- To znaczyłoby, że uważasz, iż Hampson jest duchem, choć nie pojmuję, czemu miałby nas straszyć. Przecież nie może się spodziewać, że coś osiągnie, jeśli stąd wyjadę. Może to Wibolt. On jeden nie pokazał się zeszłej nocy. Ale wydaje się taki słodki. Skoro

myślisz, że mają coś na sumieniu, czy to nie jest niebezpieczne, jeśli zeszlibyśmy tam sami? Może powinniśmy wziąć ze sobą Winstona?

Poczuła, jak Stephen bierze ją pod brodę. Zatroskanym wzrokiem spojrzął jej w oczy i powiedział łagodnie:

- Wątpię, żeby któryś z tych ludzi był zdolny do przemocy, ale ponieważ bierzesz pod uwagę taką możliwość, może lepiej będzie, jeśli zostaniesz tu i dopilnujesz, żeby nikt mi nie przeszkodził.

Niech go Bóg błogosławi, nie wyśmiał jej, nie rozgniewał się ani jej nie dokuczał. Po prostu przyjął, że ona się boi, i podsunął jej sposób na zachowanie godności. Myśl o skradaniu się z jedną nędzną świecą przerażającym tunelem prowadzącym kto wie dokąd, nie była pociągająca, oględnie mówiąc. Stawiając czoło strachowi, wmówiła sobie, że największym zagrożeniem, z jakim mogą się spotkać, będzie kilka myszy. Z wiarą że Stephen się nią zaopiekuje, wyprostowała się i zdobyła na uśmiech, mając nadzieję, że jest to uśmiech mężny.

- Będziesz mnie bronił?

- Ze wszystkich sił.

Po tym zapewnieniu poszła za nim, ściskając jego ramię jak w imadle. Dostosował swój krok do jej kroku. Mały tunel sprawiał wrażenie, jakby ledwo mogło zmieścić się tam dziecko, ale wiedziała, że tego przejścia musieli używać ludzie dorośli. U podnóża schodów znajdowała się większa komora, która rozdzielała się na korytarze prowadzące w dwóch różnych kierunkach. Korytarze były ciemne i wyglądały złowrogo. Zatrzęsła się z niepokoju. Zanim udało się jej nieco uspokoić, kilka szczurów czmychnęło w ciemność, drapiąc pazurkami ściany i podłogę w pospiesznej ucieczce. Jeden zbłąkany gryzoń przemknął nawet po jej pantofelku. Phoebe wtopiła się wręcz w plecy Stephena, jednocześnie tłumiąc wrzask.

Stephen przygarnął ją do swego boku, podniósł wysoko świecę i zajrzał w oba korytarze. Potem odwinął z chustki do nosa kawałek węgla i narysował na ścianie po lewej stronie strzałkę.

- Jeśli się nie mylę, tędy dojdziemy do pokoju muzycznego.

- Byłeś przygotowany, prawda? - grube mury wchłonęły piskliwą nutę jej głosu.

Mrugnął do niej, wielce uradowany tą małą przygodą. Powoli posuwał się przodem, sprawdzając od czasu do czasu stopą lub ręką stabilność podłoża. Nie odstępował jej na krok. Minęli jeszcze dwa rozwidlenia, oba równie ciemne jak pierwsze. Za każdym razem Stephen szukał w tunelach śladów użytkowania i dochodził do wniosku, że przejścia były nieużywane lub zbyt niebezpieczne, aby zaryzykować zapuszczenie się w nie. Znow narysował znak na

ścianie. Po niezliczonych minutach dotarli do niewielkiego pomieszczenia, szerokości około trzech metrów. Na drewnianej skrzyni stały liczne świece, a na kołku wisiała biała szata. Obok stała puszka jakiegoś proszku. Była tam też prycza z siennikiem, na którym leżało kilka koców. Cztery drewniane stopnie prowadziły do podwyższonej części sufitu.

- Zdumiewające - mruknął Stephen, przyglądając się temu.

- Co? Powiedz - dopytywała się Phoebe niespokojnie. - Czy jesteśmy pod pokojem muzycznym?

- Tak myślę. - Wszedł po schodkach i postukał w drewno. - A to jest siedzisko pod oknem, na którym siedziałas zeszłej nocy. Nie przyszło mi do głowy, żeby je sprawdzić. Bardzo sprytnie. - Przez chwilę szukał klamki, a nie znalazłszy, napał z całej siły na przeszkodę. - Cholerą wydaje się, że się zacięło albo jest zamknięte z drugiej strony. Ale spójrz. - Starł z poręczy odcisk dłoni; sądząc po wielkości, ślad ten musiał zostawić mężczyzna; i pokazał biały proszek na palcach. - Myślę, że to dowód, iż twój duch jest człowiekiem.

- Nie rozumiem po prostu, po co Hampson czy Wibolt mieliby to robić.

- Też nie jestem pewien. Dowiedzmy się.

Chętnie zostałby dłużej, żeby dalej prowadzić swoje śledztwo, ale Phoebe uchwyciła się okazji, żeby czym prędzej stamtąd odejść. Dobrnęli razem tam, skąd zaczęli, do schodów prowadzących do pokoju kucharki. Phoebe nie przypominała sobie, żeby było tam aż tak ciemno. Kiedy weszli na górę, zrozumiała, dlaczego. Otwór w ścianie był zamknięty. Stephen pchał, ciągnął i szarpał, wszystko na próżno. Znaleźli się w pułapce, w trzewiach domu.

Ogarnęła ją fala niepokoju. Wzięła głęboki wdech, starając się odprężyć. Irracjonalny, bezpodstawny, dziecięcy lęk przed schwyтaniem w pułapkę powrócił i nic nie mogła na to poradzić. Obecność Stephena nie pomagała.

- Co teraz proponujesz zrobić? - spytała, waląc w drewno. Stephen nie przestawał spokojnie badać ściany. Bezskutecznie. - Zrób coś - rozkazała.

Ujął jej dłoń i przyciągnął je do swojej piersi.

~ Phoebe. Zamknęliśmy drzwi do sypialni. Pani Potter nie będzie tu nocować. Nie ma powodu, żeby ktokolwiek wszedł do tego pokoju.

- Też mi pociecha. I co my teraz zrobimy? - spytała głosem o oktawę wyższym.

- Mamy kilka możliwości. Możemy siedzieć tu na schodach albo wrócić pod pokój muzyczny, gdzie mamy największą szansę, że ktoś nas usłyszy. Jest tam więcej świec i można też usiąść. Zostawiłem Winstonowi wiadomość. Będzie wiedział, że ma nas szukać.

- A co z innymi przejściami?

- Tego bym nie ryzykował. Większość z nich wygląda, jakby nikt ich nie używał, mogą być niepewne i nie wiem, dokąd prowadzą.

Uspokoila się trochę. W końcu to, co mówił, miało sens.

- Powiem jedno. Kiedy proponujesz damie odmianę, umiesz dotrzymać słowa.

Tuląc jej dłonie do piersi, głaskał ją po głowie, a jego dotyk był zarazem kojący i prowokujący.

- Zaufaj mi, kochanie. Winston nas znajdzie. Poza tym, jeśli oboje nie zjawimy się na obiedzie czy herbacie, Dee zarządzi poszukiwania, z którymi nie da się porównać nawet oblawa całej armii gwardzistów. Służba nie spocznie, dopóki nas nie odnajdzie. Do tego czasu obiecuję zapewnić ci bezpieczeństwo.

Ciepło jego ciała i łagodne głaskanie ukoili ucisk w jej piersi. Ten mężczyzna miał na nią zadziwiający wpływ. Ufała mu. Uniosła głowę, żeby mu o tym powiedzieć i dostrzegła błysk w jego oczach. Przeszedł ją dreszcz podniecenia. Kto ją obroni przed nim?

Znalazłszy się po raz drugi pod pokojem muzycznym, zdając sobie sprawę z tego, że być może utknęli tu na długie godziny, przyjrzała się badawczo skromnym środkom, jakimi dysponowali.

- Jestem głodna i zimno mi - powiedziała.

Boże, była jak rozkapryszona pensjonarka. To niemądre myśleć teraz o jedzeniu, ale była głodna. Nie zawracała sobie głowy śniadaniem, a kolację poprzedniego wieczoru trudno było nazwać posiłkiem. Chłód murów przenikał ją do kości.

Stephen zapalił kilka świec. Światło nie wyeliminowało chłodu, niemniej jednak poprawiło jej nastrój. Rozłożył na sienniku szatę, którą znaleźli i wełniany koc, usiadł i wyciągnął ramiona. Zaczęła szczerkać zębami, chętnie przytuliła się więc do niego, by ogrzać się jego żarem. Szybkimi ruchami rozcierał jej ramiona. Kiedy już się odprężyła i opuściło ją napięcie, ziewnęła.

- Czemu nie miałabyś spróbować zasnąć. Może minąć kilka godzin, zanim w ogóle zaczną nas szukać. Jeśli usłyszę kogoś, będę walił w podłogę i narobię takiego hałasu, że nas nie ominą.

Leżała, patrząc na cienie pełgające na ścianach jak tańczące elfy. Uznała jego sugestię za śmieszna. Ziewnęła znowu, nie mając zamiaru nawet zmrużyć oka. Jednak ciepło ciała Stephena w połączeniu z jego uspokajającym dotykiem sprawiły, że poczuła się senna. W ciągu paru chwil brak odpoczynku zeszłej nocy zrobił swoje i zapadła w sen.

Stephen przyglądał się śpiącej Phoebe i zastanawiał się, kiedy ostatnio tak po prostu tulił do siebie kobietę. Poza jego pierwszą nocą poślubną żadna inna okoliczność nie przychodziła mu do głowy. Zazwyczaj, kiedy skończył się kochać, albo ubierał się i szedł w swoich sprawach, albo przenosił się do własnego łóżka.

Ślepa ufność Emily podsyciała jego młodzieńczą arogancję i dawała mu poczucie władzy. Ich miłość sprawiała mu przyjemność, ale brak w niej było prawdziwej namiętności. Jego druga żona miała w sobie namiętność, ale nie była dobrą kobietą. Ich związek opierał się na żądzy i chciwości. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek spędził w łóżku Louisy całą noc. Phoebe była i dobra, i namiętną przepelniała ją radość życia, w czym niewiele kobiet mogło się z nią równać. Gdyby byli razem, na pewno spałaby tylko w jego ramionach.

Ten tok rozumowania nie wydawał mu się najmądrzejszy. Fakt, że byli całkiem sami, przyćmiewał jego rozsądek. Wszelkie wysiłki, aby odsunąć od siebie myśl o obecności Phoebe, o jej rozkosznym ciele wtulonym w niego, okazywały się daremne. Pochylił głowę i oddychając głęboko, napawał się wonią lawendy, jaką przesycone były jej włosy. Kiedy przylgnęła mocniej do jego piersi, tym silniej dała o sobie znać świadomość ich obecnej sytuacji, powodując niepokój. Poglądził dłonią jej czoło, a potem każdą brew z osobna. Cały czas przyglądał się twarzy Phoebe. Obwiodł palcem kontur jej ust. Poruszyła się, ocierając się o niego jak kociak domagający się pieśczoły. Wilgotny, gorący oddech Phoebe owiewał mu policzek. Burczało jej w brzuchu.

Zagubiona we mgłę między snem a jawą, otworzyła oczy i obdarzyła Stephena rozleniwionym uśmiechem.

- Jestem głodna.

- Ja też, kochanie, ja też.

Nie zamierzał jej całować, zdając sobie sprawę, że taki czyn byłby szaleństwem, ale widząc jej oczy błyszczące od snu pod na wpół przymkniętymi, ciężkimi powiekami, nie potrafił się powstrzymać. Phoebe wydała ciche westchnienie zadowolenia, czując usta Stephena na swoich. Jego wąsy łaskotały jej skórę. Co za uroczy sposób budzenia z drzemki, pomyślała. Dotknęła jego języka swoim i przejmując inicjatywę, pogłębiła pocałunek. Zakręciło jej się w głowie, puls przyspieszył. Skórę miała gorącą jak żar z paleniska, ciepło rozeszło się po całym jej ciele. Pocałunki Stephena zdawały się nie mieć końca, były podniecające, czasem delikatne, a chwilami żarliwe, zawsze domagające się odpowiedzi.

Jego palce błdziły po policzkach i szyi Phoebe. Nagle wysoki, koronkowy kołnierz stał się zbytnim ograniczeniem. Jakby czytał w jej myślach, poczuła bowiem dłoń Stephena na guziczkach sukni, które nie były żadną przeszkodą dla jego zręcznych palców. Zimne, wilgotne powietrze owiało piersi Phoebe, ale ona czuła tylko żar, kiedy jego dłoń zatrzymała się we wgłębieniu między piersiami. Wygięła ciało do tyłu, jakby mówiła: „Tak, dotykaj mnie”. Usta Stephena zastąpiły dłoń, znacząc gorącą ścieżkę od jednego wzniesienia do drugiego, pieszcząc jej rozpaloną skórę, wzbudzając potrzebę ciała i ciekawość umysłu. Nieoczekiwana i niepokojąca intensywna tęsknota, rozeszła się od piersi po złączenie ud, sekretne miejsce, które pozostawało uspięne, dopóki nie spotkała tego mężczyzny. Ścisnęła nogi, usiłując uśmierzyć dziwne doznanie, uporczywą pulsację, której nie rozumiała.

Dzięki Bogu, Stephen rozumiał. Mruczając jej do ucha słodkie słowa zachęty, całując raz za razem, używając magicznej siły perswazji języka i warg, powoli podciągał coraz wyżej skraj sukni, a jego dłoń posuwała się za nim, aż w końcu zaczęła drażnić mały guziczek, o którego istnieniu Phoebe nie miała pojęcia. Myślała, że zaraz zemdleje. Nie przeszkadzały jej już zawilgocone mury ani chłód powietrza. Czuła się rozgrzana, rozgorączkowana. Wtedy poruszył palcami w najbardziej rozkoszny, nieoczekiwany sposób. Przed oczami Phoebe zatańczyły jaskrawe barwy fioletowe i pomarańczowe. Wszystko przestało mieć znaczenie poza ogniem płonącym w głębi jej ciała. Instynktownie, w starym jak świat rytmie, którego żądało jej ciało, unosiła biodra, wychodząc na spotkanie upragnionym pieszczotom. Eksplozja doznań pozostawiła Phoebe bez tchu, pokorną i pełną lękliwego zachwyty i, prawdę mówiąc, niepewną co ma teraz zrobić.

Stephen odgarnął kosmyk włosów z czoła Phoebe i ukrył twarz w zagłębieniu jej szyi, jakby nakazywał własnemu zdesperowanemu ciału zapomnieć o jego fundamentalnych potrzebach. Litości, mając w pamięci tę namiętną chwilę i niepohamowaną reakcję Phoebe, nie będzie mógł zasnąć przez tydzień. Nie powinien dopuścić, aby to interludium zaszło tak daleko. Na szczęście Phoebe pozostała mniej więcej ubrana. Inaczej, wątpił, czy miałby dość siły, by odmówić sobie ciepła i pociechy, jakie znalazłby w głębi jej ciała.

Poruszyła się, przyciskając nabrzmiałe piersi do jego ramienia. Niech to, jeśli z tym nie skończy, straci ostatki siły woli. Podniósł głowę i ściągnął razem krawędzie stanika jej sukni, zakrywając pyszną obfitość piersi, zanim stracił resztki dobrych intencji. Wsparł jej brodę na swojej piersi.

- Moja droga, kochana Phoebe, i co ja mam z tobą zrobić?

Ozeń się ze mną. Była to pierwsza, niepowstrzymana i kapryśna myśl, jaka jej przysła do głowy. Na szczęście ugryzła się w język. Drząc jeszcze po doznanej rozkoszy,

czekała, aż ogarnie ją wstyd, ale nic takiego nie nastąpiło. Czy była ladaczną, czy nie, drogi był jej dotyk Stephena i rozkosz, jaką dzięki niemu odczuła. Pragnienie, by go zrozumieć, potrzeba zrozumienia jego przeszłości, stała się przemożna. Otulona bezpiecznie ciepłem jego uścisku, spytała cicho:

- Opowiesz mi o kłątwie?

Stęzał, ale nadal mocno trzymał ją w ramionach. Zwalczyła chęć przynaglenia go, wywarcia nacisku i czekała, szanując potrzebę zastanowienia się nad jej pytaniem. Nie był przyzwyczajony, aby dzielić się sobą z innymi, to wiedziała na pewno.

- Znajomość szczegółów nie zmieni wyniku - powiedział. - Wyjaśnię ci to, ponieważ powinnaś wiedzieć, dlaczego nie ożenię się znowu.

- Chciałabym to zrozumieć.

Wziął głęboki, oczyszczający wdech i rozluźnił ramiona.

- Mój pradziad był zaręczony z kobietą wysokiego rodu. Jednakże na dwa miesiące przed ślubem uwiódł młodą Cygankę. Spodziewając się dziecka odkryła, że on nie ma zamiaru się z nią ożenić, wtedy biedactwo zabiła się w poczuciu hańby. Matka dziewczyny, Juliana Romov, przeklęła mojego pradziada. Żadna córka miała się nie urodzić w naszej linii, a małżeństwo każdego męskiego potomka miało być naznaczone śmiercią i smutkiem. Od tego czasu nie przyszła na świat ani jedna córka. Pięć kobiet poślubiło mężczyzn z linii Badricków. W ciągu dwóch lat od nocy poślubnej zmarły wszystkie, z moimi dwiema żonami włącznie. Nie chcę dodać szóstej do tego rodzinnego cmentarza.

- Jak one umarły?

- Chcesz pikantnych szczegółów? - Wyswobodził się z jej ramion, wstał i przeszedł trzy kroki, i stanął w rogu ciasnego pomieszczenia. Ukrył twarz w cieniu, by nie zdradziła jego uczuć. - Moja prababka zginęła w wypadku, uciekając powozem przed gniewem męża. Inna spadła z konia podczas jakiejś idiotycznej gonitwy. Ostatnia utonęła we własnej wannie. O Emily i naszym dwutygodniowym dziecku już ci mówiłem. Louisa spadła ze schodów, z butelką brandy w jednej ręce i brylantową kolia w drugiej.

Jego głos był przerażająco zimny i głuchy. Czują, że z każdym wypowiedzanym słowem wycofywał się coraz bardziej.

- Wypadki się zdarzają, Stephenie. Bardziej prawdopodobne, że te kobiety ucierpiały na skutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, braku rozsądku lub pecha.

Podszedł bliżej i stanął nad nią, głową niemal sięgając sufitu. Parsknął bardziej z niedowierzania niż ze śmiechu.

- Nieszczęśliwego, ponieważ zdecydowały się poślubić moich przodków lub mnie. Emily była damą doskonałą, kobietą idealną, niedającą towarzystwu powodów do plotek. Wierzyłem, że potrafię obronić ją przed złem tego świata i przede mną samym. Byłem tego pewny tak samo, jak tego, że oddycham, namówiłem ją więc na małżeństwo. I w nagrodę zginęła. Louisa pragnęła moich pieniędzy, niczego więcej, niczego mniej. Miała je, póki żyła. Przez lata nie przyjmowałem do wiadomości, że moi przodkowie mieli rację, że linia Badricków jest naprawdę przeklęta. Ale te młode kobiety zginęły. Na litość boską, gdyby choć jedna z nich zwyczajnie przeżyła życie, miałbym może nadzieję, nie wierzyłbym w to, ale... - Chwycił się obiema dłońmi za włosy. - Kiedyś spytałaś, czy wierzę w miłość. Może wierzyłem niegdyś, że tylko miłość może dać mi radość. Nie zasłużyłem na to, abym był przeklęty, Phoebe. Nie chcę już tych trosk. Nie chcę być odpowiedzialny za śmierć, przypadkową czy nie, kolejnej kobiety. Nie chcę, by na świat przyszło kolejne dziecko, które miałoby cierpieć na skutek takiego dziedzictwa. Linia Badricków na mnie się kończy.

Zapał, z jakim przemawiał, świadczył o niezłomnym przekonaniu, a gniew o rozpacz. Na domiar złego, pomyślała Phoebe, Stephen odmawia sobie przyszłości. Nie chce takich jak dotąd trosk. Szanse na to, by zmienił zdanie, zdawały się znikomo małe. Jak walczyć z taką postawą, płynącą z najszlachetniejszych pobudek? Biorąc pod uwagę jego obecny stan umysłu, nie był to właściwy moment, żeby spróbować.

- A zatem, milordzie, wróciliśmy do punktu wyjścia. - Spojrzał jej w oczy wyzywająco, był spięty i czujny, jakby spodziewał się kłótni. Po chwili spytała: - Może przypadkiem kiedy spałam, znalazłeś coś, czym można by zaspokoić głód?

Rozluźnił się.

- A ja myślałem, że jesteś wystarczająco zaspokojona. Rumieniec wystąpił jej na szyję i policzki.

- Mówiłam o jedzeniu. O pokarmie niezbędnym człowiekowi do życia. Podszedł do niej, a w jego oczach migotały iskierki.

- Ja też.

Głupotą byłoby pozwolić mu znów się pocałować. Wyraźnie oświadczył, że nie ożeni się z nią. Lepiej zapomnieć o tym mężczyźnie, o jego przekonujących wargach i sprytnych dłoniach. Mimo to ciało Phoebe sprzeciwiało się takim nonsensownym ograniczeniom. Już pochylała się ku niemu, kiedy zatrzeszczały deski podłogi nad nimi. Natychmiast zapomniała o pocałunkach. Brzmiało to tak, jakby mała armia maszerowała wokół pokoju nad nimi. Nagle przeszkoda na górze ustąpiła i pięć znajomych twarzy zajrzało w mrok. Phoebe, mrużąc oczy oślepione nagłym wtargnięciem światła, rozpoznała przede wszystkim Dee.

Sądząc po jej kamiennej twarzy, zdawała się dostrzegać więcej, niż było możliwe i bynajmniej nie wyglądała na uszczęśliwioną. Elizabeth była w szoku, Winston zachwycony. Wibolt i Hampson mieli miny, jakby właśnie spotkali się ze swoim stwórcą.

- Macie zamiar tam zostać? - spytała Dee wyzywającym tonem.

Słowa Dee zmobilizowały wszystkich do działania i nagle wszyscy równocześnie zaczęli mówić, zrobił się zgiełk przypominający sprzeczkę w stadzie mew. Phoebe wspięła się po stopniach, natomiast Stephen pokręcił głową i pogasił świece. Kiedy tylko Phoebe znalazła się w pokoju muzycznym, dowiedziała się, że Elizabeth nie jest chora, tylko spodziewa się dziecka i że pani Potter znowu zemdląca. Zadano co najmniej dwa tuziny pytań, robiła więc, co mogła, żeby na nie odpowiedzieć.

Stephen, znalazłszy się przy niej, chrząknął. Paplanina nie ustawała. Spróbował jeszcze raz, również na próżno. Najwyraźniej dochodząc do wniosku, że czas zapanować nad tym wszystkim, klasnął w dłoń.

- Dość tego. Przejdźmy do biblioteki i usiądźmy. Odpowiemy na wszystkie pytania, ale po kolei, na litość boską.

Phoebe usiadła za biurkiem, usiłując zachować pozory spokoju, co uważała za konieczną przeciwwagę dla tego, jak wygląda. Kilka kosmyków włosów, które wymknęły się z warkocza, otaczało jej twarz, suknię miała pobrudzoną. O ubranie i fryzurę można będzie zadbać później. Teraz należało zająć się przyszłością. Szybko i zwięźle, starając się nie przypominać sobie czarownych chwil w ramionach Stephena - choć z pewnością jej twarz świadczyła o każdym pamiętnym dotyku, o każdym rozkosznym momencie - streściła wypadki tego przedpołudnia. Stephen siedział po drugiej stronie pokoju, z nogą założoną na nogę, jak milczący obserwator. Jego twarz nie zdradzała nic.

Dee wyszła do kuchni zaparzyć herbatę i przygotować kąpiel. Mamrotała cały czas, celowo bez pośpiechu idąc ku drzwiom. Zanim się oddaliła, rzuciła ostatnie, ostrzegawcze spojrzenie Stephenowi. Winston stojący obok krzesła Elizabeth położył jej rękę na ramieniu, żeby nie wstawała, przyjmując gratulacje z okazji ciąży. Oboje wyglądali tak, jakby mieli pęknąć ze szczęścia.

Wibolt usiadł na zamkniętym znowu siedzisku pod oknem, trzymał w rękach zniszczony kapeluszyk i nie patrzył na nikogo z obecnych. Hampson, wiedząc, że uwaga wszystkich skupia się teraz na nim, stał bez ruchu, a jego starcze ciało było sztywne jak marmurowa kolumna. Jeśli biedak nadal nawet nie drgnie, pomyślała Phoebe, może pęknąć na pół.

- Hampson - powiedziała łagodnie. - Nie mam zamiaru zarządzać twojej egzekucji. Chcę tylko odpowiedzi.

Jego chude ramiona rozluźniły się odrobinę, ale twarz pozostała posępna.

- Nie zasługuję na twoją dobroć. Powiem wszystko, co zechcesz, milady. Zapewnienia Phoebe nie zmniejszyły jego obaw.

- Nie zamierzam traktować cię jak pospolitego złodzieja. Po prostu wytłumacz, jak i dlaczego Marsden Manor znalazł się w takim stanie.

Skinął głową i założył ręce do tyłu.

- Po śmierci twojej matki twój dziadek napisał do króla z prośbą o specjalne zezwolenie, aby mógł przekazać ci majątek.

- Król musiał być tego dnia niezwykle wspaniałomyślny, skoro udzielił takiego zezwolenia - zauważył Stephen.

- W rzeczy samej, sir - zgodził się Hampson. - Jego lordowska mość powiadomił twojego ojca w Ameryce. Ale twój ojciec nigdy nie odpowiedział, jednakże dziadek nie zmienił testamentu. Lata mijały, jego lordowska mość rozchorował się, coraz mniej uwagi poświęcał drobiazgom, takim jak naprawy i dbałość o to miejsce. Kiedy umarł, przyjechała twoja ciotka.

- Lady Goodliffe? - spytała Phoebe zdumiona. Wibolt trzepnął kapeluszem o kolano.

- Przyjechała zabrać rzeczy, ot co. Zabrać i sprzedać. Hampson znów zwrócił się do Phoebe:

- Przypominałem lady Goodliffe, że wyposażenie także należy do ciebie, panienko. Nie chciała słuchać. Po jej drugiej wizycie obmyśliliśmy plan, który miał sprawić, żeby trzymała się z daleka od Marsden Manor.

- Niech zgadnę - wtrącił się Winston. - Duch dziadka Augustusa. Hampson nieznacznie zwrócił twarz w jego stronę.

- Tak, sir. Wykorzystaliśmy stare tunele, te w lepszym stanie, i jeśli mi wolno tak się wyrazić, plan powiódł się wspaniale. Lady Goodliffe nigdy już nie wróciła.

Obraz wstrętnej ciotki wyrwanej z głębokiego snu przez jak najbardziej własnego i całkowicie nieżyjącego ojca poprawił lekko nastrój Phoebe.

- A czemu duch pojawił się zeszłej nocy?

Wibolt splatał i wykręcał dłonie, znęcając się nad niewinnym kapeluszem.

- Nie chciałem nikogo skrzywdzić. Pomyślałem tylko... cóż... że możesz się na nas gniewać i jeżeli cię wystraszymy, może dasz nam spokój. - Oddychał ze świstem i mówił

dalej: - Hampson przekonywał mnie, że to głupie. Przepraszam, jeśli przestraszyłem kogoś z was.

- Prawdę mówiąc - szepnęła Elizabeth - to było dość ekscytujące.

- Możemy kontynuować? - przerwał Stephen.

- Mów dalej, Hampson - przynagliła Phoebe. - Dlaczego majątek jest w takiej ruinie?

- Twój dziadek zapomniał wziąć pod uwagę finansowe konsekwencje swojej woli. Bez innych dóbr, wspierających tę posiadłość, szybko popadła ona w ruinę po jego śmierci. Wtedy pojawił się Wibolt. Był starym rentierem twojego dziadka. Razem utrzymywaliśmy posiadłość z naszych pensji tak długo, jak się dało. Sprzedaliśmy nawet mebel czy dwa, na co mam dokładne rachunki. Po prostu skończyły się nam pieniądze.

- Nie pomyśleliście, żeby się zwrócić do mojej ciotki?

- Zrobiłem to, panienko. Po raz pierwszy rok temu. Wtedy też napisałem do ciebie. Ostatni raz przed paroma miesiącami. W zasadzie, kazała mi iść do diabła.

- Nigdy nie wspomniała mi ani słowem - mruknęła Phoebe, nie tyle zaskoczona niechęcią ciotki, aby przyjść jej z pomocą, ile ogromem goryczy Hildegard. Pomasowała sobie miejsce u nasady czaszki, które zaczęło pulsować od nadmiaru wrażeń, a teraz, po odkryciu dwulicowości tej kobiety, waliło jak młotem.

- Wybacz, panienko. Zawiodłem twojego dziadka i zawiodłem ciebie.

- My cię zawiedliśmy - dodał Wibolt dramatycznie.

W pokoju zapadła niezręczna cisza. Phoebe wstała i podeszła do Hampsona.

- Zrobiłeś, co mogłeś, a nawet jeszcze więcej. Dziękuję ci. Coś wymyślę. A teraz idź i pomóż Dee.

Obaj służący wyczłapali z pokoju, jeden za drugim, jak skazańcy w drodze na szubienicę. Biedaczyska, pomyślał Stephen i spojrzał na Phoebe. Zauważył jej zmęczenie, popielatą bladość cery, rezygnację czającą się w oczach. Ból ugodził go w serce. Największe cierpienie sprawiała mu świadomość, że nie pomoże jej pozbyć się trosk w sposób, jakiego pragnęła.

Uciekł do okna i zapatrzył się w odległy horyzont. Ręce splótł z tyłu, żeby nie poddać się odruchowi, który kazał mu wziąć Phoebe w ramiona i obiecać jej cały świat.

- Co teraz zrobisz?

- Jutro musimy wrócić do Londynu. Jakoś wyprostuję to wszystko. Stephen zwrócił się do Elizabeth i Winstona.

- Mogę zamienić słówko z Phoebe? - Elizabeth nie ruszyła się ze swojego miejsca, a jej twarz przybrała wyraz oczekiwania. - Sam na sam - dodał Stephen.

Winston, mądry i współczujący przyjaciel, gorliwie pomógł swojej opierającej się małżonce wstać z krzesła i wyprowadził ją z pokoju. Stephen się wyprostował. Uniósł brodę.

- Proszę, żebyś wiedziała, że nie odczuwam satysfakcji z takiego obrotu spraw. Chciałbym ci coś zaproponować.

- Stephenie Lambercie - powiedziała Phoebe, grożąc mu palcem przed nosem. - Jeśli teraz poprosisz mnie, żebym została twoją kochanką, oświadczam, że jestem skłonna czymś rzucić.

- Jesteś najbardziej upartą kobietą jaką kiedykolwiek spotkałem. Chciałem zaproponować, żebyś dziś jeszcze sprzedała dom i zakończyła tę całą sprawę.

- Nie do wiary, że możesz proponować coś takiego.

- Oczywiście nie dlatego, że cieszy mnie, iż mam rację, ale dlatego, że widzę praktyczną stronę sytuacji.

Skrzyżowała ramiona na piersi, jakby przygotowywała się do stoczenia bitwy.

- Zamierzam zatrzymać mój dom. Hampson mieszka tu od osiemnastego roku życia. Dobrze służył mojemu dziadkowi i choć nieporadnie, robił co w jego mocy, żeby chronić moje dziedzictwo. Wibolt nie ma dokąd pójść, a w jego stanie niemożliwością jest, żeby znalazł zajęcie gdzie indziej. Mój Boże, oni ze swoich pensji starali się ratować tę posiadłość.

- Dobrze. Mam inną propozycję. Weź pożyczkę pod zastaw.

- A niby od kogo? Bankier tylko zaśmieje mi się w twarz.

- Ode mnie.

- Od ciebie?

- Tak.

- Mówisz poważnie?

Patrząc na niego, powoli wstała z krzesła, ruchy miała ociężałe. Podeszła do okna i spoglądając w szare niebo, rozważała wszystko, czego się dowiedziała przez ostatnie pół godziny. Powód, dla którego ciotka trzymała wszystko w tajemnicy, był niejasny.

Hildegard nigdy nie wspomniała o swoich wizytach, o duchu, o niczym. Phoebe pokręciła głową.

Cóż mogła zrobić? Musiała przyznać, że potrzebowała pomocy Stephena, bez względu na to, w jak żenującej stawało ją to sytuacji. Zdawał się szczerze proponować jej pomoc i tylko głupiec odrzuciłby taką propozycję. Poczula jego oddech na karku i przemogła impuls, żeby odwrócić się i oprzeć głowę na jego ramieniu.

- Zdaje się, że los znowu rzucił mi pod nogi kłodę, której nie przeskoczę bez twojej pomocy.

- Jeżeli dam ci...

- Pożyczysz mi pieniądze - przerwała mu i odwróciła się przodem do niego. - I ja mam być zastawem.

Przyglądał się jej inteligentnymi oczami, błyszczącymi i pełnymi tajemnic. Dopiero po chwili się odezwał:

- Wątpię, żeby jakimkolwiek przyszłemu mężowi spodobało się, że mam w swoim posiadaniu tego rodzaju weksel.

- To jest szansa, z której chcę skorzystać.

- Czemu po prostu nie zgodzić się na moje warunki i nie zakończyć tej mistyfikacji?

- Czemu nie zgodzić się mnie poślubić i nie zakończyć moich kłopotów? Naburmuszył się tylko. Jako że myśl ta była niepokojąca, wolał całkiem porzucić temat.

- Przygotuję dokument, w którym oddam dwa tysiące funtów do twojej natychmiastowej dyspozycji, byś mogła rozporządzać nimi według uznania. Żadnych sztuczek, żadnych zobowiązań, żadnych warunków. Spłacisz, kiedy będziesz mogła.

- To nazbyt hojnie.

- Przyda ci się każdy pens.

Z rękoma za plecami, oparła czoło o zimną szybę.

- Wiesz, że muszę wyjść za mąż, a jednocześnie wydajesz się zdecydowany nie poślubić mnie. Czy mogę zapytać, skąd taka hojność?

Pochylił się, jego twarz znalazła się tuż obok jej twarzy. Oparł ręce po obu stronach głowy Phoebe, więżąc ją w pułapce ramion.

- Wierz mi, nie straciłem nadziei, że zmienisz zdanie, ale jeżeli przyjdiesz do mojego łóżka, jeżeli pozwolisz mi kochać się z tobą, stanie się tak dlatego, że sama będziesz tego chciała, nie dlatego, że czujesz się wdzięczna, bo jesteś mi winna pieniądze.

Łomot serca i wilgoć między nogami były natychmiastową odpowiedzią na jego dotyk. Jak łatwo byłoby paść mu w ramiona i przyjąć to, co miał do zaoferowania. Wtedy dotknął ust Phoebe, a ona w zapamiętaniu, posługując się językiem, tak jak ją nauczył, oddała mu pocałunek pełen żaru i namiętności, uczuć, jakie Stephen obudził w jej duszy.

Bała się, że przekroczyła granicę, za którą już tylko jest miłość. Kiedy wyzwoliła się z objęć Stephena, zobaczyła płonąca w jego oczach żądę. Chciała więcej. Chciała tego, co trzymał pod kluczem. Pewien pomysł chodził jej po głowie od samego rana. Teraz już wiedziała, co spróbuje zrobić. Skończy z tym nonsensem raz na zawsze.

Cyganka rzuciła klątwę na Stephena, czy zatem Cyganka nie może jej zdjąć?

Jesteś pewna, że to właściwa droga? - Phoebe przyglądała się badawczo wąskiej, krętej drodze ocienionej gęstym szpalerem drzew.

- Tak - odparła Elizabeth z przekonaniem. - Przynajmniej tak mi się wydaje - dodała. - To nie może już być daleko. - Spojrzała na odręcznie narysowaną mapę, którą trzymała przed sobą, po czym wskazała zalesione zbocze po lewej stronie powozu. - Tam jest kamienny krzyż osadzony w skałach. Według tego farmera zostało jeszcze około półtora kilometra.

- Jedźmy więc dalej - powiedziała Phoebe, starając się, żeby jej głos zabrzmiał radośnie.

Pomysł odszukania taboru Cyganów wydawał się o wiele lepszy, kiedy siedziały w salonie Elizabeth w Londynie. No cóż, teraz było już za późno. Kiedy Phoebe walczyła, żeby nie wjechać do wielkiej dziury na środku drogi, powozem rzuciło w prawo. Rozległ się przeraźliwy łomot i donośny trzask, po których powóz przechylił się niebezpiecznie na lewo.

- Na litość boską - mruknęła, wychylając się, żeby zobaczyć, co się stało. - Chyba złamało się koło.

Obie damy spojrzały na zakurzoną drogę, która nagle zaczęła wyglądać o wiele mniej przyjaźnie niż przed chwilą. Phoebe zdecydowana podążać dalej w obranym kierunku, aby pomóc Stephenowi, wyskoczyła z powozu, żeby ocenić szkody. Powóz nie nadawał się do dalszej podróży.

- Jeśli jedziemy w dobrym kierunku, znalezienie taboru nie zajmie nam dużo czasu. Po prostu zapłacimy któremuś z mężczyzn, żeby naprawił nam koło. Możesz iść?

- Jestem ciężarna, nie kaleka - powiedziała Elizabeth i się przygarbiła. - Przepraszam za to nieznośne grubiaństwo. To takie kłopotliwe, nie mówiąc już, jakie żenujące, chorować co rano. A swoimi pytaniami i ciągłą troską Winston doprowadza mnie do szaleństwa. - Elizabeth stanęła na twardym gruncie. - A co z koniem?

- Będzie potrzebny, żeby sprowadzić naprawiony powóz.

Phoebe wyprzęgła Błyskawicę i przywiązała ją do wielkiego, kwitnącego akurat wiązu. Aby poczuć się pewniej, dotknęła palcami pistoletu w torebce. Ostatecznie umiała posługiwać się bronią od dzieciństwa i nie powstrzymałaby się przed jej użyciem, gdyby zaszła taka potrzeba.

Razem, ramię w ramię, ręka w rękę, kobiety ruszyły drogą, starając się usilnie unikać dziur, kolein i błotnistych kałuż. Kiedy przechodziły przez stary, kamienny mostek, Elizabeth potknęła się na obluzowanym kamieniu i skręciła kostkę.

Poczucie winy dręczyło Phoebe. Gdyby nie ona, Elizabeth nie byłoby tutaj. Razem przeprowadziły dochodzenie w sprawie miejsca pobytu taboru cygańskiego, poinformowały pokojówkę Elizabeth o prawdziwym celu swojej wyprawy, a następnie powiedziały Dee, Stephenowi i Winstonowi, że wybierają się na zakupy i nie wrócą do wieczoru. A teraz były w tarapatkach. Nie ma co.

Z przerwami na odpoczynek dotarły na szczyt następnego wniesienia. Odetchnęły, ujrzawszy w dolinie krąg bogato zdobionych wozów o dziwnie zaokrąglonych szczytach. Kilku mężczyzn doglądało koni, podczas gdy trzy kobiety szykowały posiłek przy rozpalonym pośrodku ognisku. Dwaj chłopcy i pies gonili za dziewczynką, która piszcząc z radości, przeskakiwała między wozami, sprytnie unikając pościgu.

Elizabeth przyglądała się tej scenie, ściskając w rękach parasolkę, którą uparła się zabrać.

- Jesteś pewna, Phoebe? A jeśli oni nienawidzą Anglików?

- Nonsens. Poza tym, jaki mamy wybór? Nawet jeśli nikt nie będzie umiał naprawić powozu, ty z pewnością nie możesz iść z powrotem do wsi. Musimy sobie zapewnić jakiś pojazd.

Phoebe z determinacją uniosła głowę i pomaszerowała w dół. Elizabeth niezdarnie kuśtykała za nią. Szmer przeszedł po obozowisku i wszelki ruch ustał. Scena wyglądała jak żywy obraz.

- Dzień dobry! - zawołała Phoebe wesoło. Nikt nie wydał dźwięku, nawet pies.

- A jeśli oni nie mówią po angielsku? - wyszeptała Elizabeth. Wielkie nieba, o tym Phoebe nie pomyślała.

- Oczywiście, że mówią. Jak inaczej handlowaliby końmi? - Zdobyła się na jak najbardziej przyjazny uśmiech i znowu zwróciła się do Cyganów:

- Nasz powóz ma złamane koło kawałek stąd i pomyślałyśmy, że może ktoś mógłby go tu przyprowadzić i, no cóż, naprawić. Z przyjemnością zapłacimy za tę usługę. - Odpowiedziały jej obojętne spojrzenia i przyciszone rozmowy prowadzone w języku, którego nie rozumiała. - Przepraszam, czy ktoś tu mówi po angielsku?

Cisza.

Elizabeth przysiadła na kamieniu.

- I co teraz?

Suknie miały oblepione u dołu liśćmi i błotem, pantofle kompletnie zniszczone, a kostka Elizabeth zaczynała puchnąć. Straciły już cenną godzinę.

- Ledwo możesz iść - powiedziała zmartwiona Phoebe. - Nawet gdybym uważała, że tak byłoby lepiej, nie chcę wlec się po tym błocie z powrotem do powozu, a potem do wsi po pomoc. Przyszłam tu, żeby znaleźć odpowiedź i mam zamiar ją uzyskać.

Kudłaty pies wielkości małego kuca zawarczał. Potężny mężczyzna o bujnych włosach i gęstych brwiach skrzyżował ramiona na piersi i coś mruknął. Pies czmychnął pod najbliższy wóz i wtulił pysk w łapy. Wszyscy inni bacznie im się przyglądali. Phoebe pomyślała, że pies miał dobry pomysł. Odwrót wydawał się słusznym posunięciem, ale przecież nie odbyła całej tej drogi bez powodu. Pomrukujący mężczyzna, przerośnięty kundel i odrobina wrogości nie wystraszą jej.

Zaczęto szemrać i wszyscy spojrzeli na coś za plecami Phoebe. Odwróciła się i ujrzała wspaniałą kobietę o kruczoczarnych włosach, ubraną w barwną jaskrawą spódnicę i białą bluzkę, która zmysłowo zsunięta była z lewego ramienia. Cyganka zbliżała się do nich z wyrazem twarzy, który był mieszaniną arogancji i czegoś, co Phoebe mogłaby wziąć za pogardę.

- Dzień dobry - uśmiechając się jak najpromienniej, powiedziała Phoebe. Dziewczyna przespacerowała przed Phoebe i Elizabeth, nie oglądając się na nie. Za sobą prowadziła Błyskawicę.

- Przepraszam bardzo, ale co ty właściwie robisz z moim koniem? Cyganka wzruszyła ramieniem.

- Znalazłam go, jak się błakał - powiedziała. - Teraz jest mój. Phoebe nie była pewna, co ją zdumiało bardziej: to, że dziewczyna rościła sobie prawo do Błyskawicy, czy to, że mówiła z dziwnym akcentem, jednak zrozumiała angielszczyznę.

- Nie sądzę. Zostawiłam mojego konia przywiązanego do drzewa obok powozu.

- Śmiesz nazywać Arianę złodziejką? - Oczy dziewczyny zapłonęły gniewem.

Wobec takiego obrotu sprawy, Phoebe chciała wzbudzić w dziewczynie wątpliwości i postanowiła spróbować dyplomacji:

- Ariano. Mogę tak się do ciebie zwracać? Skoro znalazłaś Błyskawicę chodzącą luzem, oczywiście jest, że ktoś musiał ją uwolnić. Dziękuję, że przyprowadziłaś moją klacz tutaj.

Ciemne oczy Ariany błysnęły, po czym dziewczyna po prostu odeszła. Wymieniła jakieś uwagi z ludźmi z obozu, rozległy się śmiechy i przeszła na skraj polany. Uwiązała Błyskawicę obok wspaniałej, białej klaczy.

- Na litość boską - mruknęła Phoebe.

- Co teraz? - wyszeptała Elizabeth.

- Z pewnością nie pozwolę tej kobiecie zatrzymać mojego konia. Phoebe zdecydowanym krokiem podeszła do Ariany i poklepała ją w ramię.

- Przepraszam. Najwyraźniej nie słyszałaś, co powiedziałam. Ten koń jest mój. Kiedy tylko odpowiesz mi na kilka pytań, zabiorę Błyskawicę i pójdę swoją drogą.

- Dość tego. Znudziło mi się twoje towarzystwo. Odejdź już.

Zostały odprawione po królewsku, jakby miały do czynienia z samym królem Anglii, pomyślała Phoebe. Pałała chęcią udzielenia czarownicy niezbędnej lekcji manier. Ruszyła w jej kierunku.

Nagle ziemia zadrżała. Obie, Elizabeth i Phoebe, odwróciły się i ujrzały mężczyznę, który wjechał do obozu galopem. Dosiadał ogiera bardzo podobnego do kłaczy, obok której Ariana przywiązała Błyskawicę. Podjechał wprost do nich i zeskoczył z konia ze zręcznością kogoś nawykłego do jazdy wierzchem. Jego ruchy były lekkie i płynne. Spojrzał ponad Phoebe i Elizabeth na Arianą i zgromadzonych ludzi, którzy przyglądali się scenie z żywym zainteresowaniem, wręcz fascynacją. Skłonił się, uśmiechając się w sposób, który pewno zawrócił w głowie niejednej dziewczynie.

- Dzień dobry. Jestem Rhys. Nie wiedziałem, że będziemy dziś mieć gości. Co was tu sprowadza?

Phoebe miała już dość tłumaczenia się wszystkim. Jednak ten mężczyzna mówił po angielsku perfekcyjnie, z bardzo nieznacznym akcentem, a jego zachowanie wymagało, by odpowiedzieć. Może on mógłby im pomóc. Wyjaśniła, że Ariana przywłaszczyła sobie jej konia, rzucając przy tym oskarżycielskie spojrzenie na dziewczynę, która tylko zadarła nosa i dalej oporządzała Błyskawicę. Choć Phoebe czuła się już zmęczona, zdobyła się jednak na uśmiech i dodała:

- Jeśli więc będziesz tak uprzejmy odpowiedzieć na kilka pytań i przekonać tę kobietę, żeby oddała mi konia, pójdziemy sobie swoją drogą.

Rhys, skrzyżowawszy ramiona, przyglądał się Phoebe z uwagą. Wziął w palce loczek opadający jej na czoło.

- Podoba mi się twoja odwaga, mała.

- Ty... ja... Ze wszystkich... - wypluwała z siebie słowa jak fontanna, w której zabrakło wody. - Możesz się do mnie zwracać panno Rafferty, a to jest lady Payley - powiedziała, kładąc nacisk na lady. - Jak śmiesz pozwalać sobie na taką poufałość.

- Śmiej się, ponieważ piękna kobieta należąca z pewnością do najlepszych salonów Londynu zjawiała się w moim obozie bez towarzystwa przyzwoitki czy mężczyzny. Skoro już tu jesteś, powiem ci, że mam w zwyczaju brać to, czego chcę.

A ona myślała, że Stephen jest arogancki. Jego zachowanie bladło w porównaniu z tym, na co sobie pozwalał ten śmiałek.

- Możesz sobie darować takie uwagi. Nasi towarzysze się spóźniają. To wszystko.

Parsknął, po czym powiedział miękko i pieszczotliwie:

- Gdybyś była moją kobietą nie pozwoliłbym nigdy, żebyś zniknęła mi z oczu.

- Dobrze więc, że nie jestem. Na pewno umarłabym z nudów i to szybko. Wciąż się zaśmiewał, kiedy Ariana skoczyła - inaczej nie da się określić sposobu, w jaki znalazła się u boku Rhysa. Pod czujnym spojrzeniem Phoebe zamienili ze sobą kilka gniewnych słów, po czym Ariana przerzuciła włosy przez ramię i natarła na Phoebe.

Zanim Phoebe zdążyła zareagować, już toczyła się po ziemi w bezładnej płataninie zielonego materiału, by wylądować z chlupotem niegodnym damy w kałuży błota. Jej pisk i okrzyk przerażenia Elizabeth rozniosły się po dolinie.

Rhys odciągnął Ariana na bok, miotając mało subtelne groźby. Ona tylko skrzyżowała ramiona na piersi i mierzyła się z nim wzrokiem. Groźnie postąpił w jej stronę.

- Twoja zazdrość jest bezpodstawna, a twoje czyny mogą pociągnąć za sobą niepożądane skutki.

- Zazdrość? Ha! Biorę, co moje. Nic więcej, nic mniej. Kręcąc głową zwrócił się do Phoebe:

- Niezmiernie mi przykro. Temperament Ariany często bierze górę nad rozumem. Chodź. Znajdziemy ci nowe ubranie.

- Nie.

- Święci pańscy. - Wyrzucił ramiona w górę. - Strzeżcie mnie od upartych kobiet. Nie kłóć się ze mną. - Wyciągnął rękę. - Chodź.

Phoebe odtrąciła jego rękę i zwinnie wstała z ziemi. Otrzepała dłonie z błota. Miarka się przebrała. Nie chciała nowych ubrań. Chciała odpowiedzi na swoje pytania, chciała też odzyskać konia i odejść. W tej kolejności. Jasne było, że sytuacja wymaga całkowicie odmiennej strategii. Sięgnęła do torebki, dobiła pistoletu i wymierzyła go w głowę Rhysa. Na Boga, niech ktokolwiek się ruszy, a wpakuje mu kulę między oczy.

Pełna zdumienia cisza była jej nagrodą. Oboje, Rhys i Ariana, zdawali się odpowiednio zaskoczeni i całkowicie obezwładnieni. Tak jej się przynajmniej zdawało,

dopóki surowość na twarzy Rhysa nie ustąpiła miejsca psotnemu uśmiechowi, który przeszedł w głęboki, donośny śmiech.

- Przysięgam, że wiem, jak tego użyć i nie myślcie, że tego nie zrobię. A teraz oddajcie mojego konia.

Ocierając łzy śmiechu z oczu, Rhys powiedział:

- Nie mogę tego zrobić, mała. - W mgnieniu oka skoczył, unieruchomił jej ramiona i wyjął z dłoni pistolet. Phoebe wrywała się z jego uścisku, cofnął się więc o krok. - Jesteś pełna niespodzianek. Niestety Ariana uważa, że koń należy do niej. Nie mogę się wtrącać. Musimy znaleźć inny sposób rozwiązania tej sprawy.

Elizabeth stanęła u boku Phoebe.

- Nie odejdziemy stąd bez naszego konia. Możesz nas torturować albo głodzić, wyprowadzić nas do lasu, żebyśmy się zgubiły na zawsze, ale ostrzegam cię, mój mąż wytropi cię i wydrze ci serce z piersi gołymi rękoma.

Phoebe nigdy by nie przypuszczała, że przyjaciółkę stać na taki dramatyzm. Jednak nie miały żadnych szans. Chwyciwszy Elizabeth za rękę, zwróciła się do rechoczącego, prostackiego barbarzyńcy, którego zachowanie, według niej, niczym nie różniło się od zachowania Ariany.

- Co dokładnie masz na myśli?

- Phoebe! - krzyknęła Elizabeth. - Nie myślisz chyba...

- Chcę tylko zadać moje pytania i odejść. Jesteśmy zdane same na siebie. Nie mamy wyboru, musimy się układać.

- Koń jest mój - oświadczyła Ariana najbezczelniej w świecie, biorąc się pod boki. - I to ja ustalę warunki.

- Ha! - prychnęła Phoebe. - Ty jesteś złodziejką. Z pewnością nie mam zamiaru dać ci złamanego grosza za mojego konia.

- Cicho bądź, Ariano! - rozkazał Rhys.

- A to czemu? Bo ona jest damą w pięknym ubraniu?

- Ta twoja zazdrość jest bezsensowna. Ostrzegam cię. Miej się na baczności. Panno Rafferty, pozwól ze mną.

- Jeśli choć przez chwilę myślałeś, że lady Payley lub ja pójdziemy z tobą gdziekolwiek, to pomyśl jeszcze raz. Chcę mojego konia. Chcę go teraz. Powiedziałeś, że są sposoby na rozstrzygnięcie tego rodzaju sporów. Cóż to za sposoby?

Złożył palce obu dłoni, tak że stykały się czubkami i przyglądał się trzem kobietom. Wyglądał tak, jakby był gotów je podusić.

- Cyganie traktują swoją własność bardzo poważnie. Mają też honor i dumę. Istnieją zakłady, wyścigi, które mogą być bardzo niebezpieczne. Jestem pewien, że nie są one pociągające dla damy takiej jak ty.

Jeśli myślał, że ją przestraszy, powinien się jeszcze zastanowić. Phoebe ledwo kryła podniecenie. Na Boga, na wszystkie świętości, wygra i odzyska Błyskawicę.

- Jakiego rodzaju wyścigi?

- Ścigamy się konno, ty durna Angielko - rzuciła Ariana z triumfującym uśmiechem.

- Och - szepnęła Phoebe, dziękując Bogu za domniemanie, że damy nie nadają się do niczego poza salonem. - Czy jest to trudny wyścig?



- Obie postradały rozum. Przysięgam, że... - Stephen z wściekłości nie mógł dokończyć zdania. Znalezienie porzuconego powozu ze złamanym kołem nie rozwiało jego niepokoju i wzbierającego gniewu.

- Mam takie same odczucia jak ty, drogi przyjacielu - zgodził się Winston, trącając butem odłamki drewna. - Elizabeth i Phoebe to zaiste parka, którą należy wziąć pod kuratelę. Jedno, co dobre, to wiemy przynajmniej, że Rhys zapewni im bezpieczeństwo. Nie pozwala Cyganom na głupstwa, kiedy obozują na jego ziemi.

- To prawda, ale sam Rhys ma reputację diabła wcielonego. Mój Boże, kiedyś widziałem go w akcji. Wystarczy, że powie dwa słowa po cygańsku, a kobiety już omdlewają na jego łóżko.

Oczy Winstona zabłyśły rozbawieniem.

- Teraz rozumiem. Nigdy nie przypuszczałem, że jeszcze kiedykolwiek okażesz się taki zaborczy wobec kobiety.

- Diabła tam, zaborczy. Jestem wściekły z powodu tych wszystkich niedogodności, i nic więcej. Poza tym, pożyczyłem jej pieniądze. Troszczę się tylko o moją inwestycję.

- Doprawdy?

- Oczywiście. Hildegard nic nie obchodzi jej dobro. Ktoś musi się nią opiekować.

- Rhys zapewne z przyjemnością wzięłby na siebie ten obowiązek. Słyszałem, że w końcu zdecydował się zgłosić swoje prawa do tytułu. Możliwe, że wobec tego będzie się także chciał ożenić.

- Niech to szlag - mruknął Stephen.

Znał Rhysa od czternastego roku życia. To dobry człowiek, jeden z nielicznych, których Stephen nazywał przyjaciółmi. Rhys byłby świetnym mężem dla każdej kobiety, ale

do cholery, niech sobie znajdzie własną. Irracjonalna fala zazdrości zirytowała go jeszcze bardziej, czym prędzej złożył ją więc na karb zbyt długo powstrzymywanej żądy. Dosłyszawszy wesołość w głosie przyjaciela, popędził Kawalera do galopu, zostawiając Winstona w chmurze pyłu.

Dotarł na wzgórze i nie zatrzymując się, kłusem zjechał do obozowiska, w sam wir zdarzeń. Zaglądając do wozów w poszukiwaniu śladu Phoebe i Elizabeth, wypatrzył w końcu Rhysa, który stał na rozstawionych nogach, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, jak sułtan.

Stephen zeskoczył z siodła i zawołał:

- Gdzie, u diabła, one są?! Rhys tylko się uśmiechnął.

- Czy tak się wita starego przyjaciela? - Ogarnął Stephena mocnym uściskiem. - Z twojego pytania domyślam się, że przyjechałeś po rudą. Szkoda. Intrygująca mieszanka kobiecości opakowana w całkiem przyjemne ciało.

Winston dołączył do nich. Uścisnęli się serdecznie z Rhysem.

- Uważaj. Stephen widzi siebie w roli opiekuna tej dziewczyny. Rhys uniósł brew.

- Ożenisz się znowu?

- Nie, do wszystkich diabłów. Kto jak kto, ale ty najlepiej znasz moją sytuację. To po prostu... Mniejsza z tym.

- Rozumiem. Ona jest dość kłopotliwa. Rozpoznałem również twoją żonę, Winstonie. To było bardzo ciekawe popołudnie, przyjaciele. Pomyślałem, że udzielę damom lekcji. Sześciolatki okazałyby się bardziej pojętne.

- Gdzie jest Phoebe?

- W tej chwili szykuje się do wyścigu.

- Co robi?

Kręcąc głową Winston zaproponował:

- Lepiej opowiedz wszystko po kolei.

Kiedy Rhys skończył mówić, Stephen nie wiedział, czy przyznać Phoebe medal za odwagę, czy udzielić jej reprimendy za głupotę. Prawdopodobnie zasługiwała na jedno i drugie. Jednego był pewien. Chciał ją zobaczyć. Natychmiast.

- Phoebe Rafferty! - ryknął, a jego głos odbił się echem w dolinie.

Psy czmychnęły pod wozy, dzieci ukryły głowy w spódnicach matek. Rhys i Winston tylko patrzyli w milczeniu, rozbawieni. Phoebe wyjrzała zza najbliższego wozu, po czym cofnęła się szybko. Stephen jednak zdążył ją dostrzec.

- Phoebe Rafferty, ukrywanie się jest bezcelowe.

- To samo dotyczy ciebie, moja droga! - zawołał Winston.

- Och - mruknęła Phoebe. Oczywiście ucieszyła się na widok Stephena, była nawet podekscytowana, ale jego morderczy wyraz twarzy oznaczał reprimendę, a może i coś gorszego.

- Co teraz? - spytała Elizabeth.

- Przystąpimy do ataku. - Phoebe dziarskim krokiem podeszła do Stephena i, tak samo jak on, zrobiła groźną minę. - Miałam paskudny dzień, Stephenie Lambercie, i ponieważ mogę powiedzieć, że ty jesteś temu winien, nie waz się krzyczyć na mnie.

Elizabeth kuśtykała za nią, starając się ze wszech miar wyglądać godnie, co było niemalym wyczynem z kostką grubości uda.

- To samo dotyczy ciebie, Winstonie.

Parsknięcie, podejrzenie przypominające śmiech, wydobyło się z ust Rhysa. Poklepał obu mężczyzn po plecach i odszedł, kręcąc głową.

Phoebe miała ochotę rzucić kamieniem w głowę Rhysa. Prawdę mówiąc, w tej chwili miała ochotę sprać wszystkich mężczyzn bez wyjątku.

- Elizabeth, nie wiesz, że mogłaś sobie zrobić krzywdę?

Ton głosu Winstona, jakiego Phoebe jeszcze u niego nie słyszała, wskazywał na jego nastrój. Piekło i szatani, on też był zły.

- To nie jej wina - powiedziała Phoebe. - Zmusiłam ją, żeby mi towarzyszyła.

- Hm - mruknął Winston. - Podobnie jak ty, ona też ma przyzwoitą miarę inteligencji i zdrowego rozsądku, jeśli oczywiście decyduje się ich użyć. Ale dziś chyba obie postradałyście rozum.

Łzy napłynęły do oczu Elizabeth.

- Zwichnęłam sobie kostkę.

Winston natychmiast rozpostarł ramiona. Wtuliła się w jego pierś i mrugnęła do Phoebe.

Przez dwie sekundy, nie dłużej, Phoebe rozważała, czy nie uciec się do takiego samego fortelu. Jedno spojrzenie na gniewną twarz Stephena utwierdziło ją w przekonaniu, że to strata czasu.

- Jeśli masz zamiar pouczać mnie - odezwała się Phoebe - możesz spokojnie wsiąść na konia i wracać do Londynu.

- A wiesz, powinienem. Powinienem odjechać i zostawić cię samą sobie. Nie wiem, czemu mnie to obchodzi.

Bo ci zależy, pomyślała Phoebe, wiedząc jednak, że wyśmiałyby ją, gdyby to zasugerowała.

- To i tak wszystko twoja wina.

- Śmiesz winić mnie za swój brak rozsądku? Matko Boska, przez cały dzień byłem w domu. Co ja, u diabła, takiego zrobiłem?

- Istniejesz - wypaliła Phoebe. Wytrzeszczył oczy i zacisnął szczęki. Westchnęła, wiedząc, że będzie musiała wszystko wyjaśnić. Nawet gdyby tego nie zrobiła, Elizabeth na pewno powie Winstonowi, a ten powtórzy wszystko Stephenowi. - Przyjechałam tu dla twojego dobra. Pomyślałam, że jeśli Cyganka mogła cię przekląć, to Cyganka może cię też od tego uwolnić.

- Ja... - zaczął i zamknął usta.

Wielkimi krokami zbliżał się do Phoebe, ale nagle odwrócił się w kierunku najbliższego drzewa. Krążył przy nim w tę i z powrotem jak rozeźlony troll. Wtem zdecydowanie podszedł do Phoebe i pocałował ją gwałtownie. Puścił ją równie szybko.

- Nie myśl ani przez chwilę, że już z tym skończyliśmy. Uważaj na siebie - nakazał i odszedł na skraj polany, gdzie stanął obok Rhysa, żeby przyglądać się gonitwie.

Stephen skrzyżował ramiona na piersi, zadowolony, że Phoebe zamurowało i odebrało jej mowę. Stała bez ruchu i patrzyła na niego jak przerażony zając. Nagle zmarszczyła brwi i pobiegła do swojego konia. Pewno pomyślała, że oszalał, krzycząc na nią w jednej chwili, a w następnej całując. Prawdę mówiąc, czuł się tak, jakby się znalazł na krawędzi szaleństwa i to od wielu dni.

Kiedy tylko nieproszone i niemożliwe myśli o małżeńskich rozkoszach nawiedzały jego umysł, przypominał sobie zniekształcone ciało Emili, leżące bezładnie z połamanymi kończynami. Myśl, że Phoebe mogłoby spotkać to samo, była nie do zniesienia. Na razie mocno trzymał się postanowienia, że albo będzie ją miał jako kochankę, albo wcale. W duchu poprzysiągł to sobie raz jeszcze.

Z niepokojem i dumą przyglądał się, jak Phoebe dosiada Błyskawicy. Kiedy zadarła spódnicę powyżej kolan i wetknęła materiał między nogi, powstrzymał się, żeby nie przejść przez polanę i nie obciągnąć go do kostek. Pohamował się jednak, przyglądając się bacznie koniom i trasie wyścigu.

Po okrążeniu doliny, zawodniczki miały wjechać na wzgórze od północy, potem znów w dół, do linii mety, gdzie stał Stephen wraz z większością widzów. Na drodze musiały pokonać trzy przeszkody: niewielki strumień, zwalone drzewo i dyszel wozu.

Biała klacz Ariany prezentowała się wspaniale. Atletycznie zbudowana i zgrabna, o silnym, zwartym ciele, w grzywę miała wplecione barwne wstążki. Jakby świadoma, że ma publiczność, machnęła ogonem z taką samą arogancją, z jaką Ariana potrzasała lokami.

Z kolei Błyskawica była ucieleśnieniem wdzięku i elegancji. Miała silny zad i szeroką pierś pozwalającą na wykorzystanie całej pojemności płuc. Rasa czystej krwi, doskonała w sportach wymagających wielkiej siły woli, hartu i szybkości. Stephen wskazał głową konia Ariany i odezwał się do Rhysa:

- Jedna z twojej hiszpańskiej hodowli, jak rozumiem? Rhys uśmiechnął się jak dumny ojciec.

- Ta klacz jest wyjątkowa. Tak samo jak jej brat, zapoczątkuje doskonałą linię. Jak panna Rafferty trzyma się na koniu?

- Niewiele widziałem, ale twierdzi, że jest doświadczona. Inaczej mówiąc, jestem pewien, że zrobi, co może, żeby wystawić na próbę moją cierpliwość podczas wyścigu.

Rhys parsknął śmiechem.

- Wiesz, mężczyźni i kobiety są jak konie - powiedział. - Przy odpowiednim doborze można osiągnąć wspaniałą linię potomstwa.

Stephen popatrzył na Rhysa.

- Nie zaczynaj.

- A ty nie patrz spode łba. Panna Rafferty to kombinacja warta zachodu, przyjacielu. To wszystko.

Powiedziawszy to, Rhys dał znak Torio, ojcu Ariany, który stał między obiema kobietami z błękitną chustką w wyciągniętej w górę ręce. Obie zawodniczki czekały na jej opuszczenie. W chwili, kiedy róg chustki dotknął ziemi, Phoebe pognęła Błyskawicę galopem, pochylona nisko nad końską szyją. Ziemia pryskała spod kopyt, potężne mięśnie pracowały, a koń dawał z siebie wszystko. Ariana z zaciętą twarzą dotrzymywała kroku Phoebe. Stephen mógł tylko podziwiać umiejętności obu kobiet. Koń odda serce tylko temu jeźdźcowi, który wie, jak o nie poprosić.

Tłum wiwatował dziko, kiedy obie zawodniczki jednocześnie przeskoczyły strumień. Przed nimi było wzgórze. Wierzchowce, wyrzucając spod tylnych kopyt miękki grunt, zniknęły między drzewami. Ku konsternacji Stephena, zniknęły też z jego pola widzenia.

Ptaki świergotały, mały królik umknął, szukając bezpiecznego schronienia. Wiewiórka skrzeczała głośno w proteście przeciwko najazdowi na jej cienisty azyl. Phoebe pochyliła się jeszcze niżej, unikając spotkania z gałęzią sterczącą po prawej stronie. Wysilony oddech Błyskawicy brzmiał w jej uszach jak muzyka. Szczęście, że klacz potrafi biegać. Już wcześniej wyczuwała jej siłę, ale dziś Błyskawica biegła z całego serca. Dla niej. Phoebe szeptała słowa zachęty do końskiego ucha. Pod kopytami chrzęściły liście i gałęzie, a ona wspinała się coraz wyżej. Phoebe czuła się tak, jakby frunęła, jakby unosiła się w powietrzu niczym ptasia piosenka.

Nagle znalazła się na szczycie wzgórza. Wypadła spomiędzy drzew i ruszyła w dół. Ariana gnała tuż za nią. Phoebe podziwiała umiejętności dziewczyny i siłę jej klaczy. Połączone zamiłowaniem do gonitwy i dreszczem wolności, obie kobiety się uśmiechały. Z przeszywającym okrzykiem Ariana spięła konia i wyrwała do przodu. Phoebe zrobiła to samo, a pędząc w dół z bocza, śmiała się bez przerwy. Mimo nachylenia terenu, Phoebe trzymała się prosto w strzemionach, balansując ciałem. I oto cud cudów, u podnóża pagórka osiągnęła niewielką przewagę.

Stephen zacisnął dłoń na gałęzi drzewa, kiedy konie wypadły z zarośli i pędziły na złamanie karku, Phoebe o włos na przedzie. Błyskawica z łatwością przeskoczyła kłodę. Jeszcze tylko otwarta przestrzeń łąki i dyszel wozu. Po pokonaniu ostatniej przeszkody tylne nogi Błyskawicy ugięły się nieco, kiedy dotknęły kamienistej ziemi, i Phoebe straciła swą nieznaczną przewagę. Serce Stephena zamarło.

Widząc jego napięcie, Rhys powiedział:

- Uspokój się, przyjacielu. Spójrz na nią. Ona wie, co robi.

- Co za lekkomyślna kobieta - narzekał Stephen. - Mówiłem jej, żeby uważała.

Patrzył, jak wyprostowała się i mocniej chwyciła wodze nisko, tuż przy końskiej szyi. Jej włosy rozwiane przez wiatr powiewały za nią jak szkarłatny sztandar. Widział, jak porusza wargami, wiedział, że czułymi słowami i pochwałą zachęca Błyskawicę do zwycięstwa. Łeb w łeb spienione konie szły do mety. Sześć metrów dzieliło ją od miejsca, w którym stał Torio z chustką znów wzniesioną w górę. Błyskawica wysunęła się na prowadzenie i Phoebe wyrwała chustkę z dłoni Toria, podnosząc ją nad głowę. Twarz jej jaśniała nieskrępowaną radością, oczy błyszczały ożywieniem, policzki miała zaróżowione. Stephen nigdy jeszcze nie widział jej piękniejszej.

Przepęniały go uczucia. Przede wszystkim duma, po której przyszła niezdolność tęsknota utrudniająca oddech. Rozpoznał drgnienie struny innej niż żądza i to go przeraziło. Otwarte szeroko oczy, jakimi Phoebe patrzyła na niego, były jak okno do jej serca. Wzywała go.

Była to propozycja, by dzielił z nią zwycięstwo, ale także była to obietnica ukojenia jego samotności. Dawała mu klucz otwierający uczucia, o których udało mu się zapomnieć na lata.

Rhys położył rękę na ramieniu Stephena.

- Co zrobisz?

- A co mogę zrobić?

- To jest pytanie, na które tylko ty możesz odpowiedzieć, przyjacielu. Spójrz na nią i zobacz, jak na ciebie patrzy. Mężczyzna byłby głupcem, gdyby nie posłuchał oczu, które mówią z serca, tak jak jej.

Nie zwracając uwagi na przyjaciela, Stephen z wysiłkiem przywołał obraz Emily leżącej z wykręconymi rękami i nogami w kałuży krwi, wydającej ostatnie tchnienie. Może wybrał tchórzostwo. Nic go nie obchodziło, nie mógł sobie na to pozwolić. Wybrał ucieczkę, wiedząc, że jeśli teraz podejdzie do Phoebe, nie będzie miał siły odmówić jej niemej prośbie, poszukał schronienia w lesie.



Phoebe przeżyła głębokie rozczarowanie, widząc, jak Stephen znika wśród drzew. Czego oczekiwał od niej? Kiedy mijala linię mety, widziała w jego oczach dumę i wiele więcej. Bzdury. Może dostrzegła to, co miała nadzieję zobaczyć.

Rhys podszedł do Phoebe i zdjął ją z siodła.

- Zatem świętujmy.

Rhys zaprowadził ją do małego wozu i wepchnął do środka. Sterta koców i poduszek piętrzyła się na posłaniu rozciągającym się w głąbi, od brzegu do brzegu. Pod posłaniem upchnięte były dwie skrzynie. Wzdłuż ściany, jedno na drugich, stały pudełka i kosze. Jaskrawe szale, jedwabne chusty, garnki i patelnie wisały pod drewnianą belką. Cyganka o imieniu Anna poruszała się w tej ciasnej przestrzeni ze swobodą nabytą przez lata doświadczeń, kiedy wszystko, co człowiek posiada, mieści się w drewnianej skrzyni na kołach.

Anna postawiła wiadro z wodą na trój nożnym taborecie, obok położyła ręcznik i skinęła na Phoebe, żeby się umyła. Rozbierając się do koszuli, Phoebe spytała:

- Dlaczego wszyscy zrobili się tacy mili? Bo wygrałam?

- To prawda, ale i tak koń był twój, zacznijmy od tego. - Cyganka roześmiała się na widok zdumienia Phoebe. - Nie dziw się tak. Ariana znalazła konia. Gdybyś się nie pojawiła, miałyby piękne zwierzę. Skoro przyszedł, rozgrywka z tobą stała się sprawą dumy. Ariana widziała też, że Rhys spogląda na ciebie. Zapomina, że on jest szlachcicem i nigdy nie będzie jej.

- Rhys jest... on nie jest...

- Rhys jest bękartem. Pół Cyganem, pół Anglikiem. To jego ziemia. Czy to dla ciebie wstrząs?

Phoebe dziwiła się serdecznej więzi między trzema mężczyznami, która była wyraźnie widoczna, ale tego, co usłyszała, nigdy by się nie domyśliła. Odpowiedziała, energicznie trąc twarz rękawkiem:

- Mam dość rozsądku, żeby nie kierować się uprzedzeniami. Jestem po prostu zaskoczona. Mało co jest takie, jakim się wydaje.

- Bardzo prawdziwe i bardzo mądre stwierdzenie. Dzisiejszego dnia jechałaś konno jak Cyganka. - Z jednej ze skrzyń Anna wyjęła obszerną spódnicę i powiewną, białą koszulę. - Na wieczór ubierzesz się też jak Cyganka. Twój mężczyzna będzie zadowolony.

- On nie jest właściwie moim mężczyzną. To znaczy, ja bym chciała, żeby nim był, ale on ma inne pomysły.

- Ogień płonie w jego oczach. Tej nocy trudno mu będzie odmówić ci. Rhys powiedział, że masz pytania. To z powodu tego szlachcica tu przyszedł?

- Miałam nadzieję zdobyć pewne informacje - powiedziała Phoebe, oglądając spódnicę mieniącą się odcieniami fioleto, zdającą się wibrować życiem.

Odrzucając wszelką skromność, Phoebe zsunęła swoją koszulę na podłogę i założyła tę drugą. Opadała z jednego ramienia i miękko układała się na piersiach. Przyszła kolej na spódnicę, która spływała jej do kostek. Zakręciła się w ciasnej przestrzeni wozu, smakując swobodę ruchu w tym stroju, łagodny szelest tkaniny.

Anna wylała wodę przez otwór wejściowy i wskazała Phoebe stołeczek.

- Siadaj. Pytaj.

Phoebe przedstawiła sprawę klątwy ze wszystkimi znanymi sobie szczegółami. Anna zadała kilka pytań, rozplatając jednocześnie to, co pozostało z warkocza i czesząc jej włosy.

- Czy twój mężczyzna wierzy w moc takiej klątwy? - spytała w końcu.

- Tak sędę. Z pewnością przypisuje sobie winę za śmierć dwóch kobiet i nie daje nam szansy, byśmy się pobrali. Miałam nadzieję znaleźć sposób, jak nakłonić go do zmiany zdania.

- Klątwa czy nie, kto to może wiedzieć na pewno. Każda klątwa czy czar są skuteczne, gdy człowiek wierzy w nie, ze strachu, chciwości lub gdy ma poczucie winy. Tak jak z dzieckiem. Jeśli słyszy wiele razy, że jest brzydkie, przyjmuje, że jest to prawda. Serce twojego mężczyzny zna odpowiedzi, których on potrzebuje, ale to on sam musi do nich dotrzeć. Pokaż mi rękę.

Phoebe wyciągnęła rękę, a Anna delikatnie położyła palce na jej dłoni i zaczęła wodzić po niej, badając linie. Długo się im przyglądała.

- Widzę przed tobą długie życie, moje dziecko, i dużo dzieci.

Długie życie, to dobrze, pomyślała Phoebe. I dzieci. Chciała mieć dzieci. Ale kto będzie ich ojcem? Anna mówiła dalej:

- Zakochasz się w jednym mężczyźnie, ale ten, którego poślubisz, będzie inny.

Phoebe nie spodobało się to.

- Chcesz powiedzieć, że nie poślubię Stephena?

- Dłoń nie mówi mi imienia. Pokazuje różne drogi życia. Wyjdiesz za mąż i możesz być szczęśliwa, jeśli na to pozwolisz.

Phoebe była bardziej zdezorientowana niż kiedykolwiek. I tak już wystarczająco długo kryła się przed Stephenem. Kiedy wyłoniła się z wozu, zapadł już zmrok. Ogień buzował, płomienie strzelały w niebo. Śmiech, muzyka i kusząca woń potraw unosiły się nad doliną.

Przechodząc przez obozowisko w poszukiwaniu znajomej twarzy, uświadomiła sobie, dlaczego Ariana chodzi w taki sposób. Spódnica tańczyła wokół kostek Phoebe, delikatny muślin koszuli opływał zmysłowo jej swobodne piersi. Rozpuszczone włosy opadały na plecy i kołysały się koło bioder. Tej nocy, z dala od karcącego spojrzenia ciotki i nieustannej obserwacji towarzystwa, Phoebe po raz pierwszy od wielu tygodni czuła się wolna. Ten czas był tylko krótkim wytchnieniem, fałszywym obrazem rzeczywistości, niemniej jednak chciała się cieszyć każdą chwilą.



Elizabeth i Winston rozmawiali z Anną po jednej stronie ogniska. Rhys i Stephen siedzieli po drugiej, na kocu, oparci o kłodę drewna. Phoebe podeszła i niepewna, co Stephen może zrobić, przystanęła zupełnie nieruchomo.

Kiedy tylko ją zauważył, przesunął się i wyciągnął rękę. Najwyraźniej nie pamiętał już o swoim małym ataku hysterii.

Jakaś kobieta przyniosła półmisek pełen jedzenia. Phoebe zaburczało w brzuchu w odpowiedzi. Nic dziwnego. Nie jadła od wczesnego ranka. Odrywając kawałek pieczonego mięsa, spytała:

- Dokąd idą Winston i Elizabeth?

- Możliwe, że to Elizabeth podejmuje wysiłek, aby zostawić nas samych.

- Żebyś mógł mnie zamordować bez świadków - mruknęła.

- Wątpliwe, żeby świadkowie byli tu znaczącym czynnikiem. Przedstawiłbym moją sprawę i Izba Lordów prawdopodobnie orzekłaby na moją korzyść.

Obok Rhys krztusił się ze śmiechu.

Przez chwilę rozważała, czy nie wdać się w sprzeczkę, ale wolała zlekceważyć bezczelnych mężczyzn oraz ich niemądre opinie. Nie pozwoli, by coś rozproszyło magię tej nocy. Jest ze Stephenem, z dala od Londynu, wśród ludzi, którzy wiodą życie niepodobne do wszystkiego, co znała. Możliwość było w bród.

- Chyba więc lepiej, jeśli będę się cieszyć życiem tak długo, jak długo jeszcze przyjdzie mi żyć.

- Nad czym się zastanawiasz? - spytał Stephen.

- A co masz na myśli? - chciała wiedzieć Phoebe, dziwiąc się, że on zna jej myśli równie dobrze jak ona.

- Rozpoznaję ten błysk w twoich oczach, ten sposób, w jaki gryziesz kciuk; zawsze to robisz, kiedy już coś przemyślałaś i doszłaś do jakiegoś wniosku. Biorąc pod uwagę nasze dotychczasowe spotkania, zaczynam się martwić.

Wyjęła kciuk z ust i znowu zaczęła jeść mięso.

- Czy ktoś ci już mówił, że jesteś podejrzliwym człowiekiem? Jakie kłopoty mogą mnie tu czekać?

Załóżł ręce.

- Jestem pewien, że mając dość czasu, mogłabyś pchnąć Anglię do wojny.

- Oczywiście żartujesz sobie, przyjacielu - powiedział Rhys, sięgając po dzban piwa. - Ona jest tylko kobietą.

- Tylko kobietą? Wiedz, że kobiety są zdolne do wielkich rzeczy. To mężczyźni kazały nam ograniczać się do haftu, jadłospisów i balów.

- Rozumiem, o co ci chodzi - zgodził się Rhys. - Ona jest nieposkromiona. To kobieta, jaką mężczyźni chciałby pojąć i nigdy nie spuścić z oka.

Rhys z uśmiechem zostawił Phoebe i Stephena samych i podszedł do ogromnego mężczyzny, który trzymał dziwny instrument podobny do skrzypiec.

- Co on miał na myśli? - spytała Phoebe.

- Nic.

Wszystko. Rhys nie owijał w bawełnę. Uważał Stephena za ślepcę uwikłanego w swoją przeszłość.

- Skąd znasz Rhysa?

- Wyobrażam sobie, że nasza przyjaźń musiała cię zaskoczyć. Towarzystwo wynalazłoby pewnie jakiś niecny powód naszych stosunków.

- Masz zamiar mi powiedzieć czy będziesz całą noc wygłaszał tajemnicze komentarze, deprecjonując siebie samego?

- Wybacz. Zapomniałem, że postanowiłaś występować jako mój obrońca. Objął ramieniem zgięte kolano i zapatrzył się w ogień, przywołując dawno minione czasy.

- Zanim skończyłem czternaście lat, moje dziedzictwo zakorzeniło się na dobre w moim umyśle. W końcu, historii o moich przodkach wysłuchiwałem od dnia narodzin, a bezlitośni krytycy z towarzystwa przypominali mi o nich wystarczająco często, na wypadek gdyby mój ojciec zaniedbał tego obowiązku. Omawialiśmy na lekcji *Makbeta*; kiedy wspomniano o trzech niecnych wiedźmach, szkolny kolega popełnił ten błąd, że zakpił z mojego sławetnego rodu. Coś we mnie pękło. Zbiłem go na krwawą miazgę. - Zauważył jej przerażenie. - Nie ma co się martwić, Phoebe. To było wtedy, zanim nauczyłem się panować nad złością.

- Dostał to, na co zasłużył.

Uśmiech zaigrał na jego ustach. Jej bezwarunkowa lojalność nie przestawała go zdumiewać. Odchrząknął i mówił dalej:

- Ale z ciebie żadna krwi dziewczka, prawda? W każdym razie, zawieszono mnie w szkole na dwa tygodnie i odesłano do domu, gdzie musiałem odcierpieć długi wykład mojego ojca, cały o tym, jak to powinienem pogodzić się z moim żalonym losem. Akurat nieopodal zatrzymał się cygański tabor, czując więc, że mam do tego prawo - bo przecież to oni byli powodem moich kłopotów - szukałem kogoś, kogokolwiek, kogo mógłbym ukarać. Rhys stał się nieszczęsną ofiarą mojego gniewu. Siedział nad jeziorem i rzucał kamienie w wodę. Skąd miałem wiedzieć, że zмага się z własnymi demonami? Niełatwo jest być synem z nieprawego łoża szlachcica, który nie chce cię uznać. Nie ma potrzeby mówić, że kiedy zaczęliśmy się bić, byliśmy jak rozwścieczone psy gotowe zabić. No i prawie się pozabijaliśmy. Posiniaczeni i ociekający krwią, uświadomiliśmy sobie, że żaden nie będzie

zwycięzcą, wtedy obaj padliśmy na ziemię wyczerpani. Od tamtej pory nawiązała się między nami przyjaźń. W ciągu lat obaj nauczyliśmy się godzić na swój los.

Właśnie z tym ślepym pogodzeniem się z losem walczyła. Nie rozumiała rezygnacji, pragnęła, żeby Stephen się zbuntował. Wodząc palcem po ciemnofioletowej nitce w tkaninie spódnicy, powiedziała:

- Teraz wiem, że niemądrze było myśleć, iż tu znajdę coś, by cię obronić. Na pewno sam wiele razy pytałeś o tę klątwę.

- Dopóki nie zorientowałem się, że nigdy nie uzyskam odpowiedzi, poszukiwałem ich. Odkryłem tylko zagadki, a żadna z nich nie zmieniała faktu, że pięć kobiet poślubiło Badricków i straciło życie. Pewnych rzeczy w życiu nie da się wyjaśnić. - Splótł swoje palce z jej. - Albo zmienić.

Jego przekaz był jasny i nie różnił się od tego, co dawał jej do zrozumienia, odkąd się spotkali. Może to głupie, a może nie, ale nie chciała tego słuchać. Odwróciła się od czekoladowych oczu, które prosiły, by się pogodziła i poddała. Pozwoliła, by zawładnął nią hipnotyczny rytm cygańskiej muzyki. Zaczęła przytupywać i klaskać w dłonie.

Ariana wstała, okrążyła ognisko, po czym stanęła przed Phoebe, z rękoma wyzywająco wspartymi na biodrach.

- Za dnia jechałaś konno jak Cyganka. Nocą pokaż nam, czy potrafisz tańczyć jak Cyganka.

Phoebe patrzyła na nią przez chwilę zdumiona, niepewna, czy ma podjąć to wyzwanie, bo bez wątplenia było to wyzwanie. Jak odgłos werbla nuty atakowały jej ciało, dodawały mu mocy. Przyglądała się Arianie kołyszącej się w rytm muzyki. Z ramionami wyciągniętymi wysoko nad głową, rozprostowywała i zginała palce, jakby rozkładała wachlarz. Phoebe podniosła się z ziemi z wdziękiem i determinacją i zaczęła naśladować ruchy Ariany.

Phoebe, patrząc, pozwoliła, by jej umysł dryfował, a ciało pieścił chłód nocy, żar ogniska i podziw, jaki dostrzegła w płonących oczach Stephena. Kilka kobiet dołączyło do nich i Phoebe pomyślała, że jest to najbardziej niezwykła, najbardziej dekadenccka rzecz, jaką kiedykolwiek robiła.

Stephen widywał już tańczące Cyganki, podobały mu się ich zwinne ruchy, ich jawna zmysłowość, ale nic nie mogło się równać z tańcem Phoebe. Krążyła wokół ogniska z wyrazem głębokiej koncentracji na twarzy i z na wpół przymkniętymi oczami. Jej włosy, kaskada płomiennych loków, świeciły jak zachód słońca na Karaibach. Boże, jak on jej pragnął. Natychmiast. Bardziej niż wtedy, gdy po raz pierwszy legł z dziewczką służebną, która

go uwiodła, bardziej niż Emily i Louisy, bardziej niż każdej ze swoich kochanek. Phoebe pokonała je wszystkie łagodnym ruchem bioder.

Jego palce rwały się, by dotykać alabastrowego ciała jej nagich ramion. Chciał całować jej lekko rozchylone wargi, piersi, które droczyły się z nim przy każdym podniesieniu i opuszczeniu jej ramion. Chciał, nie, potrzebował, zagłębić się w jej żar i zażądać swego prawa do niej. Muzyka stała się głośniejsza, bardziej natarczywa. Ariana chwyciła Phoebe za rękę. Z wyprostowanymi ramionami i skrzyżowanymi nadgarstkami, zaczęły się kręcić, unosząc twarze w niebo, włosy powiewały za nimi jak czarny i rdzawy porporzec. Z dzikim brzękiem strun muzyka urwała się nagle. Tętno waliło w głowie Stephena, w jego całym ciele, i nie przestawało.

Nie myśląc o konsekwencjach, zerwał się, zdecydowanym krokiem podszedł do Phoebe i chwycił ją za rękę. Uległość w jej oczach kazała mu zachować pokorę. Jakby oboje uświadomili sobie, że ta noc jest rzeczywiście szczególna, jest czasem zapomnienia, czasem udawania. Phoebe odeszła z nim od ogniska.

Muzyka zabrzmiała znowu, ale tym razem ludzie na leśnym parkiecie przytupywali bardziej żywiołowo, z wigorem. Kiedy Stephen zabrał koc ze stopnia wozu, Phoebe nie myślała już o tancerzach. Bez słowa pozwoliła mu się prowadzić, a rytm muzyki rozbrzmiewał echem w jej ciele. Nigdy wcześniej nie odczuwała tak, że żyje. To była głupota, szaleństwo. Ufała jednak Stephenowi, że zatroszczy się o nią.

Znaleźli niewielką polanę przy strumieniu. Woda mknęła po kamieniach ku nieznanemu przeznaczeniu, trochę tak, jak jej uczucia. Stephen rozłożył koc, ukląkł, a ona po raz drugi tej nocy przyjęła jego zaproszenie.

Nie miała zamiaru z nim iść, nie mogła uwierzyć, że zgodziła się tak skwapliwie, a jednak była tu z nim sama. Kiedy skończyła tańczyć i spojrzała mu w oczy, nie potrafiła mu odmówić. Kolano przy kolanie, pierś przy piersi, poznawali się nawzajem, w duchu godząc się na to, co może się stać. Jego usta spadły na usta Phoebe. Delektowała się łaskotaniem jego wąsów na swojej skórze i wzdychała z tęsknoty.

Nie sięgając myślą poza tę chwilę, obezwładniona zmysłową mgłą stworzoną przez magię tej nocy i duszę muzyki, dotknęła językiem jego języka. Jak gwiazda, która rozbłysła na niebie, tak wybuchł ten pocałunek.

Namiętność nie była już dla Phoebe nowością. Wiedziała, że wilgoć między nogami to odpowiedź jej ciała na dotyk Stephena. Rozumiała pragnienie, które zdawało się nie do ugaszenia. Pragnęła więcej i była to otchłań pożądania, które tylko pieszczoty Stephena

mogły zaspokoić. Rytm tańca brzmiał w jej ciele, wyśpiewywał pochwałę każdej pieszczoty, każdego pocałunku.

Oderwał usta od jej ust i drżącymi palcami rozluźnił wiązanie na przodzie jej koszuli. Jego reakcja zdumiała ją i podsyciła rozpalone zmysły. Przesunął dłonie w dół, zsuwając jej z ramion miękką tkaninę, odsłaniając jej piersi stwardniałe w oczekiwaniu.

- Czy ty dostrzegasz, jak bardzo mnie do ciebie ciągnie? - spytał, przesuwając grzbietem dłoni po pączkach jej piersi.

Nie śmiała odetchnąć, a co dopiero się odezwać. Pokręciła głową.

- Bardziej niż pszczołę do miodu. - Obiema dłońmi pieścił wrażliwe wzniesienia piersi, ściskając je delikatnie. - Bardziej niż fale do brzegu. - Musnął językiem jedną pierś, potem drugą. - Bardziej niż słowika do piosenki. - Zaczął ssać jej lewą pierś.

Pod wpływem pieszczoty jego warg i języka płomienie ogarnęły samą jej istotę. Odrzuciła głowę do tyłu i wczepiła dłonie w ramiona Stephena, bojąc się, że osunie się na ziemię. Jego usta znów pochłonęły usta Phoebe, naparł na nie, jakby chciał schwytać jej duszę.

Ujął jej dłoń i przesunął ze swego ramienia w dół, tam, gdzie tkwił dowód jego pożądania. Żadne z nich się nie poruszyło i tylko spazmatycznie chwyтали oddech. Powoli, ostrożnie i trochę niezdarnie powiodła dłonią wzdłuż jego męskości.

- Litości - jęknął.

Rzucił się w jej niewinne objęcia, zdumiony, że żadna z doświadczonych kurtyzan nie wyzwaliała w nim takiego pragnienia. Ekstaza leży gdzieś między bólem a rozkoszą, tego był pewien. Gdzieś na granicy między przesłaniającą wszystko mgłą namiętności a światem zewnętrznym, Stephen usłyszał szmer liści. Miał płochą nadzieję, że to lis, królik, jakieś nocne stworzenie wdarło się do jego azylu. Nikt ze znanych mu ludzi nie mógł się przedzierać przez te drzewa.

- Stephen - rozległ się tak dobrze znany głos Elizabeth, łagodny, a jednocześnie zdecydowany. - Gdzie ty, u diabła, jesteś?

Wyczuł, że Phoebe stężała, uniósł wargi znad jej ust i popatrzył na swoją dłoń, wciąż obejmującą jej pierś, jakby nie miał siły jej zabrać. Ręka Phoebe zatrzymała się o włos od jego męskości. Może gdyby się nie odezwali, gdyby pozostali nieruchomo, ta wścibska kobieta, która zawzięła się, żeby zrujnować mu życie, odeszłaby.

- Stephen, natychmiast przestań robić to, co robisz i się pokaż. Słyszysz mnie? Phoebe? Nic ci nie jest?

Głośny trzask poprzedził kilka siarczastych przekleństw zaafierowanego Winstona.

- Słodka Elizabeth! Uważaj na te cholerne gałęzie. Daj Stephenowi chwilę i miej baczenie na swoją kostkę. Przyszła matka nie powinna nocą włóczyć się po lesie. Elizabeth, czy ty mnie słuchasz? Będziesz się miała z pyszna, jak cię tu zostawię.

Po odgłosach klótni z małżonką, Stephen oceniał, że Winston znajduje się o jakieś siedem metrów w prawo. Obraz przyjaciela przedzierającego się przez las w charakterze psa gończego był czymś tak zabawnym, że nie potrafił się opanować. Stephen oparł brodę na czubku głowy Phoebe. Donośny śmiech, wzbierający w głębi piersi, wydobył się wreszcie i poniósł się przez polanę.

- Przestań się martwić, Elizabeth - udało mu się wykrztusić. - Nie gwałcę Phoebe.

Przynajmniej już nie, pomyślał.

Phoebe międlila w palcach wiązanie koszuli.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje - wyszeptła.

Stephen rozumiał jej zażenowanie. Łagodnie odsunął jej rękę i sam zawiązał jej koszulę.

- Nie. Proszę. Jesteś namiętną kobietą. Muzyka, nastrój, noc podsyłyły tę namiętność, a ja to wykorzystałem.

Uderzyła go po ręce.

- Na litość boską, to nie twoja wina. Ja mogłabym zostać tam, gdzie byłam.

- Mogłabyś? Naprawdę?

Nie odpowiedziała, ale wstała i wygładziła nieistniejące zagniecenia na spodnicy. On chwycił koc, wziął jej dłoń, ucałował i ruszył ku gniewnym głosom Elizabeth i Winstona.

- Albo chcesz, żeby byli razem, albo nie - powiedział Winston. - Zdecyduj się wreszcie.

- Nie rozumiem - powiedział Stephen, wychodząc zza krzaka czeremchy, by stanąć twarzą w twarz z przyjaciółmi. - Może zechcecie mnie oświecić?

- Oszczędź mi swojego komicznego poczucia humoru, Stephenie. Nie jestem w nastroju - powiedziała Elizabeth.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, ty i Winston zniknęliście w lesie raz czy dwa. Uśmiechając się jak tygrys z myszą w zębach, Elizabeth dokuśtykała do Phoebe. Wzięła dziewczynę za rękę i poprowadziła ją w kierunku obozowiska kuśtykając w bardzo elegancki sposób. Obejrząwszy się przez ramię, rzuciła:

- My byliśmy zaręczeni. Daj mi znać, kiedy uczynisz to samo.

- Nie pytaj mnie, dlaczego, ale kocham ją do szaleństwa - oznajmił Winston. Klepnął Stephena w plecy. - Chodźmy do domu. Będziesz miał cały weekend w Payley Park, by

zrobić wrażenie na Phoebe swoimi zdolnościami i doprowadzić Elizabeth do wariacji ze zmartwienia.

Stephen się uśmiechnął. Jego życie nie było już takie jak przedtem. Fakt, że uśmiechał się po katastrofie, jaką było ostatnie pół godziny, utwierdził go tylko w przekonaniu. To amerykańskie piórko pędziło na oślep w jego ramiona i zmiotło go jak fregata o czternastu działach.

Był zadowolony ze swojego dotychczasowego życia. Zwykle przebywał w swoich włościach, przyjeżdżając do Londynu tylko po to, by spotkać się z kochanką lub zadbać o interesy. Oprócz dobranej grupy przyjaciół, unikał towarzystwa.

Phoebe uwolniła go z tego ochronnego kokonu. Kąciki jego ust opadły. Wielkie nieba, bał się, że może mu już to nie wystarczyć.

Payley Park wzniesiono na wzgórzu, z którego rozciągał się widok na dolinę pełną drzew i krzewów. Była to elegancka w swej prostocie trzypiętrowa budowla o prostokątnym kształcie i beżowych ścianach. Przypominający elipsę podjazd biegł przez zadbane trawnik, którego, jak pomyślała Phoebe, mógłby pozazdrościć każdy Południowiec. Wszystko to pasowało do Elizabeth i Winstona, a w niej wywoływało tęsknotę za życiem, jakiego pewno już nigdy nie zazna. Posiadłość prezentowała się wspaniale i Phoebe cieszyła się, że może ją wreszcie zobaczyć.

Ciotka Hildegard, zła jak osa, podczas całej podróży przez trzy godziny wydawała zalecenia i rozkazy. Wielkie nieba, ta kobieta była nie do zniesienia. Zrobiła się jeszcze gorsza, odkąd Phoebe wróciła z Marsden Manor i zasypała ją pytaniami. Oczywiście Hildegard wymawiała się brakiem pamięci i udawała, że żałuje. Jasne było, że Phoebe nic nie wydobędzie z ciotki, nieszczęsnej kobiety. Jednakże, skoro wysłuchiwanie zrzędzenia i narzekania Hildegard miało oznaczać spędzenie dłuższego czasu ze Stephenem, Phoebe gotowa była znosić tę niedogodność. Z pewnością kiedy przybędą na miejsce, znajdzie czas dla siebie.

Elizabeth musiała odczytać jej myśli, czym prędzej bowiem umieściła Charity i Hildegard w jednym pokoju. Wbrew niezbyt subtelnie zgłaszanym obiekcjom Hildegard, Elizabeth przydzieliła Phoebe pokój oddzielony od tamtego dwoma innymi. W rogu, pod oknem, stało olbrzymie łóżko, a drzwi wychodziły na niewielki balkon.

Punktualnie o siódmej Phoebe, ubrana w prostą suknię z różowego jedwabiu, pojawiła się w bawialni. Po pokoju kręciło się przynajmniej trzydzieści osób. Ujrzawszy Phoebe, Elizabeth opuściła grupę pań i podeszła do niej.

- Znalazłaś wszystko, czego ci trzeba dla wygody?

- Jest wspaniale. - Phoebe przygryzła dolną wargę i rzuciła szybkie spojrzenie przez ramię na sir Lemmera zajętego towarzyską konwersacją w grupie osób. - Muszę wyznać, że nie spodziewałam się zobaczyć tu jego.

- Ani ja. Choć nie uważam, żeby był szczególnie czarujący, to jednak ma wstęp do lepszych salonów Londynu. Ponieważ przyjechał w towarzystwie wuja Winstona, nie bardzo mogliśmy go wyprosić. Jeśli stanie się męczący, po prostu udawaj, że go nie ma.

- Tobie łatwiej niż mnie. Jesteś mężatką. A ja jestem przynętą bezlitośnie zmuszoną czekać na rybę i myślę, że Hildegard chętnie przytrzyma przed nim wędkę.

Elizabeth poklepała Phoebe po ręce.

- Mój Boże. Winston i ja postaramy się o to, abyś nie miała czasu dla Lemmera. Kiedy tylko znajdziesz się w niewygodnej sytuacji, ściągnij jakoś moją uwagę, a ja cię wyratuję.

Jedno pytanie pozostawało bez odpowiedzi i to ono akurat najbardziej zaprzętało umysł Phoebe. Rozejrzała się po pokoju jeszcze raz, żeby sprawdzić, czy drań nie kryje się w jakimś ciemnym kącie.

- Nie widzę Stephena.

- Nie ma potrzeby udawać przede mną obojętności, Phoebe Rafferty, ale też nie ma co się martwić. Stephen tu będzie. Jego pokój sąsiaduje z twoim.

Nagle niebezpieczne, wyraziste obrazy przemknęły Phoebe przez głowę. Od tych myśli paliła ją skóra i ścisnęło w gardle. Musiała zapanować nad tymi niepożądanymi odruchami. Bojąc się, że jej twarz zdradza uczucia, poruszyła stopą i zaczęła się przyglądać swoim jasnoróżowym pantofelkiem.

- Elizabeth, jesteś bezwstydna. Elizabeth ujęła dłoń Phoebe w swoje.

- Nie - powiedziała. - Mam nadzieję. Roli swatki podjęłam się już kilka tygodni temu. Nie pragnę niczego bardziej, jak tego, żeby Stephen ożenił się z tobą, jednak nie mam zamiaru pozwolić temu człowiekowi robić, co mu się podoba. - Szepnęła zza wachlarza: - Będąc mężatką, wiem coś o tych sprawach. - Odchrząknęła. - Ponieważ tyle już zostało powiedziane, to nie mam nic przeciwko manipulacji, oczarowaniu i czystej, niezafałszowanej pokusie. Resztę zostawiam w twoich zręcznych rękach. Wyobraź sobie, ty i Stephen tak blisko siebie przez trzy dni. To go doprowadzi do szaleństwa. Lord Tewksbury będzie tu przez jakiś czas również. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć reakcję Stephena na tę niespodziankę. Na razie pozwól, że cię przedstawię moim przyjaciołom.

Wywiązując się ze swej obietnicy, Elizabeth zapewniała Phoebe rozrywkę, spełniając jednocześnie z łatwością obowiązki gospodyni. Przed obiadem i podczas posiłku Phoebe ani przez chwilę nie była sama, a ani sir Lemmer, ani Hildegard nie mieli szans, żeby z nią pomówić.

Wieczór upływał całkiem przyjemnie, dopóki nie stała się obiektem troski lorda Milsipa, który ostrzegł ją, żeby uważała na siebie podczas tego weekendu. W końcu przecież „Times” łączył ją z lordem Badrickiem. Wkrótce potem lord Renoke uwięził ją przy kartach i podczas partyjki on również nie omieszkał wypowiedzieć obrzydliwych uwag na temat Stephena.

Starła się milczeć, naprawdę się starała. Jednak szczerłość zwyciężyła. Żaden z panów nie był zachwycony jej odpowiedzią. Ostatecznie uwolniwszy się od obu, zerknęła przez

ramię i zobaczyła Hildegard szepczącą z sir Lemmerem. Ich głowy w bardzo niepokojący sposób pochylały się ku sobie. Stephen jeszcze się nie pojawił i, niestety, było o wiele za wcześnie na ucieczkę do swojego pokoju. Oparła czoło na dłoniach i masowała sobie skronie.

- Aż tak źle?

Phoebe uśmiechnęła się do Winstona, który podał jej kieliszek.

- Obawiam się, że obraziłam lorda Renoke'a i lorda Milsipa. Winston parsknął śmiechem.

- Nie martw się tym. Oni żywią się niezgodą i plotką. Ci nieliczni, których zdanie naprawdę się liczy, nie zwracają na nich uwagi. Potrzebuję ich poparcia dla mojego mandatu do parlamentu, toleruję więc ich towarzystwo. To czasami dość kłopotliwe i może się wydawać płytkie, ale tak się sprawy mają. Kto jest dziś ich celem?

- A któżby? Stephen. - Miała dość. Miała ochotę tupać i krzyżeć. - To, co wygadywali, było okropne. Gdybym nie wiedziała, że wierzą w to, co mówią, uśmiełabym się do rozpuku.

Winston zdawał się powstrzymywać od śmiechu.

- Zostałaś więc obrońcą Stephena?

- Wydaje mi się, że on potrzebuje obrońcy.

- Jemu może się nie podobać twoja interwencja. Ja z kolei biję ci brawo. Stephen zasługuje na kobietę z twoją siłą i dobrocią. Jako jego wieloletni przyjaciel, proszę cię, żebyś go po prostu nie opuszczała.

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy potrafiłabym, nawet gdybym chciała. - Przerwała zasmucona. - W głębi serca wiem, że jest zdolny do miłości i pragnie być szczęśliwy.

- Obawiam się, że to nawyk chronienia siebie. Wierz mi, kiedy mówię, że niektóre jego poczynania są usprawiedliwione, inne natomiast wynikają z lat oczekiwania. Pewnego dnia, miejmy nadzieję, że wkrótce, uświadomi sobie, że los się do niego uśmiechnął, i przyjmie to, co tak hojnie chcesz mu ofiarować. Zapewniam cię, że w ciągu ostatnich tygodni dałaś Stephenowi dużo do myślenia. - Wziął ją pod łokieć i poprowadził w kierunku kilku osób siedzących na krzesłach, przy kominku. - Zabaw się z nami w żywe obrazy, a potem będziesz mogła zagrać w karty, w bilard lub, jeśli wolisz, udać się wcześniej na spoczynek.

Usiadła koło Winstona w chwili, kiedy lord Renoke stanął przed wszystkimi i przybrał okropną pozę, co według Phoebe mogło przypominać księcia regenta jadącego konno. Winston szepnął jej do ucha sugestię, na którą wybuchnęła śmiechem. Pozostali gracze przerzucali się domysłami, jakiemuś szczęściarzowi udało się wreszcie odgadnąć, że chodzi o

Napoleona w jakiejś tam bitwie. Kilka osób występowało po kolei, Phoebe także, podczas gdy inni tylko się przyglądali. Kiedy lady Ashby wyszła na środek, przygotowując się do odegrania swojej scenki, Winston przeniósł się w pobliże Elizabeth. Lemmer natychmiast zajął zwolnione miejsce, a Phoebe zmuszona była przesunąć się na sam skraj kręgu.

Pochylając się ku niej tak blisko, że jego oddech pachnący cebulą i odrobinę miętą owiewał jej policzek, Lemmer powiedział:

- Zanedbujesz swoje obowiązki tego wieczoru, panno Rafferty, ignorujesz mnie, choć strzelasz ślicznymi oczami na innych. Jesteś wręcz niegrzeczna.

- Mogę robić, co mi się podoba.

- Kiedy już mój pierścionek znajdzie się na twoim palcu, inaczej będziesz się zachowywać.

Phoebe szarpnęła się w bok, ale opanowała się i tylko wyprostowała plecy. Może jeśli zupełnie nie będzie zwracać uwagi na tego człowieka, on zostawi ją w spokoju. Phoebe skoncentrowała się na pokazie lady Ashby, która przesuwała się w tę i z powrotem, z majestatycznie przechyloną głową.

Lemmer nagroził wysiłki lady Ashby oklaskami, podobnie jak kilka innych osób. Zachichotał z jakąś perwersyjną satysfakcją i szepnął to, co przeznaczone było wyłącznie dla uszu Phoebe:

- Głupia zabawa, te żywe obrazy. Dorośli mężczyźni i kobiety zachowują się jak skończeni głupcy. Dokąd zmierza nasza sfera?

Nie mogła ścierpieć jego puszenia się i pogardy.

- Ta gra nikomu nie szkodzi i jest zabawna.

- Przyznaję, że całkiem dobrze ci poszło z *Dumą i uprzedzeniem*. Usiłowała odgadnąć, kogo naśladuje lady Ashby, która teraz udawała, że klęka na podłodze, dziwnie przechylając głowę. Niestety, obecność Lemmera rozpraszała Phoebe w denerwujący sposób. W głowie miała pustkę.

- Uważam, że duma jest czymś, co masz w nadmiarze. Czekam tylko, żeby wykorzenić z ciebie tę wadę.

Miała dość jego uwag świadczących o tym, że rości sobie do niej prawa. Ten człowiek nie zepsuje jej wieczoru.

- Nieważne, co sobie myślisz, nigdy nie będziesz miał takiej możliwości. Phoebe pilnowała się, żeby nie wstać zbyt gwałtownie i nie zwrócić na siebie uwagi otoczenia, na szczęście ktoś właśnie odgadł, co oznacza pantomima lady Ashby. Rozległy się oklaski i

śmiechy. Zabawa była skończona. Winston wstał i zaklaskał w dłonie. W pokoju stopniowo się uciszano.

- Przyjaciele, wkrótce w salonie zostanie podana lekka przekąska. Pamiętajmy, że jutro o świcie czeka nas polowanie na lisa. Do tego czasu są karty i bilard, a jeśli ktoś chce udać się na spoczynek, lady Payley i ja życzymy mu dobrej nocy.

Phoebe wstała. Lemmer zuchwale zastąpił jej drogę. Grzecznie uklonił się parze opuszczającej pokój, po czym słodko przemówił do Phoebe:

- Odchodzisz tak szybko?

- Akurat lord Eaton zaprosił mnie na partyjkę.

- Nie możesz w nieskończoność mnie unikać, moja droga.

Grupa osób, w której znajdowali się Elizabeth i Winston, zmierzała ku drzwiom. Winston przystanął obok Phoebe.

- Jakiś problem?

- Ależ skąd - odparł Lemmer, uśmiechając się fałszywie i odsuwając na stosowną odległość od Phoebe. - Mówiłem tylko pannie Rafferty, że zamierzam złożyć jej hołd, przynosząc jej jutro lisi ogon.

Kilku panów zaśmiało się na to pyszałkowane oświadczenie i wyraziło swoją opinię na ten temat. Niebawem rozmowa przyciągnęła uwagę innych i ku irytacji Phoebe, poczęto czynić zakłady, w których jej względy miały stanowić nagrodę. Z rozpaczą spojrziała na Elizabeth, szukając pomocy.

Elizabeth odchrząknęła i się odezwała:

- Wybaczenie, ale uważam, że panna Rafferty powinna mieć coś do powiedzenia w całej tej sprawie.

Hildegard, z właściwą sobie kwaśną miną, uznała, że jest to właściwy moment, żeby się wtrącić.

- Sądzę, że pomysł jest słuszny. W końcu przecież moja siostrzenica szuka męża. To przypomina turniej. Mężczyźni zawsze znajdowali sposoby, aby okazać uznanie młodej damie. Niczym się to nie różni.

Nie różni się? Phoebe nie miała najmniejszej ochoty być czyjąkolwiek nagrodą, a zwłaszcza sir Lemmera - i na pewno nie kosztem jakiegoś biednego lisa. Zaczęła się zastanawiać, czy nie był to plan, który Hildegard i Lemmer uknuli, kiedy wcześniej siedzieli głowa przy głowie. Jeśli tak, to w jakim celu?

Cóż, niech sobie próbują, a przekonają się, jak trudno nią manipulować.

- Za pozwoleniem. Jest między nami wiele uroczych dam. Czy nie należałoby ich również wziąć pod uwagę?

Elizabeth położyła dłoń na ramieniu Winstona, jakby przypominając zgromadzonym, że cokolwiek by powiedziała, ma jego pełne poparcie.

- Wspaniały pomysł. Zalecam ostrożność. Towarzystwo zazwyczaj ma wielkie uszy i długą pamięć. - Utkwiła wzrok w Lemmerze. - Nieznośna byłaby myśl, że nieszkodliwy zakład mógłby zagrozić czyjejś reputacji.

Lemmer przytaknął skinieniem głowy.

- Oczywiście, że nie.

- W takim razie - ciągnęła Elizabeth - dżentelmen, który dogoni lisa, będzie miał możliwość wybrać młodą damę, aby mu towarzyszyła przy obiedzie i dostanie od niej dwa, nie więcej, tańce na balu.

- A jeśli zwycięży dama? - spytała starsza matrona. Elizabeth wymieniła spojrzenie z Phoebe i się uśmiechnęła.

- Wtedy, jak mniemam, ona będzie mogła dobrać sobie towarzystwo.

Wśród ogólnego śmiechu zaczęto przerzucać się frywolnymi komentarzami. Pewien pan obiecał wybrać swoją żonę, co wywołało nową falę żartów. Któraś ze starszych pań zapowiedziała, że jeśli zwycięży, zamierza wziąć sobie młodszego, pełnego wigoru partnera do tańca. Mężczyźni pokrzykiwali. Kobiety chichotały. Pomysł najwyraźniej spodobał się wszystkim. Wszystkim, oprócz Phoebe.

Winston pokiwał głową z aprobatą, pozostali również wyrażali zadowolenie.

- W takim razie nasze jutrzejsze polowanie ma cel. Niech lis będzie nieuchwytny, ale nie za bardzo. Idziesz, Phoebe?

- Za chwilę. Chciałabym jeszcze zamienić słówko z sir Lemmerem.

Miała najszczerzy zamiar zetrzeć mu z twarzy ten wyraz triumfu. Oczekała, aż większość osób rozeszła się, po czym zwróciła się do niego, unosząc brew w sposób, jakiego nauczyła ją Dee.

- Nie rozumiem twojej gry, ale nie lekceważ faktu, że ja też potrafię grać. Będę się cieszyć twoją jutrzejszą porażką.

- Ale ja mam zamiar zwyciężyć, a wtedy przestaniesz mnie ignorować i lord Badrick nie będzie mógł mi przeszkodzić. Wspomnisz moje słowa panno Rafferty. Mówiłem to już, powtarzanie staje się nudne, ale lord Badrick cię nie dostanie.

- Nie mówiłabym za lorda Badricka. Tylko on wie, co myśli. Ja natomiast wiem, że nigdy nie poślubię takiego nadętego, zadowolonego z siebie szczura jak ty. Dobranoc.



- Nędzny, podły szczur bagienny. - Phoebe wyszarpnęła szpilki z włosów i masowała sobie skórę głowy. - Jeszcze pożałuje. Naprawdę. - Rzuciła pantoflem w kierunku drzwi balkonowych.

- Matko Boska, miej mnie w opiece, uważaj - mruknął Stephen, wyłaniając się z mroku. Utykał i masował sobie nogę. - Gdybym wiedział, w jakim jesteś nastroju, pokazałbym się na dole.

- Stephen? Nic ci nie jest? - Doszła do siebie, zmrużyła oczy i wzięła się pod boki. - Co robisz w moim pokoju?

Litości, rozwścieczona wyglądała wspaniale. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie udać zagniewanego, ale jego myśli szybko się rozproszyły, gdy zobaczył kremową skórę jej piersi. Rozpuszczone loki opadały wokół twarzy Phoebe jak ognisty wodospad.

Celowo unikał jej przez kilka ostatnich dni, a teraz przybył, później niż planował, nie mając ochoty na towarzyskie spotkanie z gośćmi. Poszedł prosto do swojego pokoju. Niedługo potem przedostał się tutaj. I czekał.

Aby lubieżne myśli nie przerodziły się w czyny, zdecydował, że mądrzej będzie poczekać do rana. Wypił resztkę brandy.

- Przyszedłem sprawdzić, jak dojechałaś i powiedzieć ci dobranoc.

- Dobranoc.

- Naprawdę mi przykro, że się spóźniłem.

- Wielkie nieba. Ani trochę nie obchodzi mnie to, że postanowiłeś przybyć osiem godzin po rozpoczęciu przyjęcia, choć mógłbyś oszczędzić mi nastawienia przeciwko sobie pary wstrętnych staruchów. I może, ale tylko może, mogłabym uniknąć gry w karty z lordem Eatonem, którego zdaje się irytować nieco mój akcent, choć jest skłonny nie zważać na niego, i czyniąc mi łaskę, poślubić mnie. I gdybyś był tutaj, może sir Lemmer nie nakłaniałby mnie na to piekielne, jutrzejsze polowanie na lisa.

- Lemmer tu jest?

- Przyjechał z lordem Wymanem. Jest zarozumiały jak zawsze. Ten człowiek gra w jakąś grę i odnosi nieprzyjemne wrażenie, że ustanawia swoje reguły. Nie wiem, co on planuje, ale nie chcę być wystawiana na próbę.

Na litość boską jak on pragnął objąć ją, poczuć. Ręce go swędziały, żeby to zrobić. Jeśli miał nadzieję w ogóle zasnąć tej nocy, nie powinien jej dotykać. Podszedł do Phoebe.

Przytulił do piersi i poczuł, jak natychmiast napięcie ją opuściło, co odnotował z czysto męską satysfakcją. Cudownie było trzymać ją w ramionach, tak cudownie, że prawie zapomniał o swoich uczciwych zamiarach i obecności Lemmera w Payley Park.

- Opowiedz mi dokładnie, co się stało.

Bezpieczna w jego ramionach, opowiedziała mu o zakładzie, nie szczędząc barwnych szczegółów. Kiedy skończyła, gra Lemmera i cel, któremu służyła, pozostawały nadal tajemnicą. Cokolwiek planował, czynił to ukradkiem.

- Wszystko będzie dobrze. Poczekamy, zobaczymy. - Schylił głowę i czule pocałował ją w czoło. - Tęskniłem do ciebie.

Uwolniła się z jego objęć i podeszła do szafy.

- Opowiedz mi o polowaniu na lisa.

Zdumiony, stłumił uczucia, które buzowały w jego ciele. Na świętego Jerzego, on spodziewał się chwili czułości, a ona była zaprzątnięta polowaniem na lisa?

- Słucham?

- Opowiedz mi o polowaniu na lisa.

Rozpoznał płomień w jej zielonych oczach, sposób, w jaki wydeła wargi i przygryzała kciuk, jakby metodycznie zastanawiała się nad czymś, nad czym zastanawiać się nie powinna i co prawdopodobnie nie da mu zasnąć przez całą noc. Jej giętki umysł pracował usilnie.

- Co ty planujesz?

- Nic. - Usiadła z impetem na krześle, jak uczeń czekający na następną lekcję. - Chciałabym wiedzieć, czego się jutro spodziewać.

Dyrdymały. Będzie musiał jej pilnować. Zajął krzesło na wprost niej.

- Bardzo wcześnie rano pomocnik łowczego znajdzie lisie nory i zakryje wyjście z nich, żeby zwierz nie mógł tam wrócić. Zmusi tym samym lisa do szukania schronienia w krzakach. Po śniadaniu zbierze się wiara i...

- Wiara?

- Jeźdźcy, my wszyscy, wspaniali i szlachetnie urodzeni, wraz ze sforą ujadających psów i łowczym Winstona, człowiekiem odpowiedzialnym za zwierzynę. Ruszymy spod stajni o godzinie uchodzącej za odpowiednią i będziemy gnać, dopóki psy nie zwietrzą lisa w gęstwinie krzaków jeżyn. Wtedy popędzimy jak wariaci przez wzgórza i doliny. Każdy postara się zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby się utrzymać w siodle, dopóki psy nie dopadną i nie zagryzą lisa. Pierwszy, kto tam przybędzie, otrzyma ogon lub łapę lisa jako trofeum.

Sądząc po chmurnej twarzy Phoebe, nie była zachwycona tą starą tradycją. Dreszcz przeszedł jej po plecach.

- Biedne zwierzę. Ten sport wydaje się barbarzyński i nieuczciwy.

- Niemniej jednak jest to uświęconą tradycją. Zazwyczaj unikamy polowań wiosną, ale miejscowi chłopcy tracą swoje kurczaki.

- A co będzie, jeśli lis ucieknie?

- To wysoce nieprawdopodobne, ale wtedy wszyscy wrócą, żeby popijać herbatę i dyskutować o powodach porażki.

- I nikt nie wygra zakładu. - Rozpromieniona podeszła do drzwi balkonowych. - Dziękuję, Stephenie. Lepiej już idź. Jutrzejszy dzień będzie wyczerpujący.

Ta cholerna kobieta odprawiła go, w zasadzie wyprosiła, a on czekał na nią do północy. Niech to, musi mieć ostatnie słowo, zanim zostawi ją samej sobie. Powoli zbliżył się do niej, uniemożliwiając jej wycofanie się i całym ciałem przyparł ją do pokrytej tkaniną ściany. Zapatrzyli się sobie w oczy. Phoebe przełknęła ślinę i odchrząknęła.

Stephen drżał pobudzony, ale nie ruszył się jeszcze, żeby ją pocałować. Dopiero kiedy poczuł tętno Phoebe, walące jak bęben w całym ciele, zbliżył usta do jej ust. Ujął zębami dolną wargę dziewczyny i łagodnie ssał. Chwytając każde westchnienie, posiadał jej usta całkowicie i nieskończenie.

Ciche pukanie do drzwi kazało mu wrócić do rzeczywistości. Uniósł głowę i trzymając Phoebe pod brodę, napawał się oszołomieniem w jej oczach, czując głęboką, męską dumę.

- To pewno pokojówka. Pójdę już, ale nie zmrużę oka z obawy, co ty zamýślasz. Ostrzegam cię. Jutro żadnych głupstw. Pozwól, że Winston i ja będziemy się martwić o Lemmera.

Mimo niedogodności związanej ze stanem podniecenia, był bardzo z siebie zadowolony. Jeśli drżała w ten sposób podczas pocałunku, pomyśleć tylko, jak zareaguje, kiedy on wprowadzi ją w tajniki miłości.

Kiedy lis zostanie dostrzeżony, trzymaj się z tyłu. Wszyscy natychmiast oszaleją i popędzą. Będę uważał na Lemmera, Pamiętaj, co powiedziałem wczoraj wieczorem. Żadnych głupstw.

Phoebe ziewnęła, przesłaniając usta dłonią, spoza której zerknęła na Stephena. Rety, jaki on był zaaferowany tego ranka. Ona także wcale nie spała dobrze tej nocy, ale nie winiła go za to, a jeśli nawet, to czułaby się w pełni usprawiedliwiona. Pocałunek Stephena sprawił, że tęsknota nie opuszczała jej do rana. Co prawda, Phoebe była tak zaprzątnięta polowaniem, że obudziła się wcześniej niż zazwyczaj. Miała zamiar pokazać Lemmerowi, że niełatwo ją zastraszyć. Albo nią manipulować. Ziewnęła po raz drugi.

- Słyszałam za pierwszym razem, sir.

Uderzył rękawiczkami o dłoń, zdezorientowany nieco, być może, brakiem sprzeciwu z jej strony, po czym odszedł, by przyprowadzić swojego konia. Przyglądała się podwórzu stajni. Urządzenie polowania na lisa z pewnością wymagało zaangażowania wielu ludzi. Koniuszy i stajenni siodłali konie. Psy szczekały i ujadły, szarpiąc się na smyczach, którymi na razie przywiązano je do wielkiego słupa. Łagodny wiaterek rozpraszał mgłę i owiewał jej twarz świeżą wonią słonecznej wiosny. Niespokojne myśli o celu, jaki sobie postawiła, zdawały się nie pozwalać jej odczuwać radości.

Winston rozmawiał z łowczym. Elizabeth stała u boku Winstona, trzymając dłoń na jego rękawie. Łączące ich uczucie było tak widoczne, że Phoebe westchnęła. Tego rodzaju czułości i oddania właśnie pragnęła. Czy to zbyt wiele, żeby mieć nadzieję?

Zabrział dźwięk rogu przynaglający czterdzieścioro uczestników polowania, by dosiedli koni. Wokół słychać było ożywione głosy, co przypominało Phoebe pokrzykiwania publiczności podczas aukcji bawełny tam, w domu. I pomyśleć, że mały lis jest powodem całego tego zamieszania.

Łowczy, ubrany w śliczny, czerwony fraczek, wyjechał przed grupę i podniósł rękę. Na ten sygnał chłopcy stajenni spuścili psy. Najwyraźniej wiedziały, o co chodzi, popędziły bowiem przez polanę w kierunku najbliższych zarośli. Jeźdźcy ruszyli za nimi, utrzymując bezpieczną odległość od sfory. Nikt nie przejmował się specjalnie ani tym, dokąd jedzie, ani jak szybko.

Stephen jechał obok Winstona i Elizabeth. Od czasu do czasu spoglądał na Phoebe, wyraźnie ostrzegawczo. Lemmer również trzymał się z przodu. Był wystrojony, a jego koń

szedł jak na paradę. Co chwila oglądał się na Phoebe, z obleśnym wyrazem twarzy. Musiała się powstrzymać z całej siły, żeby nie pokazać mu języka. Wszystko w swoim czasie, napominała się. Jeśli polowanie pójdzie tak, jak zaplanowała, ten niewyobrażalny samochwała naje się wstydu.

Phoebe kłusowała na końcu grupy, rozmawiając z lordem Kendallem, który uparł się, by jej wytłumaczyć, jakich nadzwyczajnych zdolności wymaga porządne zawiązanie krawata. Czasem zaskrzeczał jakiś ptak, bez wątpienia zirytowany kakofonią psiego ujadania niosącego się po leśnych polanach. Phoebe oczy miała szeroko otwarte, czujne i uważne, szukając ścieżki, o której mówił chłopiec stajenny.

Po pół godziny jeźdźcy minęli spróchniały dąb, przypominający zgarbioną czarownicę. Na ten moment czekała. Przyłożyła dłoń do czoła i zachwiała się w siodle.

- Och, mój Boże, trochę mi się kręci w głowie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, sir, odpocznę tutaj.

Lord Kendall natychmiast wstrzymał konia.

- Ależ oczywiście. Odpocznijmy w cieniu tych wiązów.

- W ten sposób zaprzepaszczasz swoje szanse na wygranie tańca ze mną. Jedź, proszę. Albo cię dogonię, albo wrócę do stajni.

Jego oczy zalśniły, kiedy wspomniała o wygranej. Spojrzał ze dwa razy to na oddalającą się grupę jeźdźców, to na Phoebe, po czym gwałtownie skinął głową i puścił się galopem. Odczekała, aż zniknie za wielkim krzakiem jeżyn, a wtedy zawróciła konia i pokłusowała w przeciwnym kierunku. Przystanąwszy, wyjęła z zanadru mapkę, którą dostała od małego pomocnika łowczego. Z oddali dobiegły ją głośny ryk, pokrzykiwania i trąbienie. Lis został dostrzeżony. Nie miała wiele czasu.



Kawaler przeskoczył przeszkodę wysokości metra z łatwością, jakiej Stephen od niego oczekiwał. Chcąc ujrzeć, jak Phoebe popisie się umiejętnościami jeździeckimi, zboczył z zasłanej liśćmi ścieżki i czekał. Kiedy następnie lord Kendall pokonał przeszkodę sam, potwierdziły się wcześniejsze przypuszczenia Stephena. Szelmowski umysł tej kobiety uknuł jakiś idiotyczny plan i teraz włączyła się Bóg wie gdzie, zupełnie sama.

Nie tracąc czasu, przynaglił konia do galopu. Dotarłszy do miejsca, w którym po raz ostatni widział Phoebe, przystanął, zastanawiając się, w którą stronę mogła pojechać. Gdzieś z boku stadko srok zaskrzeczało i wzbiło się w powietrze. Uśmiechnął się. Nie była daleko.

Trzymając się na dystans, podglądał Phoebe, która między drzewami zmierzała ku sobie tylko znanemu celowi. Po pięciu minutach jej plan przestał być dla niego zagadką. Sprytniej dziewczynie udało się, w jakiś sposób, poznać rozmieszczenie lisich jam. Najwyraźniej miała zamiar odsłonić je i umożliwić lisowi ucieczkę pod ziemię. Choć zirytowany, że postanowiła nie dzielić się z nim swoim planem, uśmiechnął się jednak. Nie będzie dziś zwycięzcy, za to Lemmer dostanie niezłą nauczkę. Szybko i cicho przywiązał Kawalera do pobliskiego klonu i dalej szedł pieszo. Kiedy wypłoszył małego królika, który przemknął przez polanę, ukrył się za rozłożystym krzakiem.

Na widok przerażonego stworzonka, Phoebe zamarła. Jej wzrok błędził od drzewa do drzewa. Przynajmniej dziewczyna miała świadomość, że powinna być czujna. Odczekała jeszcze chwilę i widocznie uznała, że jest sama, przystąpiła bowiem do spychania na bok wielkiego kamienia zasłaniającego dziurę w ziemi. Nagle szarpnęła rękę w tył, z siarczystym przekleństwem, i zaczęła ssać palec.

Stephen wyszedł z ukrycia.

- Phoebe Rafferty, klniesz jak marynarz! Czyżby znudziło cię polowanie? Zerwała się na równe nogi, otrzepała ziemię i liście z kolan i zwiesiła głowę.

- Dobrze wiesz, co robię.

- Racja. I powinienem się pogniewać. Tylko cię zostawiłem samej sobie i proszę, już broisz. - Pokręcił głową żalując, że nie widzi jej twarzy. Nie potrafił określić nastroju Phoebe.

- I co ja mam z tobą zrobić? Sam pomysł nie jest zły, ale jego konsekwencje, w razie gdyby cię przyłapano, mogłyby być opłakane. Jak ci się wydaje, co pomyślą inni, kiedy nagle okaże się, że oboje gdzieś się zawieruszyliśmy? A jeśli ktoś jeszcze cię widział i pojechał za tobą? Nie każdy jest takim džentelmenem, jak ja.

Z determinacją uniosła brodę do góry i wzięła się pod boki. Miała na sobie uroczy, błękitny strój, podana do przodu pierś bezlitośnie drażniła jego wzrok. Odpięte dwa górne guziki pozwalały dostrzec wysmukłą szyję kremowej barwy.

- Czyżby? Skoro jesteś takim džentelmenem, jak twierdzisz, chodź tu i przesun ten piekielny kamień.

Niech to, ta kobieta była jedną wielką pokusą ale nie pora, by pójść za głosem pierwotnego instynktu. Znajdzie jeszcze taką chwilę na osobności. Znów kręcąc głową, Stephen odsunął ją na bok i z łatwością dźwignął kamień.

- Większość mężczyzn traktuje polowanie bardzo poważnie. Ciekaw jestem, czy zdajesz sobie sprawę jak bardzo pomieszasz im szyki.

- Czy Winston będzie zły?

- Zapewne weźmie pod uwagę zachowanie Lemmera, połączy twoją nieobecność z moją i wyciągnie wnioski. Oczywiście przeprowadzi śledztwo, aby upewnić się co do swoich podejrzeń. Ten twój plan może przysporzyć stajennym kłopotów. A swoją drogą jak udało ci się dowiedzieć, gdzie się znajdują lisie jamy?

Zajęta oglądaniem rękawiczek, odparła:

- W pewnym sensie, no cóż, powiedzmy, że przekupiłam pomocnika łowczego. Nie powinno się go karać.

Pozornie nonszalanckim ruchem zatarł dłonie.

- Jeśli zechcesz spędzić ze mną popołudnie, wyjaśnię Winstonowi sytuację i zobowiązę go, by okazał wyrozumiałość.

- Czego dokładnie sobie życzysz, lordzie Badrick?

Ciebie. W moich ramionach. Pode mną. Połączonej ze mną. Mając nadzieję na zapewnienie sobie jej towarzystwa na popołudnie, nie śmiał podzielić się z nią wyobrażeniami, które wprowadzały jego ciało w stan chaosu. Uniósł dłoń Phoebe i delikatnie ucałował wnętrze przegubu.

- Przejazdki. Rozmowy. Co do reszty, zobaczymy. To zależy wyłącznie od ciebie, Phoebe. A teraz pospieszmy się, żeby psy nie wpadły na nasz trop, ponieważ wtedy stalibyśmy się obiektem rozmaitych domysłów, które mogłyby nam zaszkodzić.

- Na litość boską uciekajmy więc.

Idąc z nim pod ramię, czuła się bezpieczna i zadowolona. Z nową ciekawością oczekiwała popołudnia.

Znaleźli drugą lisią dziurę i wspólnie usunęli przeszkodę. Psy ujadły w pobliżu, mieli więc świadomość, że czas minął. Przy odrobinie szczęścia lis będzie mógł powrócić do nory.

Czym prędzej dosiedli koni i pokłusowali przez kwitnącą łąkę - rosły tu żółte pierwiosnki i pachnące fiołki. Na obrzeżach stały drzewa wiśniowe, które właśnie rozkwitały. Stephen, jako doświadczony jeździec, stanowił jedno ze swoim wierzchowcem, wyglądał wspaniale w bryczesach jasnokawowej barwy ciasno opinających uda. Wiatr rozwiewał jego krucze loki, odsłaniając mocno zarysowaną szczękę. Uśmiechał się z zadowoleniem, najwyraźniej odczuwając taką samą przyjemność, jak Phoebe.

Jadąc ścieżką wzdłuż kamienistego strumienia pośród paproci, wspinali się z wolna na szczyt wzgórza.

- Dokąd mnie zabierasz? - spytała.

- Do Kręgu Chanctonbury, w miejsce magiczne i tajemnicze. Kiedyś na szczycie tego wzgórza wznosiła się starożytna świątynia rzymska. Przychodziliśmy tu z Winstonem jako chłopcy i wyobrażaliśmy sobie, że przeżywamy rozmaite przygody.

Wokół rosły niebotyczne drzewa: kwitnące jesiony, jawory w pąkach, majestatyczne dęby i wspaniałe, stare wiązy. Ich korony tworzyły gęste, niesamowite sklepienie, broniące dostępu światłu słonecznemu. Żaden podmuch wiatru nie poruszał powietrza przesyconego wonią ziemi i świeżego listowia. Pośród drzew znajdował się kamienny krąg. Spomiędzy ruin wyrastały leśne kwiaty i trawa. W oddali słychać było ujadanie sfory, a mimo to Phoebe czuła się tak, jakby ona i Stephen byli sami na świecie.

- Jak tu cudownie - wyszeptała.

- Powiadają że jeśli w noc świętojańską obiegiesz ten krąg siedem razy, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, sam diabeł stawi się do twoich usług.

- Czy ty i Winston próbowaliście kiedyś?

- Raz. Po szóstym okrążeniu uznaliśmy, że lepiej będzie wziąć gruby kij, po czym w brzuchach zaczęło nam burczeć w bardzo niepokojący sposób. Zdecydowaliśmy wrócić do domu, aby znaleźć coś do jedzenia, żeby nabrać sił na spotkanie z naszym przeciwnikiem.

Oczy lśniły mu intrygująco psotą i radością. Świetny nastrój Stephena i nagła ochota żeby mówić o swoim dzieciństwie, przyciągały Phoebe do niego.

- Stchórzyliście - stwierdziła ze śmiechem.

- Nigdy w życiu. Mieliśmy po dziesięć lat i baliśmy się, że ta historia może okazać się nieprawdziwa. Legendy są bardzo zajmujące, ale niestety, nikną jak cienie w świetle rozsądku.

- Opowiedz coś jeszcze.

Zsiadł z konia i zszedł Phoebe z siodła, ocierając się o nią ciałem, od czego ciarki przeszły jej po plecach, a elektryczność przebiegła przez czubki palców i piersi. Musiał wyczuć jej drżenie. Zaczerwieniła się, a on uśmiechnął się pod wąsem. Wyglądał jak mężczyzna, który jest pewien, że za chwilę będzie smakował swoje cygaro i brandy.

Wziął od niej wodze i uwiązał oba konie do gałęzi drzewa, a potem poprowadził ją za rękę ku porośniętemu trawą środkowi kręgu.

- Wzgórze to zamieszkują również od wieków białowłose starce, być może druid, szukający skarbu, a także armia duchów. Jeśli się uważnie wsłuchasz, możesz usłyszeć tętent kopyt niewidzialnych koni.

- Widzieliście tego starca?

- To kolejna opowieść.

Zdjął kurtkę, spod której ukazała się biała, muślinowa, opięta na piersi koszula. Rozłożył kurtkę na ziemi, zamiast koca, i przykląkł, zapraszająco wyciągając ramiona. Bez wahania usiadła koło niego.

- Przyszliśmy tu po raz pierwszy - zaczął Stephen - kiedy tylko ojciec Winstona opowiedział nam o starcu. Powiedz chłopcu o skarbie, a nie powstrzymasz go. Jak psy gończe niemal przez tydzień szwendaliśmy się po lasach, kopiąc w każdym miejscu, które zdawało się dogodne do ukrycia skarbu. Pewnej nocy zostaliśmy dłużej, niż powinniśmy. Nadciągała straszna burza. Wiatr dął niemiłosiernie, wyjąc w gałęziach drzew niesamowitą pieśń, jak chór umarłych. Tak to się w każdym razie przedstawiało naszej rozbudzonej wyobraźni. Nagle spomiędzy drzew wyłoniła się postać w bieli, z dzikimi, płonącymi oczami i ohydny, świszczącym śmiechem. - Wskazał powykręcane drzewo na skraju ruin. - Winston, biedny chłopak, stał jak wmurowany. Kiedy upiorny intruz zaczął się zbliżać do nas, ja oczywiście zebrałem się w sobie, chwyciłem przyjaciela za drżącą rękę i pociągnąłem w bezpieczne miejsce.

Oparł się na łokciu, a jego twarz znalazła się niebezpiecznie blisko piersi Phoebe, która zaplotła ręce na podciągniętych pod brodę kolanach.

- Ależ lordzie Badrick, gdybym nie znała cię lepiej, pomyślałabym, że usiłujesz mnie nastraszyć.

Położył sobie rękę na sercu, jego twarz wyrażała zdumienie.

- Wszystko, co mówię, to najszczęsza prawda. Winston na pewno potwierdzi, choć będzie się starał przedstawić siebie jako bohatera. W każdym razie, porzuciliśmy nasze szpadle i czmychnęliśmy do domu, przebijając nogami najszybciej, jak się dało. Wpadliśmy do gabinetu ojca Winstona oszaleli z podniecenia, częściowo ze strachu, ale przede wszystkim z radości, że spotkała nas przygoda. Tam odkryliśmy, że to był ojciec Winstona w przebraniu. Kiedy już wszystko się wyjaśniło, zaśmiewaliśmy się z naszej głupoty.

- Jakie to cudownie ekscytujące.

Zauroczona głębokim tembrem jego głosu i samą jego obecnością, wiedziała, że pozostawanie z nim sam na sam, na szczycie wzgórza, z dala od ludzi, nie jest najlepszym pomysłem. Jednak zapominając o problemach, nie umiała się oprzeć sile wzajemnego przyciągania.

- Wiedziałem, że w głębi duszy jesteś awanturnicą, panno Rafferty.

W tej chwili wcale nie czuła się awanturnicą. Stąpała po niepewnym gruncie. Jego palce zabawiały się lokiem, który wymknął się z warkocza na karku, i poczuła dreszcz rozkoszy.

Jego oczy płonęły blaskiem, który poruszał każdy nerw jej ciała. Spazmatycznie przetykała ślinę, obawiając się, że odezwie się głosikiem cienkim jak głos myszy.

- Jak najbardziej. Kiedy miałam osiem lat, pewien niewolnik opowiedział mi o skrzynce złota pozostawionej przez francuskiego pirata. Znalazłam nawet mapę. Byłam zdecydowana zdobyć skarb. Przy pomocy Tobiasa, męża Dee, odszukałam jaskinię. Byłam przerażona, a zarazem podekscytowana. Znaleźliśmy szkielet i zbutwiałą skrzynkę. Przyjrzelśmy się bliżej. W jednej ręce miał zaciśnięty złoty medalion. Wewnątrz był portret pięknej kobiety. W drugiej ręce trzymał pomiętą kartkę. W skrzynce była obrączka z wygrawerowanymi dwoma splecionymi sercami i paczka listów, oczywiście od niej. Sądzę, że umarł, myśląc o kobiecie, którą kochał. To było dość smutne, a jednocześnie niezwykle romantyczne.

- Co zrobiliście?

- Zostawiliśmy wszystko. Zakryliśmy wejście do jaskini najlepiej, jak umieliśmy i zniszczyłam mapę. Wiem, że to głupie, bo prędzej czy później ktoś prawdopodobnie i tak odkryje to miejsce znowu, ale zdawało mi się świętokradztwem zakłócać jego spokój.

Stephen splótł palce z jej palcami, którym zaczął się przyglądać uważnie, gładząc delikatne kostki dłoni.

- Masz serce romantyczki.

Była stracona. Dokładnie w chwili, kiedy dzielili się okruchami swojej przeszłości, przekroczyła granicę i spadła w otchłań miłości. Spodziewała się tego od wielu dni, od czasu, który wspólnie spędzili w Marsden Manor. Teraz była pewna. Pragnęła dać mu wszystko. Kiedy to sobie uświadomiła, popadła w desperację. To smutne. Odkrycie miłości jest chwilą, którą należy świętować, a nie obawiać się jej.

- A ty, lordzie Badrick? Czy ty masz serce do ofiarowania?

- Zdecydowanie tak. I jeśli nie będę bardzo ostrożny, najprawdopodobniej je stracę.

- Gdyby tak się stało, pielęgnowałabym twoje serce jak największy skarb. W głębi jego oczu błysnęła tęsknota, ale równie szybko zgasła pod udręczonym spojrzeniem.

- Niemądra dziewczyno.

Chciała zapłakać nad nim, nad tym wszystkim, co zmuszało go do trzymania uczuć pod kluczem. W nadziei, że ukoji cierpienie słyszalne w głosie Stephena, przytuliła dłoń do jego policzka.

- Obawiam się, że mam niewielki wybór. Dokonało się.

- Nie możesz...

Położyła palec na jego ustach.

- Stephenie, moje serce, to, co czuję, jest darem ofiarowanym z wolnej i nieprzymuszonej woli.

Z wolnej i nieprzymuszonej woli? Stephen miał ochotę krzyknąć. Nic w życiu nie jest za darmo, bez konsekwencji. Wiedział, że najlepiej byłoby ją teraz zostawić. Deklaracja Phoebe wzbudziła w jego umyśle zamęt pragnień i żądań. Wykorzystać. Posiąść. Wziąć, co ofiarowywała.

Poruszył się i przygniótł ją do ziemi. Utkwił wzrok w jej twarzy, przyglądał się uważnie rysom, które nawiedzały go we śnie. Cienkie, brązowe brwi wznoszące się łukiem nad oczami zielonymi jak wiosenna łąka. Skóra miękka i delikatna. Wargi pełne i rozchylone, gotowe, by je posiadał.

- Phoebe.

Jej imię zabrzmiało jak błaganie. Nienawidził swojej słabości, ale zdawał się niezdolny do zapanowania nad pragnieniem. Musnął wargami usta Phoebe, ostrożnie, wiedząc, że nie powinien jej teraz całować. Mądry mężczyzna wskoczyłby na konia i odjechał w pośpiechu, jakby go goniły demony. Stephen przyznawał, że ścigają go demony, które odmawiają mu życia, przyszłości. Ale on nie chciał odmówić sobie tej krótkiej chwili zapomnienia. Zmiażdżył chciwymi ustami chętne usta Phoebe.

Pocałunki z innymi kobietami to zwykłe preludium do miłości, niezbędne, by przygotować kobietę do fizycznego aktu, który miał potem nastąpić. Całowanie się z Phoebe samo w sobie było uczcą. W pojedynku języków i beztróskim łączeniu warg sycili się sobą nawzajem. Jak szaleniec niezdolny odróżnić dobro od zła, kierowany wyłącznie pragnieniem, badał pełnię i głębię ust. Chwytał jej głębokie westchnienia wyrażające przyzwolenie.

Delikatnie pieścił piersi Phoebe. Jej pożądanie było oczywiste i od czubków palców mrowienie rozchodziło się po całym ciele Stephena domagającym się zaspokojenia. Rozpiął po kolei guziki zakietu Phoebe i zsunął jej go z ramion. Nie sprzeciwiła się. Uniósłszy się na kolana, rozwiązał i zdjął z niej spódnicę. Znieruchomiał.

Nie odrywał od niej wzroku. Miała na sobie teraz tylko buty do konnej jazdy, i cienką koszulkę, przez którą było widać długie nogi i cień, gdzie łączą się uda, oraz delikatne, jędrne wzgórki piersi o brzoskwiniowych sutkach, nabrzmiiałych i stwardniałych. Starał się oddychać powoli, co było niełatwym zadaniem, kiedy myślał tylko o tym, by zagłębić się w jej ciepło. Niech to, powiedziała mu, że go kocha. Była jego. Miał przed sobą wieczność, by kochać się z nią na wszelkie sposoby, jakie podsunie mu fantazja.

Uniósł jedną stopę Phoebe, potem drugą, zdejmując jej buty i pończochy. Wierzchem dłoni dotykał wrażliwych podeszew, dopóki w odpowiedzi nie podkuliła palców. Przeszedł do

łydek i gładził je powolnymi, spokojnymi ruchami. Posuwał się wzdłuż ud, a koszula unosiła się coraz wyżej. Objął udami jej ciało i zatrzymał dłonie, czekając, aż spojrzy na niego, zmuszając ją by zaakceptowała to, czym mieli się podzielić.

Otworzyła oczy i obdarzyła go palącym spojrzeniem pełnym takiej miłości i zaufania, że aż się zatrzymał. Boże, co on sobie myśli? Zmiał w dłoniach tkaninę. Doskonale wiedział. Myślał o fizycznej miłości z kobietą która powiedziała mu, że go kocha. Co więcej miałby wiedzieć? To wystarczało.

- Unieś się troszkę.

Zrobiła, o co prosił, a wtedy zdjął jej koszulę przez głowę. Musiał widzieć ją nagą. Koszula spadła na ziemię niezauważona.

Lekkiymi jak piórko muśnięciami palców pieścił Phoebe od ramion, po wzniesienia piersi. Obwiodł sutki, przesunął rękę w dół, po brzuchu, po kępcę włosów, wzdłuż nogi, by następnie powtarzać tę torturę, aż oboje zaczęli dyszeć.

Phoebe uniosła głowę.

- Czy tylko ja mam być bez ubrania?

Przysiadł na piętach i zrzucił koszulę, po czym przycisnął swą męską pierś do jej, kobiecej. Język Stephena wdarł się głęboko w usta Phoebe. Spokój i ostatki panowania nad sobą prysnęły wobec pragnienia dotyku, pocałunków. Potrzeba zaspokojenia namiętności przesłoniła wszystko inne. Niczego nie mogła mu odmówić. Czowała nagie ciało Stephena na swoim i było to niepodobne do czegokolwiek, co mogła sobie wyobrazić.

Jego dłonie pełzły powoli, co zdawało się torturą, ku jej samej istocie, gdzie igrały w nieskończoność, dopóki nie wyszła naprzeciw jego palcom. Znieruchomiała na moment, czując jego palec w swoim wnętrzu, zdumiona tym obcym, a zarazem kuszącym działaniem. Drugi palec i stały rytm, jaki Stephen narzucił, wprawiły ciało Phoebe w stan cudownego napięcia, oczekiwania i potrzeby, pragnienia nieznanego.

Dopiero wtedy Stephen oderwał się od niej na moment i zdjął spodnie. Kiedy położył się na niej znowu, poczuła dowód jego pożądania przyciśnięty do miejsca złączenia jej ud. Rozsunęła nogi, by przyjąć to, co miał do zaoferowania, tylko to mogło zaspokoić głód jej lędźwi.

Łagodnie badając, wciskał się w nią, pozwalając jej przywyknąć. Poczuła lekkie pieczenie, a jednocześnie zażenowanie, gdyż nie wiedziała, co zrobić, by złagodzić napięcie. Wtedy on pchnął do przodu, łącząc się z nią w sposób dany mężczyźnie i kobiecie po to, by się kochali. Nie mogąc się opanować, krzyknęła. Stephen leżał nieruchomo, z twarzą we włosach Phoebe, a jego oddech drażnił jej skronie.

Czekała, a pałaca potrzeba, która na chwilę przygasła, wzbierała w niej na nowo. Stephen się nie ruszał.

- Czy to wszystko? - udało się jej wykrztusić. Poczuła, jak jego ramiona zakołysały się ze śmiechu. Uniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Nie, moja słodka. Daleko nam do końca. Chciałem dać ci czas, żebyś się przyzwyczaiła.

Walcząc z zażenowaniem, w jakie wprawiała ją rozmowa, kiedy byli złączeni w ten sposób, przygryzła dolną wargę. Naprawdę chciała więcej.

- Myślę, że już się wystarczająco przyzwyczaiłam.

Roześmiał się znowu, tym razem pełniej. Czują go głęboko w sobie, a jego lekkie ruchy wywoływały niezwykle intrygujące doznania.

- Och - westchnęła.

Wycofał się lekko, tylko po to, by zagłębić się w niej znowu i jeszcze raz, jego ruchy nabierały mocy. Stephen całował ją szaleńczo, rytmowi ciała odpowiadały pchnięcia języka. Ciało Phoebe, unosząc się, dostosowało się do jego ruchów. Stephen jęknął, gdy ona odkryła dobrą stronę współuczestnictwa w miłosnym akcie. Nieśmiało powtarzała jego rytm, unosząc się i opadając, podążając do celu, o którym wiedziała, że istnieje, a którego spełnienia nigdy jeszcze nie doświadczyła. Bicie serca odpowiadało pulsowaniu w lędźwiach, aż ogarnęła ją rozkosz tak wielka, że mogła tylko zadrzeć, uwalniając ją.

Chwilę później Stephen zadał ostatnie pchnięcie i z głośnym jękiem złożył głowę na ramieniu Phoebe. Opadli z sił, uspokojeni. Stephen z westchnieniem zsunął się z niej. Leżał obok, oparty na łokciu, dłonią podpierając brodę.

Wyciągnęła ramiona nad głowę, ociążała w ciepłe popołudniowe słońca, czuła się jak kot, zbyt zadowolony, żeby robić coś więcej, poza przeciągnięciem się. Miłość to wielka rzecz. Uśmiechała się lekko, a jej serce z wolna powracało do normalnego rytmu. Podniosła powieki i ujrzała Stephena wpatrującego się w nią z nie mniejszą intensywnością niż przedtem. Tylko jego oczy, jeśli to możliwe, płonęły jaśniej, twarz miał ożywioną niemal triumfującą.

- Kochanie - odezwał się, odgarniając kosmyk włosów z jej czoła - kiedy tylko wrócimy do Londynu, znajdziemy ci mieszkanie.

Wciąż miała ochotę mruzczyć.

- Dom?

- Możesz wybrać, co tylko będziesz chciała, nie dbam o nic. Koszta nie mają znaczenia. Po prostu chcę cię mieć w swoim łóżku najszybciej, jak się da.

Szorstka rzeczowość w jego głosie rozproszyła zmysłową mgłę spowijającą jej ciało. Wyznała mu miłość i prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziała, czego się po nim spodziewać, ale na pewno nie tego. Najwyraźniej źle ją zrozumiał. Usiadła, żeby być dalej od tego mężczyzny.

- Ty myślisz, że na co ja się zgodziłam?

Po raz pierwszy na jego twarzy odmalowała się niepewność.

- Być moją kochanką rzecz jasna.

- Rzecz jasna.

Sięgnęła po koszulę, naciągnęła ją przez głowę, wepchnęła ręce w rękawy bluzki, cały czas szukając słów wyjaśnienia. Przyszła kolej na spódnicę, na której widoczna była wilgotna plama, co tylko powiększało niezręczność sytuacji, kiedy uświadomiła sobie, co zrobiła.

Nie, pomyślała. Z własnej woli oddała mu swoje dziewictwo i nie zamierza tego żałować.

Poddała się miłości, ale nie była przygotowana, żeby zrezygnować z przyszłości. Zostały jeszcze dwa tygodnie, zanim jej spadek dostanie się Hildegard. Dość czasu, by skłonić uparty, męski umysł do zmiany zdania, udowodnić, że on nie może bez niej żyć.

- Wyznałam ci miłość, ale nie zamierzałam ani trochę sprawiać wrażenia, że...

- Wykrztuś to kochanie. O co chodzi?

- Nie będę twoją kochanką.

- Co ty, u diabła, mówisz? - Zerwał się na nogi, nie bacząc na to, że jest kompletnie nagi. - Żaden inny mężczyzna cię nie dotknie. Oddałeś mi swoje dziewictwo.

- Wierz mi, jestem w pełni świadoma tego, co się właśnie stało.

Mrużąc podejrzliwie oczy, naciągnął spodnie na biodra i zapinał je gwałtownymi ruchami. Tak samo gwałtownie włożył koszulę. Chodził w kółko, górując nad nią jak ściana otaczających ich drzew.

- Co to za gra? Myślisz, że zmusisz mnie, żebym się z tobą ożenił?

- Ty idioto. - Włożyła buty na bosc stopy, a pończochy upchnęła w kieszeni zakietu. - Czemu wszystko musi być grą, intrygą, pułapką? Czy nie mogę dać ci czegoś, nie budząc twoich podejrzeń? Posłuchaj, ty uparty człowieku. Zdecydowałam się kochać z tobą i tyle. Nie jestem gotowa zrezygnować z nadziei na przyszłość, o jakiej marzyłam przez całe życie.

Stephen nie przestawał przechadzać się między drzewami. Jego ruchy, zazwyczaj tak płynne i pełne gracji, teraz były gwałtowne i sztywne. Mięśnie, które pieściła i czuła ich siłę, były napięte do granic. Przystanął, żeby popatrzeć na wiewiórkę skrzeczącą na pobliskim

drzewie. Jego oszczędna w słowach odpowiedź dobiegła zza wielkiego dębu, w którego cieniu krył twarz.

- Doświadczyłaś rozkoszy. Chciałaś być moja.

- Zauważyłam to - powiedziała z wahaniem, niepewna, w jakim kierunku zmierzają jego myśli.

- Nieczęsto mężczyzna i kobieta dzielą taką rozkosz.

- Jak myślisz, dlaczego tak jest, Stephenie?

- Nie mam pojęcia.

To miłość, chciała krzyknąć. Miłość stanowi o różnicy. Niech go szlag.

- Myślisz, że znajdziesz innego mężczyznę, który wzbudzi w tobie taką ochotę?

- Pewno nie.

- Porzuć więc te swoje śmieszne poszukiwania!

- Nie mam wyboru.

- Zawsze jest wybór.

Z uwagą zapinała guziki swojego żakietu.

- Ty tak sobie mów, a ja nie przestanę chcieć. Oderwał kawałek kory z pnia drzewa i rzucił na ziemię.

- Nie rozumiem, dlaczego jesteś gotowa wyjść za mężczyznę, którego ledwo znasz, którego możesz nie polubić, jedynie z powodu jakiejś tam posiadłości. My dzieliliśmy z sobą więcej niż pocałunek czy dwa, Phoebe Rafferty, i niech ci się nie wydaje, że o tym zapomnisz. Zapewniam cię, że moje pieszczoty będą cię prześladować, bez względu na to, za kogo wyjdiesz za mąż.

Prawda tego stwierdzenia była obezwładniająca. Żaden mężczyzna nie sprawił, by czuła to, co czuła ze Stephenem. Nie mogła ścierpieć myśli, że on o tym wiedział. Stała, strzepując suche liście z ubrania, co tylko denerwowało ją jeszcze bardziej. Jego zaślepienie i niechęć, by przyznać, co ich łączy, co mu tak hojnie dała, bolała i pozbawiła ją resztek cierpliwości. W jej ciele rozgorzała nowa namiętność. Gniew. Po raz pierwszy od tygodni zwątpiła, że potrafi zmienić jego nastawienie.

- Skoro mówimy tak otwarcie, ośmielę ci się powiedzieć, że ty, Stephenie Lambercie, będziesz pamiętać to, co ci z wolnej i nieprzymuszonej woli dałam i do końca swoich dni będzie cię prześladować nienawistna myśl, że inny mężczyzna dotyka mnie tak, jak ty mnie dotykałeś. Pomyśl o tym.

Stał wrośnięty w ziemię, jak otaczające ich pradawne drzewa. Potem, bez słowa, podszedł do koni.

Phoebe uznała jego milczenie za dobry znak. To, co powiedziała, trafiło w cel. Nadal miała niewielką szansę przekonać go, by ją poślubił. Z przekonaniem wynikłym z lat zmagania się z przeciwnościami, postanowiła dać temu mężczyźnie ostatnią szansę. Oczywiście, w głębi serca, była marzycielką.

Phoebe przez jakiś czas patrzyła na Stephena, który stał w drugim końcu sali balowej, obrażony na nią, potem spojrzała na zacięty wyraz twarzy ciotki - zmarszczone brwi, blada zazwyczaj cera zaczerwieniona z gniewu - i westchnęła. Hildegard była w nastroju do pouczania.

- Twoje samowolne zachowanie, Phoebe Rafferty, stawia w wątpliwym świetle twój charakter, co z kolei odbija się na mnie i mojej rodzinie. Słyszałam, jak szeptano o twoim porannym zniknięciu. Fakt, że lord Badrick zniknął mniej więcej w tym samym czasie, wywołuje plotki. Nie pozwolę, by moje nazwisko łączono z tą postacią.

Hildegard wypluwała słowa, nie bacząc, kto może ją usłyszeć i wymachiwała rękami. Diabeł podkusił Phoebe, by otworzyć szeroko oczy, udając niewinność i odezwać się - choć wiedziała, że lepiej tego nie robić - pełnym zdumienia szeptem:

- Ależ cioteczko, czy ludzie myślą, że byłaś z lordem Badrickiem? Hildegard wydała jakiś nieartykułowany dźwięk, po czym zamknęła usta.

Spiorunowała Phoebe wzrokiem, następnie popatrzyła karcąco na córkę, która cichutko chichotała.

- Charity, co cię tak bawi? Przestań się garbić. Suknia wisi na tobie jak worek.

Charity szarpnęła ramiona do tyłu i wypchnęła pierś do przodu. Jak Charity udawało się znosić nieustanne ataki matki, przekraczało to wyobrażenie Phoebe. Tak samo jak okrucieństwo Hildegard.

- I wyjaśnij, co powiedziałaś lordowi Renoke'owi i lordowi Milsipowi? - kontynuowała ciotka. - Zdawali się absolutnie przerażeni, kiedy ktoś wymienił twoje imię. Nie zależy mi szczególnie na ich opinii, ale kiedy pomyślę o grzechach twojej matki, nie dziwi mnie twoje zachowanie. Uciekła do kolonii, nie troszcząc się, co ze mną będzie. Byłam zmuszona zadowolić się tymi nędznymi propozycjami, jakie mi złożono. Wtedy też ludzie gadali.

Zaciskając zęby i marząc, żeby być gdzie indziej, tylko nie tu, Phoebe z rozmysłem mlasnęła.

- Cioteczko, jeśli wolno mi powiedzieć, myślę, że zbyt wielu ludzi spędza zbyt wiele czasu na szeptaniu o życiu innych ludzi. A co do mojego zniknięcia dziś rano, to poczułam się słabo i poszłam na spacer. Nie pamiętasz?

- I Badrick w tym samym czasie! - słowa Hildegard ociekały jadem. - Nawet sir Lemmer komentował ten tak zwany zbieg okoliczności.

- Opinia sir Lemmera nic dla mnie nie znaczy. Usta Hildegard wykrzywił pogardliwy uśmiech.

- Teraz tak mówisz, ale sytuacja często zmienia się szybko i nieoczekiwanie.

Phoebe, lekceważąc ostrzeżenie, które dźwięczało jej w głowie, starała się wymyślić sposób, jak uciec od towarzystwa Hildegard, choć nie chciała porzucić Charity. Uśmiechnęła się na widok sir Ellwooda i lorda Kendalla, zmierzających w ich kierunku. Taniec z którymś z panów był lepszy od nauk ciotki.

- Idą tu sir Ellwood i lord Kendall - wymamrotała Hildegard. - Pozbądź się tego żalosego wyrazu twarzy, Charity. Jak ci już raz dziś przypominałam, nie trać czasu z Ellwoodem.

- Ale matko, jeden taniec z pewnością nie zaszkodzi.

- Też coś. Na litość boską, postaraj się wymyślić, co mogłabyś powiedzieć oprócz „tak sir” i „nie sir”.

- Nie jestem prostytutką, matko.

Phoebe chwyciła dłoń Charity w swojej i ścisnęła. Nie mogła nic powiedzieć, i tylko w ten sposób okazała jej wsparcie. Upewniwszy się, że Charity zatańczy z sir Ellwoodem, sama odpłynęła z lordem Kendallem.



Nieproszonego obraz Phoebe, jej namiętych warg rozchylonych w zdumieniu, co chwila stawał przed oczami Stephena. Dręczące, niechciane wspomnienia nawiedzały go przez cały dzień, przez co stawał się nie do wytrzymania. Zdekoncentrowany i nieobecny, był najgorszym graczem w wista pod słońcem. Przez całą salę balową rzucał chmurne spojrzenia na kobietę odpowiedzialną za jego podły nastrój.

Lord Eaton stanął obok Stephena z kieliszkiem sherry.

- Jak myślisz, co właściwie stało się z lisem?

- To doprawdy zagadkowe - powiedział Winston, zerkając z rozmysłem na przyjaciela. - Co ty o tym sądzisz, Stephenie?

- Można tylko snuć domysły, przyjacielu.

- Cholerny wstyd, gdyby mnie kto pytał - mruknął Eaton po raz trzeci czy czwarty. Nie znaczyło to, że Stephen liczył na odpowiedź, tylko ten przeklęty nudziarz nie chciał zmienić tematu. Eaton obciągnął czerwoną kamizelkę na wydatnym brzuchu. - I jeszcze ta

sprawa z imponowaniem kobietom. Co za kłopot. Będę musiał polegać na swoim dowcipie i umiejętnościach tanecznych. Wybaczcie, panowie, przynajmniej ja zamierzam coś mieć z tego wieczoru.

Skłoniwszy się z zabawnym gestem dłoni, Eaton porzucił dyskusję i wkroczył na parkiet, poszukując wybranej damy. Wiedząc z góry, kto ma być zdobyczą Eatona, Stephen skrzywił się niemiłosiernie. Jego grymas pogłębił się, kiedy Phoebe obdarzyła Eatona ujmującym uśmiechem i zachichotała. Piekielna kobieta trwonila swoje czary przez cały wieczór, tańcząc z jednym lordem po drugim, rozmawiając i śmiejąc się, jakby podobało się jej ich towarzystwo. To było odrażające. Przecież jeszcze tego popołudnia dała mu to, co jest najwspanialszym darem, jaki może otrzymać mężczyzna. A teraz pozwala dotykać się jakimś nędznym typom. Przynajmniej Lemmer miał dość rozsądku, żeby się trzymać z daleka. Stephen wątpił, żeby zdołał pozostać w tym samym miejscu, w którym tkwił przez cały wieczór, gdyby Lemmer choć spojrział w kierunku Phoebe.

Winston chwycił dwa kieliszki szampana z tacy przechodzącego służącego i odchrząknął. Jeden kieliszek podał Stephenowi.

- Przy okazji, przyjacielu, jak tam twój ból głowy?

- Świetnie.

- Naprawdę? - Winston wyduł wargi, przyglądając się uważnie twarzy Stephena. - Wydaje się, jakby pilnie trzeba ci było lekarza, bo inaczej zejdziesz u mych stóp. Jeśli, oczywiście, nie ma innego powodu, dla którego robisz taką chmurną minę? - Winston czekał cierpliwie na odpowiedź, jakąkolwiek odpowiedź, Stephena. Nie doczekawszy się, kontynuował. - Eaton poruszył interesującą kwestię. Sam się zastanawiałem, co dziś stało się z lisem. Sir Lemmer wydawał się bardzo zdenerwowany z powodu tej katastrofy. Ku memu rozczarowaniu, opamiętał się, zanim obraził umiejętności mojego łowczego. Podobała mi się myśl, że mógłbym go spoliczkować. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy mój człowiek sprawdził i odkrył nie jedną, ale dwie odsłonięte lisie jamy. Bardzo dziwne.

Phoebe w ramionach innego mężczyzny przetańczyła obok Stephena. Jej śmiech, jak musowanie dobrego szampana, wzbijał się nad muzykę i kazał mu zacisnąć zęby. W palcach ścisnął nóżkę kieliszka, żałując, że to nie nędzna szyja Eatona.

- Hm.

- Na litość boską, Stephenie, co się stało?

Stephen odwrócił wzrok od tańczących par i spojrział na Winstona. Może jeśli nie będzie zwracać uwagi na dziewczynę, nastrój mu się poprawi. Bzdura.

- Jesteś bardziej uparty niż legawiec z zającem w zębach. Myślę, że już wiesz, co się stało i dręczysz mnie dla własnej przyjemności. Phoebe postanowiła, mogę dodać, że sama, oszczędzić lisowi jego losu i nie dopuścić, by Lemmer towarzyszył jej przez cały wieczór. Kiedy odkryłem jej plan, oczywiście przyszedłem z pomocą, jak przystało na dzentelmena.

Winston uniósł jedną brew, milcząco domagając się dalszego ciągu. Niecierpliwie machnął ręką.

- I?

- Następnie pojechaliśmy do Kręgu Chanctonbury, gdzie nierozważnie poddałem się jej manipulacjom i przez całe popołudnie doświadczam frustracji i cierpień.

Winston chrząknął, być może kryjąc w ten sposób śmiech.

- Mój drogi przyjacielu - powiedział. - Idź i poproś tę kobietę do tańca. Będiesz dla niej o wiele lepszym partnerem niż Eaton.

Mowy nie ma, pomyślał Stephen. Udusiłby tę kobietę albo wywłócił ją z pokoju, odarł z ubrania i pocałunkami wymusił uległość. Lub też przyznał, że ją kocha. Do wszystkich diabłów, skąd się wzięła ta myśl?

Z poczucia winy, wytłumaczył sobie czym prędzej. Właściwie nie poprosił jej wyraźnie o zgodę, zanim zaczął się z nią kochać. Założył, na podstawie jej deklaracji, że przyjęła jego warunki. Nie zawracał sobie głowy wyjaśnianiem, co miała na myśli, i odebrał jej dziewictwo, a teraz czuł się winny. Myśląc o tym, jak ma się wytłumaczyć sam przed sobą uciekł się do pokrętej logiki, która doprowadziła go do wniosku, że kocha Phoebe.

Ale przecież to niemożliwe. Zamknął drzwi do takich uczuć i pogrzebał je wraz z dwiema żonami. Założył ręce za plecami.

- Rozpamiętywanie domysłów spowodowanych naszą poranną nieobecnością jest nie na miejscu.

- Dopóki nikt nie zna prawdy, dopóty nikomu nie stanie się krzywda. Niech każdy się zastanawia na własną rękę. Wbrew błędnemu mniemaniu Renoke'a i Milsipa, z pewnością tajemnicze zniknięcie Phoebe nie umniejszyło jej powabu. Nawet Tewksbury pytał o nią dziś wieczorem. W tym wypadku, szybko będzie po słowie.

- Na pewno nie będzie.

Kręcąc głową, Winston położył braterską dłoń na ramieniu Stephena i ścisnął.

- Ta dziewczyna jest idealna dla ciebie. Klątwa to bzdura. Ożeń się z nią i będzie po wszystkim, bo inaczej obawiam się, że już na zawsze pozostaniesz najbardziej gburowatym towarzyszem.

- Nie mogę.

- Nie chcesz. Stephen zaklął okrutnie.

- Czy zawsze będą mnie dręczyć ci, którzy troszczą się o mój stan matrymonialny jak o swój własny?

Stephen, nie zadając sobie trudu, by poczekać na odpowiedź, oddalił się w kierunku pokoju karcianego. Dość miał patrzania, jak każdy mężczyzna i chłopiec ślini się na widok kobiety, którą uważał za swoją.

Ostrzegał Phoebe przed jej własnymi uczuciami. Boże, a to przecież on nie jest w stanie panować nad sobą. Piekielna kobieta. Kiedy ona zrozumie, że należy do niego?

Phoebe przyglądała się gwałtownemu wyjściu Stephena. Uparty dureń. Niech tam sobie duma. Ignorował ją przez cały wieczór, co jej odpowiadało. Dopóki nie będzie miał czegoś innego do powiedzenia albo nie zechce jej przeprosić, zamierzała trzymać się od niego z daleka. Uśmiechając się, zwróciła się do Charity. Biedna dziewczyna patrzyła na sir Ellwooda, jakby dokonywał on czynów cudownych i niezwykłych. Phoebe знаła to uczucie. Westchnęła i popatrzyła na lordów, którzy otaczali je jak zlatujące się sępy zwabione zapachem krwi. Jakże ona pragnęła choć chwili samotności.

Drażniący głos Hildegard wyrwał ją z zamyślenia.

- Phoebe, widzę, że potrzeba ci jakiegoś zajęcia. Zdaje się, że zostawiłam wachlarz w galerii portretów. Idź i przynieś mi go.

Zanim Hildegard zdążyła mrugnąć, a co dopiero odezwać się po raz drugi, Phoebe skoczyła na równe nogi.

- Chętnie, ciociu Hildegard. Z przyjemnością zażyję trochę ruchu, żeby nie być senną po obiedzie.

Bardzo dziwny błysk, jakby Hildegard spodziewała się czegoś, mignął w jej oczach i zniknął. Phoebe zaniepokoiła się, ale po chwili zignorowała to uczucie, bo w końcu, co złego może wyniknąć z przyniesienia ciotce wachlarza?

Niespieszne jej było wrócić do sali balowej, powoli znalazła więc drogę do pokoju na tyłach domu, gdzie wcześniej oglądali najświeższy nabytek Winstona: piękny widok Tamizy jakiegoś malarza o nazwisku Joseph Turner.

Poza krzesłami ustawionymi po kilka w różnych miejscach długiej sali, w galerii było niewiele mebli. Na ścianach wisiały rzędy obrazów, na podłodze porozstawiano rzeźby. Choć tematyka zgromadzonych dzieł sztuki różniła się zdecydowanie od tego, co widziała w gabinecie lorda Wymana, to miejsce przypomniało jej pierwsze spotkanie ze Stephenem. Po wydarzeniach tego dnia, obrazy, jakie widziała u Wymana, nabrały nowego znaczenia. Niezadowolona, że ciągle myśli o Stephenie, podeszła do stołu opisanego przez Hildegard, ale

niczego nie znalazła. Znajac Hildegard, można się było domyślić, że celowo wysłała Phoebe z bezsensownym zadaniem, żeby móc pouczać Charity.

Lekki podmuch owionął jej ramiona. Odwróciła się i ujrzała sir Lemmera opartego nonszalancko o otwarte drzwi prowadzące na taras.

- Nie wydajesz mi się zachwycona, moje najdroższe kochanie. Czyżbyś spodziewała się kogoś innego? Może lorda Badricka? Niestety, pochłonięty jest w tej chwili grą w karty.



Phoebe dosłyszała dezaprobatę w głosie Lemmera. Wiedziała także, że specjalnie tak dobierał słowa, aby wzbudzić w niej lęk. Dreszcz niepokoju przeszedł jej po plecach. Wyprostowała ramiona i popatrzyła na niego z pogardą.

- Proszę wybaczyć, ale właśnie wychodzę.

Nastroszony jak kogut, zastąpił jej drogę. Poczula zapach cedru, który stale mu towarzyszył. Błyskawicznie chwycił ją za nadgarstek.

- Czy wiesz, co się dzieje, kiedy młoda dama zostaje przyłapana sama z kawalerem w, powiedzmy, kompromitującej sytuacji?

Poczula się jak w pułapce, tak samo, jak wtedy, po południu w Hyde Parku. Jego oczy płonęły nieskrywaną żądzą. Z pewnością tego wieczoru nie mogła oczekiwać, że Stephen pospieszy jej na ratunek. Własny spryt był jej jedyną bronią.

- Mnie to nie dotyczy. Absolutnie nie mam zamiaru kompromitować się z tobą i wątpię, żeby ktokolwiek się tu wkrótce pojawił i natknął się na nas.

- Niewiele trzeba, żeby zrujnować czyjąś reputację. Nawet nic niewarte młode typki zainteresowane twoim tytułem czy majątkiem nie pozwolą sobie na to, żeby za nic mieć przyzwoitość. To poświęcenie, jednakże wspaniałomyślnie mogę poczekać i uprzejmie uwolnić twoją ciotkę od odpowiedzialności za ciebie.

- No właśnie, sir. Możesz poczekać. Wiecznie, jeśli taki jest twój cel. A teraz zejdź mi z drogi.

Próbowała uwolnić się z jego silnego uchwytu. Kiedy to się nie udało, chciała trafić go kolanem w przyrodzenie, ale omal nie straciła równowagi, bo zaplątała się w ograniczającą ruchy suknię.

Chwycił ją w tali i szarpnął ku sobie.

- Ile w tobie ognia, Phoebe. Nie zapomniałem tego, co się stało w parku i zapewniam cię, że będzie miejsce i czas, kiedy ci o tym przypomnę ze szczegółami. A co do tego, czy ktoś nam przeszkodzi, to twoja droga ciotka i ja zawarliśmy umowę. W towarzystwie jednego

czy dwóch lordów uda się ona na poszukiwanie swojej niepoprawnej siostrzenicy i zgubionego wachlarza, no i nas odkryją.

Nic dziwnego, że Hildegard wyglądała, jakby wygrała partię szachów. Phoebe wiedziała, że ciotka jej nie znosi, ale nigdy nie spodziewałaby się po niej tak podłej zdrady. Niestety, w tej chwili niewiele mogła poradzić na działania ciotki. Lemmer wymagał jej całej uwagi.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby tu nagle wtargnęli wszyscy goście. Nikt nie uwierzy, że przyszedłam tu z tobą z własnej woli.

- Przekonamy się?

Zmiażdżył jej usta swoimi. Żołądek się w niej wywrócił. Mimo że wrywała się z jego objęć z całych sił, ramiona łajdaka więziły ją. Kiedy wzmogła wysiłki, Lemmer tylko śmiał się jej w usta, najwyraźniej rozbawiony. Chwycił ją za pierś, a wtedy ugryzła go w dolną wargę i z satysfakcją poczuła smak krwi.

Lemmer uniósł głowę i złapał ją za brodę tak mocno, że aż poczuła dotkliwy ból.

- To było bardzo głupie - zasyczał jak szykujący się do ataku wąż. Zanim znów zaczął ją całować, była wolna. Zatoczyła się na marmurowy posąg. Ledwo rozpoznała Stephena. Twarz miał wykrzywioną wściekłością, oczy zaślepione furią.

Powietrze uszło z Lemmera, kiedy Stephen wpakował mu pięść w żołądek, a potem trzymając go za krawat, zadawał kolejne ciosy. Litości, jeżeli nic nie zrobi, Stephen z pewnością zabije tego człowieka. To ją obchodziło najmniej, ale reputacja Stephena to już zupełnie inna sprawa. Towarzystwo nie potrzebowało dodatkowej pożywki dla swoich opowieści i plotek. Chwyciła go za ramię, zanim wymierzył kolejny cios.

- Stephenie, już wystarczy. Musimy stąd odejść, zanim zjawi się Hildegard. Stephen przewiercał wzrokiem Lemmera, który stał tylko dlatego, że on trzymał go za koszulę.

- Nic mnie nie obchodzi, czy twoja ciotka tu przyjdzie, czy nie. Ten łajdak ośmielił się cię dotknąć!

- Spójrz, nic mi nie jest. Chodź.

Stephen cisnął Lemmerem o ścianę, gdzie tamten zwałił się bezwładnie jak worek ziarna. Stephen zwrócił się ku Phoebe, jego kamienny wzrok rzucał oskarżenie. Wielkie nieba, był wściekły nie tylko na Lemmera, lecz również na nią.

Lemmerowi udało się usiąść. Otarł dłonią skrwawioną wargę.

- Ty sukinsynu. Musisz zniszczyć też Phoebe? Dodać kolejną kobietę do cmentarza Badricków? Nie dość ci, że uwiodłeś i zabiłeś moją siostrę?

- Ty świętoszkowaty hipokryto - wycedził Stephen. Te trzy słowa zawierały cały bezmiar gniewu. - Wiem wszystko o twoim braterskim przywiązaniu do Emily. Mój Boże, przecież ona była twoją siostrą! Nie możesz się pogodzić z faktem, że wolała mnie od życia z tobą pod jednym dachem. Twoje wiarołomstwo stawało się coraz zuchwalsze z każdym dniem. Moje czyny błędną przy twoich.

Twarz Lemmera poczerwieniała. Ślina ciekła mu z ust.

- To kłamstwo.

- Emily nie oszczędziła mi żadnego szczegółu. Znam wszystkie twoje wstrętne, małe sekrety i jeśli myślisz, że pozwolę ci choć na chwilę zbliżyć się do Phoebe, to się grubo mylisz. Najpierw cię zabiję.

Lemmer dźwignął się na nogi i oparł się o ścianę.

- Phoebe, pozwól, że ci pomogę.

- Nie potrzebuję ani nie chcę twojej pomocy.

Rysy twarzy Lemmera wykrzywiła złość. Niemieszczące się w głowie słowa płynęły jak rzeka gorącej lawy, gotowa zetrzeć wszystko, co spotka na swej drodze.

- Świetnie. Idź z nim, ale pamiętaj, że cię ostrzegałem. Pożałujesz. Przysięgam na grób mojej siostry. - Jego głos drżał z wściekłości. - Tracisz czas z tym sukinsynem. Niewart jest całować twoich butów. Uwiedzie cię tak samo, jak moją siostrę, a jeśli cię poślubi, choć wątpię, by miał na tyle odwagi, zabije cię tak samo jak ją.

- Ty obmierzła gnido - rzucił ostrzegawczo Stephen. - Ciesz się, że cię nie wyzywam na pojedynek. Niestety, tu chodzi o reputację Phoebe. - Przesunął dłonią po swoich włosach. - Emily nie żyje. Ani ty, ani ja nie przywrócimy jej życia. Skończmy z tym. Tu. Tej nocy.

Stephen zaledwie rzucił na Lemmera przelotne spojrzenie. Wziął Phoebe pod rękę i wymaszerował z pokoju, a następnie poprowadził ją przez dom. Szli w milczeniu, atmosfera była zbyt naładowana, żeby się odezwać. Wiedziała, że powinna wrócić do sali balowej i udawać, że nic się nie stało, ale nie mogła zostawić Stephena w jego obecnym stanie ducha. Prawdopodobnie wróciłby dołożyć jeszcze Lemmerowi.

Stephen zatrzymał się przed jakimiś drzwiami i wepchnął ją do środka. Pokój był słabo oświetlony, ale dostrzegła różnego rodzaju broń. Ściany udekorowane były mieczami i tarczami wszelkiej wielkości i kształtu. W drewnianej gablocie znajdowały się sztylety, duże i małe, każdy ze śmiertelnie groźnym ostrzem. Kiedy Stephen zatrzasnął za sobą drzwi, zorientowała się, że jego gniew wcale nie ostygł. Czekala ją ostra reprymenda. Stała w drugim końcu pokoju obok zbroi, mając nadzieję, że wypchany manekin udzieli jej wsparcia. Obawiała się, że będzie go potrzebować.

- Czy tak rozpaczliwie potrzebujesz męża, że teraz czaisz się na swoją zdobycz po ciemnych kątach? Żeby wystawiać na próbę moją cierpliwość? Żeby pozwalać się dotykać i potem robić porównania?

- Pozwól mi wyjaśnić.

- Ostrzegałem cię wielokrotnie przed tym człowiekiem.

- Moja ciotka jest za to odpowiedzialna. Miała wejść, zastać mnie z Lemmerem i zrobić ze mnie ladacznicę, żeby zmusić mnie do małżeństwa z nim.

- Każdy z tych mężczyzn mógłby pójść za tobą po tym, jak paradowałaś przed nimi przez cały wieczór. Twoje postępowanie było nieodpowiedzialne. Przede wszystkim, to nie stałoby się, gdybyś zadała sobie trud i pomyślała trochę.

Krążył po pokoju tak samo, jak wcześniej przy Kręgu Chanctonbury. Jego ton był cierpki. On śmiał ją oskarżać? Po tym, jak zachowywał się przez cały wieczór? Po tym, jak bez żadnych zahamowań reagowała na jego dotyk jeszcze tego samego popołudnia? Gniew Phoebe, podsycany niechęcią Stephena do wysłuchania jej, a wcześniej rozbudzony przez napaść Lemmera, teraz wybuchnął z całą siłą.

- Nie waż się zrzucać na mnie winy, ty arogancki, egoistyczny zarozumiałcze. Jesteś zaślepiiony zazdrością i wmówiłeś sobie, że to moja wina, nie chcesz więc nawet spojrzeć na to zdarzenie z mojej perspektywy.

- Ha. Żaden mężczyzna nie będzie siedział spokojnie i odmawiał sobie, kiedy coś mu się tak ostentacyjnie podtyka. Myślę, że już tego dziś dowiedliśmy. - Przystanął przy okrągłym, dębowym stole i oparł ręce po obu stronach bogato zdobionego hełmu z przerażającym szpicem. - Gdyby tak zrobił, byłby głupcem.

- Ty więc jesteś największym głupcem?

- Właśnie.

Zdecydowanym krokiem przeszła przez pokój. Nie wystarczyło jej już, że tylko stoi beczynnienie i się broni. Ona też miała coś do powiedzenia.

- Ty odrzucasz mnie, ponieważ boisz się jakiejś Cyganki, której nigdy nie spotkałeś, i jej śmiesznej klątwy. - Wzniosła twarz ku sklepieniu i kręcąc głową, roześmiała się szyderczo. - I ty śmiesz mówić, że ja jestem niemądra! Odgrywasz pokrzywdzonego tylko dlatego, że ja postanowiłam sama zdecydować o swoim losie.

Pochylił się do przodu.

- Wolisz dobrobyt od rozkoszy, jakiej, wiem o tym, zaznałaś ze mną. Nie chcesz wyrzec się marzeń o miłości, jak naiwne dziecko. Niechętnie, ale muszę ci przypomnieć, że miłość jest iluzją wynoszoną na piedestał przez idealistycznych poetów i zaborcze, melancholijne matki. Miłość nie zwycięża wszystkiego. Miłość nie gwarantuje szczęścia.

Oparła się z drugiej strony stołu, tak samo jak on i śmiało spojrzała mu w oczy. Prawie stykali się nosami.

- Wolę wierzyć w coś dobrego i czystego, zamiast trzymać się cynizmu i strachu jak tchórz. Marsden Manor to więcej niż miejsce do mieszkania. Jeśli nie mogę mieć wolności, pozwól mi przynajmniej wybrać życie, jakie będę mogła znieść. - Patrzyła na niego z ogniem w oczach. - Tak, marzę i pragnę, i modlę się o miłość, o męża, który będzie mnie darzył uczuciem i szacunkiem. Który będzie uważnie mnie słuchał, rozmawiał ze mną, a potem zestarzeje się ze mną. A co z dziećmi? Z dziećmi, które będę tulić do snu i które zadbają o spuściznę po mnie? Jeżeli zostanę twoją kochanką, stracę nadzieję na to wszystko. Ty wygrasz bitwę, ale oboje przegramy wojnę.

Dobry Boże, jak jej palące słowa zapadały mu głęboko w serce. On pragnął tego wszystkiego. Z nią. Tyle tylko, że był przerażony. Gdyby poślubił Phoebe, skazałby ją na śmierć. Nawet jeśli klątwa była złudzeniem, odbiciem jego własnych działań, jak mógłby zaryzykować? Już i tak odważył się na zbyt wiele.

- Świetnie. Nie porzucaj swoich dzieciennych marzeń i złudzeń. Spróbuj znaleźć męża, który je spełni. Ja nie mogę cię poślubić. Ja cię nie poślubię. Wykorzystaj te dni, które ci jeszcze zostały. Spróbuj się zaręczyć. Ja będę czekał.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.



Samotna łza potoczyła się po policzku Phoebe. Jej serce było rozszarpane, rozdarte na dwoje. Głupiec. Zależało mu. Wiedziała, że tak. On uciekał przed swoimi demonami, a ona nie potrafiła ich pokonać. Czowała, że jeszcze chwila, a wpadnie w rozpacz.

W ciszy, jaka zapadła, szcęk metalu o metal zabrzmiał jak dzwon kościelny. Zamarła, zastanawiając się gorączkowo, czy ktoś jeszcze znajduje się w tym pokoju i był świadkiem jej sceny ze Stephenem. Zachciało jej się śmiać. Ma tak niebywałe szczęście, że księżę regent, jego świta i ze czterdzieści innych osób mogło kryć się teraz w kącie. Jak ktoś śmiał podsłuchiwać? Wzięła się pod boki, odwróciła i zrobiła wojowniczą minę. Przeszukiwała wzrokiem pokój.

- Kto tu jest?

Czekała, przytupując z irytacji, jak często jej się zdarzało. W końcu jakiś cień oderwał się od ściany w rogu pokoju. Kiedy zjawa zbliżyła się, Phoebe rozpoznała jego wyraziste rysy.

- Lord Tewksbury - jęknęła. Skłonił się lekko.

- Dobry wieczór.

Czas na udawanie minął.

- Cóż, kulą w płot. Wygląda na to, że mężczyźni wdzierają się w moje życie, czy mi się to podoba, czy nie. Jak długo tu jesteś, sir?

Unikając jej badawczego spojrzenia, chrząknął kilka razy i z roztargnieniem patrzył na dwa miecze skrzyżowane nad drzwiami. Przynajmniej był zażenowany. Najwyraźniej słyszał każde żalosne słowo, jakie wymieniła ze Stephenem.

- Mniejsza z tym - mruknęła. - Mój los nie przestaje zmieniać się ze złego na gorsze. Czemu się kryjesz?

- Przyszedłem tu, licząc na to, że przejdzie mi ból głowy. Weszliście z lordem Badrickiem zaraz po mnie. Naprawdę nie znalazłem właściwego momentu, aby dać wam do zrozumienia, że nie jesteście sami. Jeśli mi wolno powiedzieć, to lord Badrick popełnia błąd.

- Co do tego się zgadzamy.

- Co zrobisz?

- Mój cel pozostaje niezmienny.

Tewksbury podszedł bliżej, zatrzymał się jednak przepisowe pół metra od niej. Jego niebieskie oczy wyrażały współczucie i zrozumienie. W ich głębi nie kryło się potępienie. Uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Jutro odbędzie się mały, wiejski jarmark, byłbym zaszczycony, gdybyś zechciała mi towarzyszyć.

Jego prośba powiększyła tylko zmieszanie Phoebe. Nie mogła chować się do końca tygodnia, a Stephen w zasadzie ją porzucił. Potrzebowała czasu, żeby w samotności pozbierać myśli i po raz ostatni spróbować przekonać Stephena. Znów zachciało jej się śmiać. Cóż mogła zrobić? Miała niewielki wybór.

- Zaskoczyłeś mnie, lordzie Tewksbury. Czy mogę odpowiedzieć ci rano?

- Oczywiście. - Położył sobie jej dłoń na przedramieniu. - A teraz proponuję, żebyśmy wrócili do sali balowej, zanim kłopoty dopadną cię po raz kolejny tego wieczoru.

Kiedy przypomniała sobie, co Lemmer mówił o roli ciotki Hildegard w jego planie, gniew rozgorzał w niej na nowo.

- Obawiam się, że już jest za późno. Mam coś do powiedzenia mojej ciotce.

Phoebe z łatwością wypatrzyła ciotkę, która na szczęście stała we wnęce w odległym rogu sali balowej. To dobrze. Odosobnienie sprzyjało rozmowie, jaka miała się odbyć. Podchodząc, Phoebe zauważyła, że Hildegard z uwielbieniem wpatruje się w starszego dzentelmena, który kręci się w pobliżu Charity, a ta z kolei cała pochłonięta jest obserwacją sir Ellwooda.

Czyżby to był ów niesławny lord Hadlin? Kilka pasemek włosów zdobiło czubek łysej czaszki, krzaczaste brwi przypominające włochate gąsienice pełzły przez czoło. Położył sobie ręce na sterczącym brzuchu i ślinił się do Charity, jakby była lizakiem miętowym. Jeśli to jest lord Hadlin, nic dziwnego, że myśl o małżeństwie z nim nie zachwycała Charity.

Nagle zbrodnie Hildegard stały się jeszcze bardziej przerażające. Ta kobieta nie troszczyła się o nikogo, poza sobą samą. Jej obsesyjna potrzeba władzy i uznania była siłą sprawczą wszystkich działań. Phoebe prawie zrobiło się żal tej kobiety. Prawie.

Zdecydowanym krokiem podeszła do Hildegard.

- Przepraszam, ale muszę zamienić z tobą słowo. Sam na sam. Żądanie Phoebe wywołało rozmaite reakcje. Lord Hadlin zmrużył oczy z dezaprobatą, gąsienice jego brwi podpełzły bliżej do siebie. Bez słowa się oddalił. Charity zamrugowała kilka razy, najwyraźniej zdumiona poczynaniami Phoebe.

Hildegard wyprostowała ramiona, używając swojej godności jak tarczy. Rozpostarła wachlarz i zaczęła machać nim żywiółowo.

- Jesteś bezczelnym, niewdzięcznym dzieckiem.

Choć Phoebe niczego tak nie pragnęła, jak skrócić wstrętną szyję ciotki, to jednak panowała nad głosem.

- Proszę, proszę. Widzę, że znalazłaś swój wachlarz.

- Właściwie, to ja znalazłam - oznajmiła Charity. - Wachlarz był przez cały czas pod suknią matki. Próbowала cię odnaleźć i powiedzieć ci o tym.

- Dość tego, Charity - warknęła Hildegard, czerwieniąc się jak pensjonarka.

- A kto jej towarzyszył? - spytała Phoebe, niewinnym głosem, pełnym słodyczy.

- Lord Renoke i lord Milsip - gorliwie odpowiedziała Charity.

- Wyobrażam sobie twoje zdziwienie, kiedy odkryłaś, że w galerii nie ma ani sir Lemmera, ani mnie, żadnej z osób, które miałaś tam zastać.



Po chwili wahania, Hildegard rozejrzała się po sali balowej, co było dla Phoebe potwierdzeniem grzechów tej kobiety.

- Nie znajdziesz go - powiedziała. - Uciekł do swojego pokoju lizać rany.

- Czemu miałyby mnie obchodzić, gdzie się podziewa sir Lemmer?

- To pytanie zadawałam sobie wielokrotnie. Wspomnił o jakiejś umowie. To musi być rzecz wielkiej wagi dla niego, skoro wdał się w tak haniebną sprawę.

Hildegard patrzyła przed siebie, jej twarz zaczęła z wolna przybierać wyraz triumfu.

Charity, spoglądając to na jedną z kobiet, to na drugą, w końcu zatrzymała wzrok na matce. W jej oczach pojawiły się smutek i zrozumienie.

- Co ty znów zrobiłaś?

- Pilnuj swoich spraw, ty niemądra dziewczyno.

- Nie sądzę, matko. Nie tym razem.

Wargi Hildegard drgnęły kilka razy, zanim udało jej się znaleźć słowa, ale kiedy już je znalazła, nie potrafiła się pohamować, a cała jej furia zwróciła się przeciw Phoebe.

- Widzisz, co zrobiłaś? To twoja wina. Teraz moja córka okazuje się bezczelna! Tego nie zniosę.

- Z przyjemnością patrzę na postępy, jakie robi Charity. Co do mnie, to zaraz wyprowadzę się z twojego domu i osiade w Marsden Manor. Jeśli Charity zechce, może zamieszkać ze mną, zamiast wyjść za starego głupca, do czego ją zmuszasz.

- Marsden Manor nigdy nie będzie twój, ty niewdzięczne, impertynenckie, diabelskie nasienie. Gdyby lord Badrick się nie wtrącił, już miałabym to, na co zasługuję.

Niechęć fałami emanowała z Hildegard. Złość najwyraźniej rozwiązała jej język. Phoebe, zdecydowana, że tego wieczoru odkryje wszystkie sekrety ciotki, przyjęła rolę oskarżyciela.

- Okłamywałaś mnie co do Marsden Manor, prawda? Cały czas wiedziałaś o długach. Miałaś nadzieję sama zapłacić podatki i wystąpić z roszczeniem?

- Powinien należeć do mnie już dawno temu. Ty możesz sobie uciec jeszcze tej nocy, ale ja nie ustane. Poczekaj, a zobaczysz.

- Co sprowadza nas z powrotem do sir Lemmera i twojego planu. Na twoje nieszczęście, sir Lemmer zmienił zdanie.

- Niemożliwe. Ten człowiek chce tytułu i będzie miał twój.

- Czy to właśnie mu obiecałaś? - spytała Phoebe. Charity westchnęła.

- Matko, jak mogłaś? - powiedziała, kręcąc głową. - Phoebe, tak mi przykro, nie miałam pojęcia.

Hildegard uderzyła córkę złożonym wachlarzem po dłoni.

- Kiedy będę sobie tyczyć twojej interwencji, poproszę cię o to. Policzki Charity zapłonęły, oczy zaszyły łzami.

- Nie jestem już dzieckiem i niedobrze mi się robi od tej twojej złości. Dobrze, że nie udało ci się to, co próbowałaś zrobić. Pozwól Phoebe znaleźć odrobinę szczęścia. Bóg wie, jak niewielu ludziom jest to dane.

- Nigdy. Kiedy nikt się nie zjawi z ofertą, chętnie przyjmie oświadczyzny Lemmera albo zostanie wyrzucona na ulicę. On będzie miał swój tytuł, a ja zajmę Marsden Manor.

Wszelkie współczucie, jakie Phoebe mogła jeszcze odczuwać, zniknęło.

- Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo nienawidzisz mojej matki, no i oczywiście mnie. Ona była dobra i wspaniałomyślna. Są to cechy, których ty nie jesteś w stanie zrozumieć. Dziadek kochał ją, a ty nigdy mu tego nie wybaczyłaś.

- Bo nigdy nie dał mi szansy - burknęła Hildegard.

- Ciekawe. Myślę, że tak długo byłaś zła, że już nie odróżniasz, co jest prawdą, a co fałszem. - Phoebe nagle poczuła się wyczerpana emocjonalnym zamętem tego wieczoru, splotła dłonie przed sobą. - Zostało mi dziesięć dni na znalezienie męża, już nigdy nie będziesz miała prawa uważać mnie za swoją krewną. Do tego czasu zostaw mnie w spokoju. Nie wyjdę za sir Lemmera ani za żadnego mężczyznę, którego ty pchasz w moim kierunku. - Odwróciła się do Charity. - Idziesz?

Charity skinęła głową i odeszła z Phoebe. Zostawiły Hildegard bełkoczącą coś w kącie, obezwładnioną przez niedowierzanie, wściekłość i bezsilność.



- Który wolisz?

Phoebe uśmiechnęła się do lorda Tewksbury'ego, który wyciągał w jej kierunku wianek z białych i różowych kwiatów polnych i aureolę z błękitnych dzwoneczków. Robili zakupy na jarmarku. Przyjrzała się obu z równą uwagą, po czym przechyliła głowę i wpatrywała się badawczo w jego twarz.

- Myślę, że oba pasują do twojej karnacji, ale dzwonki ładnie podkreślą kolor oczu.

Wybuchnął swobodnym, dudniącym śmiechem z głębi piersi. Co za miła odmiana, pomyślała Phoebe, jako że Stephen zdawał się być bardziej skłonny do ciągłego zrzędzenia. Przypomniała sobie diabelski uśmiech Stephena, iskierki w jego oczach, kiedy opowiadał jej historie z dzieciństwa, i wiedziała, że sama się oszukuje. Te ciemne, zamyślane oczy, pytające i przeszywające spojrzenia wciąż ją prześladowały.

- Miałem na myśli ciebie, panno Rafferty, i dobrze o tym wiesz.

- W takim razie, myślę, że dzwonki. Założył jej wianek na głowę.

- Prześlizgnie.

- Dziękuję.

Czuła się niezręcznie z tą pochwałą, wiedziała, że nie jest to tylko grzeczność. Przeszła do następnego straganu i wzięła w palce koronkowy szal. Czując jego uważne spojrzenie na swoich plecach, zwalczyła impuls, żeby się wyprostować. Nie miała powodu zgłaszać jakichkolwiek zastrzeżeń do zachowania tego mężczyzny. Przez cały ranek był idealnym dżentelmenem. W gruncie rzeczy, gdyby przestały ją dręczyć myśli na temat Stephena, mogłoby nawet być jej przyjemnie. Zdecydowana cieszyć się słońcem i odświętną atmosferą panującą wokół, nawet towarzystwem owego dżentelmena, uśmiechnęła się promiennie i się odwróciła.

- Przez cały ranek rozmawiamy tylko o mnie, lordzie Tewksbury. Nalegam, żebyś teraz ty powiedział mi coś o sobie.

- Co chciałabyś wiedzieć?

- Wszystko, co zechcesz mi powiedzieć.

- Przypuszczam, że wiesz, iż byłem już żonaty. - Idąc obok Phoebe, założył ręce za plecami, a wzrok wbił w ziemię. - Miriam umarła trzy lata temu. Mam również córkę, Meredith. Nosi przezwisko Bliss. Ma siedem lat i beztrudnie toczy się przez życie, nie bacząc

na niebezpieczeństwa. Kocham ją do szaleństwa, ale obawiam się, że starzeję się szybciej, niż powinienem.

- Muszę wyznać, że poznałam ją tego wieczoru na twoim przyjęciu. Jest rozkoszna.

Sprawiał wrażenie zamyślnego.

- Tak przypuszczałem, że spodoba ci się jej usposobienie.

- Uważam, że w świecie rządzonym przez mężczyzn i dla mężczyzn, młoda dziewczyna powinna chwytać dla siebie, co może i kiedy może. - Kiedy Tewksbury gwałtownie przystanął, uciekła wzrokiem w kierunku barwnych szali na drewnianym wieszaku, po czym spojrzała mu w twarz. Szukała w jego oczach jakichkolwiek oznak gniewu czy nagany, ale ich tam nie znalazła. - To musi brzmieć straszliwie gruboskórnie i jednostronnie.

- Czy to zła wola, która kieruje kaprysem?

- Nie. To tylko pragnienie, żeby kobiety miały coś do powiedzenia na temat tego, jak chcą żyć.

Wziął jej rękę, włożył sobie pod ramię i przechadzali się dalej wśród kupców zachwalających towary.

- Biorąc pod uwagę to, co wiem o twojej sytuacji, rozumiem oczywiście, że możesz czuć w ten sposób.

Przechodząc obok straganu z wyrobami ze srebra, Tewksbury kupił wisiołek z różą dla córki. Następnie minęli zonglera, który podrzucał cztery kolorowe piłeczki, gwizdząc przy tym wesołą melodię. Potem Phoebe kupiła fioletową wstążkę dla Charity, która pozostawała więźniem Hildegard w Payley Park. Przez cały czas dzielili się opowieściami ze swego życia. Prawdę mówiąc, Phoebe była zaskoczona, jak łatwo rozmawia się jej z lordem Tewksburym. W końcu doszli do wielkiego wiązu, w którego cieniu usiedli, żeby raczyć się ciastem z jagodami i winem, które kupili w sklepiku.

Phoebe usiadła z podkulonymi nogami na kocu, który lord Tewksbury przyniósł z powozu. On siedział oparty o kamień, o dobre pół metra od niej, z jedną nogą zgiętą i rękami swobodnie oplatającymi kolano. Ona skubała ciasto i czekała. Najwyraźniej lord Tewksbury miał jej coś do powiedzenia.

- Panno Rafferty, nie wiem, jak to wyrazić subtelniej. Ty potrzebujesz męża. Ja chcę mieć żonę. Zdaję sobie sprawę, że ledwo się znamy, ale czas jest tu istotny. Chciałbym, żebyśmy w ciągu przyszłego tygodnia przekonali się, czy moglibyśmy sobie odpowiadać.

Przyglądała mu się spod opuszczonych rzęs. Z pewnością był przystojnym mężczyzną. Miłym, bezpośrednim, choć zachowywał lekką rezerwę. Nie czuła jednak tego mrowienia,

szybszego bicia serca, ściskania w żołądku. Ale też jego towarzystwo nie było jej wstrętne czy irytujące. Czuli się razem dobrze i swobodnie. Proponował jej rozwiązanie, którego potrzebowała.

Zamiast nadziei i ulgi pojawiły się przestroch i zmieszanie. Chciała Stephena. Marzyła, że usłyszy te same słowa od niego.

- Wyobrażam sobie, że dowolna liczba brytyjskich dam mogłaby rywalizować o twoje względy. Czemu ja?

Smukłymi palcami zręcznie skręcał cienkie źdźbło, patrzył na nie z taką uwagą, jakby tam była zawarta odpowiedź na jej pytanie.

- Po pierwsze, uważam, że jesteś pociągająca. Ponadto, myślę o mężu i żonie. Uważam, że jesteś szczerą, bezpośrednią i dobrą. Wydajesz się inteligentna, czas więc, jaki spędzilibyśmy razem, nie byłby stracony na pustą konwersację. Prawdę mówiąc, lubię cię.

- To wszystko bardzo dobrze i pięknie, ale dopóki nie musisz... To znaczy. .. Czemu miałbyś chcieć mnie poślubić, nie wiedząc, czy my... - w końcu wykrztusiła to, co było dla niej najważniejsze. - Nie kocham cię ani ty mnie nie kochasz. Czemu miałbyś się żenić w takich okolicznościach?

- Głęboko kochałem Miriam. Po jej śmierci długo nie mogłem dojść do siebie. Wciąż za nią tęsknię.

- Czemu więc chcesz się żenić?

- Szczerze mówiąc, wolałbym nie stracić serca po raz drugi. Nie chcę płomiennej miłości, jaką przeżyłem z moją pierwszą żoną. Potrzebuję dziedzica, a Bliss potrzebuje matki. Myślę, że ty byłabyś idealna. Teraz z kolei ja zapytam. Czy to brzmi gruboskórnie i jednostronnie?

- Nie. Tylko szczerze. - Bawiła się nitką przy mankiecie żakietu. - Ponieważ byłeś świadkiem tej sceny ze Stephenem zeszłej nocy, z pewnością zdajesz sobie sprawę, komu oddałam serce. I mimo to chcesz mi się oświadczyć?

- Stephen musi pójść swoją drogą. Nie proszę cię, żebyś go natychmiast odprawiła, tylko żebyś rozważyła moją propozycję i kiedy przyjdzie czas na podjęcie decyzji, powiedziała mi prawdę.

Pozostawała jeszcze niezwykle niezręczna kwestia pieniędzy pożyczonych od Stephena na remont Marsden Manor. Tewksbury musi znać całą sytuację, zanim przejdzie do podejmowania decyzji.

- I ostatnia rzecz. Moja posiadłość była zadłużona. Pożyczyłam dwa tysiące funtów od lorda Badricka.

Śledził wzrokiem poczynania zonglera, zabawiającego grupkę dzieci.

- Panno Rafferty, pieniądze nie są tu najważniejsze - powiedział bezceremonialnie. -
Jeżeli dojdziemy do swego rodzaju porozumienia, załatwię tę sprawę z Badrickiem.

Jego oferta była aż nazbyt wspaniałomyślna. Wiedząc, że może nigdy nie usłyszeć oświadczyn Stephena, byłaby głupia, gdyby odmówiła prośbie lorda Tewksbury'ego.

- Zatem, jak zgaduję, miły panie, moja odpowiedź musi brzmieć „tak”.

Przytniesz ten krzaczek czy potniesz go na kawałki? - spytała Dee, ocierając czoło wierzchem dłoni.

Phoebe skrzywiła się, widząc masakrę u swoich stóp. Listki i łodyżki leżały porozrzucane, więdnące płatki zaświadczały o dokonanej zbrodni. Jedyna ocalała z pogromu czerwona róża, kołysała się w łagodnym wietrze, jakby się poddawała. Ulubiony krzew Hildegard przypominał teraz jednorękiego stracha na wróble.

Nic dziwnego, pomyślała Phoebe. Była kłębkim nerwów od powrotu z Payley Park, kiedy to lord Tewksbury zaczął ubiegać się o jej rękę. Stephen przepadł bez wieści.

- Nie wiem, czemu tak się zachowuję, nianiu.

Dee uniosła jedną czarną brew. Ręce miała zajęte pieleniem kępek fiołków.

- No dobrze, wiem - powiedziała Phoebe. - Ale to takie głupie. Powinna mnie przepełniać radość. Lord Tewksbury jest właśnie takim mężem, jakiego szukałam od przyjazdu do Anglii. Jest łagodny, dobry i wydaje się być mi oddany. - Znowu wzięła się do strzyżenia najbliższego krzewu, ale zorientowawszy się w swoim zamiarze, czym prędzej odłożyła sekator na kamienną ławkę. Rośliny nie zasłużyły sobie na takie maltretowanie. Zaczęła przechadzać się w tę i z powrotem po brukowanej kamieniami ścieżce. - Jest inteligentny, docenia, że umiem czytać i pisać, i chce mieć dzieci tak samo jak ja. Niczego mi nie zabraknie.

- Kogo ty próbujesz przekonać, dziecko?

Nie mogąc zlekceważyć bezpośredniości Dee ani uczuć przepełniających jej serce, opadła na ławkę. Zgarbiona oparła łokcie na kolanach i podparła dłonią brodę.

- Gdybym zgodziła się na propozycję Stephena, miałabym jego opiekę, ale na jak długo? Żyłam w niepewności przez całe życie. Jak mogłabym świadomie wpakować się w taką sytuację? Czy to coś złego, że chcę mieć dom i dzieci?

- Na to pytanie już znasz odpowiedź, dziecko.

- Nazwałam Stephena tchórzem. Ja też jestem tchórzem. Nawet gdybym miała pewność co do przyszłości z nim, nie wiem, czy moja duma zniosłaby te szeptki za plecami, te spojrzenia czy współczucie. Doświadczyłam tego dość w domu. - Myśląc o Stephenie, zerwała małą stokrotkę z klombu i rozdzierała ją w palcach. - Czemu, do licha, musiałam spotkać Stephena Badricka?

Dee przysiadła na piętach i westchnęła.

- Niektórzy ludzie są jak kamienny mur. Trzeba mnóstwo kamieni, żeby go zbudować. Kamienie układane są rok po roku. Kiedy już mur jest gotów, trzeba wiele siły, by go poruszyć czy zburzyć. Jedni ludzie potrafią, inni ludzie nie.

- Nie jestem pewna, czy rozumiem.

- Twoja przeszłość składa się na to, kim jesteś teraz. Trzeba więcej siły, żeby zmienić działanie całego życia, niż się większości ludzi wydaje. Wygodniej jest robić to, co się zna. A zmienianie, nawet jeśli jest się nieszczęśliwym, jest bardzo trudne. - Niania Dee podniosła rękę i mówiła dalej: - Kiedy postanowisz być kochanką lorda Badricka, ta twoja duma pozostanie, lepiej więc się upewnij, czy w takiej sytuacji potrafisz żyć sama ze sobą. To jest droga bez powrotu i bez gwarancji, jak długo on zostanie albo jak długo ty będziesz kochać. W życiu nie ma rozwiązań idealnych. Musisz dokonać wyboru i wierzyć, że złapałaś Pana Boga za nogi.

Zdejmując zniszczone rękawiczki, Dee podniosła się z klęczek. Stwardniałą dłonią dotknęła policzka Phoebe i uśmiechnęła się z czułością.

- Kochałam cię i wychowywałam od dnia narodzin. Uczyłam cię najlepiej, jak umiałam. Wiara, że trudno jest teraz jasno myśleć, ale wyjdź myślą poza dzień dzisiejszy i jutrzejszy. Myślę, że znajdziesz odpowiedzi na swoje pytania. Będę w środku, gdybyś mnie potrzebowała. Nie siedź za długo. Później masz to przyjęcie w muzeum.

Wreszcie Phoebe zrozumiała, o czym mówiła Dee. Z powodu swojej przeszłości, Stephen bał się przyszłości. Ale ona także. Niepewność dzieciństwa miała wpływ na jej decyzje. Co ważniejsze, wiedziała, że jej pragnienia zmieniały się bez jej udziału. Jej pierwotny plan wydawał się jasny, kiedy przyjechała do Anglii. Ale Stephen pobudził w niej struny, jakich się nie spodziewała. Nagle zapragnęła kogoś, kogo mogłaby pokochać i kto odwzajemniałby jej miłość.

Jeśli jednak to było niemożliwe, przyjmie to, co najlepsze poza miłością: pierścienek zaręczynowy, ślub, męża, syna czy córkę i dom.



- Na koronę królowej Marii - mamrotała Elizabeth zniecierpliwiona. - Ty obserwujesz ją, kiedy ona nie patrzy na ciebie, a ona zerka na ciebie, kiedy ty się odwracasz. Zachowujesz się jak głupi bałwan. Powiedz mi, co się stało.

Choć Stephen nie był raczej zainteresowany dziełami sztuki, jakie miał przed sobą, udawał, że bacznie przygląda się marmurowemu fryzowi, żeby Elizabeth nie pomyślała, iż słucha tego, co ona ma mu do powiedzenia. Gdyby się odezwał albo choć mruknął, Elizabeth

dopóty by go męczyła i przymilała się, metodami najgorszej plotkary, dopóki nie wydobyłaby z niego całej historii.

Zmuszony towarzyszyć jej i Winstonowi na tę szczególną wystawę greckich marmurów z Partenonu, żałował, że nie został w domu, w swojej pustelni, w której przesiadywał coraz częściej. Nigdy by nie przyszedł, gdyby choć przez chwilę pomyślał, że mogłaby tu być Phoebe. W dodatku nie przyszła sama. Towarzyszył jej lord Tewksbury. Stephen, nie chcąc dać Phoebe ani odrobiny satysfakcji, okazując jej ogrom swojej irytacji, przysięgł sobie, że będzie ignorować tę kobietę. Prawdę mówiąc, ignorował obie kobiety.

- Stephenie - powiedziała Elizabeth protekcyjnym tonem dającym do zrozumienia: „ja jeszcze nie skończyłam”. - Ukrywasz się od czasu przyjęcia Winstona, które tak niegrzecznie i nieoczekiwanie opuściłeś dzień wcześniej, nie mówiąc nic więcej poza do widzenia. Teraz ty i Phoebe zdajecie się ledwo znosić swoje towarzystwo. A ponadto chciałabym się dowiedzieć, co zrobiłeś sir Lemmerowi? Doktor powiedział, że Lemmer ma złamane żebro i nos. Coś między wami zaszło i ja muszę wiedzieć co.

Ponieważ Winstonowi nie przeszkadzało, że jego żona dręczy Stephena, ten ostatni zachowywał stoicki spokój. Będzie się gapił na wysoko cenioną kolekcję lorda Elgina, rzuci jakąś uwagę, po czym wyjdzie przy pierwszej nadarzającej się okazji. Przyglądał się, jak Tewksbury bierze Phoebe za łokieć i prowadzi, jak mówi coś o wiele za blisko jej ucha, żeby to było stosowne. Jej beztroski śmiech wzbijał się nad szmer rozmów w zatłoczonej do absurdu galerii muzeum.

Nie tylko beztroski, pomyślał Stephen, jej śmiech był całkowicie radosny. Czerwona mgła przesłoniła mu wzrok. W żołądku czuł supły wielkości małych kul armatnich.

Zacisnął pięści. Jakim prawem była tak cholernie wesoła, podczas gdy w nim gotowała się złość, ta sama, co przez cztery dni, od czasu kiedy się z nią kochał?

Wielkie nieba, myśl o tym zawładnęła każdym momentem jego życia, czy to na jawie, czy to we śnie. I ona deklarowała uczucie do niego, a teraz pokazuje się tu z innym mężczyzną. Nic dziwnego, że był nieznośny dla otoczenia.

Elizabeth stanęła przed Winstonem, który podziwiał marmurowy blok ozdobiony wizerunkami dziewcząt niosących naczynia ofiarne.

- Nie stój tak. Zrób coś.

- Co dokładnie proponujesz, kochanie? Mam wyciągnąć stąd Stephena i Phoebe, zamknąć ich w pokoju w naszym domu i wezwać pastora?

- Czy ktoś ma się zenić? - spytał Rhys, dołączając do nich. - Jeśli to jeden z moich przyjaciół, mam nadzieję, że dostanę zaproszenie.

Stephen uchwycił się okazji do zmiany tematu jak liny ratunkowej na wzburzonym morzu.

- Rhys. Co ty, u diabła, tu robisz?

- Moje życie wędrowca zostało oficjalnie zakończone.

- A właśnie, miałeś zgłosić roszczenia do tytułu.

- Nie miałem wyboru. Nie mogłem pozwolić, żeby ten kundel, mój kuzyn go uzyskał.

Winston ci nie powiedział?

Stephen zawahał się przez moment, po czym przyznał:

- Byłem ostatnio nieuchwytny.

- Ukrywałeś się - uściśliła Elizabeth.

- Musiałem ukrywać się przed wścibskimi kobietami, które odmawiają mężczyźnie prawa do chwili spokoju.

Rhys skrzyżował ramiona na piersi.

- Zdaje się, że tu jest jakaś historia, którą ktoś mógłby mi opowiedzieć. Mam dziwne przeczucie, że dotyczy ona rudej, którą widziałem pod rękę z Tewksburym.

- Może ty - Elizabeth przystąpiła do wyjaśnień - zdołasz przekonać tego skończonego imbecyla, że popełnia straszliwy błąd. Skoro on zdecydował, że zaprzepaści swoją szansę na szczęście, możemy jedynie wynająć pastora i zmusić Stephena do ślubu z Phoebe. Ona jest idealną partią, nawet jeśli ten uparty osioł tego nie widzi. Gdybyśmy pozwolili mu działać według jego widzimisię, zniszczyłby wszystko. I co wtedy z dziedzicem? On musi mieć dzieci.

- W odróżnieniu od ciebie, kochanie - wtrącił się Winston - nie wszystkich podnieca myśl o małych istotkach płaczących się pod nogami. To jest jego życie, a on jest dorosłym mężczyzną, zdolnym podejmować własne decyzje, choć tobie mogą wydawać się głupie. Wybór czy się ożeni, czy pozwoli wygasnąć rodowi, należy od niego. Nie do ciebie. Nie do mnie.

- Poza tym - dodał Rhys - ten człowiek jest uparty jak kleszcz w psim uchu. Wątpię, czy zmusisz go do czegoś, czego nie chce. Mnie też się nie udało.

Jeszcze jedna osoba nazwie go głupcem, a ją uderzy. Rozprawiali o nim, jakby go tu nie było. Czując się jak ogier na aukcji w Tattersall's, Stephen odchrząknął. Rzucił oskarżycielskie spojrzenie na Elizabeth.

- Chcecie obejrzeć moje kopyta czy zad? - Wyszczerył się. - A może zęby?

- On mówi! - wykrzyknęła Elizabeth, podnosząc do góry ręce i wytrzeszczając oczy w udawanym zdumieniu.

- Czekałem na sensowny temat, ale jakoś na nic takiego się nie zanosi. Na razie poświęcę uwagę czemuś innemu. Zrozumiano?

Elizabeth ani myślała się wycofać. Stawała się tak samo ograniczona jak Phoebe. Po raz drugi odwrócił się do niej plecami.

- Co sądzisz o zbiorach Elgina? - zwrócił się do Winstona. - Ciekaw jestem, czy Napoleon nigdy nie żałował, że nie kupił ich dla Francji?

- Pewno nie - odparł Winston, najwyraźniej zadowolony ze zmiany tematu. - Co o tym myślisz, Rhys?

- Na pewno są dość stare, ale ja zdecydowanie nie uważam ich za doskonałą inwestycję. Ktoś powiedział, że rząd zapłacił Elginowi mniej, niż on wydał na wydobycie marmurów z dna oceanu.

- Być może dlatego ludzie nazywają je szaleństwem Elgina - zauważył Stephen. - Ale w ten sposób imię Elgina będzie nieśmiertelne, jak te kamienie.

Elizabeth jeszcze raz stanęła przed trzema mężczyznami.

- Dość. Ta czcza gadanina nie zmieni mojego kursu. Chcę wiedzieć, co zamierzasz zrobić w sprawie Phoebe.

Żaden z nich nie odpowiedział. Nagle wyraz jej twarzy się zmienił. Oczy rozbliły zwycięsko. Gdyby Stephen nie wiedział tego, co wiedział, przysięgłby, że Elizabeth wie o czymś, o czym on nie ma pojęcia.

- Ależ Stephenie, spójrz, kto tu jest. Panna Rafferty i lord Tewksbury. - Wyciągnęła ramiona na powitanie, podbiegła do Phoebe i ucałowała jej policzki. Trzy głowy odwróciły się w ich stronę. - Właśnie mówiliśmy o tobie.

Elizabeth szczebiotała. Do wieczoru wisiałaby na własnych sznurowadłach, gdyby Stephen mógł coś zrobić, aby się nie wtrącała w jego sprawy. Winston też okazał się niezbyt pomocny. Mógł ją przynajmniej skarcić, ale nie, on też, robiąc niewinną minę, uczestniczył w tym powitaniu. A Rhys, ten szczyrzył się tylko jak nadworny błazen. Cieszył się, że znów widzi Phoebe, i nie omieszkał jej tego natychmiast powiedzieć. Stephen, udając, że jest znudzony, tylko skinął głową, starając się nie okazać zainteresowania. Nie uszły jednak jego uwagi zapach bzu właściwy skórze Phoebe, różany rumieniec zdobiący jej policzki, rozchylenie pełnych warg, tych samych, które witały jego pocałunki. Dostrzegł także niepokój w jej roziskrzonych zielonych oczach.

Miała powód zastanawiać się, co on może zrobić. Posłał jej kwiaty. Zwróciła je. Posłał sznur pereł. Odesłała. Nie zadała sobie nawet trudu, aby napisać zdawkowy, grzecznościowy

liścik. Teraz wiedział, dlaczego. Zbyt była zajęta przymilaniem się do Tewksbury'ego, żeby odpowiedzieć. Świetnie!

Zostało jej pięć dni, żeby założyć na palec ślubną obrączkę. Stephen nie chciał ustąpić, nie mógł ustąpić. Ona powiedziała, że go kocha. Czy to nie znaczy, że należy do niego? Może trzeba jej o tym przypomnieć.

- Okazuje się, panno Rafferty, że jesteś miłośniczką antyków. Pamiętam twój zachwyt nad starą rzymską fortecą. Nasza dyskusja była wtedy pouczająca. Bardzo intrygująca.

- Hm.

Phoebe westchnęła, widząc drapieżny błysk w jego oczach. Miała nadzieję unikać Stephena tego wieczoru. Cóż, kiedy Elizabeth wpadła na inny pomysł. A teraz draniowi zachciało się grać z nią w słówka. Niepokój Phoebe szybko zamienił się w przykrość, kiedy przypomniała sobie ową dyskusję, dzięki której zobaczyła gwiazdy.

W minionym tygodniu nie myślała o niczym innym, tylko o jego delikatnych pieścizotach i magicznych pocałunkach, o tym, jak omdlewała pod jego dotknięciem. Kręcąc głową zmieszana, powiedziała:

- Przypominam sobie to zdarzenie, sir, i wspominam ten moment z przyjemnością... i żalem.

- Z żalem? - warknął Stephen z dzikim wyrazem twarzy i zmarszczonymi brwiami.

Tak, chciała krzyknąć. Żal jej było tego momentu bliskości i wszystkich innych, jakie razem spędzili, bo teraz jego dotyk prześladował ją.

- W rzeczy samej. Szkoda, że nasze opinie na ten sam temat tak bardzo się różnią. A teraz wybaczenie, lord Tewksbury i ja gramy dziś po południu w wista z przyjaciółmi.

- Doprawdy? W takim razie moje gratulacje. Przypuszczałem, że masz skłonność do gier. Teraz widzę, że to prawda. Okazuje się, że i grasz nadzwyczaj dobrze, skoro lord Tewksbury zamierza włączyć się do gry. Wyobrażam sobie, że stawka jest wysoka.

- Jak mawia niania Dee, konieczność każe nam uczyć się tego, co się musi. - Niepewna, jak daleko może się posunąć, ale nie chcąc pozwolić, aby Stephen miał ostatnie słowo, spytała: - A co do gry o wysoką stawkę, to co ty będziesz robił, lordzie Badrick? Grał? Czy unikał rozgrywki ze strachu przed konsekwencjami? Założę się, że wybierzesz to drugie.

- Gryziesz mnie celowo, panno Rafferty? Czy uderzasz na oślep, jak rozkapryszony dziecko, któremu odebrano zabawkę?

Elizabeth pisnęła, a Phoebe zdawało się, że słyszy jęk Winstona. Rhys parsknął śmiechem. Tewksbury, najwyraźniej zaciekawiony wystarczająco, żeby pozwolić obojgu

szermierzom krzyżować słowne szpady, stał i przyglądał się w milczeniu. Gdyby głos Stephena ochłodził jeszcze trochę, wkrótce sople zwiślałyby ze wszystkich nosów.

Ból, który nabrzmiwał w sercu Phoebe, nie mógł znaleźć ujścia we łzach. Próbowwała nie zwracać uwagi na żal, jaki czuła. Jakże on miał prawo się gniewać? To on ją fałszywie oskarżył, brutalnie nie uszanował jej wyznania miłości. Potem łajdak zarzucił ją prezentami, aby kupić jej zgodę. To bolało ją najbardziej.

Przez cały tydzień miała nadzieję, że kiedy zwróci podarunek bez jednego słowa, on uświadomi sobie własną głupotę, zmieni zdanie i przyjdzie do niej. Każdego dnia możliwość przyszłości ze Stephenem bladła coraz bardziej, a jej nadzieje zastąpiły rozczarowanie i rezygnacja.

Wybierając między koniecznością a miłością do tego mężczyzny, czuła się rozdarta na pół.

- Ja? Dziecinna? Ktoś, kogo znam, ostatnio oskarżył mnie o to samo. Ja oczywiście uważam to oskarżenie za czysty nonsens. Uważam też, że ta osoba dba tylko o siebie.

Na ustach Stephena pojawił się bezczelny uśmiech.

- Jak sama powiedziałaś przed chwilą, konieczność każe nam uczyć się tego, co się musi.

Tewksbury, przyglądający się tej potyczce z wielkim zainteresowaniem, przysunął się do Phoebe.

- Chociaż ta dyskusja jest intrygująca, powinniśmy już iść, a jeszcze chciałem pomówić z lordem Miltonem.

Phoebe było wszystko jedno, czy lord Tewksbury obawia się, że ona może zrobić scenę czy powiedzieć coś, czego będzie żałować. Nagle zapragnęła uciec od badawczego spojrzenia Stephena, od jego nieugiętej postawy.

Stephen patrzył na odwrót Phoebe, nieprzyzwyczajony do tego, by dawno uśpione uczucia nie dawały mu spokoju. Jakże miała prawo, by wtoczyć się w jego życie jak trąba powietrzna i sprawić, by czuł to, co czuł, by śnił nieiszczalne sny? A taki czuł się dotychczas zadowolony.

Ktoś za jego plecami chrząknął. Stephen odwrócił się na pięcie i ogarnął palącym spojrzeniem przyjaciół.

- Nie pytajcie.

- O co nie pytać? - spytał Winston, unosząc ręce w geście poddania się.

- Ja już zrezygnowałem z próby zrozumienia, przyjacielu - powiedział Rhys.

. - A ja nie - prychnęła Elizabeth. - A jeśli Tewksbury wystąpił z poważną propozycją, co według mnie, robi właśnie w tej chwili?

- Phoebe jest dorosłą kobietą, zdolną do decydowania za siebie. Wie, co ja proponuję.

- Proszę więc, powiedz nam, co jej zaproponowałeś - chciała wiedzieć Elizabeth.

Stephen nie odpowiadał. Elizabeth pytająco patrzyła na Winstona. Winston energicznie masował się po karku.

- Nie mam zamiaru ci mówić, co to za propozycja. Niech sam założy sobie stryczek na szyję, jeśli taka jego wola, ale wierz mi, moja droga, lepiej, żebyś tego nie wiedziała.

- Czym zdaniem? - Założywszy ręce pod biustem, groźnie spoglądała na wszystkich trzech.

Rhys w samoobronie podniósł ręce, naśladując wcześniejszy gest poddania się Winstona.

- Pamiętaj, że ja dopiero przyjechałem i nic nie wiem. Elizabeth się zachnęła.

- Stephenie Rolandzie Lambercie, jeśli cenisz swoje zdrowie lub swoją prywatność, odpowiesz na moje pytanie. W przeciwnym razie przyrzekam, że sprawię, by twoje życie stało się piekłem.

Nie po raz pierwszy Stephen stał się z Elizabeth i wątpił, czy ostatni. Zbliżywszy swój nos do jej nosa, wypowiedział każde słowo z osobna i wyraźnie, żeby nie było nieporozumień:

- Zaproponowałem Phoebe logiczne rozwiązanie jej problemu: niech zostanie moją kochanką. Alternatywą jest poślubienie niezdolnego lalusia, którego towarzystwo ledwo będzie w stanie tolerować.

Nie bacząc na obecność znajdujących się w pobliżu ludzi, Elizabeth wylała z siebie strumień niewiarygodnych wprost uwag. Potem westchnęła, jej ramiona uniosły się i opadły. Ujęła w dłonie policzki Stephena.

- Mój drogi przyjacielu - przemówiła - masz więcej włosów niż rozumu. Nie dałeś Phoebe żadnego wyboru. Pozwalając jej odejść z Tewksburym, równie dobrze możesz pościelić im małżeńskie łóżko.

Nie dając mu okazji do odparcia zarzutów, zostawiła go po prostu koło Winstona i Rhysa.

- Ona nie należy do tych, którzy zachowują to, co myślą dla siebie - powiedział Winston. - Ja wypowiem się kiedy indziej. Decyzja należy do ciebie.

Winston podążył śladem Elizabeth, zostawiając Stephena z tym, co zostało powiedziane, i z jego własnymi demonami.

- Wysłuchasz, co ja mam ci do powiedzenia? - cicho spytał Rhys.

- Czemu wszystkim taką przyjemność sprawia wyrażanie swoich opinii? Rhys się uśmiechnął.

- Dzięki temu wydajemy się sobie o wiele mądrzejsi, przyjacielu. Czemu mielibyśmy roztrząsać własne problemy? Problemy innych są o wiele łatwiejsze do rozwiązania. Albo tak nam się wydaje.

- Powiedz, co masz do powiedzenia.

- Pamiętasz, jak po raz pierwszy przyszedłeś do cygańskiego obozu, szukając odpowiedzi? W dzieciństwie?

- Tak. Zbiłem cię na krwawą miazgę.

- Cha, cha - zaśmiał się. - Ja to pamiętam inaczej. Ale kimże ja jestem, żeby się sprzeczać o nieistotne szczegóły? Przyszedłeś, żeby znaleźć diabła w cygańskim przebraniu, odpowiedzialnego za twój nędzny los. Nie znalazłeś prawdziwych odpowiedzi, więc przysięgłeś sobie, że nieostrożność twojego pradziada nie powstrzyma cię przed takim życiem, na jakie masz ochotę. Stwierdziłeś, że każdy człowiek odpowiada za własne czyny. I co się stało z tym człowiekiem? Chyba zapomniałeś, co sobie przysięgłeś.

- Tak. Obnosiłem się po Londynie jako młody panicz, który chce wszystko albo nic i kieruje się wyłącznie swoimi zachciankami. Chciałem udowodnić światu, że klątwa Badricków jest tylko głupim przesądem. Wybrałem sobie najśłodszą najbardziej niewinną kobietę, jaką znalazłem, różę pomiędzy lwimi paszczami naszej sfery. Moje działania przyniosły katastrofalne skutki.

- Wielu mężczyzn traci żony.

- Inni mężczyźni nie są obciążeni dziedzictwem śmierci.

Stephen wetknął ręce do kieszeni spodni i zapatrzył się w odległy kąt sali, nie widząc nic poza kamieniem nagrobnym z imieniem Phoebe.

- Rhys, nie przeżyłbym, gdyby coś się stało Phoebe.

- Kochasz ją? Stephen zacisnął usta.

- Nie słuchając głosu serca, nie pozbędziesz się uczucia, nie zaprzeczysz mu. Zadaj sobie parę pytań, zanim podejmiesz decyzję co do swojej przyszłości. Czy będzie ci lepiej bez Phoebe? Czy potrafisz wrócić do życia w samotności i znajdować w tym zadowolenie? Czy zniesiesz jej widok u boku innego mężczyzny, z jego dzieckiem w łonie? A może wolisz wykorzystać czas, jaki ci będzie dany, nieistotne: długi czy krótki, i kochać ją być z nią razem i czuć się szczęśliwym? Zostaw swoją przeszłość za sobą. Uwierz w człowieka, jakim się

stałeś. A teraz, jeśli pozwolisz, jest tu śliczna brunetka, wdowa, którą przez cały wieczór chciałem spotkać. Przyślij mi wiadomość, gdybyś potrzebował mojej pomocy.

Pytania Rhysa były identyczne z tymi, które Stephen zadawał sam sobie. Stojąc sam, uświadomił sobie, że większa część życia upłynęła mu w samotności. Zadał o to. Celowo odcinał się od ludzi i towarzystwa. Chronił się w ten sposób przed ciągłą pokusą by brać to, czego pragnie, a czego mieć nie może.

Odkąd Phoebe wtargnęła do gabinetu Wymana, zaczął żyć na nowo. Czuć. I podobała mu się ta zmiana. Wnioski wynikające z tej myśli były przerażające. Nagle sala wydała się nieznośnie zatłoczona. Okrążając galerię, zboczył do niewielkiej salki, w której stały jedynie trzy rzeźby. Jak na ironię, szukając ucieczki, stanął twarzą w twarz z nią.

Phoebe oparła się o ścianę i zwiesiła głowę. Odezwał się, zanim uświadomił sobie, że to robi.

Podniosła głowę. Przywierając do ściany, wyprostowała ramiona jak wartownik przyłapany na zaniedbywaniu obowiązków na służbie.

- Czego chcesz?

Zdawała się nie mieć chęci na rozmowę, na pozostawanie z nim sam na sam, co zmartwiło go bardziej, niż gotów był przyznać. Ból w jej głosie, pogodzenie się z porażką zmroziły w nim krew. Rozejrzał się po pokoju, żeby upewnić się, czy są sami.

- Musimy porozmawiać - powiedział.

- Myślałam, że już dość jasno dałeś do zrozumienia, jakie żywisz do mnie uczucia.

- Zamierzasz wyjść za Tewksbury'ego?

- Jeszcze nie poprosił mnie o rękę. Zostały mi cztery dni.

Niech to, jakże on pragnął wziąć ją w ramiona. Podeszedł bliżej. Kiedy ona odsunęła się, jego ręka zawisła w powietrzu w pół drogi, w bezradnym geście.

- Powiedziałaś, że mnie kochasz.

- Zaczynam myśleć, że miłość jednak jest złudzeniem.

- Diabła tam, jest.

- Jak już mówiłeś wiele razy, łączyła nas namiętność i oczywiście żądza. Odkryłam, że te uczucia palą się szybko i gwałtownie, pozostawiając tylko popiół.

- Niech to, wiesz, że mi zależy.

- Ale nie na tyle, żeby zaryzykować i dowiedzieć się, co moglibyśmy razem znaleźć - wypaliła. Nagle przytłoczona cierpieniem ostatnich tygodni, objęła się ramionami w obronnym geście, jakby to miało przynieść jej ulgę w smutku. - Jeżeli nie masz niczego innego do powiedzenia, proszę, zostaw mnie w spokoju.

- Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić.

A jednak to zrobił. Od samego początku był brutalnie szczery. Musiała przyznać uczciwie, że nie powinna go winić za swoją obecną sytuację. Ale to nie mogło uleczyć jej złamanego serca. Stephen był zaledwie o pół metra od niej, ale równie dobrze mógłby stać na księżycu. Milcząc, okrążył jeden z posągów.

- Nie winię cię za nic. Rozumiem twój lęk. Myślę, że teraz nawet go akceptuję. To nie twoja wina, tylko moja. Ty jesteś, kim jesteś. Ja próbowałam cię zmienić. - Kiedy już pogodziła się z prawdą, że jej przyszłość jest gdzie indziej, nie przy tym mężczyźnie, słowa przychodziły jej łatwiej. - Od samego początku nie chciałam cię słuchać. W swojej naiwności wierzyłam, że jeśli tylko będę pragnąć wystarczająco silnie, skuszę cię do małżeństwa. Prawda jest taka, że nikogo nie można zmusić, żeby był posłuszny czyimś życzeniom. Żyłabym, próbując co dzień sprawić, żebyś mnie pokochał, a ty dzień po dniu odsuwałbyś się ode mnie z obawy, że mogę umrzeć. Gdybyś poślubił mnie, mając zastrzeżenia, znienawidziłbyś takie życie, a w końcu mnie. A ja nie umiałabym tak żyć.

- A umiesz być szczęśliwa z innym mężczyzną?

Po długiej chwili milczenia, w której starała się zachować panowanie nad swoimi uczuciami, odpowiedziała:

- Mam nadzieję, że będę zadowolona.

Wyglądał tak, jakby go uderzyła. Czemu tak go to zdumiało? Ona też była z nim szczerą. Groziło jej, że się rozpłacze. Nie chciała dać mu satysfakcji, że jest świadkiem jej bólu. Uciekła do drzwi.

- Dobrze ci życzę, Stephenie Lambercie. Dziękuję ci za spędzony razem czas. Zawsze będzie mi drogi.

Łzy lśniły na jej policzkach. Targnęło nim poczucie winy, a także największy z jego lęków. Po raz pierwszy naprawdę wziął pod uwagę to, że może się mylić, że Phoebe naprawdę może wyjść za kogoś innego. Czy umiałby zmienić przemyślenia i przekonania całego życia? Na to nowe pytanie nie było szybkiej odpowiedzi. A czas uciekał.

Phoebe i lord Tewksbury przechadzali się razem po brukowanej kamieniami ścieżce w ogrodzie Hildegard. Powietrze ciężkie było od woni świeżo skopanej ziemi i obietnicy deszczu. Choć pogoda błogosławiła im ślicznym, wiosennym dniem, tak samo jak obecne nastroje Phoebe, mogła się zmienić z chwili na chwilę.

Ptaki ćwierkały na drzewach, pszczoły krzątały się, zbierając nektar z rozkwitłych pąków. Lekki wiaterek bawił się lokami Phoebe, przypominając jej o delikatnych jak piórko pieszczotach Stephena.

Czym prędzej skarciła się za takie głupstwa. Nie pora teraz myśleć o tamtym mężczyźnie. Przyjechał tu lord Tewksbury ze sprawą wielkiej wagi. Obawiała się decyzji, którą będzie musiała podjąć. Podeszła do kraty z pnącą wisteria i usiadła na stojącej pod nią ławeczce.

- Bujasz w obłokach? - spytał lord Tewksbury, a jego cień padł na ławkę. Phoebe uśmiechnęła się, choć w sercu nie czuła prawdziwej radości.

- Przylapałeś mnie. Siadaj, proszę.

Lord Tewksbury usiadł bokiem, by widzieć jej twarz.

- Przypuszczam, że wiesz, dlaczego dziś przyszedłem. Miniony tydzień był zachwycający i jeśli moja zdolność dedukcji nie jest osłabiona, mniemam, że tobie również podobało się moje towarzystwo. - Zerwał fioletowy kwiat z pobliskiego krzaka i wyciągnął rękę z tym darem ku Phoebe. Kiedy ich palce się zetknęły, splótł jej dłoń ze swoją. - Phoebe, byłbym zaszczycony, gdybyś zechciała zostać moją żoną.

Opanowała chęć wyswobodzenia dłoni i ukrycia jej w fałdach spódnicy. Dreszcz, który wstrząsnął jej ciałem, był czymś zupełnie innym niż dreszcz, który ją przebiegał, gdy dotykał jej Stephen. Był równie wyraźny, jak troska na twarzy lorda Tewksbury'ego.

- Myślałem, że jasno przedstawiłem moje zamiary - powiedział. - Czyżbym się mylił? Czy źle zrozumiałem twoją potrzebę wstąpienia w związek małżeński?

- Nie, sir. Nie myliłeś się.

- Wspaniale. - Delikatnie ścisnął jej dłoń. - Według moich wyliczeń, musisz wyjść za mąż w ciągu trzech dni. Nie widzę powodu, żeby czekać. Pozwoliłem sobie załatwić specjalne zezwolenie. Chciałbym wziąć ślub jutro, w asyście mojej córki.

- Niczego nie zaniedbałeś, prawda?

- Wybacz, że nie mogę zaoferować nic więcej.

- Dajesz mi więcej, niż oczekiwałam.

- Posłuchaj uważnie, Phoebe. Niewiele pozostawiam przypadkowi. Potrzebuję żony, matki, kogoś, kto da mi dziedzica. Moja propozycja może się wydawać wykalkulowana na zimno, ale nie złożyłbym jej, gdybym nie myślał, że możemy być szczęśliwi. Czy chcesz zaryzykować?

- Doceniam twoją szczerość i zasługujesz na to samo, zanim podejmiemy decyzję. W dalszym ciągu nie jest mi obojętny lord Badrick.

- Tego się domyśliłem po wieczorze w muzeum. Czy będziesz mi wierna?

Chciała się obrazić, ale przecież miał pełne prawo zadać to pytanie.

- Bądź pewien, że jeśli przyjmę twoje oświadczenia, nigdy nie uczynię nic, co by wprawilo cię w zażenowanie czy przyniosło ci wstyd.

- Jesteś honorową młodą damą. Gdybym naprawdę uważał, że twoja niewierność byłaby możliwa, nie prowadzilibyśmy tej rozmowy. Myślę, że sama musiałaś usłyszeć siebie mówiącą te słowa. - Uśmiechnął się ciepłym, chłopięcym uśmiechem. - Może ja musiałem usłyszeć te słowa także.

W miarę rozmowy nastrój Phoebe poprawiał się, a spokojna akceptacja Tewksbury'ego ułatwiła jej zwrócenie się z prośbą.

- Chcę być uczciwa wobec nas obojga, dlatego muszę jeszcze coś zrobić. Jego twarz wyrażała zrozumienie.

- Chcesz się skontaktować z lordem Badrickiem.

- Muszę.

- Czy to mądre?

- Winna mu jestem prawdę. Niezależnie od tego, czy przyjdzie się ze mną zobaczyć czy nie, uzyskam odpowiedź. Przyślę ci wiadomość jutro rano. Jeśli zajdzie taka potrzeba, mogę być gotowa do podróży do południa.

Ujął ją pod brodę. Wiedząc, że chce ją pocałować, zamknęła oczy. Ich wargi dotknęły się w słodkim, kojącym pocałunku. Nie czuła ognia, ale też nie doświadczyła odrazy. Wziął swój kapelusz i wstał.

- Nie będę ci życzył powodzenia, jego szczęście będzie bowiem moją stratą. Cokolwiek zdecydujesz, zrozumiem.

Przyglądała się jego plecom, kiedy się oddalał. W ich małżeństwie nigdy nie zagościł namiętność, tylko przyjaźń i szacunek. Mogła być zadowolona.



Rzutek Stephena przeciął sine od dymu powietrze w tawernie Pod Wesołym Psem i wbił się w obcięte dno beczki służące jako tarcza. Marynarz o ramionach rozłożystych jak konary wielkiego drzewa z pomrukiem dorzucił kolejną monetę do piętrzącej się przed Stephenem sterty. Jednak gra w bycze oko nie uśmierzyła duszącego Stephena niepokoju. Od czasu rozmowy z Phoebe usiłował jakoś dojść do ładu z faktem, że ona poślubi Tewksbury'ego, a on straci ją na zawsze.

Tego ranka uciekł z domu, żeby jeszcze raz przemyśleć swoją najnowszą decyzję. Phoebe potrzebuje go. On jej pragnie. Niech Bóg ma go w opiece, kochają. Nic ani nikt, żadna klątwa, mściwa Cyganka, zgorzkniała krewna czy nawet jego własne lęki nie rozdzielią go z Phoebe. Pora pogrzebać swoje upiory raz na zawsze. Choć już podjął decyzję, wciąż potrzebował czasu, żeby ją zaakceptować. Wyrывая rzutki z tarczy, Stephen pomyślał, że ma jeszcze czas na jedną czy dwie rozgrywki. Może poprawi mu się nastrój. W końcu przecież, czy mężczyzna nie powinien być szczęśliwy, kiedy oświadcza się swojej przyszłej żonie?

Nagle ujrzał Winstona przedzierającego się przez tłum okupujący tawernę, niebaczącego na spojrzenia i ochryple szeptu, których stał się obiektem. Stephena zaakceptowano milcząco po jego kilku groźnych spojrzeniach. Najwyraźniej jednak obecność aż dwóch lordów była okolicznością, którą należało skomentować.

Winston zatrzymał się i przejechał dłonią po stole, a następnie przyjrzał się brudowi na swojej skórzanej rękawiczce. Skrzywił się.

- Na Henryka, to miejsce trzeba by spalić albo przynajmniej wyługować i wietrzyć przez miesiąc.

- To cena, jaką płaci się za anonimowość, przyjacielu. Nikt tu nie zrzędzi mi nad uchem, nie robi uwłaczających uwag ani nie patrzy na mnie spode łba. Jak mnie znalazłeś?

- Byłem u ciebie w domu. Twój stangret zasugerował, że można cię tu znaleźć. Nie był uszczęśliwiony i rozumiem jego niechęć. Pamiętam tę tawernę z naszej ostatniej przygody.

- Czego chcesz? - spytał Stephen obojętnie.

Przeciwnik Stephena w grze, który do tej pory w milczeniu przyglądał się ich rozmowie, stracił w końcu cierpliwość. Odsunął Winstona na bok - nie lada wyczyn, biorąc pod uwagę potężną masę Winstona - i stanął przed Stephenem.

- Będziesz grać czy mleć ozorem? - wyburczał. - Chcę odegrać swoją forszę. Winston spojrział wyniośle na wielką jak bochen łapę, która ośmieliła się zbrukać jego lniany zakiet, po czym skrzyżował ramiona na piersi.

Stephen przyglądał węża, jego nastrój uległ znacznej poprawie. Może awantura była tym, czego potrzebował, żeby oczyścić się do reszty z frustracji, a w miejscu takim jak to wystarczało, żeby jeden drugiemu wszedł w drogę, a już cały tłum wymieniał między sobą ciosy. Uśmiechnął się.

- Winstonie, poznaj Scootsa.

- Miło mi - powiedział Winston, rzucając Stephenowi porozumiewawcze spojrzenie. Nie połknął przynęty. - Ależ jak najbardziej graj. Postaram się, żeby nasza rozmowa nie przeszkadzała wam w grze.

Pomruk Scootsa był jedyną odpowiedzią. Winston już miał usiąść, ale rozmyślił się i oparł o drewniany słup.

- Czarujący jegomość - powiedział, wskazując głową przeciwnika Stephena. - Niestety, nie mam czasu udzielić mu lekcji manier. Elizabeth nakazała mi odszukać cię i przyciągnąć za tyłek, to jej słowa, zastrzegam, do niej, żeby mogła walić cię w twój zakuty łeb srebrną wazą do zupy, wyliczając pułapki głupoty. Znów jej słowa. - Rozłożył ręce. - Oto więc jestem.

- Bo celem twojego życia jest spełnianie jej życzeń.

Twarz Winstona znowu miała ten niemądry wyraz mówiący: „jestem zakochany”, do czego Stephen zdążył już przywyknąć. Winston wzruszył ramionami, godząc się ze swoim losem ze zwykłą sobie pogodą ducha.

- Co ja mogę powiedzieć? - spytał. - Poza tym, chciałem też zobaczyć, jak się miewasz. Muszę przyznać, że zdajesz się radzić sobie z całą tą sprawą.

- A co mam robić? - mruknął Stephen, bardziej do siebie niż do Winstona. Olbrzym rzucił do tarczy i uzyskał trzydzieści pięć punktów. W zasadzie gra niewiele obchodziła Stephena, jednak był rozczarowany, że nie zwycięży. - To przykra historia, kiedy drobna dziewczyna upokarza mężczyznę. A on, jak wierzba, może tylko stać i albo zgiąć się na wietrze, albo pęknąć na dwoje. Pomysł z pęknięciem jest dla mnie zmorą.

Winston uniósł brew na tę uwagę, a następnie powąchał to, co Stephen popijał.

- Stajemy się poetą? Ile musiałeś wypić?

- Nie dość - odparł Stephen, obracając w palcach trzy rzutki.

- Twoja kolej - przypomniał marynarz, wciskając się między obu mężczyzn.

Winston pokręcił głową, westchnął i mówił dalej do Stephena:

- Naprawdę myślałem, że pojawiła się kobieta, która swoim potężnym czarem sprawi, że zapomnisz o tej śmiesznej klątwie, ktoś, kto uczyni cię szczęśliwym.

- Uczyni mnie szczęśliwym? Do wszystkich diabłów, odkąd znam Phoebe, jestem zdezorientowany, zirytowany, sfrustrowany i wycierpiałem tyle zebrań towarzyskich, że starczyłoby mi na trzy życia. Ona jest samowolna i uparta i nie chce dostrzec racji, dopóki nie trafi jej prosto między prześliczne, zielone oczy.

Olbrzym stanął na rozstawionych nogach. Jego poza skłaniała do posłuchu.

- Graj.

Stephen poklepał przeciwnika po potężnym ramieniu.

- Bez urazy, Scoots.

Cisnął rzutek, zadowolony ze zdobycia kolejnego byczego oka. Winston przyglądał się grze.

- Cóż, w takim razie wszystko się dobrze złożyło - powiedział. Stephen zachnął się, myśląc o życiu, jakie go czekało. Cisnął rzutek i zdobył następne dziesięć punktów.

- Nie zaznam spokoju. Dni będą mi upływać na zamartwianiu się, gdzie jest Phoebe, co może robić, czy jest bezpieczna, a może coś jej grozi. W krótkim czasie oszaleję.

- Podjąłeś decyzję. Zapomnij o niej.

- Graj! - huknął Scoots. Było to żądanie, a nie prośba. Rozmawiając tak otwarcie o Phoebe, Stephen miał ochotę przyłożyć czemuś lub komuś. Scoots stawał się prawdopodobnym kandydatem. Rozdarty między chęcią wetknięcia rzutka w tyłek marynarza a nadzieją trafienia w tarczę, Stephen celował, mówiąc jednocześnie do Winstona:

- Myślę, przyjacielu, że byłoby raczej trudno zapomnieć o własnej żonie. Winston oderwał się od słupa.

- O żonie? Na litość boską, Phoebe wyjechała dziś rano z lordem Tewksburym.

Rzutek wyleciał z dłoni Stephena i wbił się w drewnianą pierś wyrzeźbionej mewy, która przysiadła na półce przy szynkwasiu, gdzie stał Scoots. Stephen odwrócił się do Winstona.

- To niemożliwe. Ona musi wyjść za mnie.

- Czy ona o tym wie? - spytał Winston.

- Powiedziałem, graj! - ryknął olbrzym.

Winston położył silną dłoń na ramieniu marynarza i ścisnął.

- Gra skończona, dobry człowieku. Odejdź.

- Miałem zamiar powiadomić Phoebe dziś po południu - mówił Stephen, jakby Scoots nie istniał. - Nie mogę uwierzyć, że wyjdzie za innego mężczyznę, nie mówiąc nawet do widzenia.

- Wysłała ci wiadomość.

- Co ty, u diabła, mówisz? - warknął Stephen, wkładając już okrycie. - Nie dostałem żadnej wiadomości. Co każe ci myśleć, że dostałem?

- Powiedziała to wczoraj wieczorem w operze.

- No więc nie dostałem żadnej choleralnej wiadomości. Chodź. Nie ma czasu do stracenia.

Zgarnął monety ze stołu.

Wielka łapa Scootsa wylądowała na dłoni Stephena z głośnym uderzeniem.

- Chcę z powrotem moją forszę.

To było beznadziejne. Scoots nie widział powodu, dla jakiego miałby być stratny. Stephen zwiesił głowę z rezygnacją, zacisnął pięść i wymierzył cios prosto w szeroką szczękę olbrzyma.

Kiedy Winston i Stephen zajechali przed Tewksbury Manor, na podjeździe stał czarny powozik z rodzaju tych, jakimi posługują się wiejscy pastorzy. Stephen na zmianę kłął i błagał o zmiłowanie. Wstąpili na chwilę do Hildegard, na wypadek gdyby jakimś cudem Phoebe tam jeszcze była. Spotkali się z Hildegard, która z satysfakcją przyznała się do odpowiedzialności za zaginienie wiadomości, po czym, nie zaczerpnąwszy nawet tchu, zaczęła złorzeczyć i pomstować, że straciła Marsden Manor. Hildegard zawsze będzie samotną, zgorzkniałą kobietą. Stephenowi było jej żal.

Przez ostatnią godzinę, podczas szaleńczej jazdy z Londynu, Stephen to milczał, to bluźnił. Winston dawno już zarzucił wszelkie próby nawiązania rozmowy. W tej chwili Stephen Lambert, książę Badrick był wulgarnym towarzyszem. Wyskoczył z powozu, zanim konie stanęły.

Winston czym prędzej ruszył za nim, próbując po raz ostami przemówić Stephenowi do rozumu.

- Dowiedz się przynajmniej, czy już są po ślubie, zanim napadniesz jak Edward na Szkocję. Urządzanie takich scen nic nie pomoże w twojej sprawie.

Stephen przesadzał po dwa stopnie naraz.

- Dlaczego wydaje mi się, że masz za nic wszystko, co mówię?! - zawołał za nim Winston.

- Bo mam.

Stephen załomotał mosiężną kołatką do masywnych, dębowych drzwi. Winston, wiedząc, kiedy wywiesić flagę kapitulacji, oparł się o ceglany mur i westchnął.

- Zapowiada się interesująco.

Stephen łomotał, gotów wyłamać cholerne drzwi. W końcu wyjrzał kamerdyner, który wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Nic dziwnego, pomyślał Stephen. Ubranie miał podarte, podbite i opuchnięte oko było na wpół przymknięte. Winston wyszedł w nie lepszym stanie z bójki, z której właśnie uciekli. Miał pokrwawione usta, na czole guza od cynowego kufła, śliczny, biały krawat umazany krwią. Smród szynku, jaki unosił się z ich ubrań, nie koił bynajmniej nerwów służącego. Stephena nic to w tej chwili nie obchodziło. Wepchnął się za próg.

- Gdzie, u diabła, jest Tewksbury?

Kiedy kamerdyner nie przestawał się gapić z otwartymi ustami, Stephen przemaszerował przez hol i ruszył dalej korytarzem, a jego kroki dudniły na marmurowej posadzce. Otwierał kolejne drzwi, zaglądał do środka, a nie znajdując tego, kogo szukał, zatrząskiwiał je i szedł dalej. Kamerdyner musiał prawie biec, żeby mu dotrzymać kroku. Winston podążał z tyłu, robiąc co w jego mocy, żeby uspokoić biedaka, zanim padnie rażony apopleksją.

Znajoma blondyneczka z głową całą w lokach stanęła u stóp schodów. Przechyliła głowę po królewsku i przyglądała się zbliżającemu Stephenowi. Z godnością królowej Elżbiety zmarszczyła nos i wyduła wargi.

- Ty śmierdzisz. Stephen przystanął.

- Jak to dobrze, że raczyłaś zauważyć. Gdzie jest twój ojciec? Dziewczynka zwróciła się do kamerdynera, który już chciał wzywać posiłki wobec tej prowokacji.

- Możesz odejść, Simpson. Ja się tym zajmę.

By uczynić zadość życzeniu dziewczynki, kamerdyner czmychnął do najbliższego pokoju, ale zatrzymał się w drzwiach. Bliss stanęła twarzą w twarz ze Stephenem i sądząc z surowego wyrazu jej twarzy, kruszyna miała zamiar odpowiednio go usadzić.

- Czego ty chcesz?

- Nie sędzę, żeby to była twoja sprawa.

- Jest, jeśli chcesz mojej pomocy.

Winston ryknął śmiechem. Nie mógł się powstrzymać. Oto stał tu książę Badrick w najbardziej dramatycznej chwili swojego życia i sprzeczał się z małą dziewczynką. Śmiał się coraz bardziej.

Stephen, również nie mogąc uwierzyć w beczelność tego dziecka, zgromił Winstona wzrokiem. Mały tyran, którego miał przed sobą, oczekiwał, nie, żądał wyjaśnień. Stephen skrzyżował ramiona na piersi, przywołując cały swój autorytet.

- Jeśli musisz wiedzieć, to jestem tu, żeby odebrać coś, co należy do mnie. Podeszła bliżej, ani trochę nie okazując lęku. Wzięła się pod boki w sposób, jaki pewno często widywała u ojca.

- Nie sędzę, żebym cię lubiła.

Dobry Boże, a Phoebe chciała mieć takie własne. To się nie mieściło w głowie.

- To uczucie jest wzajemne. Jednakże nie mam czasu, żeby rozmawiać o uczuciach, jakie względem siebie żywimy. Gdzie jest panna Rafferty?

- Dlaczego o nią pytasz?

- Dlaczego?! - ryknął.

Kamerdyner skoczył przed siebie wraz z dwójkiem innych służących, aby bronić swego skarbu. Siwowłosa kobieta wpadła z miotełką z piór wzniesioną nad głową. Kucharz, z patelnią w ręce, wyszedł z pomieszczenia w głębi korytarza. Winston uniósł ręce, prosząc ich milcząco, żeby się wstrzymali.

Bliss drżała, ale nie ustępowała pola.

- Nie pozwolę, abyś zrobił jej krzywdę.

Nikt nie zasłużył sobie na jego gniew, który brał się z czystej paniki, a już najmniej to dziecko. Stephen, zawstydzony, ukląkł przed Bliss.

- Mam nadzieję uczynić pannę Rafferty bardzo szczęśliwą. Obiecuję. Ale najpierw muszę ją odnaleźć.

W jej oczach pojawił się błysk mądrości i akceptacji, dziwna mieszanka u tak małego dziecka.

- Dobrze. - Bliss odwróciła się na pięcie i ruszyła po schodach na górę. Zgromadzeni wchodzili gęsiego, z Bliss na czele. Winston trzymał tylną straż, służba w środku. Bliss zatrzymała się przed mahoniowymi drzwiami.

- Ona jest tutaj, z moim ojcem.

- Tylko spokojnie! - zawołał Winston ze schodów.

Sięgając do klamki, Stephen odmówił cichą modlitwę, rzecz nie bez znaczenia, jako że nie był człowiekiem skłonny do pobożności. A jeśli są już po ślubie? Dobry Boże, a jeśli się właśnie kochają, jeśli...? Poczuł, jak drobna rączka ścisnęła jego dłoń. Z nową nadzieją otworzył drzwi.

Phoebe siedziała na sofie pod oknem, z głową opartą na ramieniu Tewksbury'ego. Rozpalony do białości gniew zapłonął w żyłach Stephena. W porywie zazdrości był gotów kogoś zabić. Wtem zauważył, że jej ramiona drżą. Tewksbury spojrzał. Phoebe uniosła głowę. Stephen dostrzegł łzy w jej oczach i zupełnie stracił panowanie nad sobą. Rzucił się ku niej.

- Co ty jej zrobiłeś, sukinsynu?

Zanim Stephen zdążył zrobić trzy kroki, Tewksbury wstał, co skutecznie powstrzymało impet Stephena.

- Oto cała twoja dyplomacja - mruknął Winston, opierając się nonszalancko o framugę drzwi. Otoczyła go mała armia służących, której szeregi szybko się powiększały.

Stephen spoglądał spode łba na obu mężczyzn, by w końcu utkwic groźny wzrok w Tewksburym.

- Zejdz mi z drogi. Tewksbury założył ręce.

- Myślisz mnie zmusić?

Stephen nie zaszczycił go odpowiedzią.

- Phoebe, nie chowaj się za nim. Nie dbam o to, czy za niego wyszłaś. Do jutra będziesz wdową. Nie możesz być jego.

Phoebe, która siedziała do tej pory jak sparaliżowana, w końcu wyrzała zza Tewksbury'ego. Oczy miała spuchnięte i czerwone od płaczu, wielkiego płaczu, pomyślał Stephen. Znow miał ochotę spoliczkować Tewksbury'ego. Oczywiście, że to on doprowadził ją do łez.

- Co się stało z twoją twarzą? - spytała, pociągając nosem.

- Drobne nieporozumienie - odparł.

- Raczej drobna bitwa - mruknął Winston.

- Dobry wieczór, Winstonie - powiedziała Phoebe z roztargnieniem, jakby dopiero teraz zauważyła jego obecność. Nie odrywała wzroku od Stephena.

- Na miłość boską nie przyszedliśmy na herbatkę. - Stephen z niesmakiem wyrzucił ramiona w górę. - Czy moglibyśmy porozmawiać sam na sam?

Tewksbury, Winston i Phoebe odpowiedzieli równocześnie:

- Nie.

Phoebe, wychylając się trochę bardziej, spytała:

- Czego chcesz, Stephenie?

- Dlaczego płaczesz? - chciał wiedzieć.

- Bo mam na to ochotę.

- Człowiek jest taki bezradny, kiedy one płaczą prawda? - powiedział Winston, podchodząc do krzesła, na którym usiadł i pomasaował sobie kolano. - Kiedy Elizabeth płacze, chciałbym uciec z pokoju, a jednocześnie wziąć ją w ramiona. Potem zawsze wydaje się nie pamiętać, dlaczego płakała.

Phoebe podniosła się z sofy i oparła ręce na biodrach.

- Ja wiem bardzo dobrze, dlaczego płakałam.

Stephen zapragnął wziąć ją w ramiona i scalać każdą podłą łzę z jej twarzy.

- Czy musimy to robić przy publiczności?

- Dopóki nie usłyszę czegoś, co mnie przekona, że nie musimy, to tak - oznajmił Tewksbury.

Stephen ledwo się powstrzymywał, żeby nie udusić tego człowieka, ale zabicie kogoś to nie najświetniejszy sposób na rozpoczęcie miesiąca miodowego, jeśli w ogóle miał go przeżyć. Wciąż nie wiedział, czy już się pobrali.

- Odpowiedz mi. Jesteście po ślubie?

Śmiertelna cisza zajęła miejsce zamętu, jaki panował przez ostatnie pół godziny. Tykanie ściennego zegara odpowiadało waleniu w głowie Stephena. Słyszał szelest sukni Phoebe. Westchnienie Winstona. Przeszepowanie z nogi na nogę kamerdynera. Gdzieś zawył pies. Ważyła się jego przyszłość, zależna od jednego słowa: tak lub nie.

Przerażająca świadomość, że może przybył za późno, ścisnęła mu pierś jak szeroki, skórzany pas. Stephen mierzył się wzrokiem z Tewksburym, któremu wystarczyło, że tamten się wije. Twarz Tewksbury'ego wyrażała tyle, co pień. Stephen opuścił ręce i czekał.

W końcu Tewksbury przemówił:

- Jeszcze nie. Jakie to ma dla ciebie znaczenie?

Napięcie Stephena zelżało, ale węzeł w żołądku ani trochę się nie rozluźnił. Teraz musiał jeszcze uzyskać zgodę Phoebe. Obejrząwszy się przez ramię, zobaczył mrowie ludzi przyglądających się tej scenie z ciekawością pomieszaną ze zdumieniem. Nic z tego. Nikt nie zamierzał odejść. Odezwał się do Phoebe, jakby byli sami:

- Chodź ze mną do domu. Tewksbury skrzyżował ramiona na piersi.

- Ona zostanie dokładnie tu, gdzie jest. Stephen przyjął taką samą pozę.

- Czy decyzja nie należy do Phoebe?

- Jeśli mnie pamięć nie myli, sam jej odmówiłeś tego prawa - odrzekł Tewksbury.

- Tu ma rację - wtrącił się Winston.

Phoebe zniecierpliwiona stanęła u boku Tewksbury'ego.

- Jeśli wszyscy nie macie nic przeciwko temu, chcę coś powiedzieć.

Od pojawienia się Stephena powiedziała zaledwie kilka słów. Uznał to za dobry znak. Wykonał szeroki, zachęcający gest.

- Ależ jak najbardziej, kochanie.

- Ty mi tu nie mów: „kochanie”. Spodziewasz się, że ot tak opuszczę lorda Tewksbury'ego tuż przed naszym ślubem? Czy ty nie widzisz, że zgotowałeś mi piekło? Czemu nie mogłeś pomyśleć o tym, kiedy wysłałam ci wiadomość?

Cofając się przed jej atakiem, wymamrotał:

- Nigdy nie dostałem wiadomości. Hildegard ją przechwyliła.

- Nie dostałeś mojej wiadomości? - powtórzyła te słowa bardziej dla siebie niż dla kogokolwiek innego. Poszukała potwierdzenia u Winstona. Przytaknął.

Przeszepując z nogi na nogę, Tewksbury powiedział:

- Nie zostało tu powiedziane nic, co by skłoniło mnie do zmiany zdania. Siarczyste przekleństwo wymknęło się z ust Stephena. Rozstrzygnięcie przyszło z najbardziej nieoczekiwanej strony. Bliss podeszła do ojca i pociągnęła go za połą fraka.

- On już nie zrobi jej krzywdy, ojcze. Obiecał.

Spokojna pewność tych słów wypowiedzianych przez dziecko to było więcej, niż mógł znieść. I pomyśleć, zastanawiał się Stephen. Siedmioletnia dziewczynka jego obrońcą. Jego życie zmieniło się nie do poznania. Przekonania, których się trzymał, zostały wymiecione od góry do dołu i od środka na zewnątrz, odarte z przeszłości i uformowane w teraźniejszość. A odpowiedzialna za to była stojąca przed nim kobieta, która pokochała go i zaufała mu. Skrzywdził ją straszliwie. Łagodnym głosem wyszeptał:

- Phoebe, naprawdę mi przykro. Zaufaj mi, a wszystko naprawię. - Mógł się nawet zniżyć do błagania. Podchodząc bliżej, dodał: - Proszę.

- Ja...

Szczera rozpacz w głosie Stephena szarpnęła napięte struny w jej sercu. Nadzieja rozkwitła w jej duszy jak pąk lilii budzący się, by powitać świt. Był głupcem, ale to właśnie tego głupca kochała. Siedziała tu, wypłakując się lordowi Tewksbury'emu, przepraszając go, że jednak nie jest w stanie go poślubić. Logika i zdrowy rozsądek kazały jej zostać, ale serce żądało, aby odeszła. Siła jej miłości sprawiła, że podjęła jedyną możliwą decyzję. Zamierzała wrócić do Londynu, do Stephena.

Teraz on stał przed nią z własnej woli. Z pewnością nie przyjechał tu, żeby życzyć jej wszystkiego najlepszego, ale to, dlaczego tu przybył, nie miało znaczenia. Nie umiała mu niczego odmówić.

- Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz.

- Chodź ze mną a wszystko ci wytłumaczę.

Kiedy skinęła głową porwał ją na rękę. Służba stojąca w drzwiach rozstąpiła się, po czym czmychnęła w głąb domu. Winston, Tewksbury i Bliss poszli za Stephenem i stanęli rzędem na podeście schodów.

- Winstonie! - zawołał Stephen przez ramię. - Zobacz, czy Tewksbury ma dla ciebie powóz. Ja biorę twój.

- Spodziewam się znaku życia od niej, Badrick! - krzyknął Tewksbury. Phoebe odpowiedziała z uśmiechem:

- Nic mi nie będzie. Naprawdę.

W połowie schodów Phoebe powiedziała nagle:

- Poczekaj.

Stephen przystanął. Ona wyswobodziła się z jego ramion, wbiegła z powrotem na górę i uklękła koło Bliss. Szeptała coś do ucha dziewczynki. Bliss uśmiechnęła się i skinęła głową.

Phoebe zbiegła do Stephena. Trzymając się za ręce, wybiegli przez drzwi frontowe. W powozie Stephen posadził sobie Phoebe na kolanach.

- Co szeptałaś Bliss?

- Powiedziałam jej, żeby znalazła ojcu żonę, która będzie go kochać do szaleństwa i żeby nie zgadzała się na nic mniej. Oboje zasługują na taką kobietę.

- Niech mu Bóg pomoże. Z Bliss jako mistrzynią ceremonii biedak nie ma szans.

Narastało w niej poczucie spokoju. Pytania o jej przyszłość pozostawały bez odpowiedzi, ale jedno było pewne - jej miejsce jest u boku Stephena i w jego ramionach. Ze śmiechem oplotła się wokół niego.

- Wiem.

Dotykała ustami miękkiego płotka jego ucha, wrażliwego sińca pod okiem.

- Phoebe.

Płomień w jego oczach zdradzał żar płonący w ciele. Choć nie poruszył się, żeby ją pocałować czy pobudzić, potrzeba dotykania go zdumiewała ją. Wargi Phoebe sunęły po szczęce i ustach Stephena, a dłonie błądziły po jego ramionach. Jęknęła.

Unieruchomił niesforne ręce Phoebe i położył na kolanach.

- Uważaj, bo za chwilę będziesz leżała na plecach, ze spódnicą zarzuconą na głowę.

Nie mogła oderwać wzroku od jego oczu. Zażenowanie przemieniło się w pragnienie. Prawdę mówiąc, nawet spodobała jej się ta sugestia. Musiał wyczuć, dokąd zmiierzają myśli Phoebe, bo wyszeptał jej do ucha ochrypłym głosem, który uwielbiała:

- Poczekaj, najdroższa. Najpierw chcę się wykapać, a potem do łóżku. Szampan, świece i tylko my dwoje.

Przez całą drogę krew pulsowała jej w skroniach w rytm kołysania powozu. Rozmawiali o czymś, ale gdyby ktoś ją spytał, wątpliwe, czy umiałyby powtórzyć choć słowo. Myśli miała zaprzątnięte czekającą ją nocą. Dojechali do jego domu, gdzie powitała ich gorliwa służba, która pospieszyła spełnić jego żądania. Zaprowadził ją do pokoju i zaprosił, żeby się rozgościła i odpoczęła, co jej wydało się niemożliwością. Gardło miała suche jak tygodniowy biszkopt, ręce i nogi zrobiły się nagle ciężkie jak z kamienia.

Znalazła ułożoną na łóżku białą, koronkową koszulę nocną z tak przejrzystej tkaniny, że przez moment zastanawiała się, czemu chciał, żeby w ogóle zawracała sobie głowę wkładaniem jej. Obok leżała oprawna w srebro szczotka do włosów. Ten mężczyzna był pełen niespodzianek. Przebrała się i czekała przy oknie, zapatrzona w rozgwieżdżone niebo. Oczekiwanie wygrywało melodię każdym nerwem jej ciała.

Drzwi się otworzyły. Stephen w atlasowym szlafroku barwy burgunda oparł się o framugę i przyglądał jej z takim natężeniem, że aż przeszły ją ciarki. Jego ciągle wilgotne włosy wiły się koło uszu. Szlafrok rozchylony do pasa ukazywał mocne mięśnie klatki piersiowej. Jak już tyle razy przedtem, tak i teraz wyciągnął ramiona, zapraszając ją. Podeszła, nie ociągając się.

Jego sypialnia oświetlona blaskiem księżycy i świec była miejscem, gdzie się spełniają sny. Podprowadził ją do łóżka i dręcząco powoli rozwiązał wstążki koszuli, która opadła Phoebe do stóp. Oddech jej się rwał, kiedy patrzyła w jego oczy błyszczące niewypowiedzianymi obietnicami i oczekiwaniami.

Wziął jej rękę i skierował do paska swojego szlafroka. Przestała oddychać w ogóle. Drżącymi dłońmi uwolniła go z ubrania. Już raz widziała przelotnie jego męskość, ale wtedy nie miała okazji przyjrzeć mu się całemu i zbyt była zażenowana, żeby patrzeć. Nawet teraz nie mogła uwierzyć, że ich ciała kiedyś złączyły się ze sobą. Miała wrażenie jakby w ustach, i tak przeraźliwie suchych, miała kłęb waty, włożony dla bezpieczeństwa i zapomniany. Poczula, że na policzki wystąpił jej rumieniec.

- Aż tak źle?

Splonęła się jeszcze bardziej.

- Nie... ja...

Kiedy parsknął śmiechem, uderzyła go w ramię.

- Nie mogę uwierzyć, że my... to znaczy, to mi się wydaje... Ja jeszcze nigdy tak naprawdę nie widziałam męskiego ciała.

- Mam nadzieję, że nie. Zapewniam cię, że świetnie do siebie pasujemy. Chodź tu.

Położył ją na błękitnej pościeli. Śliski atlas zmysłowo muskał nagie ciało Phoebe. Włosy na jego piersi i nogach drażniły jej skórę. Wiedziała, że sam pocałunek nie zadowoli żadnego z nich. Kiedy przycisnął wargi do jej ust, przemówiło jego serce.

Odpowiedziała mu swoją duszą. Tygodnie rozłąki i niepewności, dręczące godziny trosk i rozpacz zamieniły się w czyste pożądanie. Oddech Phoebe przeszedł w jęk, kiedy poczuła jego ciało przy swoim. Jej pocałunki stawały się coraz śmielsze, podczas gdy Stephen pieścił jej ramiona, piersi i powoli posuwał się dalej. Z największą dbałością jakby trzymał w dłoniach najcenniejszy skarb, ponawiał pieszczoty, w końcu ciało zaczęło się wić, stając się jednym drżącym pragnieniem. Usta Stephena składały hołd każdemu centymetrowi ciała Phoebe, by w końcu znaleźć drogę do miejsca między udami.

Nieomal wyskoczyła z łóżka, kiedy poczuła jego oddech w najgłębszej istocie swojego ciała, a potem przestała myśleć w ogóle. To doznanie zapanowało nad każdym jej

westchnieniem, każdym jękiem, każdym drgnieniem. Gdyby dom stanął w płomieniach, z pewnością nawet nie zauważyłaby tego.

Kiedy zdawało się, że oboje już nie wytrzymają kolejnego dotyku, kolejnej pieśczoły, Stephen przetoczył się na plecy i uniósł Phoebe nad siebie. Czowała, jak jego męskość szuka do niej dostępu. Odrobinę zażenowana, ale bardziej podniecona, pozwoliła mu kierować swoimi ruchami, zdumiona nowością, jaką było kochanie się w ten sposób.

Jego napięte mięśnie świadczyły o tym, jak bardzo nad sobą panuje. Za każdym uniesieniem i opuszczeniem bioder wzlatywała coraz wyżej, płonęła coraz goręcej, aż wreszcie rozpadła się na setki ognistych cząstek. Stephen nie przestawał kołysać jej ciała na swoim, po czym znieruchomiał i dołączył do niej w magicznej krainie ekstazy.

Leżeli potem w żarze swojej miłości, twarzą w twarz, spleceni nogami, ich oddechy stapiały się w jeden. Uwięzieni w świecie doznań, nie mówili nic.

Stephen muskał delikatnie czoło Phoebe. Wreszcie się odezwał.

- Dzięki Bogu, przybyłem na czas.

Palce Phoebe błędziły po meszku na piersi Stephena.

- Muszę ci coś wyznać. - Spuściła wzrok. - Wypłakiwałam się lordowi Tewksbury'emu, ponieważ postanowiłam wrócić do Londynu, do ciebie. Bałam się, że już mnie nie zechcesz.

Przycisnął ją mocno do siebie i pocałował w czubek głowy.

- Nie zechcę cię? Nie umiałbym bez ciebie żyć.

Przesunął się bliżej do stojącego obok stolika i sięgnął po pudełeczko z błękitnego aksamitu. Wyjął złoty pierścionek i włożył jej na palec. Na delikatnej obrączce wygrawerowane były dwa splecione serca.

Pierścionek na jej palcu bardzo przypominał ten, który mu opisała, kiedy opowiadali sobie historie w Kręgu Chanctonbury. W dniu, kiedy wyznała miłość, jaką do niego czuje. Ogarnęła ją fala czułości. Czy kiedykolwiek zrozumie tego mężczyznę? Ma całe życie, żeby spróbować.

- Pamiętałeś? - spytała z zachwytem.

- Niemądra dziewczyna. Jakże mógłbym zapomnieć? Dzień, kiedy po raz pierwszy kochałem się z tobą, to jedno z moich najcenniejszych wspomnień. Tego popołudnia skradłaś mi serce. Byłem głupcem, że nie chciałem dostrzec prawdy. Jak ten szkielet w twojej jaskini skarbów, przysięgam, że nigdy nie pokocham innej kobiety.

- Kiedy ty...

- Kazałem zrobić ten pierścionek dwa dni temu, kiedy zdecydowałem, że muszę cię mieć, bo inaczej oszaleję. Po prostu potrzebowałem czasu, żeby pogodzić moje uczucia z tą decyzją. Wybacz mi ból, jaki ci sprawiłem. Jeśli pozwolisz, celem mojego życia będzie uczynić cię szczęśliwą. Czy zostaniesz moją żoną, Phoebe Rafferty? Czy uczynisz mi ten zaszczyt i zechcesz dzielić ze mną życie?

Na jedno pytanie wciąż nie było odpowiedzi.

- A co z klątwą?

- Myśl o tym, że mógłbym cię stracić, przeraża mnie, ale bez ciebie nie mogę istnieć. To ty zawsze mówiłaś, że miłość wszystko zwycięża. Chcę oddać moje ręce, moje serce i moją przyszłość pod, czułą opiekę miłości. Wolę przeżyć dzień, tydzień czy miesiąc z tobą niż całe życie bez ciebie. Wyjdź za mnie.

Marzyła o tej chwili tak długo i straciła już wszelką nadzieję, że kiedykolwiek usłyszy te słowa z jego ust. Teraz brzmiały jak radosna muzyka. Szczęście dźwięczało w niej niczym melodia setek skrzypiec. Uśmiechnęła się, a jej serce przepełniała miłość.

- Będę zaszczycona.

- Umrę z twoim imieniem na ustach, z naszą miłością wrytą w duszy. - Uniósł się nad nią i wyszeptał: - A jeśli masz jakieś wątpliwości, bądź pewna, że pozbędziesz się ich jedna po drugiej, każdego dnia naszego życia.

EPILOG

Cztery lata później

Phoebe przeszła przez galerię obrazów w Marsden Manor, szukając niesfornych członków swojej rodziny. Słońce świeciło jasno, domyślała się więc bez trudu, gdzie mogą być.

Wyszła przez szklane drzwi na balkon i jak zwykle zachwyciła się pięknem tego miejsca. Dziękowała gwiazdom i niebiosom, że dały jej to życie.

Hannah, o rysach tak bardzo podobnych do Stephena, siedziała na kolanach Hampsona. Wibolt rozparty na krześle po drugiej stronie stołu trzymał na ręku śpiącego smacznie trzymiesięcznego Michaela. Stephen opierał się o kamienny mur.

Twarzyczka Hannah jaśniała. Phoebe domyśliła się, że Hampson opowiada jej córce do ucha jakąś absurdalną historię o jej niesławnych krewnych i ich wyczynach.

Phoebe się uśmiechnęła. Sama uwielbiała słuchać tych opowieści Hampsona. Stanęła w blasku słońca i powiedziała najsurowiej, jak to tylko możliwe:

- Zapomnieliście? Zdaje się, że ktoś ma dziś urodziny.

Hannah zsunęła się z kolan Hampsona i w podskokach podbiegła do matki.

- Ja, mam trzy lata.

Stephen także podszedł do Phoebe. Przytulił ją i pocałował, co robił często, nie bacząc, gdzie się znajdują. A jej to wcale nie przeszkadzało.

- Hampson opowiadał nam uroczą historię o rybaku, który znalazł skarb w jajku mewy - wyjaśnił.

- Czy to prawda? - spytała Hannah. Phoebe wymieniła uśmiechy z mężem.

- Skarby można znaleźć w najbardziej niespodziewanych miejscach - powiedziała. - Musisz po prostu szukać i nigdy nie tracić nadziei. A teraz idź się umyć. Zaraz przyjadą nasi goście.

Stephen pomasażował się po brodzie.

- Nie martwię się o Winstona i Elizabeth, ale Charity i Ellwoodowi udaje się zmylić drogę za każdym razem.

Roześmiała się wesoło.

- Myślę, że Charity lubi zgubić się ze swoim mężem. Brwi Stephena uniosły się lekko.

- Doprawdy? Może to jest jakaś myśl. - Poprowadził ją z powrotem do domu. - Hampson i Wibolt dopilnują dzieci, jeśli chcesz. Ja mam ochotę zgubić się z moją żoną pod schodami. Może poszukamy naszego zakopanego skarbu.

Pomyślała o małym, przyjemnie urządzonej schronieniu pod pokojem muzycznym.

- Pamiętaj o gościach.

Spojrzał na nią, a jej ciarki przeszły po plecach. Niczego nie mogła mu odmówić. Wątpiła, czy kiedykolwiek będzie mogła. Poprosiła go o nazwisko, oczekiwała, że będzie jej oddany, a otrzymała o wiele więcej. Obdarzył ją najwspanialszym ze wszystkich skarbów: swoją miłością.